

H A N N A
GREŃ

WIĘZY KRWI

KIEDY TRACISZ RODZINĘ, TRACISZ WSZYSTKO



WIĘZY KRWI

H A N N A
GRĘŃ

WIĘZY KRWI

Copyright © Hanna Greń, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Ewelina Chodakowska

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Fotografie na okładce:

aboikis, Ervin-Edward, Anselm Baugart / Shutterstock

Robert Thiemann / Unsplash

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66553-18-7

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Prolog

Biegła przez las, nie tracąc czasu na odgarnianie na bok gałęzi zagradzających jej drogę. Smagały ją po twarzy, kaleczyły skórę i hamowały ruchy, lecz to wszystko nie miało znaczenia. Byle tylko mogła uciec, znaleźć się jak najdalej od swojego prześladowcy, którego głos jeszcze niedawno słyszała tuż za sobą. „Ty głupia kurwo, i tak nikt ci nie uwierzy. Wszyscy widzieli, że na mnie lecisz”. Starła się wyrzucić z pamięci te słowa, ale one ciągle wracały, odbierając tę resztkę pewności siebie, jaka jej jeszcze została, w głębi duszy bowiem przeczuwała, że napastnik ma rację.

Rzeczywiście fakt, że sama szukała towarzystwa tego mężczyzny, wypytywała o niego i przyjmowała z uśmiechem jego niewybredne zaloty, mógł być postrzegany przez mieszkańców wioski dosyć jednoznacznie. Czy miała wędrować od drzwi do drzwi i tłumaczyć każdemu, że chodziło jej o coś zupełnie innego? Przecież to bez sensu. Zatem szanse, że policjanci jej uwierzą, były raczej mizerne.

Usiłując przesadzić stertę zwleczonych tam przez kogoś gałęzi, zahaczyła stopą o jakiś wystający patyk i z głuchym łomotem runęła na ziemię, a pęd poniósł ją w dół zbocza. Wyhamowała, dopiero gdy na drodze niekontrolowanego ślizgu pojawił się wielki wykrot po zwałonym świerku. Wpadła do niego głową naprzód i później dość długo ścierała z twarzy gliniastą ziemię zmieszaną z igliwem. Gdy wreszcie wydostała się z dziury, weszła w kępę krzaków i zza tej osłony rozglądała

się wokół, lecz mimo wyteżenia wzroku nikogo nie dostrzegła. Czyżby napastnik wcale jej nie ścigał?

Starając się uspokoić spazmatyczny oddech, Wioletta czujnie nadstawiała uszu, chcąc zorientować się, skąd dobiegną odgłosy pogoni, lecz w lesie panowała zadziwiająca cisza. Szalejący przez ostatnie trzy dni halny niespodziewanie ustał i teraz najmniejszy nawet powiew nie poruszał gałęziami drzew. Żaden zwierz nie przemykał w zaroślach, ptaki nie śpiewały, nie słychać było łopotu skrzydeł, jakby las zamarł w bezruchu, przerażony tym, co stało się w jego wnętrzu.

Stała długo, niepewna, czy może zaufać swoim zmysłom. Mijały minuty, lecz nadal nie słyszała niczego poza własnym, teraz już spokojniejszym, oddechem. Wreszcie zdecydowała się opuścić kryjówkę. Nie mogła przecież stać tam w nieskończoność.

Powinna jak najszybciej dostać się do wioski i poprosić kogoś o wezwanie policji, ale niespodziewanie wyłonił się problem – nie miała pojęcia, w którą stronę powinna iść. Biegając przed siebie w panicznym strachu, zgubiła się w tym górskim lesie, pełnym zwalonych drzew i gałęzi zagradzających drogę. Meandrując między nimi, nie myślała o zapamiętaniu przebytej trasy, zresztą strach owładnął nią tak bardzo, że utraciła zdolność logicznego myślenia. Ale i tak musiała się stąd ruszyć. Niebo zasnuły chmury, pochłaniając słońce i niosąc z sobą późnojesienny chłód, więc pozostawanie w lesie nie było najlepszym pomysłem. Już teraz czuła, że jeszcze niedawno rozgrzanym biegiem ciałem zaczynają wstrząsać zimne dreszcze, zauważyła też, że po każdym oddechu w powietrzu pojawia się biały obłoczek.

– Chyba nadciąga przymrozek – szepnęła, opuszczając kryjówkę w kępie krzaków.

Doszła do wniosku, że i tak miała szczęście. W końcu był już koniec listopada, zatem równie dobrze mógł nagle spaść śnieg,

którego jak na razie natura oszczędziła tej górskiej krainie. Wtedy nie miałyby zbyt wielkich szans na ocalenie.

Znów się rozejrzała, usiłując przypomnieć sobie wydarzenia poprzedzające lądowanie w wykrocie. Spadła stamtąd – uświadomiła sobie, spoglądając na mocno pochyłe zbocze, na którym dopiero teraz dojrzała ewidentne znaki świadczące o tym, że ktoś się tamtędy sturlał. A przedtem? Biegła w dół czy do góry? A może w poprzek zbocza?

Po namyśle uznała, że wróci po swoich śladach i że musi to zrobić natychmiast, dopóki nie nadciągnął jeszcze zmierzch, w ciemnościach bowiem nigdy nie odnajdzie drogi powrotnej. Westchnęła ciężko i ruszyła pod górę, starając się ignorować ból podbrzusza i krocza, z każdym krokiem mocniejszy.

Na wspomnienie tego, co ją spotkało, z jej gardła wydobył się szloch. Wioletta natychmiast go zdławiła, przyciskając dłoń do ust, drugą zaś przetarła oczy, pozbywając się wilgoci przesłaniającej wzrok. Nie mogła teraz pozwolić sobie na słabość. Płacz i uzalania się nad swoim losem musiały poczekać, ważniejsze było dotarcie do wioski. Wtedy otrzyma pomoc, a ten...

Myśl się urwała, gdyż dziewczyna nie potrafiła znaleźć słowa w pełni oddającego podłość i okrucieństwo człowieka, który odarł ją z godności, sponiewierał i upokorzył, a na koniec omal nie pozbawił życia.

Poczuła wypełzający na spuchnięte policzki rumieniec wstydu na wspomnienie żartów, które jeszcze niedawno ją śmieszyły. „Tej to dobrze. Ma męża, kochanka, i jeszcze ją zgwałcili”. Pamiętała, jak zaśmiewały się z koleżankami z tego kawału. Teraz wiedziała doskonale, co czuje ofiara gwałtu, i wcale nie było jej do śmiechu.

Rozmyślając o traumatycznym doświadczeniu, nie zauważyła, kiedy weszła na szczyt wzniesienia. Przystanąła, usiłując zorientować się w terenie, lecz krajobraz wydawał się

kompletnie nieznany. Czyżby zagubiła się w tym obcym, ponurym lesie? Szybkie bicie serca i dławienie w gardle zwiastowały atak paniki i Wioletta zaczęła oddychać głęboko i równomiernie, wiedząc, że musi zwalczyć strach. Oddanie mu się we władanie było najgorszym, co mogło ją spotkać.

– Spokój i rozsądek – powiedziała tak cicho, że jej głos zabrzmiał niewiele głośniejsze od szeptu. – To jedyny ratunek. Nie spieprz tego.

Jeszcze raz odetchnęła głęboko i postąpiła kilka kroków naprzód, zmierzając do dość wysokiego pniaka po ściętym drzewie. Stanęła na nim, ponownie zlustrowała uważnie okolicę i naraz wydała okrzyk, który natychmiast stłumiła dłonią przyciśniętą do ust. Spojrzała raz jeszcze. Wzrok jej nie mylił – w oddali między drzewami widziała wysoką, zrudziałą trawę porastającą leśną polanę. Ten widok spowodował przyływ energii i dziewczyna ruszyła biegiem, chcąc jak najprędzej przekonać się, czy jest to właśnie ta polana, na którą podstępem zwabił ją mężczyzna udający przyjaznego i pomocnego, a który okazał się bestią.

Im bardziej się zbliżała, tym bardziej rosła w niej nadzieja, że się nie myli, a wkrótce zyskała całkowitą pewność. Rozpoznała starą ambonę na jodle i prowadzącą do niej spróchniałą drabinę zbitą z żerdzi, dojrzała też paśnik i dużą szopę na przeciwległym skraju polany. To właśnie tam zorientowała się, iż mężczyzna ją oszukał, twierdząc, że zmierzają do domu człowieka, który zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Gdy dostrzegła zapuszczoną polanę, zażądała wyjaśnień, a wówczas on zaatakował bez ostrzeżenia.

Rozejrzała się czujnie w obawie, że napastnik nie opuścił tego miejsca, lecz natychmiast skarciła się za zbędną ostrożność. Ile mogło minąć czasu od chwili, gdy mu uciekła? Godzina? Może półtorej? Raczej to drugie. Niemożliwe, by dalej

się tu czaił, nie mógł wszakże wiedzieć, że postanowiła właśnie tędy wracać.

Wioletta wyperswadowała samej sobie zbędną ostrożność i poszła dalej, stawiając pokraczne kroki. Przy najmniejszym ruchu odczuwała ból w podbrzuszu, tak ostry, że najchętniej położyłaby się na leśnej ściółce i zwinęła w kłębek. Ale uparcie parła naprzód, przecinając polanę na skos, i wkrótce znalazła się na stromej ścieżce wiodącej ku drodze do wioski. Dziewczyna nie nawykła do górskich wędrówek, toteż odczuwała coraz większe zmęczenie. Zwłaszcza nogi odmawiały jej posłuszeństwa, a nieustanne napinanie mięśni podczas schodzenia po ścieżce sprawiało, że co jakiś czas Wioletta jęczała cicho, nie potrafiąc zapanować nad bólem.

Gdy wreszcie stanęła na pokrytej popękany asfaltem drodze, była tak zmęczona i obolała, że nie miała siły nawet się ucieszyć. Ostatkiem sił dowlokła się do złożonej na poboczu sterty równo pociętego drewna i z cichym jękiem usiadła na jednej z belek.

– Muszę odpocząć – powiedziała głośno i wzdrygnęła się, słysząc w głosie płaczliwy ton.

To nie wróżyło dobrze. Jeszcze trochę i całkiem się rozklei, a na to nie mogła sobie pozwolić. Najpierw musiała dostać się do wioski, a o ile nie popełniła błędu w obliczeniach, musiała w tym celu przejść jakieś cztery kilometry.

– Dam radę – wysyczała przez zęby. – Dam radę, a potem zadzwonię na policję, żeby aresztowali tego skurwysyna – dokończyła mściwie, bezwiednie używając słowa, które jeszcze kilka godzin temu za nic nie przeszłoby jej przez gardło. Zawsze czuła awersję do przekleństw, zwłaszcza w ustach kobiet, i nie wyobrażała sobie, by mogła kiedyś ich użyć. Ale tego człowieka nie potrafiła nazwać inaczej, wszystkie przyzwoite określenia wydawały się za słabe wobec ogromu krzywdy, którą jej wyrządził.

Z trudem dźwignęła się z belki, zauważając przy tym, że w miejscu, gdzie siedziała, pozostał krwawy ślad. *Porozrywał mnie. Ciekawe, czy po tym będę jeszcze mogła mieć dzieci?* – pomyślała dziwnie obojętnie. Nie sądziła, by jeszcze kiedyś poczuła ochotę na poddanie się czynnościom niezbędnym do zajścia w ciążę. Nie po tym, czego dzisiaj doświadczyła.

Szła wolno, powłócząc nogami, i choć wiedziała, że powinna przyspieszyć kroku, nie potrafiła wykrzesać z siebie ani odrobiny energii. Mrok, przedtem skradający się powoli, nagle zaatakował z całą mocą, spowijając świat w ciemny kokon, a wraz z nim nadeszło zimno, przenikające na wylot umęczone ciało. Dopiero teraz zorientowała się, że ma na sobie tylko cienką bluzkę, porozrywaną w kilku miejscach. Napastnik zdarł z niej kurtkę, a gdy wracała, nie sprawdziła, czy okrycie nadal leży na leśnej polanie. *Pewnie już wcześniej było zimno, ale nie czułam tego, bo biegłam,* stwierdziła w przyпіływie rozsądku. *Muszę iść szybciej, inaczej padnę tu i zamarznę.*

Mimo tego wniosku nie przyspieszyła ani o jotę. Po prostu nie miała już sił. Naraz dobiegł ją odgłos silnika samochodu, a chwilę później świat pojaśniał, rozświetlony mocnymi długimi światłami pojazdu wyłaniającego się z zakrętu. Wioletta uskoczyła na pobocze, zasłaniając oczy brudnymi dłońmi, oblepionymi ziemią i igliwem. To był błąd. Już wcześniej podrażnione kontaktem z gałęziami oczy zareagowały natychmiast, wypełniając się łzami. Całkowicie oślepią dziewczyna stała bezradna, zastanawiając się w panice, jak teraz trafi do domu.

Samochód zbliżał się szybko, aż wreszcie zrównał się z nią. Silnik ucichł, szczęknęły otwierane drzwi. Potem Wioletta usłyszała zbliżające się kroki.

– Panna ciekawska – usłyszała tuż obok wypowiedziane jadowitym tonem słowa. – Myślałaś, że możesz sobie ze mną pogrywać?

Rozpoznała ten głos i nagle zrozumiała z całą jasnością, że to, co ją spotkało, było tylko niewinnym prologiem.

– Ale ja nie... – zaczęła nieporadnie, lecz nie dane jej było dokończyć.

– Co: nie? Nie wściubiałaś nosa w nie swoje sprawy? Nie chciałaś wywlec na światło dzienne tego, co powinno na zawsze zostać w ukryciu? Nie zamierzałaś zadzwonić na policję i donieść na mnie?

– Ja nie chciałam...

Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć. Nie spodziewała się konfrontacji, toteż nie przygotowała żadnego planu awaryjnego. Rozpaczliwie mrugając powiekami, usiłowała dojrzeć coś przez zasłonę łez i ciemności, znaleźć drogę ucieczki. Pamiętała, że pobocze kończyło się na skraju drzew, i w tym widziała swój ratunek. Jeśli zdoła dostać się między te drzewa, jej szanse wzrosną.

Spięła się w sobie i naraz skoczyła w stronę pni, lecz plan nie wypalił. Silna ręka chwyciła ją za ramię i pociągnęła z powrotem, a w następnej chwili Wioletta poczuła dłonie zaciskające się na szyi.

– Myślałaś, że mi uciekniesz? – usłyszała tuż przy uchu.

Szamotała się rozpaczliwie, ale osłabienie spowodowane wcześniejszą napaścią i paniczną ucieczką sprawiło, że nie miała sił się bronić. Rzęziła, usiłując złapać bodaj odrobinę powietrza, chwyciła duszące ją dłonie, wierzgała w nadziei, że zdoła kopnąć przeciwnika. Wszystko na próżno. Przed oczami wirowały czerwone plamy, które wnet zamieniły się w czerń, a później nie było już nic.

Rozdział 1

Nowe śledztwo Diony

Dioniza Remańska śledziła czujnym wzrokiem mężczyznę przechadzającego się po pokoju. Dopiero co wróciła z pracy, zmęczona użeraniem się z odpornymi na wiedzę kursantami, i marzyła o krótkiej drzemce, ale ojczym przydybał ją, gdy zmierzała do swojego pokoju, i poprosił o chwilę rozmowy. Z jego miny oraz tonu wywnioskowała, że sprawa, którą zamierzał poruszyć, jest poważna, lecz na razie pozostawała w sferze domysłów, Imielski bowiem wcale nie podjął tematu, tylko rozpoczął wędrówkę donikąd.

Takie zachowanie zupełnie nie przystawało do jego charakteru, więc Diona poczuła się tak samo niepewnie, jak w latach szkolnych, gdy została przyłapana na paleniu papierosów lub gdy wydała się sprawa wagarów. Ale lata szkolne pozostawiła za sobą już dawno temu, a żadnych innych przewin nie mogła sobie przypomnieć.

Otworzyła usta, by spytać o powody tego wezwania „na dywanik”, lecz Grzegorz Imielski ją uprzedził. Zatrzymał się nagle na środku pokoju, zwrócił głowę w stronę pasierbicy i przyjrzał się jej uważnie.

– Jak ci się pracuje na strzelnicy? Odpowiada ci to zajęcie czy masz zamiar szukać dalej?

Diona wpatrzyła się w niego, zaskoczona pytaniem, na które przecież doskonale znał odpowiedź, gdyż niemal codziennie po

powrocie do domu opowiadała o pracy i o kursantach, z których tylko nieliczni naprawdę chcieli się czegoś nauczyć.

– Praca jest fajna, chociaż adepci nie rokują zbyt dobrze. Każdy chciałby strzelać jak, nie przymierzając, Billy the Kid, ale przyłożyć się do ćwiczeń to już nie bardzo.

Imielski skinął głową, lecz nie miała pewności, czy w ogóle słyszał odpowiedź, gdyż wzrok miał nieobecny, a na twarzy wyraz zadumy.

– Wyglądasz na wykończoną albo chorą – stwierdził naraz, dowodząc, że jednak nie przeniósł się myślami do innego uniwersum. – Jesteś blada, oczy masz podkrążone i jeszcze bardziej schudłaś.

– Dzięki bardzo – prychnęła, nieco urażona tak otwartym wytknięciem mankamentów jej urody. – Prawdziwy z ciebie dżentelmen.

– Od komplementów masz Lipskiego – odciął się natychmiast. – Ja jestem szczery.

– Coraz lepiej. – Demonstracyjnie westchnęła, po czym spojrzała ojczymowi prosto w oczy. – Tatek, przestań kombinować i powiedz wprost, o co ci chodzi, zamiast krążyć wokół tematu niczym szerszeń wokół latarni.

– Wokół latarni to najczęściej krążą panienki lekkiej jazdy – zauważył, uśmiechając się półgębkiem. – Ale dobrze, wystarczy tych podchodów. Mam pewien plan, tylko nie wiem, czy jest wykonalny. Wszystko zależy od tego, czy masz dość sił, by podjąć się dodatkowego zajęcia. Nie udawaj niezniszczalnej i powiedz szczerze.

Dziewczyna opanowała zaskoczenie i zamyśliła się, usiłując zdiagnozować swoją kondycję, tak fizyczną, jak psychiczną. Nie zamierzała oszukiwać ojczyma. Skoro zapytał, ta kwestia musiała mieć istotne znaczenie, a w takim przypadku odpowiedź musiała być szczerą. Lata pracy w policji nauczyły

Dionę, jak ważne w sytuacji zagrożenia jest pełne zaufanie do partnera.

– Czuję się dobrze i nic mi nie dolega. Praca nie jest wcale męcząca. Po prostu jestem ostatnio trochę nie w sosie, bo kiepsko sypiam – odparła po dłuższym czasie. Zamierzała na tym poprzestać, lecz uważny, pełny troski wzrok ojczyma sprawił, że dalsze słowa same popłynęły z ust. – Spotkałam Beatę Kicek. Wpadłam na nią na ulicy i nie było możliwości udać, że jej nie widzę. Złapała mnie za rękę i zbluzgała przy ludziach, a ja musiałam stać i wysłuchiwać jej oskarżeń.

– Jak to: musiałaś? Nie mogłaś po prostu odejść? – dopytywał Imielski.

– Miałam się z nią szarpać? – odpowiedziała pytaniem. – Gdyby to był facet, to co innego, ale jak się uwolnić od starszej kobiety?

Wzdrygnęła się na wspomnienie momentu, gdy była teściowa trzymała jej rękę w stalowym uścisku. Aż nie do wiary, że w tej chudej dłoni drzemało tyle mocy! Diona wprawdzie mogłaby uwolnić się bez trudu, stosując chwyt obezwładniający, ale nie chciała posuwać się do użycia siły, wiedząc, że sympatia przechodniów jest po stronie teściowej. Kto nie współczułby starszej, nieszczęśliwej kobiecie, która z płaczem oskarża byłą synową o okrucieństwo wobec eksmęża i jego nowej rodziny? „Przez ciebie Kamil nie może zadbać o Sabinę, a ona bardzo źle znosi ciążę. A co będzie, gdy dziecko przyjdzie na świat? Kto się nimi zaopiekuje? To twoja wina, że mały będzie się chował bez taty. Trzeba sumienia nie mieć, żeby odbierać dziecku ojca”.

Po wysłuchaniu tej relacji Imielski nie mógł znaleźć słów, by wyrazić cały ogrom swojego oburzenia. Nigdy nie lubił teściowej swojej pasierbicy i uważał, że to Beata Kicek w dużej mierze przyczyniła się do rozpadu małżeństwa Diony, ale nie podejrzewał, że jest aż tak bezkrytyczna wobec syna.

– Co za jędrza! Wredne babsko! Myślałby kto, że rozbiłaś mu rodzinę. Ale zaraz! To przez nią nie możesz spać? Przejmujesz się gadaniem głupiej baby? – Przyjrzał się dziewczynie i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Myślałem, że jesteś mądrzejsza. Nie rozumiesz, że ona specjalnie zagrała na twoich emocjach, żeby cię zranić? Nie może pogodzić się z tym, że jej ukochany synuś siedzi w pierdlu, a nielubiana synowa miewa się dobrze i ośmiela się być szczęśliwa.

– Wiem o tym, ale to wcale nie pomaga – szepnęła Diona. – Ciągłe widzę te oczy, takie złe, pełne nienawiści. I słyszę te słowa, którymi chciała mnie przebić jak nożem. W dodatku mówiła tak głośno, jakby chciała sprowokować gapiów do ataku na mnie. I właśnie coś takiego mi się śni. Że oni się na mnie rzucają, a ja nie mogę uciec.

Imielski podszedł i pogładził pasierbicę po ciemnych włosach zaplecionych w luźny warkocz. Chwyciła jego dłoń i przytuliła do niej rozgrzany emocjami policzek. Trwali tak w milczeniu, nie chcąc profanować chwili zbędnymi słowami. Diona pierwsza się poruszyła, a wówczas Imielski cofnął dłoń i z westchnieniem usiadł w fotelu.

– Pozwoliłaś, żeby wzbudziła w tobie poczucie winy, a to bardzo źle. W tej sprawie jest tylko jeden winny i jest nim Kamil Kicek – powiedział twardo. – Cokolwiek by się działo między wami, nie ma to znaczenia przy jego kryminalnych wyczynach. Sprzeniewierzył się nie tylko przysiędze małżeńskiej, ale i mundurowi. Przysięgał bronić prawa, po czym sam je łamał. Dostał to, na co zasłużył.

– To też wiem – odparła niecierpliwie. – Co nie znaczy, że łatwiej mi znieść oskarżenia Beaty. Lepiej zmieńmy temat. Wspomniałeś o jakimś planie. Mógłbyś powiedzieć coś więcej?

Wysłuchiwała ojczyrna z uwagą, poprosiła o czas do namysłu, a później długo rozważała jego propozycję.

Imielski znudził się już beczynnym życiem emeryta i zapragnął zająć umysł czymś konstruktywnym. Nie widział się w roli domowego majsterkowicza czy zapalonego ogrodnika, zajęcia oferowane przez uniwersytet trzeciego wieku także go nie zainteresowały. On chciał czegoś, co choć trochę przypominałoby pracę w policji, i po długich rozważaniach postanowił otworzyć agencję detektywistyczną.

Naturalną kolejną rzeczą pomyślał zaraz o pasierbicy jako o współpracownicy, wiedział bowiem doskonale, że dziewczyna także wspomina z sentymentem okres, kiedy służyła w jednym z komisariatów. Obserwował ją bacznie, gdy opowiadała o niedawnych wydarzeniach w Strzygomiu i swojej roli w ujęciu zabójcy, i nie uszedł jego uwadze błysk podekscytowania w oczach oraz malujący się na twarzy wyraz radości i dumy.

Zdziwił się, gdy usłyszał, że odpowiedziała odmową na propozycję powrotu w policyjne szeregi. W pierwszej chwili pomyślał nawet, że postąpiła bezmyślnie i głupio, unosząc się honorem i pozwalając, by poczucie krzywdy przesłoniło zdrowy rozsądek. Jednak po pierwszym szoku, gdy już na spokojnie ponownie rozważył sprawę, nie mógł nie przyznać Dionie racji. Co z tego, że wdrożone postępowanie wewnętrzne zakończyło się jej pełnym uniewinnieniem? Zawsze znajdą się tacy, co wiedzą lepiej, a z szeptaną na ucho plotką nie sposób walczyć. Diona musiałaby więc na każdym kroku udowadniać, że jest uczciwa i że można jej w pełni zaufać.

Imielski dojrzał też jeszcze jeden aspekt, którego przedtem w ogóle nie brał pod uwagę. Pasierbica jako dziecko była osobką dosyć samowolną i niezbyt dobrze reagowała na nakazy i zakazy. Później nauczyła się panować nad swoim temperamentem, ale nieraz narzekała na hierarchiczne stosunki w policji, zżymając się na idiotyczne polecenia zastępcy komendanta, i zdarzało się, że nie potrafiła utrzymać

języka za zębami, co nie przysparzało jej sympatii u przekonanego o swojej racji mężczyzny.

Teraz, od dwóch lat poza strukturami policji, Diona odwykła od pilnowania swoich słów i Imielski nie wyobrażał sobie, że potrafiłaby powstrzymać się od nazwania po imieniu niektórych działań policyjnych dostojników. Doszedł więc do wniosku, że postąpiła słusznie, przeczuwał jednak, że tak jak i jemu, brakuje jej nieraz adrenaliny, będącej nieodłączną towarzyszką policjanta.

Zgodnie z przewidywaniem ojczyrna Diona nie odrzuciła propozycji, którą uznała za świetny pomysł. Wyproszony czas do namysłu był jej potrzebny wyłącznie do zastanowienia się, jak zorganizować rozkład dnia, by móc godzić pracę prywatnego detektywa z obowiązkami instruktora na strzelnicy. Z tych ostatnich nie zamierzała bowiem rezygnować. Lubiła swojego szefa i nie chciała zachować się wobec niego nielojalnie, prócz tego odpowiadała jej rola instruktorki strzelania. Względy materialne także nie były bez znaczenia. Nawet w książkach detektywi cierpią na permanentny niedobór gotówki, a co dopiero w prawdziwym życiu. Na śledzeniu niewiernych żon czy pracowników podejrzewanych o kradzież nie zarobi się kroci.

Przemyślała dogłębnie sprawę i doszła do wniosku, że w najbliższym czasie nie powinna przejmować się kolizją czasową tych dwóch zajęć. Zanim załatwią wszystkie formalności związane z otwarciem agencji detektywistycznej, upłyną z pewnością co najmniej ze trzy miesiące.

Przede wszystkim oboje musieli otrzymać licencję, co wiązało się z koniecznością ukończenia kursu obejmującego pięćdziesiąt godzin dydaktycznych. Przepisy mówiły wyraźnie, że kandydat musi mieć też nienaganną przeszłość, bez żadnych prawomocnych wyroków czy toczących się spraw, a predyspozycje powinny zostać potwierdzone opinią lekarską

o zdolności psychicznej do wykonywania zawodu detektywa oraz pozytywną opinią komendanta powiatowego (rejonowego, miejskiego) policji właściwego ze względu na miejsce zamieszkania, sporządzoną na podstawie aktualnie posiadanych informacji. Na zakończenie procedury należało przejść szkolenie z zakresu ochrony danych osobowych, ochrony informacji niejawnych oraz przepisów regulujących pracę detektywów. Dopiero wtedy można było otrzymać licencję, wydawaną przez komendanta wojewódzkiego policji, a po jej uzyskaniu podjąć działalność gospodarczą w zakresie świadczenia usług.

Diona zastanowiła się jeszcze nad opłacalnością tego przedsięwzięcia, lecz i tutaj nie znalazła słabych stron. Zapotrzebowanie na usługi detektywistyczne wzrastało z roku na rok, a osób wykonujących ten zawód nie było zbyt wiele, prócz tego nie wszystkie cieszyły się dobrą opinią.

Poświęciła też chwilę na rozważenie kwestii współpracy z ojczymem, ale prawie natychmiast stwierdziła, że jest to całkowicie zbędne. Przecież wstąpiła do policji właśnie dlatego, że chciała być taka jak on. To Imielski uczył ją, jak być dobrym policjantem, doradzał i rozwiewał wątpliwości. Komu, jak nie jemu, mogła zaufać?

*

W piątkowe popołudnie pod koniec lutego Diona wybrała się do Strzygomia. Mirosława Belka, zwana przez wszystkich Mirabelką, zapraszała ją do siebie już kilkakrotnie, lecz zawsze coś stawało na przeszkodzie i dziewczyna musiała przekładać odwiedziny. Teraz wreszcie wszystko ułożyło się pomyślnie i nie najmłodszy, lecz będący w doskonałym stanie technicznym subaru forester chciwie łykał kilometry

zaśnieżonej drogi. Pojazd ten Diona odziedziczyła po swoim biologicznym ojcu, podobnie jak przestronne, słoneczne mieszkanie w bloku w Jodłowcu, miejscowości graniczącej ze Strzygomiem.

Początkowo nie chciała korzystać z samochodu przed oficjalnym nabyciem spadku, ale namówiona przez matkę i ojczyma, zdecydowała się przetestować auto. I przepadła do tego stopnia, że oddała swoje prawie nowe renault captur do komisju, sama zaś na stałe przesiadła się do foreстера.

Teraz błogosławiła tę decyzję. Marznąca mżawka już dawno przeistoczyła się w mokry, ciężki śnieg, niechętnie poddający się naporowi wycieraczek. Rozwałkowany kołami setek samochodów, zamienił drogę w składowisko szarej brei, stwarzające wielu pojazdom wyraźne problemy, o czym świadczyły liczne kolizje oraz stojące na poboczach auta, rozpaczliwie mrugające światłami awaryjnymi. Diona podejrzewała, że właścicielami wielu z nich są tak zwani mistrzowie letnich opon. Łagodna do tej pory zima rozpieściła użytkowników dróg, pozbawiła ich czujności, a nagły atak niepogody sprawił, że zamiast wzmożoną ostrożnością zareagowali złością na cały świat.

No i zima znowu zaskoczyła drogowców, pomyślała dziewczyna nie bez złośliwości. Jakby nie można było tego przewidzieć. Na naszej szerokości geograficznej śnieg w zimie nie powinien być chyba żadnym ewenementem.

Śniegu przybywało, w miarę jak droga się wznosiła, i Diona podejrzewała, że w gminie Jodłowiec będzie go naprawdę sporo, tym bardziej więc utwierdziła się w przekonaniu o słuszności zamiany samochodu. Forester z pewnością da sobie radę tam, gdzie captur mógłby mieć problemy.

Do Jodłowca dotarła po blisko dwóch godzinach, choć normalnie przejazd powinien zająć najwyżej trzy kwadransy. Zmęczona, wściekła i przede wszystkim spragniona,

podjechała na parking przed komisariatem policji, licząc, że starszy aspirant Marcin Lipski, którego poznała jesienią, poczęstuje ją kawą. W dużej mierze to właśnie Marcinowi Diona zawdzięczała to, że zabójca jej ojca znalazł się za kratami.

Dzięki tej akcji Marcin dostał propozycję przeniesienia się do wydziału dochodzeniowego w komendzie powiatowej, lecz na razie transfer został odroczone. W związku z niespodziewaną koniecznością obsadzenia stołka komendanta komisariatu w Jodłowcu Lipskiego poproszono, by pełnił te obowiązki do czasu nominowania kogoś na to stanowisko. Prośba była nieoficjalna, lecz Marcin nie chciał robić sobie wroga z komendanta powiatowego, wyraził więc zgodę, choć obawiał się, że nim znajdą odpowiednią osobę, jego przejście do żywieckiej dochodzeniówki przestanie być aktualne.

Złotowłosa dyżurna, pamiętająca Dionę z jesiennych zdarzeń, bez pytania o powody wizyty zwolniła blokadę drzwi, wpuszczając dziewczynę do pomieszczeń niedostępnych osobom nieupoważnionym.

– Diona! – wykrzyknął Marcin z radością i poderwał się zza biurka.

– Cześć, komendancie.

Nie zdołała powiedzieć nic więcej, niemal zaduszona uściskiem rozradowanego policjanta. Po kilku chwilach Lipski uwolnił ją i cofnął się o krok, obrzucając dziewczynę uważnym spojrzeniem.

– Jak już, to p.o. komendanta. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Nareszcie jesteś. Już myślałem, że całkiem o nas zapomniałaś.

Diona usiadła na krześle naprzeciwko biurka i tęsknie popatrzyła w róg pokoju, gdzie na niskiej szafce pysznił się ekspres do kawy – spadek po poprzedniku.

– Jakoś się nie składało – mruknęła i szybko zmieniła temat:
– Jak dobrze, że Gerbilak nie zdążył go zabrać. Ten ekspres to chyba jedyny plus jego komendantowania.

Lipski parsknął śmiechem.

– Jesteś pewna, że jest takie słowo?

W odpowiedzi dziewczyna pokazała mu język.

– A ty co, służysz teraz w policji językowej? Jakoś musiałam określić jego pobyt w tym budynku, a dowodzeniem nie ośmieliłabym się tego nazwać.

– Tu masz rację – przyznał, podchodząc do ekspresu. – Jego rządy to chyba najgorszy okres w dziejach tego komisariatu. Czemu się nie składało?

Pytanie padło tak nagle, że Diona odpowiedziała automatycznie, nie starając się nawet szukać wykrętów.

– Wiesz, że od nowego roku zaczęłam pracować jako instruktor na strzelnicy. Przedtem siedziałam w domu, szukałam pracy i użalałam się nad sobą. A szczerze mówiąc, najczęściej leżałam i czytałam. Przestałam chodzić na treningi i dbać o kondycję, bo ciągle mi się wydawało, że jestem w dobrej formie. A tu dupa błada.

Marcin stłumił uśmiech, widząc zażenowanie dziewczyny, i na wszelki wypadek znów odwrócił się w stronę ekspresu.

– Naprawdę było aż tak źle? – spytał, biorąc filiżanki z szafki. – Mnie wydawałaś się nieźle wysportowana.

– To dlatego, że jestem szczupła. Ale kondycję miałam do kitu, o czym przekonałam się na strzelnicy. Po pracy byłam tak zmęczona, że nawet jeść mi się nie chciało.

Policjant nie wytrzymał i wybuchnął tak serdecznym śmiechem, że cały się zatrzęsł, a na podłogę chlusnęły czarne krople kawy. Diona czym prędzej podskoczyła do niego i przejęła z jego rąk nie całkiem już pełne filiżanki.

– Zapomniałam, że tobie nie można powierzać przenoszenia naczyń zawierających płyn. Zawsze odnoszę wrażenie, że cały

dzień obsługiwałaś młot pneumatyczny.

Wyciągnęła przed siebie ręce i złączywszy je, wprawiła w drganie, jakby przytrzymywała coś usiłującego za wszelką cenę się wymknąć. Marcin obserwował ją z uśmiechem. Bardzo mu jej brakowało, gdy opuściła Strzygom, i kilka razy nawet był gotów pojechać do niej, lecz za każdym razem rozsądek zwyciężał. Gdyby pragnęła tej wizyty, zaprosiłaby go. A skoro milczała... Westchnął cicho i zmusił się do niezobowiązującego, koleżeńskiego tonu, który już dawno przestał mu wystarczać.

– Jeśli straciłaś ochotę na jedzenie, to naprawdę musiało być z tobą źle – nawiązał do jej nieokiełznanego apetytu, zaskakującego u tak szczupłej osoby.

Diona usiłowała przybrać oburzoną minę, lecz zdradził ją błysk wesołości w oczach, a i kąciki ust zaczęły wznosić się w górę w zapowiedzi uśmiechu, który na próżno starała się stłumić. Zaraz też przegrała tę nierówną walkę z własnymi reakcjami i zachichotała.

– To samo stwierdziła mama. Powiedziała, że musi umówić mnie do lekarza, a tata jeszcze dowalił, mówiąc, że wnosząc z mojego stanu, powinien to być lekarz ostatniego kontaktu. Wszyscy jesteście pozbawieni serca i empatii.

Lipski rzucił jej wiele mówiące spojrzenie.

– Co do mojego serca, to mógłbym ci dużo opowiedzieć.

– Zakładamy z tatkiem biuro detektywistyczne – wypaliła, udając, że nie dosłyszała jego wypowiedzi.

Stłumił uśmiech, rozbawiony tym jakże czytelnym unikiem, a następnie popatrzył z nagłym zainteresowaniem, gdyż w głowie zaczęła mu kiełkować pewna myśl. Pociągnął łyk kawy, dając sobie tym czas na krótkie zastanowienie.

– Uważam, że to dobry pomysł. Ludzie często boją się zwracać ze swoimi kłopotami do policji, poza tym dużo problemów leży poza sferą naszych działań. Ale wielu

detektywów stosuje metody niedopuszczalne, a inni to zwykli oszuści, którzy prędzej czy później staną się naszymi klientami, jeśli nie zaprzestaną tego procederu. Uczciwi, znający się na prowadzeniu śledztwa detektywi są potrzebni, więc kto, jak nie wy?

– Dzięki za komplement – uśmiechnęła się Diona. – Na razie załatwiamy formalności. Na początku pewnie będzie krucho z klientami, ale jesteście dobrej myśli.

– Moim zdaniem szybko wyrobicie sobie markę – oświadczył, a dziewczyna знаła go na tyle dobrze, by wiedzieć, że naprawdę tak uważał. – Twój ojczym był dochodzeniowcem, więc potrafi wyciągać wnioski z ustaleń, a ty z kolei masz doświadczenie w robocie w terenie. Idealny duet. Kiedy zaczynacie? Bo chętnie zleciłbym wam małą robótkę.

Diona wpatrzyła się w niego zdumionym wzrokiem. Była tak zaskoczona, że dobrą chwilę siedziała z otwartymi ustami i dopiero słowa: „Zaraz ci mucha wleci” wyrwały ją z tego stanu. Zamknęła usta, po czym otworzyła je ponownie.

– Mucha w zimie? Gorzej ci? – Spojrzała z niesmakiem. – Naprawdę chciałbyś zlecić jakąś sprawę detektywowi?

Skinął głową, a skupiony, poważny wyraz twarzy świadczył, że o żartach nie może tym razem być mowy.

– W zasadzie mogłabyś zająć się tym już teraz, bo do obserwowania i zadawania niewinnych pytań licencja nie jest potrzebna. Szkoda, że nie możesz wziąć urlopu.

Słowa policjanta coraz bardziej ją intrygowały i bezwiednie zaczęła rozważać, jak mogłaby załatwić kilka dni wolnego.

– Wiesz, właścicielem strzelnicy jest mój dobry kumpel. Mogę z nim pogadać. Myślę, że zgodziłby się na kilka dni bezpłatnego urlopu.

Marcinowi rozbłyły oczy; widać było, że zapalił się do swojego pomysłu i pragnął jak najszybciej wprowadzić go w czyn.

– Naprawdę byś mogła?

Popatrzył z nadzieją. Diona wolno skinęła głową, ale zaraz zgłosiła pewne zastrzeżenia. Nie zamierzała rzucać się na głęboką wodę bez rozpoznania.

– Zanim zadzwonię do Garretta i poproszę go o urlop, chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o tym zadaniu.

– Garrett? – Lipski uniósł brwi. – Nawet pasuje.

– Nazywa się Patryk Gartowski, a że zawsze fascynował się bronią, to sam rozumiesz. Wiesz, najpierw jego lokal miał całkiem zwyczajny szyld. „Strzelnica”, i tyle. Namówiłam go, żeby zmienił na „Strzelnica u Pata Garretta”. – Diona uśmiechnęła się z zadowoleniem. – To był strzał w dziesiątkę, bo od razu przybyło mu klientów. Ale nie zagaduj mnie Garrettem, tylko opowiedz, co to za sprawa. No, dawaj! – ponagliła go niecierpliwie, czując tak dobrze znany dreszczyk emocji.

Marcin nie odpowiedział od razu. Sięgnął do biurka po paczkę papierosów, poczęstował Dionę i podał jej ognia, po czym sam również zapalił. Wszystkie te czynności wykonywał w milczeniu, a dziewczyna go nie ponaglała, rozumiejąc, że mężczyzna potrzebuje tej chwili namysłu, by móc ubrać problem w słowa.

– Wiesz, gdzie leży Świercznica? – zagaił w końcu.

Diona skinęła głową.

– Graniczy ze Strzygomiem. Byłam tam, kiedy oglądałam nowe budynki chlewni Nowosielskiego. No i zapamiętałam, że mieszkają tam Kowalczykowie. – Uśmiechnęła się na wspomnienie jego opowiadania o rodzinie będącej zmorą jodłowieckich policjantów. – Czy to z nimi masz problemy?

Policjant również się uśmiechnął, usłyszawszy nazwisko ludzi dostarczających policjantom tak zajęcia, jak i rozrywki, lecz zaraz spoważniał.

– Niestety nie ma tak dobrze. Z nimi byłaby krótka piłka, a w tej sprawie nie ma nawet o co się zaczepić.

Dziewczyna uważnie wsłuchiwała się w opowieść, by móc wyrobić sobie wstępną opinię. Dla niej zawsze najważniejsze było pierwsze wrażenie, tym bardziej że najczęściej okazywało się słuszne. Nie przerywała pytaniami, nie próbowała robić notatek. Na to przyjdzie czas później, teraz chciała jedynie chłonąć informacje.

Tych zaś nie było zbyt wiele. Trzy miesiące temu w Świercznicy znaleziono ciało Wioletty Kamińskiej. Dziewczyna została zgwałcona i uduszona. Mimo śladów biologicznych pozyskanych z jej ciała nie zdołano ustalić sprawcy, nie wiadomo było też, w jakim celu Kamińska przyjechała z drugiego końca Polski do małej górskiej wsi. Mieszkańcy Świercznicy w kontaktach z policją okazali się dziwnie mało rozmowni i właśnie to wzbudziło podejrzenia Lipskiego.

– Dlaczego uważasz, że to podejrzane? – spytała, gdy umilkł.

Mężczyzna sięgnął po filiżankę i upił łyk zimnej już kawy. Skrzywił się z niesmakiem, a później zastygł ze wzrokiem wbitym w blat biurka.

– Pamiętasz, jak to było, gdy przyjechałaś do Strzygomia? – odpowiedział pytaniem. – Ile czasu zajęło mieszkańcom poznanie powodów twojej wizyty?

– To co innego – zachnęła się Diona. – Nie robiłam z tego jakiejś wielkiej tajemnicy.

– Sęk w tym, że nic mi nie wiadomo, by Kamińska ją robiła – skontrował natychmiast. – Nikt z mieszkańców nawet się nie zająknął o tym, jakoby dziewczyna nie chciała zdradzić powodów swojego przyjazdu. Zresztą byłoby to bardziej wiarygodne od wykrętnego: „Nie mam pojęcia”.

Nie mogła się z tym nie zgodzić. Po namyśle doszła do wniosku, że Marcin ma całkowitą rację. Coś było nie tak.

W połowie listopada mieszkanka miasteczka leżącego na drugim końcu Polski przyjechała do górskiej wioski. Po co? Ani to dobra pora na urlop, ani miejsce atrakcyjne. Musiała mieć jakiś konkretny cel, a skoro przebywała w wiosce blisko dwa tygodnie, niemożliwe było, by nikt nie wiedział lub przynajmniej się nie domyślał, dlaczego się tam pojawiła.

– Została zgwałcona i uduszona, czyli można uznać za pewnik, że sprawcą jest mężczyzna – rozważała głośno Diona.

– W takim razie część mieszkańców można od razu wykluczyć.

– Nie bardzo – przyznał Lipski. – Kobieta miała liczne obrażenia, powstałe prawdopodobnie podczas przedzierania się przez las, ale zwłoki leżały przy drodze...

– Co to ma do rzeczy? Uciekała, ale ją dopadł. To chyba logiczne.

Uśmiechnął się, słysząc zaangażowanie w głosie Diony. Mogła sobie twierdzić, że musi się zastanowić, ale oczywiste było, że już połknęła haczyk, a znał ją na tyle, by wiedzieć, że teraz nie odpuści, dopóki nie rozwikła zagadki.

– Jak zwykle popędliwa – mruknął, tłumiąc starannie nutkę czułości. – Gdybyś pozwoliła mi dokończyć, dowiedziałabyś się, że lekarz przeprowadzający oględziny zwłok miał co do tego wątpliwości. Jego zdaniem te obrażenia powstały już po gwałcie. My też tak uważamy, bo kiedy ją znaleziono, była kompletnie ubrana. Gdyby nie krew na spodniach, w ogóle nie podejrzewalibyśmy napaści na tle seksualnym.

Diona wysłuchiwała go w milczeniu, ale nie zamierzała się poddać i gdy skończył, nadal broniła swojego zdania.

– Nie wiem, w czym widzisz problem. Zgwałcił ją, potem ona wykorzystwała moment nieuwagi i uciekła w las, a on ją gonił. Pewnie zatoczyła koło i znów dobiegła do drogi, i tam ponownie ją dopadł. I udusił, żeby nie złożyła zawiadomienia.

– Możliwe – odpowiedział bez przekonania. – Ale brałem pod uwagę także inną wersję wydarzeń. Być może napastników

było dwóch.

Zaskoczona, podniosła na niego oczy. Błyszczące ekscytacją, teraz wydały mu się piwne, choć jeszcze przed chwilą przysięgłby, że są brązowe. A przy powitaniu złote. *Chyba zaczyna mi odbijać*, pomyślał z irytacją. *Za chwilę zobaczę, jak tryskają z nich płomienie! Zakochany debil.*

Nieświadoma jego przemyśleń dziewczyna skrzywiła się i zdecydowanie pokręciła głową.

– Moim zdaniem zabił ten, który zgwałcił. Przecież mieszkała tam blisko dwa tygodnie, więc na pewno wiedziała, kto ją napadł. A jeśli nawet nie znałaby nazwiska, z pewnością wskazałaby faceta na okazaniu. Musiałby być całkiem pozbawiony instynktu samozachowawczego, żeby pozwolić jej odejść.

– Ale...

– Poczekaj! – Powstrzymała go ruchem dłoni. – Weź jeszcze pod uwagę, że to musiałby być jakiś wyjątkowy zbieg okoliczności, żeby tego samego dnia i w tej samej okolicy napotkała na swojej drodze dwie wrogo nastawione do niej osoby. No i pozostaje kwestia motywu. Sprawa z gwałcicielem nie pozostawia żadnych wątpliwości, ale może mi powiesz, jaki powód zabójstwa mógłby mieć ten drugi człowiek?

Marcin uśmiechnął się zniewalająco.

– Może ten, dla którego przyjechała do Świercznicy?

*

Jadąc do Strzygomia, Diona w dalszym ciągu rozmyślała nad propozycją Lipskiego. Fakt, że omal się nie pokłócili przy tworzeniu hipotez, świadczył, że sprawa nie jest łatwa. Na szczęście Marcin absolutnie nie żądał od niej, by ustaliła, kto jest sprawcą zabójstwa. Jego interesowało, w jakim celu

Wioletta Kamińska ni stąd, ni zowąd przyjechała do wioski, w której nie знаła ani jednej osoby, chciał także poznać przyczyny niespotykanej powściągliwości mieszkańców w wyrażaniu opinii o dziewczynie.

I to właśnie zadanie zlecił Dionie, choć przy ostatecznych uzgodnieniach znów doszło do ostrej wymiany zdań. Policjant chciał jej zapłacić za pracę, ona zaś stanowczo odmówiła. Nie zamierzała brać od niego pieniędzy, które musiałby wyjąć z własnej kieszeni, budżet policji bowiem nie przewidywał takich wydatków. Postanowiła potraktować to zadanie jako wprawkę przed podjęciem obowiązków detektywa, którym jeszcze nie była, nie mogła więc pobierać wynagrodzenia. Lipski nie chciał nawet słyszeć, by miała wykonywać pracę za darmo, i tym sposobem doszło do impasu, z którego pomógł im wybrnąć dopiero ojciec Marcina.

Po zmianach w jodłowieckim komisariacie starszy aspirant Dariusz Lipski łatwo uległ namowom komendanta powiatowego i wycofał swój raport o przejściu na emeryturę. Decyzję o zakończeniu służby podjął tylko dlatego, że nie mógł się dogadać z podinspektorem Gerbilakiem, gdy zaś ten zniknął, Lipski przystał na propozycję pozostania w szeregach policji więcej niż chętnie.

Po wejściu do komisariatu Dariusz Lipski trafił w sam środek ostrej dyskusji. Po wysłuchaniu racji obu stron bez namysłu znalazł kompromisowe wyjście, które jak zwykle w takich przypadkach nie usatysfakcjonowało nikogo, ale pozwoliło obojgu zachować twarz. Stało więc na tym, że Marcin zwróci Dionie koszty poniesione w związku z realizacją zlecenia i na tym zakończą się rozliczenia finansowe.

Czas na zawarcie porozumienia był zaiste najwyższy, gdyż dziewczyna zdążyła już odebrać kilka ponagląjących SMS-ów od Mirosławy Belki, która wraz z rodziną niecierpliwie czekała na przyjazd gościa.

Zmrok zapadł już całkowicie, gdy Diona wjechała na parking pod domem Mirabelki. Ustawiła samochód na wprost przeszklonej sali jadalnej, konstatuując z zadowoleniem, że w lokalu jak zwykle niemal wszystkie stoliki są zajęte. Nic się zatem nie zmieniło.

Wysiadła z auta i otworzyła bagażnik, by wyjąć torbę podróżną, gdy nagle usłyszała tuż obok męski głos.

– Czekałem na panią.

Drgnęła, przestraszona nagłym objawieniem się tego człowieka, gdyż gotowa była przysiąc, że kiedy opuszczała pojazd, na parkingu nie było nikogo. Wprawdzie znajdowała się w „wiosce oddanej strzygom”, jak – jeśli wierzyć starej legendzie – niegdyś zwano tę miejscowość, ale w czary czy teleportację nie wierzyła. Cofnęła się trochę, wyężając wzrok, chcąc dojrzeć w ciemnościach jego twarz.

– Na mnie? Czy my się znamy?

Na wszelki wypadek wołała się upewnić, zanim oznajmi dobitnie, że nie życzy sobie żadnej konfidencji z nieznanymi mężczyznami. W odpowiedzi stojący w ciemnościach człowiek zaśmiał się cicho.

– Jest pani ostrożna. To dobrze, nie powinno się ufać obcym. Ale my się znamy, chociaż wyłącznie pośrednio.

– Jak można znać się pośrednio?

W chwili, gdy wypowiedziała te słowa, nagle doznała olśnienia. Już wiedziała, kim jest obcy. Równocześnie mężczyzna spokojnie odpowiedział na zadane poirytowanym głosem pytanie:

– Opowiadano mi o pani, a pani z kolei opowiadano o mnie. Stąd ta nasza pośrednia znajomość, dzięki której mogę tu teraz stać i oddychać strzygomskim powietrzem. Pani Diono, dziękuję z całego serca.

Z uśmiechem podała mu rękę. Mariusz Drawicz, zięć właścicielki lokalu „U Mirabelki”, wziął jej torbę i odczekał, aż

Remańska zamknie auto, a później ruszył w stronę oświetlonego lokalu. Miał za co być wdzięczny. Gdyby nie Diona, nadal odsiadywałby w więzieniu wyrok za czyn, którego nie popełnił. Co nie zmieniało faktu, że dziewczyna przyjęła jego słowa z zawstydzeniem. Nie przywykła do pochwał i wyrazów wdzięczności; służąc w policji, najczęściej słyszała wyzwiska.

Po długim i serdecznym powitaniu z Mirabelką i resztą jej rodziny poświęciła się całkowicie rozmowie i degustacji potraw oraz trunków, choć dobrze wiedziała, że za to ostatnie przyjdzie jej na drugi dzień zapłacić wysoką cenę. Jak często powtarzała, miała słabą wolę i jeszcze słabszą głowę.

Nazajutrz przespaa porę śniadania, co chyba jeszcze nigdy jej się nie zdarzyło. Ale widocznie tak długi sen był jej niezbędny do regeneracji nadwątlonych nadmiernym spożyciem sił, gdyż oprócz lekkiego ćmienia z tyłu głowy nie odczuwała żadnych skutków wczorajszego alkoholowego szaleństwa.

Po szybkim prysznicu i dość przypadkowym doborze garderoby zeszła do sali jadalnej, by zjeść jakiś gorący posiłek. Wiedziała, że do prawidłowego funkcjonowania niezbędne jest solidne podładowanie akumulatorów, a lokal „U Mirabelki” serwował wyjątkowo smaczne potrawy.

Już od drzwi zobaczyła siedzącego pod oknem Leszka Hardego. Na jej widok poznany jesienią mężczyzna poderwał się od stolika, robiąc dłonią zapraszający gest. Nie miała nic przeciwko towarzystwu, a Leszka bardzo polubiła, toteż skierowała się ku niemu, przywołując na twarz powitalny uśmiech.

– Cześć. Jak samopoczucie? – spytał, ściskając jej dłoń.

– Nawet nieźle – odparła z zadowoleniem. – Myślałam, że będzie dużo gorzej.

– Masz szczęście – stwierdził, popatrując na nią z zazdrością. – Ja mam wrażenie, że nawet włosy mnie boją.

Parsknęła śmiechem, narażając się tym na spojrzenie pełne wyrzutu, lecz zamiast się przejąć, spokojnie zamówiła porcję pierogów, a chwilę później z zapałem zabrała się do konsumpcji. Hardy obserwował ją, lecz milczał, jakby w obawie, że w ramach kary za przeszkadzanie w przyjmowaniu posiłku wygłodniała Diona wydłubie mu oczy widelcem. Jej sława osoby ceniącej rozkosze stołu zdążyła się już w Strzygomiu ugruntować.

Po skończonym posiłku dziewczyna odniosła talerz, a w drodze powrotnej zatrzymała się przy stole, na którym – tak jak jesienią – ustawiono termosy z wrzątkiem, tace z kubkami i filiżankami oraz pudełka z herbatą ekspresową w kilku gatunkach i pojemniki z kawą. Zaparzyła herbatę dla Leszka i kawę dla siebie, ustawiła pełne filiżanki na tacy i wróciła do stolika. Mężczyzna obdarzył ją uśmiechem takiej wdzięczności, że nie wytrzymała i roześmiała się w głos.

– Bałeś się, że możesz umrzeć w drodze do wodopoju?

– A żebyś wiedziała. Na ogół unikam alkoholu – tłumaczył się nieporadnie. – Ostatni raz spałem się tak, kiedy wypuścili mnie z aresztu.

– Nie z aresztu, tylko z pomieszczenia dla osób zatrzymanych – poprawiła go całkiem niepotrzebnie, gdyż użycie prawidłowej nomenklatury nie miało tu żadnego znaczenia. – Jak sobie radzisz?

Przez przystojną, smagłą twarz mężczyzny przebiegł cień.

– Nie bardzo – przyznał uczciwie. – Sąsiadki mi pomagają, ale na dłuższą metę to żadne rozwiązanie. Są dni, kiedy prawie nie widuję córki.

Diona ze zrozumieniem pokiwała głową. Hardy był właścicielem niedawno otwartej, lecz świetnie prosperującej pizzerii, w związku z czym o sprawy finansowe raczej nie

musiał się kłopotać. Niestety godziny pracy nie sprzyjały życiu rodzinnemu, nic więc dziwnego, że młody wdowiec nie tryskał entuzjazmem. Jego córka Janinka ciężko przeżyła nagłą śmierć matki, a ciągła nieobecność ojca z pewnością nie pomagała otrząsnąć się z tragedii i wrócić do normalności.

– Niedobrze. Ona cię teraz bardzo potrzebuje. Co planujesz?

Hardy popatrzył na nią, w oczach rozpałił mu się płomień determinacji.

– Długo nad tym rozmyślałem i nie mogłem znaleźć rozwiązania. Rozważałem zatrudnienie kierownika, żeby nie musieć samemu wszystkiego doglądać, ale przegadałem sprawę z księgową i wyszło na to, że na razie mnie nie stać na takie posunięcie. Chyba że obniżyłbym pracownikom pensje, ale wtedy...

– Wtedy poszukaliby sobie innego pracodawcy – dokończyła za niego. – A swoich dochodów nie możesz obniżyć, bo musisz spłacić kredyt. Czyli impas.

– Nie do końca – zaprzeczył z dosyć niewyraźnym uśmiechem. – Pogodziłem się teściami. Wiem, wiem! – Zamachał rękami, chcąc uprzedzić atak. – Powiesz, że przyszła koza do woza...

Ku jego zdumieniu dziewczyna wcale nie okazała dezaprobaty.

– Dobrze zrobiłeś – pochwaliła, znów wchodząc mu w słowo. – Przecież stracili córkę, a Janinka to ich jedyna wnuczka. Powinni mieć z nią kontakt.

– Obiecali pomóc. Będą jej doglądać, a teść dwa razy w tygodniu zastąpi mnie popołudniami w pizzerii. Tylko... – Hardy urwał i popatrzył niepewnie na Dionę.

– Tylko co? Nie patrz na mnie, jakbym była sędzią oceniającym cię jako ojca, i wreszcie wyduś to z siebie – nakazała z lekkim zniecierpliwieniem.

Leszek Hardy mógł sobie być niesamowicie przystojnym mężczyzną, ale jego brak zdecydowania i woli walki doprowadzał ją do szału. Po raz kolejny doszła do wniosku, że los postawił go jej na drodze, żeby mogła ćwiczyć swoją cierpliwość, której nigdy nie miała w nadmiarze. Podejrzewała, że gdyby Hardy był jej mężem, już dawno rozszarpałaby go na kawałki.

Mężczyzna, którego nazwisko stało w rażącej sprzeczności z cechami charakteru, uśmiechnął się niemal przepraszająco.

– Nie możemy mieszkać tak daleko od siebie, więc postanowiłem sprzedać dom i przenieść się do Żywca. W bloku teściów jest mieszkanie na sprzedaż i uznaliśmy to za dar od losu. Znak, że nasz plan jest dobry.

Diona pomyślała, że sama raczej uznałaby to za karę, ale nie powiedziała tego głośno, nie chcąc psuć Leszkowi humoru. Ona za nic nie zamieniłaby ślicznego, otoczonego zielenią domu na mieszkanie w betonowej klatce, rozumiała jednak, że Leszek nie ma zbyt wielkiego pola manewru. Człowiek robi to, co musi.

– Tak chyba będzie najlepiej – mruknęła bez przekonania.

Była pewna, że to koniec rewelacji na dziś, lecz Hardy ją zaskoczył. Zaczął niewinnie pytaniem o mieszkanie, które odziedziczyła po ojcu, i zauważyła, że zmartwił się, gdy odparła, iż sprawy spadkowe nie zostały jeszcze załatwione.

– Długo to jeszcze potrwa?

Leszek nie słychał z wścibstwa, przeciwnie, charakteryzowała go przesadna wręcz delikatność. Zawsze zważał, by kogoś nie urazić, nie wdzierał się z butami w cudze życie, nie był nachalny czy nawet ciekawski. Skąd więc naraz pytanie o całkowicie prywatne sprawy, w dodatku zadane ze sporą dozą niecierpliwości?

– Myślę, że w marcu powinnam załatwić wszystko do końca.

Chciała zapytać o przyczynę zainteresowania, lecz Hardy uprzedził ją, wyjaśniając:

– Pamiętam, co mówiłaś o tym mieszkaniu. Że nie chcesz tam mieszkać, bo wolałabyś przenieść się do Strzygomia zamiast do Jodłowca. I tak sobie pomyślałem, że może ty chciałabyś kupić mój dom? Nie odpowiadaj od razu – powstrzymał ją, gdy otworzyła usta. Nie mógł wiedzieć, że zrobiła to nie dla wypowiedzenia swojego zdania, ale ze zdumienia. – Przemyśl to sobie. Mógłbym poczekać ten miesiąc – zadeklarował się żarliwie. – Chciałbym, żeby ten dom trafił w dobre ręce.

Nie dając jej czasu na odpowiedź, wstał i szybkim krokiem ruszył do wyjścia, a Diona jeszcze długo potem siedziała nad pustą filiżanką, rozważając jego propozycję. Wreszcie podniosła się, chcąc pójść do swojego pokoju, lecz właśnie wtedy w progu stanęła ładna blondynka, rozglądając się ciekawie po sali. Gdy wypatrzyła Dionę, uśmiechnęła się promiennie i skierowała swoje kroki w stronę stolika pod oknem.

– Dzień dobry. Pani Remańska, prawda? Nie wiem, czy pani mnie pamięta – zagaiła, siadając na krześle zwolnionym przez Hardego.

– Oczywiście, że pamiętam. – Diona odwzajemniła uśmiech.
– Służy pani w Jodłowcu i często siedzi w dyżurce. Aspirant...
– urwała, gdy uświadomiła sobie, że nie poznała personaliów ładnej dyżurnej.

– Młodsza aspirant Jemina Dorycka.

Diona lekko się zakrztusiła, choć kogo jak kogo, ale jej nie powinno szokować, że ktoś nosi nietypowe imię. Spróbowała wziąć się w garść.

– Czy to się jakoś zdrabnia? – spytała słabym głosem. – Na ogół wolę imiona w pełnym brzmieniu, ale są takie, z którymi nie da się inaczej, jak tylko zdrobnić. Na przykład moje.

– Wszyscy mówią do mnie Inka – poinformowała właścicielka nietypowego imienia. – Mój ojciec był religijnym ortodoksem. Spłodził troje dzieci i obdarzył je biblijnymi imionami, przy każdym kolejnym potomku posuwając się dalej. Najpierw był Samuel, potem Debora i na końcu miała być Jemima, tylko że urzędniczka źle zapisała. A później tatuś zapalał namiętnym i gwałtownym uczuciem do tancerki egzotycznej o mało egzotycznym imieniu Luśka i przestrzeganie dekalogu przestało go bawić. Zawinął się z naszego życia, a my zostaliśmy bez ojca, za to z kretyńskimi imionami.

– Imię można zmienić. – Diona odzyskała trzeźwość osądu.

– Można – zgodziła się Inka. – Ale się przyzwyczyłam. Ty chyba też?

Dorycka gładko porzuciła oficjalną formę, co Dionie bardzo przypadło do gustu. Jemina uśmiechnęła się na wpół złośliwie, na wpół figlarnie, po czym sięgnęła do wielkiego torbiszczaka, wyjęła kopertę formatu A4 i położyła ją na stoliku, usiłując dłonią wygładzić zagniecenia.

– Co to jest? – zainteresowała się Diona.

– Informacje od Marcina. Miał ci to przywieźć, ale wezwali go do powiatówki, więc wysłał mnie. – Jemina rozejrzała się po sali. – Możemy porozmawiać gdzie indziej? Za dużo tu ludzi. Ale kawy to bym się napiła.

Diona skinęła głową i podniosła się od stolika. Sama również miała ochotę na jeszcze jedną kawę, ale tym razem zaparzoną w ekspresie. Jako gość na prawach domownika miała nieograniczony dostęp do prywatnej kuchni Mirabelki i tam właśnie poprowadziła policjantkę, a gdy kawa była gotowa, przeszły do pokoju, tego samego, w którym w ubiegłym roku Remańska mieszkała przez ponad dwa miesiące.

Dziewczyny rozsiadły się wygodnie i delektowały aromatycznym napojem, potem wyszły na mały balkon, gdzie

z trudem mieściły się dwie osoby. Mogły palić po kolei, ale Jemina wolała dotrzymać Dionie towarzystwa. Rozmawiały o niczym, nie chcąc poruszać ważnych tematów, nie miały bowiem gwarancji, czy nikt ich nie słyszy. Po powrocie do pokoju Dorycka upiła łyk kawy i odstawiła filiżankę.

– Marcin wprowadził mnie w wasze plany – oznajmiła, spoglądając poważnie na gospodynię. – Jest świetny w roli komendanta, ale jeszcze nie wie, komu dokładnie może zaufać. Gerbilak był gnojem, miał jednak kilku swoich zwolenników, bo sam kombinował i pozwalał na to innym. Dlatego Marcin na razie ufa tylko ojcu i mnie. Jestem jego daleką kuzynką, więc sama rozumiesz.

– Wcale mu się nie dziwię, też bym była ostrożna – przyznała Diona. – Dobrze, że w ogóle jest ktoś, komu może wierzyć.

Inka zrobiła minę, którą można było odczytać na wiele sposobów.

– Nie bardzo wiem, czy powinnam się z tego cieszyć. Przez to całe zaufanie ciągle dokłada mi obowiązków, a inni to podchwycili i idą w jego ślady. Na pochyłą kozę każdy skacze – dokończyła ponuro.

Donie na moment odebrało mowę. Wpatrywała się w policjantkę, oczekując słów lub gestu sugerujących, że był to żart, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Chyba to koza skakała na pochyłe drzewo – zaproponowała słabym głosem.

Inka machnęła ręką, lekceważąc sprawę.

– Wszystko jedno, i tak wiesz, o co chodzi. Najważniejsze, że dzięki tobie będę mogła choć trochę odpocząć od tego ciągłego rozkazywania.

Jak później Diona miała okazję się przekonać, Jemina lubowała się w wypowiedaniu przysłów, lecz prawie zawsze udawało jej się coś pomieszać. Podobnie rzecz się miała z porównaniami. Teraz jednak dziewczyna poświęciła całą

uwagę enigmatycznemu stwierdzeniu Doryckiej o odpoczynku i swojej w tym roli. Nie mogąc rozgryźć zagadki, zapytała o to wprost. Ku jej ogromnemu zdumieniu Inka oświadczyła, że z polecenia Marcina będzie towarzyszyć Dionie w wyprawie do Świercznicy.

– Ale dlaczego? – Nie rozumiała tego manewru. – Nie ma do mnie zaufania?

– Nie o to chodzi – żywo zaprzeczyła Dorycka. – Wymyślił to, żeby dać ci wsparcie i asekurację, gdyby zrobiło się nieciekawie. Wprawdzie fizycznie jestem do bani, ale umiem zadzwonić po pomoc – stwierdziła z taką powagą, że Diona znów nie była pewna, czy zostało to powiedziane żartem, czy nie. Zanim zdążyła zapytać, policjantka zaczęła mówić dalej: – Poza tym może ci się przydać dodatkowa para oczu i uszu. Chętnie się zgodziłam pojechać, bo już mnie znudziło to siedzenie na dyżurce.

Diona nie zamierzała się wyklócać. Aspirantka wydała jej się sympatyczna i z poczuciem humoru, więc brak porozumienia raczej im nie groził, a przydać się rzeczywiście mogła. Ale najpierw należało wyjaśnić jeszcze jedną kwestię. Zgodnie z ustaleniami miała być to tajna misja, podczas której Diona nie powinna przedstawiać prawdziwego powodu swojego pobytu w Świercznicy. Zastanawiała się, czy nie tłumaczyć go chęcią zebrania informacji o biologicznym ojcu, który przez długie lata pełnił funkcję komendanta komisariatu w Jodłowcu. Świercznica podlegała pod jego jurysdykcję, więc istniała szansa, że mieszkańcy wioski nie dopatrzą się w tym tłumaczeniu niczego podejrzanego. Niestety towarzystwo policjantki z pewnością obróci te plany wniwecz.

– Zostałaś tam wysłana oficjalnie? – spytała więc, nie starając się nawet ukryć niechęci. – Będiesz łązić w mundurze i płoszyć ludzi. No to sorry, ale ja się wypisuję

z tego interesu. Nie wiem, co temu Marcinowi odwaliło. Nie tak się umawialiśmy.

Inka wysłuchiwała jej spokojnie, nie próbując przerywać. Upiła łyk kawy i odezwała się dopiero, gdy Diona umilkła.

– Właśnie odbieram zaległy urlop i trochę nadgodzin. Nie jestem na służbie. Pojadę z tobą nieoficjalnie, więc nie musisz się bać, że zacznę machać ludziom legitymacją przed oczami i straszyć zawinięciem na dołek.

– A, to co innego!

Wyjaśnienie rozwiewało wszelkie wątpliwości, Diona skinęła więc głową na znak zgody. Umówiły się, że wyruszą w poniedziałek o dziewiątej, ustaliły, co która z nich powinna zabrać, po czym Jemina pożegnała się i wyszła.

Rozdział 2

Gwiazdek naszych wina

Wyjechały wcześniej rano. Prowadziła Inka, więc Diona zajęła się kopertą, ciekawa zawartych w niej informacji. Poczowała się odrobinę rozczarowana na widok kartek zapisanych energicznym pismem, w głębi duszy żywiła bowiem kompletnie irracjonalną nadzieję, że Marcin dostarczy jej kserokopie akt. Byłoby to jednak nierozsądne i nie powinna była na to liczyć. Szybko pogodziła się z rzeczywistością. Co innego udostępnić wgląd do dokumentacji na terenie komisariatu czy przekazać streszczenia akt, choć nawet tego nie wolno było robić, ale wynoszenie papierów czy ich kopii poza siedzibę policji to już zupełnie inny kaliber.

Przyszła pani detektyw poprawiła się na siedzeniu i wzięła do ręki pierwszą kartkę, na której Lipski zawarł informacje o denatce zebrane przez sierżanta prowadzącego sprawę. Wioletta Kamińska w chwili śmierci miała dwadzieścia trzy lata. Marcin do kartki przypiął zdjęcie. Diona długi czas wpatrywała się w ładną buzię z lekko zadartym noskiem i dużymi, intensywnie niebieskimi oczami. Okalające twarz kręcone blond loki wywołały ukłucie zazdrości. Zawsze chciała mieć takie, lecz natura obdarzyła ją ciemnymi, niekręcącymi się ani trochę włosami. Zaraz jednak przypomniała sobie, że jest w lepszej sytuacji niż tamta. Żyje.

Rodzice Kamińskiej pół roku wcześniej zginęli w wypadku samochodowym, toteż pochówkiem zajęła się najbliższa

krewna, czyli babka ze strony matki. Ona też stanowiła główne i w zasadzie jedyne źródło informacji o denatce. Grażyna Musiał określiła Wiolettę jako spokojną, pogodną dziewczynę, która nigdy nie sprawiała rodzicom większych kłopotów. Po ukończeniu szkoły średniej nie kontynuowała nauki, zadowoliła się tytułem technika architektury krajobrazu. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy, że Kamińscy byli właścicielami dużego centrum ogrodniczego, gdzie córka od małości przygotowywała się do tej profesji.

Diona uśmiechnęła się na myśl, że jednak stwierdzenie, iż dzieci idą w ślady ojców, często nie ma nic wspólnego z więzami krwi. Ona sama także wybrała zawód policjantki, choć nie była rodzoną córką Grzegorza Imielskiego, a z biologicznym ojcem łączyła ją zbyt wątła więź, by miała się na nim wzorować. Historia Kamińskiej potwierdziła, że pokrewieństwo, czy jego brak, często nie ma żadnego wpływu na losy dziecka. Wioletta została adoptowana przez małżeństwo, które nie mogło mieć swoich dzieci. Grażyna Musiał twierdziła, że dziewczyna nie wiedziała, iż jest adoptowanym dzieckiem, gdyż adopcja zbiegła się w czasie z przeprowadzką. Kamińscy uznali, że w nowym miejscu zamieszkania nikt ich nie zna, więc uda się zachować wszystko w tajemnicy. Jediną zorientowaną w tej sprawie osobą była właśnie pani Musiał.

Ale czy na pewno? Diona podciągnęła nogi na fotel, wsparła dłonie na kolanach, a brodę na dłoniach i zamyśliła się nad tą kwestią. Tajemnice mają to do siebie, że lubią wychodzić na wierzch w najmniej spodziewanych i jeszcze mniej stosownych momentach. Tylko czy mogło to mieć znaczenie dla śledztwa w sprawie zabójstwa dokonanego na drugim końcu Polski? Chyba jednak nie.

Po półgodzinie dotarli na miejsce. Granicząca ze Strzygomiem Świercznica była niedużą wsią o pięknie

zagospodarowanym terenie i kilku atrakcjach turystycznych. Można było skorzystać z całorocznego toru saneczkarskiego, zwiedzić pobliskie jaskinie lub wybrać się na niezbyt forsowną wycieczkę do Ściany Życzeń, czyli niemal pionowej nagiej skały z naturalnie wydrążonym lejem, gdzie od wieków skapywała woda, po każdym deszczu zbierająca się w zagłębieniu na szczycie. Należało się nachylić, zbliżyć usta i wyszeptać życzenie, a choć gwarancji spełnienia na piśmie się nie otrzymywało, miejscowi twierdzili, że Ściana Życzeń uszczęśliwiła wszystkich, którzy uwierzyli w jej możliwości.

– Jak rozumiem, ci, których nie uszczęśliwiła, sami byli sobie winni, bo nie mieli w sobie dość wiary. – Inka patrzyła z poważną miną na ekspedientkę lokalnego spożywczaka, gdzie po przyjeździe zajrzały, by zrobić małe zakupy tudzież zasięgnąć języka. W takich miejscach na ogół toczyło się życie towarzyskie, więc ekspedientka powinna być zorientowana. Żeby nie wzbudzić podejrzeń, wołały najpierw spytać o obiekty, które warto by zwiedzić. Pani Pela, energiczna, wesoła kobieta w nieokreślonym wieku, okazała się istną skarbnicą wiedzy o Świercznicy i okolicach.

– Niech sobie nie żartuje – skarciła Inkę z dobrodusznym uśmiechem. – Młoda jest, to i mało w życiu widziała.

– Wcale nie żartuję, pani Pelagio, tak tylko mi się powiedziało – sumitowała się dziewczyna.

Za jej plecami Diona krztusiła się ze śmiechu, gdyż określenie „pani Pelagio” skojarzyło jej się z bohaterką skeczu kabaretu Tey, a i sama kobieta przypominała trochę Bogdana Smolenia w kobiecym przebraniu.

– Wszyscy mówią do mnie Pela, to i one tak mogą – pouczyła Pelagia. – A do skały koniecznie niech się przejdą. Musi obie jeszcze panienki, bo obrączek nie widzę, a tam najłatwiej chłopu sobie wyprosić. Ale pochylić się trza mocno do tej dziury, co ją woda wydrążyła, coby dobrze posłyszał.

– Kto ma posłyszeć? – W głosie Doryckiej zabrzmiała autentyczna ciekawość.

– Ten, co tam siedzi – odparła poważnie kobieta. – Jedni gadają, że wodnik, a inni, że skrzat jakisi. Ale zaś tam! – oburzyła się. – Starzy ludzie powiadali, że to pan Beskidu upodobał sobie pomagać ludziom i temu w tej skale zamieszkał.

Diona dołożyła do wybranych wcześniej towarów dwie butelki porteru, wsparła się łokciem o ladę i zagadnęła od niechcienia:

– A ta dziewczyna, co tu zginęła na jesieni, też była przy Ścianie Życzeń?

Pani Pelagia wzruszyła ramionami, a gdy odpowiedziała, w jej głosie, dotąd bardzo przyjaznym, pojawiły się nutki niechęci. Zabrała się do kasowania produktów tak energicznie, jakby chciała, by klientki jak najszybciej opuściły sklep.

– Już się o niej dowiedziały? A tak! – Tu palnęła się dłonią w czoło, aż głośno plasnęło. – Pewnie mieszkają na dacy u Szataników, bo tylko oni tu wynajmują turystom. Ta Wioletka też tam mieszkała.

Dziewczyny spędziły w Świercznicy zaledwie kilka godzin, ale już zdążyły się zorientować, że rozłożysty parterowy dom położony opodal gospodarstwa Bożeny i Jacka Szataników nazywany jest przez miejscowych daczą. Zapewne miało go to odróżniać od większego i dostatniejszego budynku, w którym mieszkali gospodarze, ale nazwa kojarząca się z letnimi rezydencjami prominentów minionego okresu nieco śmieszyła w przypadku domu mieszczącego w sobie zaledwie pięć niewielkich pokoi z łazienkami, wspólny aneks kuchenny i wspólną jadalnię.

– Rzeczywiście, pani Szatanik o niej opowiadała – skłamała Diona. – Zastanawiam się, czy ta Wioletka wypowiedziała

życzenie, bo jeżeli tak, to powinno się spełnić, zanim umarła. Tak mi się wydaje.

– Nie wiem, czy była przy Ścianie – burknęła pani Pela, ładując skasowane produkty do reklamówki zwanej przez nią siateczką. – To była strasznie głupia dziewczyna. Nie umiała uszanować starszych, śmiała się z ich opowieści. Wiecznie gdzieś gnała i mówiła, że nie ma czasu. Jak mogła nie mieć czasu? Dyc na wypoczyn przyjechała, to po co tak ciągle się gdzieś śpiechać?

Kobieta spoglądała z taką urazą, że Diona czym prędzej zapewniła, iż absolutnie nie zamierzają się nigdzie spieszyć. Obowiązki nie zając, dlatego planują spędzić kilka dni na błogim leniuchowaniu. Po tej deklaracji spojrzenie Pelagii natychmiast stało się przychylniejsze, a z twarzy zniknął wyraz zaciętości.

– Od razu wiedziałam, że dobrze im z oczu patrzy – orzekła, zadowolona z własnej nieomyślnej intuicji. – Niech przyjdą wieczorem na herbatę i placek, to pogadamy – zaprosiła szybko. – Teraz nie możemy, bo idzie tu Kaniowa, a z niej jest straszna plotkara. Mieszkam tu, nad sklepem.

Istotnie, po chwili drzwi się otworzyły i do sklepu weszła elegancka, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta, roztaczając wkoło zapach perfum. Obrzuciła dziewczyny pozornie obojętnym spojrzeniem, podeszła do lady i zwróciła się do Pelagii rozkazująco-pogardliwym tonem:

– Pani mi da pół kilo szynki babuni. Tylko żeby mi świeża była, nie tak jak ostatnio.

Ekspedientka zacisnęła wargi w ponurym grymasie; widać było, że siłą powstrzymuje się od komentarza. Dziewczęta wyszły, nie chcąc być świadkiem upokorzenia sympatycznej Peli. Do nowo przybyłej obie poczuły żywiołową niechęć, choć nie odezwała się do nich nawet jednym słowem. Wystarczył im

rzut oka, by stwierdzić, że pani Kaniowa jest zarozumiałą, złośliwą kobietą, traktującą innych z góry.

– Pójdziemy jutro do tej skały? – zagadnęła Inka. – Chciałabym zobaczyć na własne oczy to, co do tej pory znałam tylko z teorii.

Diona zmarszczyła brwi i przełożyła reklamówkę do drugiej ręki.

– Czyli co?

– Ten lej wydrążony przez krople wody. Jest takie powiedzenie, że kropelka po kropelce drąży skałę.

– „Jeszcze po kropelce” to była taka pijacka piosenka – pouczyła Diona, lecz koleżanka się tym nie przejęła.

– A co za różnica?

Detektyw in spe musiała przyznać, że żadna, zresztą od dłuższego czasu intrygowało ją coś zupełnie innego.

– Nie wiesz, czemu ona tak dziwnie do nas mówiła? W trzeciej osobie, jakby opowiadała o kimś innym.

Jemina wiedziała. Od urodzenia mieszkała w Jodłowcu oddalonym od Świercznicy o dwadzieścia kilka kilometrów, prócz tego z racji służby w policji nieraz miała do czynienia z mieszkańcami tej wsi i dość dobrze poznała ich obyczaje. Gdyby były młodsze, Pelagia zwracałaby się do nich po imieniu, nie czekając na pozwolenie, gdyby zaś były statecznymi mężatkami lub przynajmniej wyglądały na osoby, które przekroczyły trzydziestkę, zasługiwałyby na formę „pani”.

– Wynika z tego, że powinniśmy były zaproponować, żeby mówiła do nas po imieniu – wyjaśniała Jemina zaskoczonej koleżance. – Nie pomyślałam o tym, a ta bidulka nie wiedziała, co ma robić. Nie chciała się spoufalać, żeby nas nie obrazić, a zwracanie się per pani do takich smarkul nie zgadzało się z jej kodeksem dobrych manier.

– O matko i córko! – westchnęła Diona. – Nie wiedziałam, że mogę jeszcze być uważana za gówniarę. To bardzo miłe.

Roześmiały się głośno, zwracając tym uwagę młodego mężczyzny stojącego w towarzystwie ładnej kobiety z dwuletnim na oko dzieckiem uczepionym jej spodni. Właśnie coś mówiła, żywo gestykułując, a dziecko pomagało jej, ciągnąc mężczyznę za rękę. Zapatrzony w mijające ich dziewczyny, przestał zwracać uwagę na towarzyszkę i musiała szarpnąć go za rękaw kurtki, by przyciągnąć jego wzrok. Odwrócił ku niej głowę z wyraźnym zniecierpliwieniem i niezbyt delikatnie uwolnił się z uchwytu jednej i drugiej ręki, nie odrywając przy tym nachalnego wzroku od przechodzących. Obrzuciły go niechętnym spojrzeniem, zde gustowane tym zachowaniem, i skręciły z głównej drogi w ścieżkę stanowiącą skrót przez łąkę i las do domu wynajmowanego przez Szataników, gdzie rzeczywiście zamieszkały na czas pobytu w Świercznicy, podobnie jak ponad trzy miesiące temu uczyniła to Wioletta Kamińska. Dostały nawet ten sam pokój, o czym – ku z trudem skrywanemu niezadowoleniu rodziców – poinformował je nastoletni syn gospodarzy.

– Nie wydaje ci się podejrzane, że Szatanikowa ulokowała nas w tym samym pokoju? – spytała Inka, rozglądając się nieufnie, gdy po rozpakowaniu zakupów zasiadły w aneksie kuchennym nad kubkami kawy.

Diona nawet nie próbowała ukryć pełnego rozbawienia uśmiechu.

– Boisz się, że to taka współczesna czerwona oberża? Że skończymy jak Kamińska? Nie wiem, jak na niej, ale na nas raczej by się nie obłowili.

– Głupia jesteś – obruszyła się Dorycka. – Nie o to mi chodzi. Boję się, że nas rozpracowała, że wie, po co przyjechałyśmy.

– Brednie. Niby jak miałyby się tego dowiedzieć?

– Nie wiem. – Inka pokręciła głową z dość niepewną miną. – Może masz rację, a ja sobie to wszystko wmawiam? Ale tak na nas patrzyła...

Nie dokończyła, gdyż Diona przerwała jej pełnym politowaniem prychnięciem.

– Naprawdę nie wiesz, co o nas pomyślała? – Napotkała zagubiony wzrok towarzyszki i prychnęła raz jeszcze. – Że jesteśmy tęczowe. Dalej nie kumasz? Nigdy nie słyszałaś o kochających inaczej?

Inka na moment zastygła z rozdziawionymi ustami, po czym zamknęła je i z rozmachem klepnęła się w czoło.

– Faktycznie jestem jakaś opóźniona – przyznała w przypiływie samokrytyki. – Ale nie rozumiem, skąd jej się wziął ten pomysł. I skąd ty o tym wiesz?

Wyjaśnienie było bardzo proste i Dorycka nie mogła sobie darować, że na nie nie wpadła. Otóż gdy gospodyni chciała wynająć im dwa oddzielne pokoje, obie dziewczyny gwałtownie zaprotestowały. Umówiły się wcześniej, że zamieszkają w dwójce, by móc na bieżąco omawiać wszelkie spostrzeżenia bez konieczności biegania między pokojami. Zdziwiona ich gwałtownym sprzeciwem Szatanikowa usiłowała przekonać je do zmiany zdania, do czego z pewnością skłaniały ją względy finansowe, lecz Diona okazała się nieugięta. Chłodnym tonem wyjaśniła, że partnerka lunatykuje, dlatego należy ją w nocy mieć na oku.

Inka zrozumiała teraz, że to właśnie słowo „partnerka” wywołało u gospodyni tak jednoznaczne skojarzenie. Zdegustowana faktem, że z szerokiej gamy znaczeń Szatanikowa wybrała akurat to wzbudzające w konserwatywnych społecznościach największą sensację, wykrzywiła się w pełnym niesmaku grymasie.

– Boszszsz, co za głupia baba! Pewnie należy do tych, co wszem wobec potępiają LGBT, ale nie mają nic przeciwko

temu, że mąż przed małżeńskim seksem wprowadza się w nastrój, oglądając lesbijskiego pornola.

– Albo gejowskiego – dołożyła Diona ze śmiechem. – Że też mnie podkusiło, żeby użyć akurat tego określenia! Ale jak inaczej miałabym cię nazwać?

Przed wyjazdem zastanawiały się, jak najlepiej uzasadnić swój pobyt w Świercznicy. Pora roku nie sprzyjała turystyce pieszej, narty też odpadały, gdyż po pierwsze, Diona ostatni raz miała z nimi do czynienia w wieku przedszkolnym, a wspomnienia tych doświadczeń nie nastrajały jej przyjaźnie do tego rodzaju sportu, a po drugie, gdyby poświęciła się i udawała, że chce zgłębić tajniki zjazdu lub biegu, musiałyby spędzać na stoku większą część dnia, a na to nie miały ani czasu, ani ochoty.

Przypomniała sobie niewykorzystany pomysł Grzegorza Imielskiego na wyjaśnienie jej pobytu w Strzygomiu i zdecydowała się użyć go teraz. Wówczas miała udawać wypaloną, czekającą na powrót weny pisarkę, lecz z oczywistych względów odrzuciła plan ojczyrna, uznając go za niebezpieczny. Wystarczyłoby jedno pytanie o twórczość czy prośba o autograf i nastąpiłaby wpadka. Tym razem zmodyfikowała pomysł Imielskiego i postanowiła wystąpić jako freelancerka pisząca pod pseudonimem artykuły publicystyczne. Wymyśliła nawet temat: „Przybysze w małych miejscowościach – akceptacja czy odrzucenie”. Niestety towarzystwo Doryckiej, choć mile widziane, obróciło ten plan wniwecz, gdyż w żaden sposób nie dało się w nim umocować obecności drugiej osoby.

Po burzliwej naradzie z Inką zdecydowały się wejść w rolę studentek socjologii, zbierających materiały do pracy magisterskiej o wymyślonym wcześniej tytule. Wprawdzie Diona żywiła obawy, że są za stare, by ktoś uwierzył w tę mistyfikację, lecz policjantka uśmierzyła je rzeczową

argumentacją. Obie wyglądały zbyt poważnie jak na studentki dziennego trybu, ale istnieją przecież studia zaoczne, a tam można spotkać słuchaczy w różnym wieku.

Stanęło więc na tym, że w ramach eksperymentu obie piszą pracę na ten sam temat, lecz ujęty z różnych perspektyw, co wymaga działania zespołowego. Dlatego właśnie, nie chcąc wypaść z roli, Diona nazwała Inkę partnerką, a jej słowa doprowadziły gospodynię do mylnych w ich przypadku wniosków.

– Ale ja dalej nie wiem, czemu dała nam ten sam pokój co Kamińskiej – sarknęła Dorycka, poirytowana faktem, że najwyraźniej coś jej umknęło.

Diona miała ochotę zwrócić jej uwagę, że jak na policjantkę jest stanowczo za mało spostrzegawcza, lecz w porę ugryzła się w język. Nie znały się jeszcze zbyt dobrze, nie miała więc pewności, czy koleżanka się nie obrazi. Pełna podziwu dla siebie, że zdołała zapanować nad spontanicznością, objawiającą się najczęściej reakcjami określanymi jako „co w myślach, to na języku”, pogratulowała sobie ostrożności i uśmiechnęła się do Inki.

– Chodźmy do palarni – zaproponowała, wstając od stołu.

Mieszcząca się w piwnicy palarnia była właściwie kotłownią, gdzie co rano pan Szatanik doglądał kotła centralnego ogrzewania, dosypując w razie potrzeby ekogroszku. Gdy usłyszał, że obie dziewczyny są palące, w trosce o ich zdrowie i komfort zaproponował, by schodziły na papierosa właśnie do kotłowni, zamiast marznąć przed drzwiami czy na balkonie. Zyskał tym sobie ich ogromną wdzięczność.

Inka przystała na pomysł udania się do palarni z wielką ochotą. Natychmiast porwała się z miejsca i ruszyła ku drzwiom, lecz zaraz zawróciła.

– Nie wiem jak ty, ale ja biorę kawę.

Diona uznała ten pomysł za przedni. Kotłownia była przestronna i znajdowało się w niej dość miejsca, by można było naprzeciwko kotła grzewczego ustawić pełniącą funkcję stolika, obróconą na sztorc skrzynkę po jarzynach, a po jej obu stronach dwie inne. Te z kolei, obrócone do góry dnem, posłużyły za taborety.

– Jak tu ciepłutko – zachwyciła się Diona, zajmując miejsce od strony kotła. Jako zmarzłak zawsze starała się znaleźć jak najbliżej źródła ciepła. Postawiła kawę na skrzynko-stoliku i usiadła. – Ina, z tymi pokojami sprawa jest prosta jak budowa cepa – odezwała się, gdy wypuściła pierwszą smużkę dymu. – Po prostu to jest jedyna dwójka. Nie czytałaś oferty w necie? Dwie jedyńki, jedna dwójka, jedna trójka zwykła i druga z możliwością dostawki.

– Nie czytałam – przyznała Jemina ze skruchą. – Mówiłaś, że zajmiesz się sprawą noclegów, więc to olałam. – Naraz zmarszczyła brwi. – Ale dlaczego Kamińska mieszkała w dwójce? Przecież była tu sama.

Diona upiła łyk kawy i demonstracyjnie wywróciła oczami.

– Aleś się uparła. Dalej wietrzysz jakiś spisek?

Dorycka zignorowała kpinę i trwała przy swoim, z uporem drażąc temat.

– Bo to może być ważne i moim zdaniem należy wyjaśnić...

Tym razem Diona nie zdołała powściągnąć języka, tak jak nie potrafiła się powstrzymać, by nie nadać swojej wypowiedzi pełnego ironii wydźwięku.

– Może gdybyś przeczytała uważnie akta, nie musiałabyś się nad tym głowić.

Jemina poderwała gwałtownie głowę, na jej policzki wypłynął rumieniec gniewu.

– Teraz ty zaczynasz? – wysyczała ze złością. – Też wiesz lepiej, co powinnam robić? Cholery można dostać!

Zdezorientowana Diona wpatrzyła się w jej zaczerwienioną twarz, na próżno usiłując pojąć przyczynę tego wybuchu.

– O czym ty mówisz? – spytała wreszcie i dorzuciła pojednawczo: – Chciałam ci tylko uświadomić, że wyjaśnienie tej sprawy z pokojem jest w aktach. Niczego innego nie miałam na myśli i naprawdę nie wiem, co jest dla ciebie najlepsze. Przecież my prawie wcale się nie znamy.

Spokojny, wyważony ton sprawił, że Dorycka się opamiętała. Policzki znów zabarwiły się czerwienią, tym razem zawstydenia.

– Sorki, nie chciałam na ciebie naskoczyć. Ale Gerbilak też mnie nie znał, a od razu uznał, że najlepiej pasuję na dyżurną, bo jestem reprezentacyjna. – Ostatnie słowo wymówiła z niesmakiem. – A Marcin jest nie lepszy – dodała z goryczą.

– Nie lubisz być dyżurną?

– Nienawidzę! – warknęła Inka. – Durnowate zajęcie, ale Marcin się uparł. Mówi, że nie nadaję się do interwencji. Brednie! Że raz mi nie wyszło, to od razu mam być skreślona na zawsze? Dupek, nie kuzyn! – wrzasnęła z bezsilnej złości. – Powiedz, nie mam racji? – zwróciła się do Diony niemal błagalnym tonem.

– Trudno ocenić – odparła ta ostrożnie. – Co się właściwie stało? Miałaś jakieś zdarzenie na interwencji?

Inka popatrzyła na nią ponuro i zacisnęła wargi w grymasie niechęci. Sięgnęła po paczkę papierosów i zapaliła, chociaż dosłownie przed chwilą skończyła palić poprzedniego. Zaciągnęła się tak głęboko, że podrażnione dymem gardło zareagowało gwałtownym kaszlem. Krztusząc się, Jemina wrzuciła prawie całego papierosa do słoika z wodą, pełniącego funkcję popielniczki.

– Tfu – wycharczała, wycierając wierzchem dłoni załzawione oczy. – O mało się nie porzygałam. No dobra – stwierdziła po

chwili – opowiem ci o mojej błyskotliwej karierze w policji. To było tak...

Okazało się, że Jemina zaraz po szkole średniej postanowiła wstąpić do policji i dopięła swego, choć mało brakowało, a odpadłaby na testach sprawnościowych. Prześlizgnęła się właściwie tylko dzięki temu, że z powodu niedoborów kadrowych i małej liczby kandydatów znacznie obniżono kryteria naboru.

To akurat dla Diony nie było żadną niespodzianką. Po prostu lata lekceważenia instytucji policji oraz irracjonalne decyzje zwierzchników zbierały swoje żniwo. Wielu funkcjonariuszy zmuszono do odejścia na emeryturę, wielu odeszło samych, nie mogąc pogodzić się z upolitycznieniem służby, z bezsensownym stawianiem na pierwszym miejscu wyników statystyk, z brakiem poparcia u przełożonych w kryzysowych sytuacjach i przede wszystkim z ciągłym „dziadowaniem”, jak na jej komisariacie określano konieczność kupowania podstawowego wyposażenia czy artykułów biurowych za własne pieniądze.

Według opinii ministra wakatów nie było wiele, a kandydatów do służby w policji sporo, lecz Diona oceniała te słowa jako zaklinanie rzeczywistości, która *de facto* wyglądała zupełnie inaczej. Liczba chętnych malała z roku na rok, nic więc dziwnego, że Jemina prześlizgnęła się mimo ewidentnych braków kondycyjnych i sprawnościowych. Wprawdzie Dorycka przyrzekła sobie, że zaraz po szkole przygotowawczej popracuje nad kondycją fizyczną, ale jak to często bywa z przysięgami składanymi samemu sobie, znajdowała najróżniejsze wymówki, by usprawiedliwić niedotrzymanie obietnicy.

Służba w Jodłowcu nie wymagała zresztą jakichś specjalnych predyspozycji fizycznych i dziewczyna utwierdziła się w przekonaniu, że żadne dodatkowe treningi nie są jej

potrzebne. Nie zdawała sobie sprawy, że komendant celowo ją oszczędza, nie wysyłając do trudnych zdarzeń.

– Na początku jeździłam na interwencje, na patrole, ale najczęściej robiłam papiery pod okiem komendanta Roszaka. To on mnie skierował na szkołę. Nie domyślałam się, że jestem traktowana inaczej niż reszta. – Policjantka wykrzywiła wargi w uśmiechu. – Uświadomił mi to dopiero Gerbilak. Powiedział, że komendant Roszak był facetem starej daty, uważającym, że kobiety nie powinny jeździć w patrolu czy na interwencje, bo są za słabe fizycznie i mogą stanowić zagrożenie dla siebie lub partnera.

Dorycka umilkła i zaczęła bawić się kubkiem po kawie, obracając go w dłoniach. Diona czekała cierpliwie, dając jej czas na ubranie myśli w słowa. Jemina po chwili odstawiła kubek i kontynuowała opowieść.

Nowy komendant nie miał dla policjantki takich względów jak jego poprzednik, prawdopodobnie głównie z powodów kompletnie niezwiązanych ze służbą. Otóż śliczna policjantka od razu wpadła mu w oko, lecz ona jakby nie słyszała aluzji, a na wyrażoną wprost propozycję odpowiedziała kategoryczną odmową. Tego mściwy mężczyzna nie zamierzał puścić płazem. Stwierdził więc krótko, że nie potrzeba mu w zespole niepełnowartościowego funkcjonariusza, i od tej pory zlecał jej najtrudniejsze zadania. I właśnie podczas jednej takiej interwencji doszło do nieszczęścia. Pijany i odurzony jakimś narkotykiem awanturnik z zakrwawionymi knykciami, stanowiącymi dowód na to, że nawet na pulchnym kobiecym ciele można uszkodzić naskórek, jeśli tylko bije się dostatecznie mocno, na widok policjantów wpadł w taki szal, że nie zdołali go obezwładnić. Wielki jak góra, kroczył naprzód w oparach gazu, chcąc dopaść mężczyznę, gdyż to w nim widział wroga. Stojącą mu na drodze Jeminę po prostu stratował.

– Walnął mnie tak, że upadłam, a potem zwyczajnie po mnie przeszedł – wyznała ledwie słyszalnym szeptem. – Złamał mi obojczyk i dwa żebra.

– Nie mogliście użyć broni? – zdziwiła się Diona. – Albo chociaż tasera?

– Nie mieliśmy taserów na wyposażeniu. A broń... – Urwała i zagryzła wargi. – Ja wystrzeliłam, ale nie trafiłam i on wytrącił mi pistolet. A kolega nie mógł strzelać, bo stałam mu na drodze i zasłaniałam cel.

– No tak – mruknęła Diona. – Co było dalej?

– Nic – westchnęła Dorycka. – Dość długo byłam na L4, potem wróciłam do służby, ale od tamtej pory albo siedzę na dyżurce, albo robię za sekretarkę.

– W takim razie powinnaś nauczyć się samoobrony i strzelania.

Na pełny zdumienia okrzyk sprzeciwu Diona zaczęła tłumaczyć Ince, co miała na myśli, podejrzewała bowiem, że koleżanka ma większe zawodowe ambicje niż tylko siedzenie w dyżurce czy wyręczanie kolegów w papierkowej robocie. Jeśli tak, powinna jak najszybciej podnieść swoje umiejętności. Szkolenie podstawowe, jak sama nazwa wskazywała, obejmowało tylko podstawy, a cierpiąca na permanentne niedobory finansowe policja nie kierowała swoich funkcjonariuszy na dodatkowe kursy, gdzie mogliby opanować sztuki walki i metody obezwładniania przeciwnika czy podnieść umiejętności strzeleckie.

Regulaminowe ćwiczenia na policyjnej strzelnicy były zazwyczaj zwykłą farsą; jeśli na jednego funkcjonariusza przypadało średnio sześćdziesiąt zużytych naboju rocznie, co – jak Diona kiedyś wyczytała – wynikało ze statystyk, to trudno było mówić o jakimkolwiek szkoleniu. Ambitni policjanci na policyjnej strzelnicy po prostu „zaliczali” strzelanie, a na prawdziwe ćwiczenia przychodzili do strzelnic

prywatnych. Stąd prosperity przybytku Pata Garretta, gdzie połowę klientów stanowili funkcjonariusze policji.

– Mam jeździć aż do Bielska, żeby sobie postrzelać?! – wykrzyknęła zdeglustowana Inka, robiąc taką minę, jakby równało się to przedzieraniu przez puszcę amazońską. – Wiesz, ile czasu stracę na sam dojazd?

– Wiem. Planowo godzinę w jedną stronę, a to chyba nie byłoby jakimś wielkim obciążeniem. Kiedyś ludzie dojeżdżali osinobusem na szóstą rano i jakoś żyli – stwierdziła Diona bezlitośnie. – Dzieci ci w domu nie płaczą i jeść nie wołają. Mogłabyś sobie tak ustalić grafik, żeby w tym samym dniu zaliczać strzelanie i kurs samoobrony czy sztuki walki. Polecałabym krav magę. – Podniosła swój kubek i wstała. – Moim zdaniem to ważne umieć się obronić, kiedy patus cię atakuje, bo nawet niewysoki facet ma przewagę fizyczną nad kobietą. Ale jak sobie chcesz. Jeśli wolisz stać jak kolumna dorycka, zamiast go obezwładnić, to twoja sprawa. Tylko że powinnaś chyba rozważyć zmianę zawodu.

Jemina również wstała. Z naburmuszoną miną ruszyła ku drzwiom, lecz naraz przystanęła i spojrzała na koleżankę, rozciągając wargi w szerokim uśmiechu.

– Kolumna dorycka, tak? Remańska, powiedział ci już ktoś, że czasami wychodzi z ciebie wredna suka?

– Wiele razy – przyznała Diona, odwzajemniając uśmiech. – Mój eksmałżonek posuwał się nawet do dosadniejszych określeń. – Otworzyła drzwi prowadzące na klatkę schodową. – Chodź, młoda, zrobimy sobie jakieś żarcie, bo cholernie zgłodniałam. Może podgrzejemy te pierogi od Mirabelki? Mówię ci, niebo w gębie.

Przy posiłku, będącym wedle opinii Inki obiadową kolacją, a zdaniem Diony późnym obiadem („Kolację to ja jeszcze zjem!”), omówiły kwestię przyszłego szkolenia Doryckiej, której ten pomysł z każdą chwilą coraz bardziej się podobał.

Postanowiła od razu wprowadzić go w czyn, poprosiła więc koleżankę o namiary na jakąś dobrą szkołę walki, wobec czego Diona zadzwoniła do Gartowskiego, przekonana, że Patryk z pewnością się orientuje, gdzie początkująca adeptka mogłaby doskonalić swoje umiejętności. Nie omyliła się. Szef od razu podyktował jej numer telefonu najlepszej, jego zdaniem, szkoły, po czym zaproponował, że może sam umówić Dorycką na pierwsze spotkanie.

– Wojtek to mój kumpel, więc nie ma problemu. Nieraz podsyłamy sobie kursantów. Ale nie rozumiem, czemu ta dziewczyna chce się szkolić w Bielsku. Przecież do Żywca ma dużo bliżej.

– Bo chce się też podszkolić w strzelaniu. Chyba nie myślisz, że oddam ją w obce ręce? – oburzyła się, na co Patryk wydał pełne aprobaty mruknięcie. – Powinieneś otworzyć filię w Jodłowcu, to miałyby szybszy dojazd.

Gartowski zaniemówił, a Diona wykorzystała okazję, by przedstawić mu propozycję, jej zdaniem doskonałą. Na obrzeżach Jodłowca znajdował się ładny, lecz teraz dość zaniedbany obiekt, będący kiedyś zakładowym ośrodkiem wypoczynkowym. Po upadku państwowego przedsiębiorstwa kilka razy zmieniał właścicieli, aż wreszcie rok temu został wykupiony przez gminę. Od tamtej pory stał jednak opuszczony, gdyż w budżecie zabrakło środków na remont. Ośrodek składał się z pięciu czy sześciu domków, z których każdy mógł swobodnie pomieścić osiem osób, a także ogólnodostępnego budynku, gdzie kiedyś mieściła się kawiarnia. Ogrodzony płotem z siatki teren, teraz porośnięty krzakami i trawą, był na tyle obszerny, że można by swobodnie postawić na nim niedużą strzelnicę, o czym dziewczyna nie omieszkała poinformować ciągle milczącego szefa.

– Aha – odezwał się w końcu. – Tak po prostu mam kupić ten postkomunistyczny obiekt, wezwać ekipę budowlaną i postawić tam strzelnicę?

– A dlaczego nie? – odpowiedziała pytaniem. – Nie sądzę, żeby gmina chciała za ten ośrodek jakichś wielkich pieniędzy. A może zgodzą się na dzierżawę? Jak nie zapytasz, to się nie dowiesz.

– Tu masz rację. Ale powiedz mi, po jaką cholere mi te domki?

Westchnęła ostentacyjnie, poirytowana jego niedomyślnością.

– Sama strzelnica może się tu nie utrzymać – tłumaczyła, z trudem zdobywając się na cierpliwość. – Za mało mieszkańców. Ale gdybyś zorganizował szkolenia weekendowe, to co innego. Okolica piękna, można przy okazji pochodzić po górach, wybrać się na grzyby czy na borówki...

– Na jagody – poprawił ją natychmiast Patryk, pochodzący z centralnej Polski.

Innym razem Diona natychmiast wdałaby się w ich stały spór dotyczący prawidłowego nazewnictwa czarnych jagód, które dla mieszkańców regionu zawsze były borówkami. Ale dzisiaj nie miała na to czasu, więc zignorowała uwagę szefa i dalej snuła wizję, w której odremontowany ośrodek, wzbogacony o plac zabaw dla dzieci oraz o modułową strzelnicę, stałby się miejscem chętnie odwiedzanym, a nawet obleganym.

Gartowski zatrzymał się na jednym ważnym słowie.

– Powiadasz, że modułowa? Czytałem o tym rozwiązaniu. Tak, to mogłoby być dużo łatwiejsze. Wiesz co, Dionka? Przemyślę ten twój projekt – oświadczył z podekscytowaniem. – Zacznę od tego, że zadzwonię do urzędu gminy i dowiem się, czy w ogóle planują pozbycie się tego obiektu.

Podczas ich rozmowy Jemina siedziała cichutko, starając się nie uronić ani słowa. Wypowiedzi Gartowskiego słyszeć nie mogła, siedziała bowiem zbyt daleko, by potrafiła rozróżnić słowa, ale to, co mówiła koleżanka, wystarczyło do wzbudzenia ciekawości. Gdy Diona odłożyła telefon, Dorycka natychmiast zapytała:

– Będzie budować strzelnicę w Jodłowcu? Super!

– Na razie tylko się zastanawia. – Diona uśmiechnęła się szelmowsko. – Ale dałam mu do myślenia, poza tym mam zamiar jeszcze nad nim popracować.

Naraz pewna myśl zakiełkowała w głowie Doryckiej i dziewczyna szeroko otworzyła oczy, wpatrując się w koleżankę natarczywie i jednocześnie jakby z obawą.

– Dionka... – zaczęła niepewnie. – Czemu tak ci na tym zależy? Bo chyba nie robisz tego dla mnie?

Diona w pierwszej chwili nie zrozumiała, gdy zaś dotarł do niej właściwy sens pytania, nie bardzo wiedziała, czy powinna się rozżłościć, czy roześmiać. Przyjrzała się uważnie zaaferowanej minie Jeminy i wybrała to drugie.

– Wiesz, Inka, ja cię lubię, ale nie aż tak, by namawiać kumpla na wywalenie ciężkiej kasy po to, żeby ci ułatwić życie. I nie rób takiej przestraszonej miny. Możesz spać spokojnie. Nie zamierzam zakradać się w nocy do twojego łóżka, żeby cię zmuszać do tak zwanych innych czynności seksualnych. – Parsknęła urywanym śmiechem na widok zaróżowionych ze wstydu policzków Doryckiej. – Namawiam Garretta na tę strzelnicę z czysto egoistycznych pobudek – dodała po chwili. – Nie jarzysz? Przecież odziedziczyłam mieszkanie w Jodłowcu. Jeszcze nie wiem, czy w nim zamieszkam, czy je sprzedam i kupię coś innego, ale mam zamiar przeprowadzić się w te okolice. A jak sama niedawno twierdziłaś, dojeżdżanie do Bielska może być cholernie uciążliwe.

– Wyglupiłam się – przyznała Inka. – Zrobiłam z siebie idiotkę. Trudno. To nie pierwszy raz, więc jakoś to przeżyję. Co teraz robimy?

Diona zerknęła na zegarek i zdziwiła się, że zrobiło się tak późno. Do umówionej wizyty u Pelagii została niespełna godzina, uznała więc, że nie ma sensu zabierać się do analizy materiałów. Ku radości Doryckiej zarządziła wizytę w palarni, a potem odpoczynek.

– Nie wiadomo, ile czasu nam tam zejdzie, więc proponuję krótką drzemkę. A od jutra zaczniemy właściwe działanie.

*

Siedząc nad obficie zastawionym stołem, Jemina szczerze żałowała, że tak opychała się pierogami od Mirabelki, i niemal z nienawiścią spoglądała na Dionę pałaszującą przysmak po przysmaku. *Gdzie ona to mieści?* – rozmyślała z zazdrością. *Żre jak koń, a chuda jest niczym pensja posterunkowego.*

Dopiero po dłuższym czasie pretendenta do miana detektywa uznała, że nie przełknie już ani kęsa. Odsunęła talerz i spojrzała na półmisek z nietkniętymi pasztecikami z takim żalem, że gospodyni zrozumiała w mig i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Pelagia Pasierbek lubiła, gdy jej goście opróżniali talerze do cna.

– Się nie martwi, zapakuję te paszteciki do złotka. Będzie miała na śniadanie – obiecała, wstając zza stołu.

Wyszła do kuchni, skąd po chwili wróciła ze wspomnianym złotkiem, czyli rolką folii aluminiowej. Opakowała półmisek, wsunęła go do reklamówki i przesunęła na róg stołu.

– Dziękujemy. – Diona uśmiechnęła się do starszej kobiety. – Pani Pelu, mamy do pani prośbę. – Spojrzała poważnie w pooraną zmarszczkami twarz. – Bardzo byśmy chciały, żeby

mówiła pani do nas po imieniu. Jestem Diona, a koleżanka ma na imię Inka.

Pelagia rozjaśniła się w uśmiechu na propozycję dziewczyny, jednak pod koniec wypowiedzi zmarszczyła brwi, nadając rysom twarzy wyraz namysłu.

– Jakieś dziwne te wasze imiona. Naprawdę tak wam na chrzcie dali?

– Noo, nie całkiem – odpowiedziała wolno Inka, włączając się do rozmowy. – Inka to zdrobnienie od Jeminy.

– No proszę, jakie ładne imię. Jemina... – Pelagia zastanawiała się przez chwilę. – To chyba była córka Hioba? Albo Lota? Nie bardzo pamiętam. Ale ładne jest, biblijne – dokończyła z aprobatą.

Inka nie zamierzała opowiadać o pomyłce urzędniczki, nie chcąc wywoływać niepotrzebnej dyskusji. Potwierdziła tylko, że biblijna Jemima była córką Hioba, po czym szybko przeszła do imienia koleżanki, które pani Pelagia także uznała za bardziej odpowiednie dla młodej kobiety niż jego skrócona wersja.

– Ale jest brzydkie – upierała się Diona, lecz Pelagia tylko popatrzyła karcąco i poszła do kuchni, by zaparzyć kawę.

Dziewczęta spojrzały po sobie i jak na komendę zagryzły wargi, by stłumić uśmiechy. Pani Pela jako żywo przypominała Bogdana Smolenia w niezapomnianej kreacji, brakowało jej tylko chustki i długiej fałdzistej spódnicy. Wiedziały od właścicielki daczy, że Pasierbkowa ukończyła sześćdziesiąt dwa lata, zresztą pełne energii ruchy i żywe, przenikliwe spojrzenia wskazywałyby nawet na mniej. Za to zebrane w ciasny kok siwe włosy i sieć zmarszczek rysująca się na zbyt suchej, zaniedbanej skórze twarzy sugerowały, że kobieta zbliża się raczej do siedemdziesiątki. Podobne wrażenie sprawiały zniszczone, spracowane dłonie z wypukłymi granatowymi żyłami.

– Pewnie całe życie harowała w polu, próbując uprawiać jakieś warzywa czy zboże na małym kamienistym spłachetku.

Diona zwróciła się żywo ku koleżance, zaskoczona wypowiedzianymi szeptem słowami.

– Skąd wiesz? – spytała równie cicho.

Dorycka wykonała ręką nieokreślony gest.

– Nietrudno się domyślić. Tu w okolicy wszyscy mają takie nieduże kawałki gruntu i trochę lasu. Można powiedzieć, że to standard. A że gleba jest kamienista, to chyba dla ciebie żadna nowość. Niby jaka mogłaby być w górach? Choćbyś się uwijała jak mucha w smole, to i tak mniej zbierzesz, niż zasiejesz.

– Uwija się w ukropie, nie w smole – poprawiła automatycznie Diona, lecz Inka tylko prychnęła.

– W ukropie taka mucha też długo by się nie uwijała, bo od razu by zdechła.

Na to Diona nie znalazła kontrargumentu, wróciła więc do tematu trudnej pracy na roli, którą знаła wyłącznie z opowiadań. Rozmowę przerwała pani Pelagia, stając w progu z tacą zastawioną filizankami, cukierniczką, dzbanuszką ze śmietanką oraz salaterką wypełnioną kruchymi ciasteczkami. Ustawiła to wszystko przed gośćmi i uczyniła dłonią zachęcający gest.

– Częstujcie się. Ciastka sama piekłam, to i żadnych sztuczności w nich nie ma. Chyba się nie odchudzacie?

Spojrzała podejrzliwie na szczupłą Dionę, lecz chyba przypomniała sobie jej apetyt, gdyż zaraz przeniosła wzrok na Inkę, która wprawdzie nie była gruba, ale chudą nikt nie mógłby jej nazwać.

– Ja tam wolę podjeść sobie konkretnie, co miała pani okazję widzieć – zaśmiała się Diona. – Słodkości mogą się schować przy dobrze usmażonym kotlecie. Ale jedno zjem, żeby nie było, że wzgardziłam.

– A ja uwielbiam słodycze, tylko że powinnam ich unikać – stwierdziła Inka ze smutkiem. – To niesprawiedliwe. Ty mogłabyś je jeść, a nie lubisz. Ja lubię, ale nie powinnam jeść, bo mi od tego dupa rośnie.

– E tam. – Pasierbkowa machnęła ręką. – Dzieucha powinna mieć na czym siedzieć i czym dychać. Ta Wioletka, co u Szataników mieszkała, też ciągle opowiadała o odchudzaniu. I o tym, jakie mięso jest szkodliwe dla zdrowia. Dziwne, bo ja jakoś ciągle żyję, a zawsze jadłam mięso. A ona nawet jajek jeść nie chciała, tylko gotowała sobie jakieś takie cudactwa. „Ja jestem wege” – przedrzeźniała kobieta, po czym dokończyła nie bez złośliwości: – Wege srege. I co jej przyszło z tego zdrowego jedzenia? Wydziwiała, jakby zamierzała żyć wiecznie, a nie doczekała nawet dwudziestu pięciu lat.

Diona upiła łyk kawy i spod oka zerkała na gospodynię, zastanawiając się, jak sformułować pytanie, by nie wzbudzić jej podejrzeń. Wymieniła ukradkiem porozumiewawcze spojrzenia z Inką i zagadnęła, symulując umiarkowaną zaledwie ciekawość:

– Po co ona właściwie tu przyjechała? Bo chyba nie na wczasy? Listopad to dziwna pora na urlop, zwłaszcza w górach.

Pelagia Pasierbek popatrzyła na nią w zadumie i zamiast odpowiedzieć, sama zadała pytanie o powody przyjazdu dwóch młodych, ładnych dziewczyn do niezbyt atrakcyjnej turystycznie miejscowości.

– W góry nie pójdziecie, bo śnieg, na nartach nie pojeździecie, bo u nas wyciągu nie ma. Nawet jakbyście poszły do Ściany Życzeń, to zajmie wam to najwyżej dwie godziny. Co chcecie tu robić?

Odpowiedziała jej Inka, sięgając po utkaną na potrzeby takich właśnie chwil historyjkę o pracy magisterskiej, której

temat tłumaczył zainteresowanie Wiolettą Kamińską i jej pobytem w Świercznicy.

– Była tutaj całkiem obca, prawda? Dlatego o nią pytamy. Interesuje nas przede wszystkim, jak została przyjęta przez mieszkańców, ale pomogłoby nam w badaniach, gdybyśmy wiedziały, po co właściwie przyjechała do tej wioski.

Pelagia przesunęła odrobinę salaterkę z ciastkami, ustawiając ją w równej linii z cukiernicą i dzbanuszką do śmietanki. Potem poprawiła ten ostatni, zyskując w ten sposób idealną symetrię. Diona już wcześniej zauważyła, że wszystko w mieszkaniu Pasierbkowej podporządkowane jest wymogom symetrii, włącznie z ustawionymi na regale książkami. Pilnowanie określonego porządku musiało być szalenie męczące i czasochłonne, ale może stanowiło sposób na radzenie sobie z problemami? No i z pewnością pomagało rozprawić się z nadmiarem wolnego czasu.

– W sklepie człowiek więcej się dowie niż ksiądz przy spowiedzi. – Pelagia, najwyraźniej usatysfakcjonowana wyglądem stołu, złożyła ręce na podółku i całą uwagę poświęciła gościom. – Ta panna była u mnie kilka razy i wypytywała o różnych ludzi. O kobiety – uściśliła. – Czy mieszkały w Świercznicy od urodzenia, czy wyjeżdżały na dłużej... Ale nie powiedziała, dlaczego się nimi interesuje.

Zaaferowana Pasierbkowa, zdając tę relację, mówiła całkiem poprawnie, bez śladu gwarowych naleciałości, i dziewczyny zorientowały się, że wcale nie była, jak to wcześniej podejrzewały, prostą i niewykształconą kobietą. Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, uświadamiając sobie nagle, że podczas tej wizyty pani Pela tylko chwilami używała gwarowych wyrażen. Wyglądało to tak, jakby co jakiś czas przypominała sobie o roli do odegrania. Tylko które z dwóch wcieleń było prawdziwe, a które stanowiło mistyfikację? I jaki miała w tym cel? Tego Diona na razie nie wiedziała, a po

uniesionych brwiach Inki wnioskowała, że koleżanka także głowi się nad tą sprawą.

Dziewczyna porzuciła rozważania nad przyczynami niezrozumiałego zachowania gospodyni, naraz bowiem dotarł do niej sens wypowiedzianych przed chwilą słów. Powstrzymała gestem dłoni otwierającą usta Jeminę i z uwagą popatrzyła na Pelagię.

– Wspomniała pani, że Kamińska wypytywała o kobiety ze wsi. O wszystkie czy tylko o kilka z nich?

Pasierbkowa uśmiechnęła się szeroko, a na jej twarzy pojawił się wyraz takiego zadowolenia, jak u matki, której dziecko zwyciężyło w wyjątkowo trudnym konkursie. Pokiwała głową z uznaniem, wstała i skierowała się w stronę segmentu, sądząc z wyglądu, pamiętającego jeszcze lata osiemdziesiąte.

– Gwiazd naszych wina – oznajmiła z uśmiechem.

Tymi słowami wywołała jeszcze większy zamęt w ich skołatanych głowach. Skąd u tej wiejskiej kobiety znajomość współczesnej literatury? Wprawdzie zrozumiały już, że popełniły błąd, sądząc ją po pozorach, ale nie podejrzewały dotąd, że ich pomyłka jest aż tak wielka. I dlaczego powołała się teraz na ten konkretny tytuł? Popatrzyły po sobie bezradnie, a potem ze zdumieniem obserwowały, jak pani Pelagia, co rusz rzucając w ich stronę kpiące spojrzenia, otwiera barek i wydobywa z niego butelkę wina. Odkorkowała ją sprawnie, postawiła na stole i ze szklanej witryny wydobyła trzy lampki. Obejrzała je uważnie pod światło, przetała serwetką, po czym napełniła ciemnoczerwonym płynem.

– Myślałam, że mówi pani o książce – wyjąkała Inka.

Pelagia parsknęła śmiechem.

– Trzeba oblać naszą współpracę, żeby się nie rozeszła – oświadczyła, wyraźnie napawając się osłupieniem dziewcząt. – Pora skosztować tego gwiazd naszych wina. Podoba mi się to określenie, bo właśnie ten gatunek wina jest ulubionym

trunkiem naszych świątecznych gwiazd. A raczej gwiazdek, bo aż tak wielkie to jednak nie są.

– Któż to taki? – spytała Diona ze zdumieniem, choć chwilę wcześniej obiecała sobie solennie, że nigdy więcej nie pozwoli się niczym zaskoczyć tej zadziwiającej kobiecie. – Nie słyszałam, żeby w Świątecznicy mieszkał ktoś sławny.

Pani Pela uniosła swoją lampkę, dając tym znak, że powinny pokosztować trunku. Wino okazało się wyborne. Słodkie, lecz nie za słodkie, lekko cierpkie, z wyczuwalną gdzieś na dnie goryczką.

– Wyśmienite – pochwaliła Inka. – Naprawdę godne gwiazd. Ile ich tu mieszka? Czy to ktoś bardzo sławny?

Pelagia odstawiła lampkę i uśmiechnęła się nieco ironicznie.

– Sławne nie są, ale we własnym mniemaniu bardzo ważne z nich osoby. To cztery gwiazdy świecące najjaśniej na naszym wiejskim firmamencie, i tak się ciekawie złożyło, że akurat o te osoby pytała Wioletka.

– Więc jednak było w tym wypytywaniu coś więcej! – wykrzyknęła Diona, a Inka z zapalem pokiwała głową.

– Wiedziałam od razu, że mądre z was dziewczyny – pochwaliła pani Pelagia ku ich jeszcze większemu zdumieniu.

– Właśnie to wydało mi się najciekawsze, że Wioletka pytała tylko o konkretne osoby – oznajmiła głosem niemal ociekającym satysfakcją.

– O które? – spytała natychmiast Inka.

Pelagia zerknęła na nią i wzruszyła ramionami.

– Nazwiska nic ci nie powiedzą, Jemino. Ale co ciekawe, prawie wszystkie te kobiety są mniej więcej w tym samym wieku i z wyjątkiem jednej można je uznać za lokalne gwiazdy.

Diona zamarła z filiżanką uniesioną do ust. Wolnym ruchem opuściła rękę i odstawiła delikatnie naczynie na spodek.

– Szukała kogoś – stwierdziła, odczuwając tak dobrze jej znane wewnętrzne drżenie, pojawiające się zawsze, gdy miała

pewność, że znajduje się zaledwie o krok od rozwiązania jakiejś zagadki. – Wiedziała, że poszukiwana osoba jest kobietą, znała też jej przybliżony wiek, ale nic poza tym. Ani nazwiska, ani rysopisu.

– Dobrze kombinujesz. – Inka posłała jej spojrzenie pełne uznania, potem przeniosła wzrok na Pasierbkową. – Te kobiety... W jakim są wieku?

– Wszystkie w okolicach czterdziestki – odparła Pelagia, znów przybierając minę kota, który dobrał się do śmietanki. – O czym tak rozmyślasz, Dionizo?

Wyrwana z zamyślenia dziewczyna popatrzyła niezbyt przytomnie i zamrugała powiekami niczym osoba obudzona nagle z głębokiego snu.

– Dziwię się, że Dzichta nie zwrócił na to uwagi. Przecież to może mieć wielkie znaczenie – mruknęła bez zastanowienia.

Już w następnej chwili miała ochotę uderzyć się pięścią w usta. Jak mogła do tego stopnia nie zapanować nad własnymi słowami? Ale te padły, a po błysku w oku gospodyni poznała od razu, że pani Pela nie da się zbyć byle wykrętem.

– Ten policjant z Jodłowca, który prowadził śledztwo? – Pelagia aż uniosła się z krzesła. – Skąd wiesz, że nie zwrócił uwagi? I skąd wiesz, jak miał na nazwisko?

– Musiało mi się obić o uszy, kiedy spacerowałyśmy po wsi – odparła, rumieniąc się pod inkwizytorskim spojrzeniem dociekliwej kobiety. – A może pani Bożena je wspomniała?

– Oj, Dionizo, politykiem to ty nie będziesz. – Pelagia pogroziła jej palcem. – Nie umiesz kłamać.

Dorycka usiłowała ratować sytuację.

– Ale ona wcale nie kłamie – zapewniała żarliwie. – Chyba rzeczywiście pani Szatanik wymieniła nazwisko policjanta prowadzącego śledztwo, bo ja także je gdzieś słyszałam. Myślę, że od niej.

- Jemino, ty też nie idź w politykę - roześmiała się Pasierbkowa. - Kłamiesz jeszcze gorzej niż koleżanka.

- Ale ja...

Dorycka urwała pod karcącym wzrokiem starszej kobiety i popatrzyła bezradnie na Dionę, która wyjątkowo nie miała nic do powiedzenia. Nie potrafiła na gorąco wymyślić żadnego wiarygodnego wytłumaczenia; każde następne wydawało się bardziej bezsensowne od poprzedniego. Poza tym zdążyła już polubić Pelagię i nie chciała jej oszukiwać.

W pokoju zaległa znamienna cisza.

Rozdział 3

W domu Szatana

Pelagia długo spoglądała co chwilę to na jedną, to na drugą dziewczynę, bawiąc się ich zmieszaniem. Milczała podobnie jak one i po pewnym czasie nabrzmiała emocjami cisza zdawała się brzmieć głośniejsz niż krzyk. Kobieta odczekała jeszcze chwilę, nim wreszcie postanowiła się nad nimi ulitować. Dyskretnie pominęła kwestię mistyfikacji, po czym nawiązała do uwagi Diony o policjancie prowadzącym śledztwo.

– Ten cały Dzichta to zwyczajny idiota – oświadczyła z głębokim przekonaniem. – Byłam pewna, że nikt mu nie wspomniał o poszukiwaniach prowadzonych przez Wioletkę, więc zaczepiłam go, kiedy przyszedł po papierosy. Powiedziałam mu, że u mnie w sklepie ludzie różne rzeczy mówią. I że Kamińska kogoś tu szukała. A on popatrzył na mnie jak na jakąś debilkę i odpowiedział takim przemądrzałym tonem: „Mnie interesują fakty, a nie plotki rodem z magla”. I sobie poszedł. A ja pomyślałam, że jak nie, to łaski bez. I kiedy przyszedł drugi raz, to w ogóle się nie odzywałam. A potem odjechał i już nie wrócił.

Diona spojrzała ukradkiem na Jeminę. Sama nie miała okazji poznać Dzichty, toteż nie wiedziała, jakim jest policjantem, gdy zaś spytała o niego Marcina, aspirant odparł krótko, iż powinna sama wyrobić sobie zdanie. Nie chcąc

niczego jej sugerować, nabrał wody w usta i nie zdołała wyciągnąć z niego żadnej opinii.

Po zapoznaniu się z notatkami Lipskiego, zawierającymi między innymi sprawozdanie z przeprowadzonych działań, odniosła wrażenie, iż starszy sierżant Dzichta niespecjalnie się wysilił przy tym śledztwie. Jej zdaniem można było zrobić więcej, przede wszystkim wydobyć z mieszkańców wsi informacje o krokach Kamińskiej. Obca dziewczyna w takiej małej miejscowości nie mogła pozostawać niezauważona, dlatego ich zeznania Diona uznała za niewiarygodne.

– Kolejna wioska kłamców – szepnęła do siebie.

W pokoju zapadła nagła cisza i to wyrwało częściowo Dionę z zamyślenia. Uniosła głowę i zauważyła, że Pelagia spogląda na nią z ogromnym zainteresowaniem, a to sprawiło, że dziewczyna natychmiast oprzytomniała. Znowu niepotrzebnie chlapnęła! Co się z nią dzisiaj dzieje, że do tego stopnia zatraciła czujność?

– Wioska kłamców. Dobrze to nazwałaś – pochwaliła Pasierbkowa. – Wszyscy tu kłamią, więc doskonale do nas pasujecie. Jaki masz stopień, Dionizo?

Pytanie padło tak znienacka, że kompletnie zaskoczona dziewczyna bezwiednie powiedziała prawdę.

– Już nie pracuję w policji.

Pelagia skinęła głową i oskarżycielskim gestem wyciągnęła wskazujący palec w stronę Doryckiej.

– W takim razie to ona pracuje. Wiedziałam, że prędzej czy później ktoś z policji się tu pojawi, bo przecież niemożliwe, żeby tak zostawili morderstwo bez wyjaśnienia. No i się doczekałam. Domyśliłam się od razu, kim jesteście, gdy pojawiliście się w sklepie – pochwaliła się, dumna ze swej spostrzegawczości. – Pomyliłam się co do ciebie. – Wskazała na Dionę. – Byłam pewna, że ty z was dwóch jesteś ta ważniejsza.

– Bo jest – mruknęła Inka. – Była pełnym aspirantem, a ja jestem tylko młodszym.

– Nie jęcz – pouczyła ją Diona. – Jak dostarczymy Marcinowi zabójcę, od razu zawnioskuje, żeby cię upgrade’owali.

Dorycka wybuchnęła śmiechem, słysząc to oryginalne określenie. Potem zerknęła niespokojnie w stronę gospodyni i zagryzła wargi, nie bardzo wiedząc, jakich argumentów użyć, by odwieść ją od rozpowszechnienia wśród mieszkańców wsi sensacyjnej z pewnością informacji, że dziewczyny podające się za studentki są w rzeczywistości związane z policją i przyjechały tutaj, żeby węszyć.

Kobieta wyczuła chyba, co ją gnębi, gdyż uśmiechnęła się uspokajająco.

– Nie martw się, nie zdradzę, kim jesteście. Ja też chcę, żeby morderca poniósł karę. Myślisz, że to przyjemne, kiedy nie wiesz, który z sąsiadów ma ręce splamione krwią? Może nie dosłownie, bo przecież ją udusił, ale na jedno wychodzi.

– Pani Pelu... – Diona spojrzała niemal błagalnie. – Powie nam pani, o kogo pytała Kamińska? Dzichta nie wpadł na żaden trop, ustalił tylko, że ta dziewczyna nie miała żadnych wrogów, i doszedł do wniosku, że zabójca udusił ją, żeby nie oskarżyła go o gwałt. Ale mnie to jakoś nie przekonuje. Chciałabym wiedzieć, po co właściwie tu przyjechała, tym bardziej że to wypytywanie o nieznaną kobietę też nie jest normalnym zachowaniem wczasowiczki. Głowę dam sobie uciąć, że łączy się to w jakiś sposób z jej śmiercią.

Pelagia przyjrzała jej się, ważąc coś w myślach, później przeniosła wzrok na Inkę. Milczała długo. Nie popędzaly jej. Przeczucie mówiło im, że ta kobieta może pomóc w rozwikłaniu zagadki, lecz nie należy wywierać na nią nacisku. Współpraca musi być dobrowolna, by przyniosła konkretny efekt.

– No dobrze – odpowiedziała z cichym westchnieniem. – Nie lubię obmawiać bliźnich, ale podobno cel uświęca środki. Mam tylko jeden warunek. Opowiecie mi później, dlaczego prowadzicie nieoficjalne śledztwo i dlaczego ty – wystawiła palec w kierunku Diony – bierzesz w tym udział, chociaż nie pracujesz już w policji.

Dziewczyny bez targów przystały na niezbyt wygórowane warunki współpracy.

– W porządku – powiedziała Inka, a Diona potwierdziła.

Pelagia jeszcze się wahała, lecz po chwili ku ich uldze skinęła głową.

– Nigdy nie kolportuję zasłyszanych w sklepie plotek, ale jeśli miałoby to pomóc w złapaniu tego zwyrodnialca, to tym razem zrobię wyjątek. Ale zanim do tego przejdę, muszę wam coś wyjaśnić, bo widzę, że macie co do mnie wątpliwości.

Dziewczyny wsłuchały się w jej słowa, gdy opowiadała o sobie i swoim życiu. Okazało się, co zresztą od dłuższego czasu podejrzewały, że Pelagia Pasierbek wcale nie była prostą, niewykształconą kobietą, za jaką starała się uchodzić. Przez wiele lat wykładała ekonometrię na Akademii Ekonomicznej w Katowicach, gdzie mieszkała wraz z mężem i córką. Potem jej bliscy zginęli w katastrofie hali Międzynarodowych Targów Katowickich, a na wieść o tragedii mieszkająca w Świercznicy teściowa doznała ciężkiego udaru.

Niespełna pięćdziesięcioletnia Pelagia nie zastanawiała się wiele. W błyskawicznym tempie zlikwidowała swoje sprawy w Katowicach i przeniosła się do Świercznicy, by zamieszkać z wymagającą stałej opieki matką nieżyjącego męża. Nie czuła się tu dobrze. Nie miała pojęcia o pracy na roli ani o hodowli zwierząt, lecz gdy tylko wspominała o likwidacji gospodarstwa, widziała pełne rozpaczycy oczy starej kobiety i zaciskając zęby z bezsilności, rezygnowała z pomysłu.

Długo nie potrafiła zasymilować się z lokalną społecznością. Wiedziała, że miejscowi spoglądają na nią podejrzliwie, bezustannie oceniają i czekają wytrwale na jakiś znak świadczący, że wszystko, co robi, robi z wyrachowania. Była obca, a oni na każdym kroku dawali jej to odczuć. Minęły blisko dwa lata, nim Pelagia zrozumiała, gdzie tkwi główna przyczyna tego stanu. Wtedy wyrzuciła eleganckie kostiumy i garsonki, pozbyła się wytwornego obuwia, poniechała perfekcyjnego makijażu i przestała krzywić się pogardliwie na dźwięk gwarowych wyrażeń.

Przez następne dwa lata wytrwale budowała całkiem nowy wizerunek „swojej baby”. Ubrania kupowała w sieciówkach lub ciucholandach, chętnie zatrzymywała się, by odpowiedzieć na pytania o zdrowie teściowej, i coraz częściej wtrącała w wypowiedziach gwarowe słówka. Gdy rok później teściowa zmarła, cała wieś okazała Peli swoje wsparcie. Teraz nie była już postrzegana jako obca. Stała się jedną z nich.

Na parterze domu teściowej mieścił się sklep spożywczy. Funkcjonował tam od lat, a prowadziła go jakaś daleka krewna, wynajmująca pomieszczenie w zamian za symboliczny czynsz. Gdy osiągnęła wiek emerytalny, natychmiast zrezygnowała z pracy, stwierdziła bowiem, że najwyższy czas odpocząć.

Akurat wtedy Pelagia zastanawiała się, co powinna zrobić ze swoim dalszym życiem. Na uczelnię wrócić nie mogła, do gospodarowania nie miała zacięcia, za mąż się nie wybierała. Zresztą to ostatnie i tak było nieosiągalne, trudno bowiem wyjść za mąż, gdy na horyzoncie nie widać żadnego kandydata na owego hipotetycznego męża. Pela nigdy nie była piękną, a przeżyta tragedia, opieka nad wymagającą kompleksowej opieki teściową oraz rozpaczliwa, niedająca zresztą większych efektów harówka na nieurodzajnej roli wyryły na jej twarzy głębokie bruzdy, odbierając resztę urody.

Majątkiem też nie dysponowała, nic więc dziwnego, że mężczyźni nie widzieli w niej obiektu zainteresowania. Tak więc gdy tylko postyszała o likwidacji sklepu, postanowiła go przejąć, by mieć jakieś zajęcie i stały dochód. Choć żyła skromnie, pieniądze uzyskane ze sprzedaży katowickiego mieszkania musiały się kiedyś skończyć, a do emerytury pozostało jeszcze kilka lat.

Pelagia wyjaśniła dziewczynom, że celowo wprowadziła je w błąd, odgrywając wiejską babę. Lubiła w ten sposób pokpiwać z obcych, nieświadomych, że obecnie wiejskie kobiety zachowują się zupełnie inaczej, a i gwarą prawie nikt już się nie posługuje, ograniczając się jedynie do wtrącenia czasem jakiegoś gwarowego słówka.

Polubiły tę nieszablonową kobietę o bystrym umyśle, ciętym języku i z zamiłowaniem do żartów ze strefy czarnego humoru. Gwiazd naszych wina rozwiązały im języki, rozluźniły hamulce, toteż jasno oświetlony pokój nad sklepem do późnej nocy rozbrzmiewał gwarem rozmów i dzikimi wybuchami śmiechu.

– Przenieście się do mnie – zaproponowała Pelagia przy pożegnaniu. – U mnie będzie wam lepiej niż u Szataników, a poza tym oni są przecież podejrzani.

Dziewczęta szły wolno przez uśpioną wieś, rozweselone, co jakiś czas wybuchając śmiechem na wspomnienie dosadnych powiedzonek pani Pelagii. Nie mniej śmieszyło je, że pozwoliły nabrać się jak naiwne dzieci na fałszywy wizerunek prezentowany przez sprytną kobietę.

Po powrocie na kwaterę przez chwilę omawiały uzyskane informacje. Bożena Szatanik została wymieniona jako jedna z „gwiazdek”, prócz tego należała do grona pięciu kobiet, o które wypytywała Wioletta Kamińska, toteż w słowach Pelagii kwalifikujących Szatanikową do grona osób podejrzanych było sporo racji. Tej nocy dziewczyny nie podjęły

jednak żadnej decyzji co do dalszych działań, wiedząc dobrze, że alkohol nie sprzyja logicznemu myśleniu. Obmyślanie taktyki musiało poczekać do jutra.

*

Ostre poranne słońce świeciło prosto w twarz. Diona odwróciła się na drugi bok, lecz wiedząc, że już nie zaśnie, odrzuciła kołdrę i wstała, po czym z cichym jękiem opadła z powrotem na łóżko.

– O matko, chyba umrę – pisnęła, ściskając dłońmi głowę. Miała nadzieję, że w ten sposób uspokoi milion krasnoludków uderzających młoteczkami prosto w mózg.

Z sąsiedniego łóżka doszedł ją podobny jęk. Jemina usiadła ciężko, usiłując zebrać rozchełstane poły niezapiętej piżamy.

– Czemu żadna z nas nie zasłoniła tego cholernego okna? – sarknęła, spoglądając oskarżycielsko na Dionę.

– Bo mi nie pozwoliłaś – odparowała zaatakowana koleżanka. – „Zostaw tę roletę. Chcę patrzeć na gwiazdy” – przedrzeźniała, naśladując rozkapryszony ton głosu Doryckiej, która najpierw spojrzała na nią z niedowierzaniem, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Chyba te gwiazd naszych wina tak na mnie podziały. O Jezusie, moja głowa! Przysięgam, że od teraz będę żyć w abstynencji.

W daczynie nie było chwilowo innych gości, więc nie kłopotząc się przebieraniem, w piżamach zeszły do kuchni. Inka otworzyła lodówkę, lecz na widok znajdujących się tam wiktuałów skrzywiła się i lekko pozieleniała na twarzy.

– Kompotu – wystękała z błyskiem szaleństwa w oczach.

Diona popatrzyła na nią bez cienia sympatii.

– Skąd ci tutaj kompot wezmę, kretynko? Masz zamiar rzygać? To wypad do kibla, bo mi apetyt popsujesz. Na kacu obowiązkowo trzeba zjeść coś na ciepło, wtedy od razu żołądek się uspokaja i mija ten cholerny wewnętrzny dygot.

Inka głośno przełknęła ślinę i dzielnie pokręciła głową.

– Nie będę rzygać, ale na samą myśl o jedzeniu robi mi się jakoś tak niewyraźnie. Zrobię sobie herbaty z cytryną. Podobno pomaga. Chcesz?

Włączyła czajnik i siedząc przy stole, z chmurną miną obserwowała koleżankę podgrzewającą na małym ogniu gulasz przywieziony ze Strzygomia. Na samą myśl o przełknięciu czegokolwiek żołądek poczynił wyprawiać dziwne harce. Ale, o dziwo, gdy w kuchni rozszedł się smakowity zapach, ten sam organ dał o sobie znać głośnym burczeniem, a do ust napłynęła ślina. Inka wstała, zalała herbatę i przystanęła obok koleżanki.

– Ładnie pachnie. Bardzo apetycznie – zagaiła, a gdy nie doczekała się żadnej reakcji, spytała wprost: – Dasz trochę?

– Wiedziałam, że się skusisz – roześmiała się Diona. – Jeszcze się taki nie narodził, co by się oparł gulaszowi Mirabelki. Zobaczysz, że od razu poczujesz się lepiej.

Inka przyjęła to zapewnienie z wielką dozą sceptycyzmu, lecz okazało się, że koleżanka ani trochę nie przesadziła. Po solidnej porcji gulaszu i herbacie z cytryną ze zdumieniem doszła do wniosku, że ma ochotę zapalić.

– Dziwne – stwierdziła, gdy wróciła z pokoju z paczką papierosów oraz zapalniczką i wraz z Dioną ruszyła do kotłowni. – Zawsze na kacu całkiem odrzuca mnie od fajek i w pierwszej chwili nawet planuję skończyć z nałogiem. Potem oczywiście zapominam o tym durnym postanowieniu. Ale to nieważne. Chodzi mi o to, że dzisiaj jest inaczej. Może to sprawa klimatu? Jak myślisz?

Diona pierwsza dotarła do kotłowni. Otworzyła drzwi, zapaliła światło i szcęknęła zapalniczką, a po chwili usiadła na jednej ze skrzynek.

– Nie klimatu, tylko gulaszu – odparła z głębokim przekonaniem. – Niewiele dobrego wyniosłam z mojego małżeństwa, ale jednego nauczyłam się od Kamila: trzeba rano zjeść coś ciepłego, a objawy kaca mijają jak ręką odjął.

Inka skinęła głową i przysiadła na drugiej skrzynce.

– Byłam pewna, że ten dzień trzeba będzie spisać na straty, ale teraz widzę, że nie jest źle. Co robimy? Masz jakiś plan?

– Myślałam o tym przed zaśnięciem. Nie śmiej się, wariatko! – skarciła chichoczącą Dorycką. – Byłam w stanie wskazującym, ale nie aż tak, żeby mi się rozum zawiesił. Pani Pela wymieniła nazwiska pięciu kobiet. Jedną z nich jest Bożena Szatanik i uważam, że trzeba ją wziąć na pierwszy ogień.

– Ty tu rządzisz, ja pełnię tylko funkcję pomocniczą – zgodziła się Inka. – Cztery z tych pięciu kobiet to faktycznie lokalne gwiazdki – rozmyślała głośno. – Żona właściciela kurzej fermy, żona sołtysa, żona lokalnego przedsiębiorcy i żona właściciela komisum samochodowego. Jedynie siostry nauczyciela Pelagia nie zaliczyła do gwiazd, chociaż Wioletta o nią też pytała. Trochę to dziwne, nie uważasz?

– Niby co?

Diona popatrzyła bez większego zainteresowania, co rozgniewało Dorycką. Uważała swoje pytanie za ważne.

– A to, że ta cała Kamińska interesowała się akurat nimi. Czemu nie rozpytywała o zwykłą gospodynię domową? – odparła gniewnie.

– Sorki, ale mnie to się wydaje oczywiste. Ze słów Pelagii wynikało, że interesowała się kobietami, które albo nie pochodziły ze Świercznicy, albo z niej na jakiś czas wyjechały. Tamte po prostu nie spełniały kryteriów.

- O tym nie pomyślałam - przyznała Inka ze skruchą. Zgasiła niedopałek i popatrzyła na koleżankę z ciekawością. - Jak myślisz, o co jej mogło chodzić? Masz jakiś pomysł? Czemu interesowała się kobietami, które były kiedyś wyjechane?

Tuż obok okna rozległo się głośne miauknięcie, a gdy spojrzały w tamtym kierunku, dostrzegły gibki kształt przemykający za szybą. Kremowo-rudo-czarne futerko na moment zastygło w bezruchu, po czym znikło.

- Jaki śliczny. Tricolor - westchnęła Diona z zachwytem. - Zawsze chciałam mieć kota, ale mama ma alergię. - Machnęła ręką i wróciła do pytania Doryckiej. - Może ta poszukiwana kobieta kiedyś zrobiła coś złego? Nie tutaj, tylko gdzieś w Polsce. Nie wiem, może potrąciła kogoś samochodem, zrobiła jakiś przekręt albo знаła kogoś, kto był ważny dla Kamińskiej? Nie mam pojęcia, co by to mogło być, ale jestem przekonana, że Wioletta zginęła właśnie dlatego.

- Dlatego, że szukała tej baby? - upewniała się Inka.

Diona zaprzeczyła ruchem głowy.

- Dlatego, że ją znalazła.

*

Po skromnym obiedzie, na który złożyły się paszteciki od Pelagii i barszcz z torebki, Diona przyrządziła kawę i z chmurną miną zajrzała do prawie pustej lodówki. Nie przewidziała, że w Świercznicy jedynym lokalem jest obskurna mordownia, gdzie chyba jeszcze nigdy nikt nie zamawiał jedzenia. Zapach podłego piwa, poplamione stoliki bez obrusów i smród moczu dobiegający od strony toalety skutecznie powstrzymałyby największego nawet desperata od szukania tutaj posiłku.

Dziewczyna uznała, że kwestia aprowizacji stanowi naprawdę wielki problem. Jej szczupła, wysportowana sylwetka niejednego mogła wprowadzić w błąd, sugerowała bowiem stosowanie diet lub głodówek. Tymczasem Diona uwielbiała jeść, w dodatku natura obdarzyła ją niepospolitym apetytem, który niestety nie korespondował w żadnej mierze z umiejętnościami kulinarnymi. Dziewczyna umiała ugotować jajka, usmażyć jajecznicę, przygotować kanapki... i to by było na tyle.

Okazało się, że Ince również nie po drodze jest z gotowaniem i przed dziewczynami stało widmo głodu.

– Może Pelagia będzie wiedziała, gdzie tu można wykupić posiłki? – zastanawiała się głośno Dorycka. – Że też ta Szatanikowa nie ma żadnej jadłodajni. Co ona sobie wyobraża? Że jej goście żyją powietrzem?

– W ostateczności pojedę do Strzygomia i przywiozę trochę zapasów od Mirabelki. Chodźmy teraz do Szataników – zdecydowała Diona. – Pora zacząć zarabiać na chleb, a przy okazji poinformujemy, że się wyprowadzamy.

Propozycja Pasierbkowej, by zamieszkały u niej, spadła im jak z nieba, uznały bowiem, że nie byłoby właściwe nadal wynajmować pokój od Szataników. Obecność Bożeny Szatanik w gronie „gwiazd” czyniła sytuację niezbyt zręczną.

Włożyły kozaczki i grube zimowe kurtki i skierowały się skrótem przez łąkę w stronę widzianego za drzewami kompleksu budynków. Do przejścia miały niespełna dwieście metrów, lecz nie zdołały pokonać nawet ćwierci dystansu. Wydeptana w śniegu ścieżka, początkowo dość szeroka i w miarę stabilna, po około dziesięciu metrach zmieniła się w wąziutką ścieżynkę przysypaną śnieżnym puchem. Idąca przodem Diona raz po raz zapadała się jedną nogą prawie po pachwinę, a gdy udało jej się wydostać, niemal natychmiast wpadała w śnieg z drugiej strony. Tuż za sobą słyszała głośne

sapanie i wypowiedziane rwącym się ze zmęczenia głosem przekleństwa.

Przeszła jeszcze kilka metrów i przystanęła, po czym odwróciła się i popatrzyła bezradnie na Inkę.

– O kant dupy potłuc taki skrót – wysapała Dorycka, oddychając ciężko szeroko otwartymi ustami. – Kurwa, tu chyba nie ma powietrza w powietrzu.

– Nie chwytaj go tak łapczywie – pouczyła Diona. – Nie ziej jak zgoniony pies, tylko kontroluj oddech. Niech to szlag, musimy wrócić do drogi. – Tak samo zziajana i spocona, głośno przeklinała pomysł pójścia na skróty. – Nie wiem, co mnie podkusiło – wyrzekała. – Przecież tatek tyle razy mnie ostrzegał przed takimi pomysłami. Powinnam była pamiętać, że czwarty król też szedł do Betlejem na skróty.

– I co? – spytała zaintrygowana Inka trochę już normalniejszym głosem.

– I nic – odpowiedziała Diona, chichocząc z jej miny. – Słyszałaś kiedy, żeby do Betlejem zawitali czterej królowie? No widzisz sama. Bo ten czwarty dalej idzie. Podobno ostatnio widziano go w okolicach Olderfjordu.

Jemina przez chwilę usiłowała zwizualizować w myślach mapę Skandynawii, założyła bowiem, że wymieniona nazwa jest szwedzka lub norweska, zaraz jednak uświadomiła sobie absurdalność tego działania. Ale niezbyt mądra historyjka spełniła swoje zadanie – dziewczyna zapomniała na moment o kłopotach z oddychaniem i bezwiednie zaczęła brać normalne hausty powietrza, przez co oddech sam się wyrównał.

– Możemy iść – zdecydowała i ruszyła pierwsza po ścieżce zrytej tak, jakby przeszło nią stado dzików, a nie dwie niezbyt ciężkie dziewczyny.

Po wydostaniu się na główną drogę przyspieszyły kroku. Zasnute ciężkimi śnieżnymi chmurami niebo niechętnie

przepuszczało słoneczne światło i nad wioską zaczęły kłaść się cienie zmierzchu. Przechodziły właśnie obok gospody, gdy minęło je dwóch wyrostków.

– Nie mogę – dosłyszały słowa jednego z nich. – Muszę się pouczyć na sprawdzian, bo Ikar na pewno będzie się do mnie dopierdalał.

– Ochujaleś?! – wykrzyknął drugi. – Peniasz przed Ikarem? Przecież to głupi ciul. Opowiesz jakieś pierdoły o mitycznych bohaterach i od razu da ci spokój z fizyką.

Skręcili w bok między domy i dalsze słowa utonęły w poszumie świerków. Dziewczęta wymieniły rozbawione spojrzenia. Widocznie od ich czasów nic się w szkołach nie zmieniło i nauczyciele nadal mieli zwyczaj robić kartkówki zaraz po feriach, za nic mając zdanie uczniów, że po tak długiej przerwie przydałoby się kilka dni kwarantanny.

Bożena Szatanik powitała gości uśmiechem i zaprosiła do salonu, lecz mina jej nieco zrzędała, gdy Diona zaczęła rozpytywać ją o Wiolettę Kamińską. Niechętne spojrzenie i zaciśnięte w wąską kreskę wargi lepiej niż słowa poinformowały dziewczynę, że kobieta nie zechce udzielić im informacji. Jednakże do zwerbalizowania odpowiedzi nie doszło, nagle bowiem odezwał się nastolatek siedzący z książką w fotelu pod oknem, ignorując znaki dawane mu przez wyraźnie niezadowoloną Szatanikową. Już podczas poprzedniego spotkania nie poddał się matczynemu nakazowi milczenia, a teraz mówił z jakąś źle skrywaną satysfakcją, jakby nieposłuszeństwo sprawiało mu niewymowną radość.

– Ona wcale nie przyjechała tutaj przypadkowo – mówił, spoglądając na matkę ze złośliwym uśmiechem. – Oczywiście nikt tego policji nie powiedział, bo każdy się bał, że będzie na niego.

– Chcesz powiedzieć, że celowo przyjechała do Świercznicy?
– spytała Inka, nadając swojej nieco lalkowatej twarzy wyraz

zdumienia. – Skąd wiesz?

– Słyszałem, jak mówiła o tym Ikarowi – pochwalił się, lekceważąc gniewne syknięcie matki. – Kłócili się. Ona wrzeszczała, że nie po to przyjechała z drugiego końca Polski, żeby teraz jakiś buc zabraniał jej rozmawiać z tym, z kim chce. I jeszcze powiedziała coś takiego... – Zmarszczył brwi w głębokim namyśle. – To brzmiało mniej więcej tak: „To z nią chcę rozmawiać, nie z tobą. I nie powinno cię obchodzić o czym”.

Już drugi raz tego dnia padło przezwisko Ikar, w dodatku ze słów chłopaka wynikało, że ta tajemnicza postać miała jakiś związek z Kamińską, Diona uznała więc, że musi włączyć się do rozmowy i dowiedzieć się, kim jest ów człowiek.

– Jak masz na imię? – zagała.

Chłopak popatrzył z nagłą podejrzliwością.

– A pani co? Glina czy jak, że tak się pani dopytuje?

Rozłożyła ręce w uspokajającym geście.

– Po prostu lubię wiedzieć, z kim rozmawiam. Ja mam na imię Diona, a ona Inka. Wiesz o tym, bo wczoraj się przedstawiłyśmy. Ty nie podałeś swojego imienia, a jakoś muszę się do ciebie zwracać. Przecież nie będę mówić: „ej, ty” ani „ej, chłopcze”.

Po upstrzonej tu i ówdzie pryszczami twarzy przemknął uśmiech. Chłopak skinął głową i odrzekł z powagą:

– Nazywam się Szymon Szatanik. Ale wszyscy mówią do mnie Szatan.

Od strony Bożeny dobiegło pełne lekceważenia prychnięcie i Diona domyśliła się przyczyn napiętej atmosfery między matką a synem. Ona ciągle widziała w nim dziecko, on zaś uważał się za w pełni dorosłego. O tym, że jeszcze taki nie był, świadczyła nadmierna powaga, z jaką traktował wszystko, co dotyczyło jego osoby. Na dźwięk prychnięcia poczerwieniał z wściekłości, w oczach błysnęło coś na kształt nienawiści.

Dziewczyna pomyślała, że jeśli Szatanikowa nie przestanie postrzegać syna jako nierozumnego dzieciaka, wyrośnie między nimi mur nie do pokonania.

Ale nie przyjechała do Świercznicy, by godzić zwaśnionych czy udzielać porad, pominęła więc incydent milczeniem i uśmiechnęła się do chłopaka.

– Bardzo mi miło. Jak chcesz, możesz mi mówić po imieniu. Kto to jest ten Ikar? To nazwisko?

– To nasz nauczyciel fizyki. Taki nawiedzony. – Szymon wykrzywił się w grymasie znamionującym pogardę. – Nazywa się Arkadiusz Wąsik, ale nazywamy go Ikar, bo zawsze pierdzieli nam o Ikarze. Niby że jak człowiek naprawdę do czegoś dąży i się zaprze, to na pewno to osiągnie. Że może dosięgnąć słońca jak Ikar.

– No nie wiem – mruknęła Diona bez przekonania. – Chyba zapomniał, jak ten biedny Ikar skończył.

W odpowiedzi Szymon wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i przybił jej piątkę, jego matka zaś popatrzyła na to z wyraźną wrogością. Widocznie popierała nauczyciela, nie widząc, jak bezsensowny przykład obrał sobie do swych dydaktycznych pogadarek. Siedziała z obrażoną miną, z rękami założonymi na obfitym biuście. Dionie skojarzyła się z wielkim, nastroszonym ptakiem. Kiedyś z pewnością była bardzo ładna, a i teraz na upartego można było doszukać się śladów dawnej urody w rozmytych rysach, gdyż nadmierna tusza nie oszczędziła także twarzy. Ubrana gustownie, choć może nazbyt elegancko jak na popołudnie spędzane w domu, nie wyglądała na osobę, która dobrowolnie dopuściłaby do takiego zniekształcenia figury. Zatem w grę musiała wchodzić choroba.

– O kim mówił ten Ikar? – wtrąciła się Inka. – Co to za jakaś „ona”?

Szymon tylko wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie wymienili ani imienia, ani nazwiska. Może chodziło o jakąś uczennicę? – Spojrzał na Inkę, potem na Dionę, jakby to od nich oczekiwał wyjaśnień. Zaraz jednak dorzucił: – Ale tak sobie myślę, że chodziło o jego siostrę.

– Czemu tak uważasz? – natychmiast podchwyciła Dorycka.

– Bo ta siostra jest stara. – Tu wyraźnie się zmieszał, na jego policzkach pojawił się rumieniec. – Znaczy się dużo starsza od niego – tłumaczył nieskładnie, unikając spojrzenia na matkę. – On ma jakieś trzydzieści, a ona jest po czterdziestce. Tak jak mama, a ona pytała o kobiety w takim wieku. Znaczy się... ta Wioletka pytała.

Dziewczęta wymieniły ukradkiem porozumiewawcze spojrzenia. Zofia Wąsik wprawdzie nie należała do grona świercznickich gwiazd, o których opowiadała pani Pelagia, ale zyskały potwierdzenie, że to ona była piątą z kobiet znajdujących się w centrum zainteresowania Kamińskiej.

– Pewnie masz rację – oświadczyła Diona, czym znowu zaskarbiła sobie jego sympatię oraz niechęć matki. Nie przejmując się nieprzyjaznym grymasem, zwróciła się do kobiety. – Pani Bożenko, proszę nie traktować nas jak wrogów. Nie pytamy z ciekawości. Przecież mówiłam pani, po co tu przyjechałyśmy, a ta historia z Kamińską idealnie pasuje do naszych badań. Niech nam pani pomoże. Obiecuję, że nie wymienimy w tekście prawdziwych nazwisk.

Błagalny i pełen szacunku ton nieco udobruchał zagniewaną kobietę. A może doszła do wniosku, że po słowach syna niewiele już zostało do ukrycia? W każdym razie Bożena Szatanik nagle zaniechała oporu. Westchnęła głęboko i oznajmiła:

– Nie wiem na pewno, bo Wioletka nie powiedziała tego wprost, ale domyśliłam się, o co jej chodziło.

Dziewczęta czekały w napięciu na dalszy ciąg wypowiedzi. Nawet Szymon wyglądał na zaciekawionego, porzucił bowiem

pozę zblazowanego młodzieńca, który dobrze wie, że matka z pewnością nie powie nic mądrego. Gdy uznał, że milczy już zbyt długo, ponaglił ją niecierpliwym:

– O co? Mamo, powiedz!

Chyba nie zdawał sobie sprawy, że zabrzmiało to jak prośba małego chłopca, któremu matka opowiada bajkę na dobranoc, by zdradziła mu końcowy morał. Zaaferowany, nie zauważył też, że trzy kobiety popatrzyły na siebie porozumiewawczo, starannie skrywając rozbawienie.

– O jakieś sprawy rodzinne – oznajmiła Szatanikowa, zerkając to na Inkę, to na Dionę, jakby chciała sprawdzić, czy słowa wywarły należyty efekt.

Kłamie, pomyślała ta ostatnia. *Albo nie mówi całej prawdy. Nie ma widocznie wprawy, dlatego się zdradziła.* Doszła do wniosku, że dosyć ma już tej zabawy w kotka i myszkę.

– Dlaczego nie powiedziała pani policjantowi prowadzącemu śledztwo, że Kamińska kogoś tutaj szukała? Wprowadzanie organów ścigania w błąd jest karalne.

Bożena Szatanik zagryzła wargi, w jej oczach błysnęła panika. Spojrzała na chłopaka i gestem wskazała mu drzwi, lecz Szymon udał, że tego nie zauważył, a na słowa: „Idź do swojego pokoju” ostentacyjnie rozsiadł się na krześle i palcami wybijał na blacie stołu jakiś rytm. Próba sił trwała dość długo i to syn wyszedł z niej zwycięsko, matka zaś westchnęła i opuściła głowę. Mówiła tak cicho, że musiały pochylić się ku niej, by nie uronić żadnego ze słów, których zresztą nie było wiele.

– Bałam się, że się wygadam, więc wolałam powiedzieć, że nic nie wiem.

– Z czym miałyby się pani wygadać? – drażyła Diona. – Co jest złego w tym, że rozmawiałyście ze sobą?

– W tym nic – wyjaśniła gospodyni drżącym głosem. – Ale bałam się o Jacka. Bo ona z nim też rozmawiała, a ja

widziałam, jak na nią patrzył...

– Mamo! – Szymon wpatrywał się w nią ze zgrozą. – Myślałaś, że tata ją... że jej coś zrobił? Dżizas! Chyba cię poje... – Zreflektował się nagle, urwał i dokończył bardziej parlamentarnie: – Pogięło. Przecież tata by nie mógł!

– Mówiłam ci, żebyś stąd poszedł! – syknęła z wściekłością. – To nie są sprawy dla dzieci. No, idź sobie!

W odpowiedzi rozparł się na krześle, wyciągając przed siebie nogi.

– Ani myślę – warknął. – Co z tego, że na nią patrzył? A na kogo miał patrzeć? Na ciebie?

W ostatnich słowach zawarł taki ogrom pogardy, że kobieta aż się skuliła, a jej oczy zaszkliły się łzami.

– Szymon!

Dobiegający od drzwi męski głos był jak cięcie biczem. Chłopak wzdrygnął się i zbladł, potem poczerwieniał. Głos mu lekko drżał, gdy tłumaczył się nieskładnie:

– Bo ona... ona zrobiła z ciebie jakiegoś zboka. – Głos mu się załamał. – A sama jak wygląda? Jak jakiś spaślak! Aż wstyd się przyznać, że to moja mama.

– Dosyć! – Mężczyzna w dwóch wielkich krokach znalazł się w kuchni i stanął nad chłopcem, spoglądając to na niego, to na płaczącą żonę. – Nie będę tolerować takiego zachowania. Natychmiast przeproś matkę!

– Ona wcale nie jest moją matką! – wrzasnął Szymon.

Więcej nie zdołał powiedzieć, gdyż chudym ciałem wstrząsnął szloch. Nastolatek zasłonił twarz dłońmi i wypadł z kuchni, lecz wszyscy i tak zdążyli zauważyć łzy spływające między palcami.

Jacek Szatanik ciężko opadł na krzesło i ujął rękę żony w swoje dłonie. Na siedzące w milczeniu dziewczyny nawet nie spojrział.

– Nie wiem, skąd się dowiedział, że jest adoptowany – mruknął i pokręcił głową, jakby nie dowierzał oczywistym faktom. – Niepotrzebnie uparłaś się na trzymanie tego w tajemnicy. Tak samo z twoim zdrowiem. Powinien wiedzieć, że jesteś poważnie chora i że to przez lekarstwa tak przytyłaś.

– Po co? – szepnęła łamiącym się głosem. – On się mnie wstydzi, bo jestem gruba, a to znaczy, że źle go wychowaliśmy. Czyli to nasza wina.

Diona wreszcie otrząsnęła się z osłupienia wywołanego tą sceną i wstała, dając znak Ince, że powinny wyjść. Wiedziała, że w tej chwili niczego więcej się nie dowie. Wybąkała więc słowa pożegnania i skierowała się ku wyjściu, naciągając po drodze kurtkę, a Dorycka ruszyła tuż za nią. Były już przy drzwiach, gdy zatrzymał je okrzyk Szatanika.

– Nie przychodźcie tu więcej! Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? – zwrócił się do Inki. – Widziałem cię kiedyś w komisariacie, gdy zgłaszałem włamanie. Przyjechałyście tu węszyć? Gównu wam powiem, a wy nie macie prawa nas nachodzić. Złożę na was skargę i jeszcze rozpowiem we wsi, kim naprawdę jesteście. – Uśmiechnął się złośliwie i dodał: – Musicie opuścić pokój, bo za chwilę przyjadą goście z rezerwacją.

Inka nie dała po sobie poznać, jakie wrażenie wywarła na niej groźba ujawnienia ich tożsamości. Gdyby Szatanik ją spełnił, nie miałyby najmniejszych szans na wyciągnięcie informacji z mieszkańców wioski, a ona mogłaby mieć poważne problemy, nawet kto wie, czy nie zaliczyłaby postępowania dyscyplinarnego. Zacisnęła w pięści dłonie ukryte w kieszeniach kurtki i odezwała się z pozornym spokojem:

– Z przyjemnością się wyprowadzimy. I nie próbuj mi grozić. Jeśli ktokolwiek dowie się, kim naprawdę jesteśmy, w tym samym dniu wylądujesz na dołku.

– Ja? – prychnął. – Niby za co?

– A jak to było z Kamińską? – Uśmiechnęła się słodko. – Nie wgapiałeś się w nią lubieżnie? Nie śliniłeś się na jej widok?

Szatanik zmieszał się i niepewnie zerknął na żonę, potem lekceważąco machnął ręką, próbując zbagatelizować sprawę.

– Bez przesady. Jestem mężczyzną, a ona była bardzo ładna. Nawet jeśli na nią popatrzyłem raz i drugi, to jak na razie nie jest karalne. Na was też patrzę.

– Ale my żyjemy, a ona nie. – Uśmiech Inki stał się jeszcze szerszy. – Nie było czasem tak, że chciałeś się z nią przespać, a ona odmówiła? Wtedy ją zgwałciłeś, a potem udusiłeś, żeby się nie wydało?

Szatanik poderwał się zza stołu tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Pomna niedostatków Doryckiej w zakresie walki wręcz Diona na wszelki wypadek wysunęła się naprzód, lecz mężczyzna nie zamierzał atakować policjantki. Wsparł się ciężko o blat i dyszał głośno, usiłując opanować wściekłość.

– To... to nieprawda! Mam alibi. Już to sprawdzaliście.

– Ale zanim je ponownie zweryfikujemy, trochę sobie posiedzisz, a w areszcie bardzo nie lubią takich, co zabijają ładne dziewczyny. Przemyśl to sobie.

To mówiąc, Dorycka odwróciła się do niego plecami i wyszła, a Diona podążyła za nią. Wracały do daczy tak szybko, jak tylko pozwalały na to panujące ciemności, od czasu do czasu rozpędzane przebijającym się przez kłębowisko chmur nikłym blaskiem księżyca. Obie zastanawiały się, czy Szatanik odstąpi od realizacji swoich gróźb. Jeśli nie, ich misję trzeba będzie uznać za zakończoną. A jeśli tak? Czy uda im się wydobyć z jego żony prawdę o rozmowach z Kamińską?

*

Pelagia przyjęła je niezwykle serdecznie. Widać było, że samotnej kobiecie obecność gości sprawiła niebywałą radość. Jak później wyznała, mało kto ją odwiedzał, a i ona rzadko kiedy udawała się do kogoś z wizytą. Właściwie wolała samotność od rozmów o ckliwych serialach, informacje o tym, kto z kim, jak i gdzie, także niespecjalnie ją interesowały. Ale pracując w sklepie, siłą rzeczy słyszała to i owo, i choć nie poczyniła żadnych wysiłków, by zapisać te dane w pamięci, tkwiły tam jakby przyczajone, gotowe objawić się, gdy będą przydatne. Ta chwila właśnie nadeszła.

Zapytana o Szataników kobieta sięgnęła do zasobów pamięci, a gdy wypowiadała zapamiętane kwestie, luźne zdania ułożyły się w spójną całość. Otóż plotka głosiła, że Bożena nie może mieć dzieci. Podobno dość długo się leczyła, lecz efektów w postaci ciąży jakoś nie było widać. Potem Szatanikowie nagle wyjechali, a gdy wrócili, przywieźli z sobą niemowlę. Ponieważ dziecko nie wyglądało na noworodka, sąsiedzi połączyli to z brakiem ciążowego brzucha i doszli do wniosku, że Bożena i Jacek adoptowali chłopca. Widocznie nie powiedzieli mu o tym, a on po usłyszeniu o adopcji od obcych poczuł do rodziców żal – i stąd jego pretensje i agresja.

Nie miało to dla śledztwa żadnego znaczenia, ale Diona nie lubiła niewyjaśnionych wątków, toteż się ucieszyła, że przynajmniej tą jedną kwestią nie będzie musiała zaprzętać sobie głowy. Przeszła więc do sprawy, która nie dawała jej spokoju.

– Jak pani myśli, może coś być w zainteresowaniu Szatanika Wioletką? Czy to możliwe, że właśnie on ją zgwałcił i zabił?

Siedziały we dwie w przytulnej kuchni, popijając herbatę z ogromnych kubków. Inka początkowo dotrzymywała im towarzystwa, lecz nie dotrwała nawet do późnej kolacji. Kiepskie samopoczucie spowodowane syndromem dnia następnego, jak zwykła ten stan nazywać Diona, oraz

zmęczenie przeprowadzką całkowicie wyczerpała ją z energii i w którymś momencie dziewczyna przestała walczyć ze zmęczeniem. Po krótkim „dobranoc” poszła do pokoju udostępnionego im przez Pelę, padła na wersalkę i natychmiast zasnęła.

W przeciwieństwie do niej Diona czuła się całkiem dobrze, siedziała więc zrelaksowana nad kubkiem herbaty i wsłuchiwała się uważnie w słowa Pelagii, wiedząc, że może im w pełni zaufać. Zaraz na początku znajomości zauważyła, że Pasierbkowa jest osobą konkretną, precyzyjnie formułującą swoje wypowiedzi. Nie miała skłonności do konfabulacji jak większość ludzi, a jeśli podnoszona kwestia była tylko jej domysłem lub wywodziła się z plotek, Pela wyraźnie to zaznaczała.

Pytanie Diony sprawiło, że na twarz starszej kobiety wypłynął nieco pobłażliwy uśmiech, mówiący, że Pelagia uważa rozmówczynię za nieznającą życia, bardzo jeszcze naiwną istotę.

– Wioletka była bardzo piękną i zgrabną dziewczyną. Szatanik musiałby być ślepy, żeby tego nie zauważyć. Nie wiesz, że faceci wgapiają się w ładne panny, zwłaszcza takie, które mają czym oddychać? To uwarunkowanie genetyczne i nic nie mogą poradzić na to, że oko im samo ucieka.

– Ale jednak...

Pelagia nie pozwoliła Dionie dokończyć.

– Nie trać czasu na rozważanie jego kandydatury. Znam go, on tylko w gębie jest mocny, a tak naprawdę muchy by nie skrzywdził. Gdyby było inaczej, przede wszystkim zabiłby żonę, bo ona potrafi być naprawdę wredna i jeździ po nim jak po łysej kobyle. Szatanik to ostatnia osoba, którą podejrzewałabym o stosowanie przemocy.

Diona nie próbowała już dyskutować, choć nie wyglądała na przekonaną. Usiłowała przypomnieć sobie słowo w słowo

rozmowę z Bożeną Szatanikową, cały czas miała bowiem wrażenie, że umyka jej coś bardzo ważnego. Niestety pamięć uparcie odmawiała współpracy, dziewczyna wróciła więc do kwestii adopcji. Może została przeprowadzona nielegalnie i stąd ten strach...?

– Tak, to właśnie było to! – wykrzyknęła, wprawiając Pełę w ogromne zdumienie.

– Chcesz, żebym zeszła na zawał? – spytała gospodyni z wyrzutem. – Co było czym i czemu tak wrzeszczysz, jakbyś wpadła gołym zadkiem w ostrężyny?

Diona wyobraziła sobie siebie wpadającą z obnażonymi pośladkami w krzak kolczastych jeżyn i wzdrygnęła się lekko. Potem wyjaśniła Pelagii, co wywołało tak gwałtowną reakcję. Gdy rozmawiała z Szatanikową, z oczu kobiety nawet na moment nie zniknął wyraz strachu, a kiedy padł temat adopcji, strach zamienił się w przerażenie, było zatem wielce prawdopodobne, że nie przeprowadzono jej zgodnie z prawem.

– Nie pamięta pani nic więcej? – Popatrzyła niemal błagalnie.

Teraz Pasierbkowa pogrążyła się w głębokiej zadumie. Wpatrzona niewidzącym wzrokiem w zaokienną ciemność bezgłośnie poruszała wargami, jakby sama sobie opowiadała jakąś historię. Nagle klepnęła się w czoło.

– O Boże, ale jestem durnowata! Już się wystraszyłam, że dopadły mnie początki demencji, ale na szczęście to tylko głupota.

W jej głosie dała się słyszeć taka ulga, że Diona parsknęła śmiechem. Pelagia Pasierbek była ostatnią osobą, którą można by podejrzewać o głupotę czy demencję. Żywemu, lotnemu umysłowi tej kobiety naprawdę nie dało się nic zarzucić.

– Co się stało? Coś sobie pani przypomniała?

Pelagia zachichotała, zakrywając dłonią usta.

– Tak to jest, jak się podsłuchuje – stwierdziła sentencjonalnie. – To właśnie w ten sposób rodzą się plotki. Podsłuchasz część, resztę sobie dopowiesz i w świat rusza nowa informacja, całkiem różna od pierwotnej.

Na swoje usprawiedliwienie miała to, że słuchanie plotek było w zasadzie wpisane w jej zakres czynności. Gdy przejęła sklep po poprzedniczce, nie próbowała nawet walczyć ze zwyczajem miejscowych kobiet traktujących zakupy jako coś w rodzaju spotkań towarzyskich, wiedząc dobrze, że byłaby to walka z wiatrakami. Najwytrwalszym klientkom pobyt w sklepie zajmował niekiedy nawet godzinę, gdyż z każdą nowo przybyłą osobą musiały zamienić bodaj kilka słów. Siłą rzeczy właścicielka sklepu słyszała większość tych rozmów, ponieważ kobietom nie przyszło do głowy, że mogłyby zniżyć głos. Przeciwnie, zdawały się szcycić tym, że jako pierwsze przekazują ważne nowiny.

– Co to były za newsy? – dociekała Diona, poznając po minie Peli, że zaraz usłyszy jakąś sensacyjną wieść. – I dlaczego mówiła pani o demencji?

– Bo byłam pewna, że Bożena wyjechała ponad dwadzieścia lat temu, a przecież Szymon ma dopiero siedemnaście. To jakim sposobem mogli go wtedy przywieźć?

Pelagia spojrzała pytająco na dziewczynę, jakby właśnie od niej oczekiwała odpowiedzi. Zaintrygowana Diona automatycznie rozłożyła ręce w geście oznaczającym bezradność, po czym uświadomiła sobie absurdalność własnego zachowania i parsknęła urywanym śmiechem.

– Musiała pani pomylić daty – stwierdziła po chwili. – Szymon jest w pierwszej klasie ogólniaka. Nawet gdyby powtarzał którąś klasę, to na pewno nie ma dwudziestu lat. On nawet na te swoje siedemnaście nie wygląda.

Spojrzała na Pelę i przekonała się, że kobieta wcale nie przejęła się jej słowami. Przeciwnie, przytaknęła im krótkim

skinieniem.

– Masz rację. To samo sobie pomyślałam. Tylko że byłam całkowicie pewna, że nie mylę się co do wyjazdu i dlatego w pierwszej chwili się przeraziłam, że coś jest ze mną nie tak. Moja mama miała alzheimera...

Teraz Diona zrozumiała przyczyny jej niepokoju. Podejrzewała, że będąc na miejscu Peli, także poczułaby się nieswojo, gdyby zorientowała się nagle, że nie może polegać na własnej pamięci. Nic dziwnego, że po wykryciu omyłki w oczach kobiety rozbłysła autentyczna ulga.

– Jak w końcu było z tym wyjazdem? – spytała, zaintrygowana miną Pasierbkowej. Widać było, że kobieta trzyma w zanadrzu jakąś niespodziankę.

– Było tak, jak myślałam – odparła z satysfakcją zapytana. – Widzisz, kiedy nagle wyjechała Małgosia Bobkowska, żona właściciela warsztatu ślusarskiego, kobiety przypomniały sobie, że to nie pierwszy taki wypadek. Była mowa o tym, że gdy Jacek był w wojsku, Bożena pokłóciła się z teściową i nagle wyjechała. Niektóre z sąsiadek ją potępiały, inne wykazywały zrozumienie, twierdząc, że z matki Jacka był kawał cholery i nawet święty by z nią nie wytrzymał. Jakikolwiek był powód, wyjazd miał miejsce, gdy Jacek Szatanik od pół roku przebywał w wojsku. Teraz ma czterdzieści cztery lata, więc sama rozumiesz.

Dionie nie wydało się to żadnym dowodem, o czym nie omieszkała poinformować Pelagii, ale kobieta tylko wzruszyła ramionami.

– Ukończył technikum, więc zdając maturę, miał dwadzieścia lat – odparła spokojnie. – Był bardzo zdolny, na pewno nie powtarzał klasy. Zdawał na politechnikę, ale zabrakło mu kilku punktów, czym ponoć wcale się nie przejął, bo nie chciał rozstawać się z Bożeną. Podobno był o nią cholernie zazdrosny. Wzięli ślub zaraz po tym, jak ukończył

dwadzieścia jeden lat, co oczywiście komentowano w wiadomy sposób, ale ona wcale nie była w ciąży. Po prostu wymyślili sobie, że dzięki temu Jacek jako jedyny żywiciel wyreklamuje się z wojska. Tylko że plan nie wypalił i Szatanika wzięli do woja kilka miesięcy później, więc musiał mieć wtedy dwadzieścia jeden lat.

Pasierbkowa przerwała opowiadanie, chcąc zwilżyć gardło kilkoma łykami herbaty, a Diona wykorzystwała tę pauzę na przeanalizowanie jej słów. Nie dopatrzyła się w nich niespójności, a historia z wojskiem pomogła usytuować zdarzenie w czasie, zatem błąd musiał tkwić gdzie indziej. I chyba wiedziała gdzie.

– Mówiła pani, że Szatanikowie wyjechali, a potem wrócili z dzieckiem. Nie mogli tego zrobić, gdy Jacek był w wojsku – wytknęła tę oczywistą nieścisłość. – Musiała pani coś pokręcić w datach.

Pelagia tylko się uśmiechnęła.

– Masz rację – odparła lekko. – To był drugi powód do niepokoju, że coś ze mną jest nie tak. Ale bez obaw, wszystko w porządku. To po prostu efekt słuchania jednym uchem. Nigdy nie przywiązywałam wagi do plotek, dlatego w pamięci zżeniły mi się dwa wyjazdy Szatanikowej. Ona wyjechała z wioski dwa razy, rozumiesz? Raz jakieś dwadzieścia trzy lata temu, a drugi raz w dwa tysiące drugim, czyli przed siedemnastu laty. O tym też te plotkary wspomniały, gdy zniknęła Bobkowska, a ja podświadomie połączyłam dwa zdarzenia w jedno. – Urwała, rozmyślała przez chwilę, po czym przyznała: – Nie mam pojęcia, o który z tych wyjazdów mogło chodzić Kamińskiej.

Diona również nie miała pojęcia, lecz logika podpowiadała jej, że o ten drugi. Pierwszy wyjazd wyglądał na desperacką próbę wyrwania się młodziutkiej mężatki spod władzy dominującej teściowej, nie widziała więc w nim nic mogącego

wzbudzić zainteresowanie osób trzecich. Dla jasności sytuacji postanowiła ustalić jeszcze jedno.

– Czy te kobiety wspominały coś o tym, dokąd Bożena wyjechała? Wtedy, gdy uciekła od teściowej?

Pelagia zmarszczyła brwi, sięgając głęboko do zakamarków pamięci.

– Podobno przebywała u matki – odezwała się po kilku minutach.

– Myślałam, że była mieszkanką Świercznicy – zdziwiła się Diona. – Gdzie w takim razie mieszkała? W Jodłowcu? W Osinach?

– Nie, to nie tak – zaproponowała kobieta. – Ojciec Bożeny zginął w jakimś wypadku w pracy. To było bodajże zaraz po tym, jak Bożena zdała maturę. Matka pochodziła z jakiejś wsi koło Bielska-Białej i po śmierci męża wróciła do rodzinnego domu. Bożena była zakochana i nie chciała wyjeżdżać. Zamieszkała z Jackiem, potem wzięli ślub, ale po kłótni z teściową wyprowadziła się do matki.

Zrobiło się już bardzo późno, więc zakończyły pogawędkę. Diona podziękowała Pelagii za informacje i poszła do pokoju, gdzie pochrapywała Inka. Po szybkim prysznicu usiłowała pójść w jej ślady, lecz sen nie nadchodził, przeganiany natrętnymi myślami o Szatanikach. Dlaczego Kamińska interesowała się wyjazdem Bożeny? Pierwszy został wykluczony, w grę musiał zatem wchodzić drugi, ten związany z adopcją. Tylko dlaczego obca osoba miałaby o to rozpytywać?

Nagła myśl sprawiła, że dziewczyna gwałtownie usiadła na łóżku. Przecież Wioletka mogła szukać brata, z którym rozdzielono ją w dzieciństwie! Sama również została adoptowana. Jeśli jej biologiczna matka należała do tak zwanej patologii, mogła na przestrzeni lat urodzić i oddać do adopcji więcej niż jedno dziecko. Jest wielce prawdopodobne,

że Wioletta dowiedziała się o istnieniu brata i przyjechała do Świercznicy, by się z nim spotkać. Ale dlaczego w takim razie nie знаła nazwiska adopcyjnej rodziny? Bo nie mogła znać, skoro brała pod uwagę kilka kobiet.

Gonitwa myśli sprawiła, że Diona wreszcie poczuła senność. Dziewczyna zerknęła na zegar w telefonie i zdziwiła się, że już minęła trzecia. Dopiero teraz dopadło ją zmęczenie, zrezygnowała więc z dalszych rozważań i opadła na poduszkę, postanawiając, że rano ruszy nowym tropem. Coś jej mówiło, że śmierć Wioletty wiąże się z jej poszukiwaniami. Najwyraźniej ktoś nie chciał, by Kamińska dotarła do prawdy. Czyżby jednak Jacek Szatanik? *Jeśli to on, Peli będzie przykro. Ona tak w niego wierzy* – pomyślała, zanim zapadła w głęboki sen.

Rozdział 4

Król Itaki i owaki

Po wyjściu dziewcząt Jacek zwrócił się do żony, chcąc dowiedzieć się, o czym rozmawiała z tymi dwiema, lecz rzut oka na jej pobladłą twarz wystarczył, by zrezygnował. Rozmowa musiała poczekać, zdrowie Bożeny było ważniejsze.

Ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że choroba odeszła, i maniacko wręcz kontrolował, czy żona zażywa przepisane jej leki i czy przestrzega diety. Szymon mylił się całkowicie, sądząc, że ojcu przeszkadza tusza matki. Według Jacka mogłaby przytyć jeszcze raz tyle, byleby tylko żyła. Zresztą spoglądając na Bożenę, nadal widział on tę szczupłą, śliczną dziewczynę, w której przed laty się zakochał.

Spotkali się rano przy śniadaniu i dopóki Szymon nie wyszedł do szkoły, wymieniali niezobowiązujące uwagi o niczym. W którymś momencie zaczerwieniony z emocji chłopak przeprosił matkę i atmosfera uległa znacznemu ociepleniu, lecz gdy drzwi zamknęły się za nim z lekkim trzaskiem, w kuchni Szataników zapadła krępująca cisza. Ciężała obojgu małżonkom, a jednak żadne z nich długo nie odważyło się jej przerwać.

Bożena wyjęła z pudełka chusteczkę, wytarła zdradliwe łzy i wstała, chcąc wyjść z pomieszczenia, lecz Jacek bez słowa złapał ją za rękę i zmusił, by na powrót usiadła. Zaskoczona, podniosła na niego wzrok, ale ku jej zdumieniu w dalszym ciągu milczał i tylko wpatrywał się w nią bez słowa. Przez

chwilę usiłowała dotrzymać mu pola i nawet nie mrugała, odwzajemniając spojrzenie, lecz w końcu westchnęła, odwróciła wzrok, a potem zaatakowała, chcąc raz na zawsze rozwiązać wątpliwości:

– Chcę się wreszcie dowiedzieć, gdzie wtedy byłeś. Muszę mieć pewność, że to nie ty zabiłeś tę dziewczynę.

Aż się wzdrygnął na te słowa.

– Nie ufasz mi? Po tylu latach?

– Właśnie po tylu latach – odparła twardo. – Wiem, jak teraz wyglądam, i widziałam, jak na nią patrzyłeś. A tamtego popołudnia nie było cię w domu i gdyby nie to, że skłamałam przed policją, od razu by cię aresztowali.

– A ty niby jesteś taka święta? – skontrował. – Nie udawaj niewiniątka, bo sama też popełniłaś przestępstwo.

Bożena zbladła tak bardzo, że aż się przeraził. Chwycił ją za rękę, lecz odtrąciła go niecierpliwie i zastygła w bezruchu, spoglądając niewidzącym wzrokiem na zaokienną szarość. W głowie czuła zamęt; jedna myśl goniła drugą, a wszystkie sprowadzały się do jednego pytania. „Skąd Jacek się dowiedział?” W końcu opanowała się na tyle, by powziąć postanowienie. Nie przyzna się do niczego. Przywołała na twarz niepewny uśmiech.

– O czym ty mówisz? – udała zdziwienie.

– Jak to: o czym? – Teraz on się zdziwił. – Przecież sama przed chwilą powiedziałaś, że skłamałaś tamtemu policjantowi. I to jest prawda, bo dałaś mi fałszywe alibi. Za to też można pójść do więzienia.

Spoglądał w osłupieniu na żonę, która nagle wybuchnęła szaleńczym śmiechem. Śmiała się i śmiała tak długo, że w końcu śmiech przerodził się w szloch, a potem w głośny płacz. Nie miał pojęcia, że niewypowiedziana ulga także może wywołać taką reakcję.



Diona podzieliła się z Inką swoimi przemyśleniami, gdy po szybkim śniadaniu zmierzały w stronę domu sołtysa. Zdecydowały, że porozmawiają z nim w pierwszej kolejności, od Peli bowiem dowiedziały się, że Kamińska wielokrotnie go odwiedzała, a później opuszczała jego dom z zagniewaną miną. Kiedyś nawet zaczepiła go w sklepie, a wówczas zdenerwował się tak, że według słów Pelagii omal jej nie uderzył. Najpierw Wioletta mówiła cicho, lecz gdy zaczął wymachiwać rękami przed jej twarzą, wykrzyknęła: „Chcę z nią tylko porozmawiać! To naprawdę bardzo ważne”. W głosie brzmiały błagalne nuty, lecz ani odrobinę nie zmiękczyły serca mężczyzny. Po wypowiedzianych gniewnym tonem słowach: „Zostaw nas w spokoju” porzucił na środku sklepu pełen zakupów koszyk i wyszedł, grożąc na odchodnym oskarżeniem o nękanie.

Podczas rozmowy z policjantem prowadzącym śledztwo nie wspomniał o tym incydencie nawet słowem, przeciwnie, scharakteryzował Wiolettę Kamińską jako ładną, miłą i sympatyczną dziewczynę, zastrzegając przy tym, że osobiście nie miał przyjemności z nią rozmawiać i jego ocena wynika wyłącznie z obserwacji.

Diona po raz kolejny pomstowała na Waldemara Dzichtę, przeklinając go tak wymyślnie, że Inka nie wytrzymała i wybuchnęła niepowstrzymaną wesołością.

– Co ci zawiniła jego biedna żona? – wydyszała pomiędzy jednym a drugim paroksyzmem śmiechu.

– O czym ty bredzisz? Nawet nie wiedziałam, że Dzichta ma żonę. Nie znam człowieka. Co żona ma do jego niekompetencji?

Dorycka spojrzała na oburzoną koleżankę i znów się roześmiała.

– Jeśli zgodnie z twoim życzeniem uschną mu jaja, żona nie będzie miała z niego żadnego pożytku.

Po zasepionej twarzy Diony przemknął cień uśmiechu.

– Wątpię, czy kiedykolwiek miała z nich jakiś pożytek. On sobie palcem do dupy nie trafi, a co dopiero... – Urwała i dorzuciła już spokojnie: – Gdyby porozmawiał z Pełą zaraz po zabójstwie, miałby szansę natychmiast ująć sprawcę. Ludzie byli podenerwowani, nie mieli głowy do wymyślania tych niestworzonych historii, którymi zapewne teraz nas uraczą, i jestem pewna, że można by wyłuskać z ich zeznań coś sensownego.

Inka obejrzała się na nią, przez co nie zauważyła kałuży pokrytej cienką taflą lodu i weszła w sam jej środek. Rozległ się cichy trzask, potem chlupot, a w następnej chwili dziewczyna klęła głośno, strzepując wodę i błoto z nogawek dżinsów i spoglądając jednocześnie złym wzrokiem na zaśmiewającą się koleżankę.

– Bardzo śmieszne – warknęła.

Diona westchnęła cicho. Zdążyła się już przekonać, że ładna policjantka wcale nie ma tak łatwego charakteru, jak można by wnioskować na podstawie wyglądu. Niewinna, nieco lalkowata twarzyczka wprowadzała w błąd. Owszem, Inka miała poczucie humoru i dawała się lubić, ale jednocześnie była wyjątkowo przewrażliwiona na punkcie swojej osoby, nie znosiła żadnej krytyki i nie lubiła żartów na swój temat. Na dłuższą metę stawała się przez to męcząca i Diona nie zmartwiłaby się, gdyby Dorycka została odwołana. Do tego jednak potrzebny był kontakt z Marcinem, co wbrew pozorom wcale nie było proste.

Przed wyjazdem umówili się, że Marcin nie będzie do niej dzwonić, gdyż rozmowa z nim wymagała całkowitej dyskrecji.

To ona miała się z nim kontaktować i zdawać relacje z postępów nieoficjalnego śledztwa. Potem, gdy zamiast Lipskiego u Mirabelki pojawiła się Dorycka z teczką zawierającą streszczenie dotychczasowych ustaleń, policjantka oznajmiła, że z nich dwóch właśnie ona została wyznaczona do kontaktów z aspirantem pełniącym obowiązki komendanta komisariatu.

Dziewczyna przyjęła wtedy tę decyzję z pozornie obojętnym uśmiechem, lecz w głębi duszy poczuła urazę i od tamtej pory niejednokrotnie zastanawiała się, dlaczego Marcin zmienił nagle zdanie. Nie dość, że bez wcześniejszego uzgodnienia uszczęśliwił ją asystą, to jeszcze nie życzył sobie, by do niego dzwoniła. Tak to odebrała i była pewna, że się nie myli. W przeciwnym razie po cóż by zaznaczał, że to jednak Jemina ma się z nim kontaktować w sprawach śledztwa?

Nie bardzo wierzyła w słowa Doryckiej, że ma to być zabezpieczenie na wypadek, gdyby ich misja pod przykrywką się wydała. Mógłby mieć kłopoty, że oddał śledztwo w ręce cywila, a rozmowy telefoniczne stanowiłyby tego dowód. Wyjaśnienie wydało jej się bezsensowne i naciągane. Widocznie Marcin nie uznał Dionizy Remańskiej za osobę godną zaufania, skoro postarał się o policyjny nadzór.

A może nie chce z nią rozmawiać, bo obraził się o to, że nie chciała z nim pójść na kawę? Wiedziała, że Lipski się w niej podkochuje, zresztą dawał jej to nieraz do zrozumienia. Tylko że kiedyś powiedziała mu wprost, iż nie jest gotowa na nowy związek, a on przyjął to wyznanie z uśmiechem i nic nie wskazywało na to, by poczuł się urażony.

Diona pokręciła głową, gubiąc się w tych domysłach. Doszła do wniosku, że będzie musiała wyjaśnić z nim tę kwestię. Najpierw zdecydowała, że złamie zakaz kontaktowania się i zadzwoni, ale zaraz zmieniła zdanie. Kilka dni jej nie zbawi, a przecież już niedługo ich pobyt w Świercznicy dobiegnie

końca. Żeby oderwać myśli od irytującego tematu, opowiedziała ciągle naburmuszonej Ince o nocnych przemyśleniach.

– I co ty na to, że szukała brata?

– A czemu nie siostry? – burknęła Dorycka, lecz w jej oczach już rozpalał się błysk zaciekawienia.

– Dlatego że interesowała się Szatanikami, a Szymon Szatanik na pewno nie jest dziewczyną – odparła z lekkim zniecierpliwieniem. – Przecież dopiero co mówiłam, że musiał ją interesować drugi wyjazd Bożeny, bo w pierwszym nie widzę nic ciekawego. Ucieczka do matki po kłótni z teściową jest tak banalna...

– Dobrze już – przerwała jej Inka. – Tak tylko spytałam, żeby cię wkurzyć. – Po krótkim namyśle dodała: – Możesz mieć rację. Dotarła do biologicznej matki, dowiedziała się, że ma brata, i zaczęła go szukać. Całkiem prawdopodobne.

Diona nie odpowiedziała, gdyż naraz pojawiły się nowe wątpliwości. Jeśli ta hipotetyczna biologiczna matka podpowiedziała, gdzie należy szukać chłopaka, to znaczy, że wiedziała, kto go adoptował. A wówczas znałaby nazwisko rodziców adopcyjnych i raczej pamiętałaby właśnie to, a nie nazwę wsi. Czy w ogóle taki był powód tych poszukiwań? Jeśli tak, to po co Kamińska z uporem maniaka domagała się rozmowy z żoną sołtysa? Królowie w ogóle nie mieli syna, tylko dwie córki, w dodatku obie młodsze od Szymona Szatanika. *Coś tu ewidentnie nie gra*, stwierdziła, gdy dochodziły do domu Królów.

Szczyście wyraźnie im sprzyjało, gdyż drzwi otworzyła im piętnastoletnia na oko dziewczyna. Popatrzyła bez większego zainteresowania i nie pytając o powody wizyty, ze znudzoną miną gestem zaprosiła je do środka. Weszły do przeładowanego meblami pokoju, do tego stopnia

obstawionego bibelotami, że Diona zaczęła podejrzewać gospodarzy o jakąś manię.

Celowo nie usiadła, tylko przystanąła w drzwiach, by móc obserwować córkę gospodarzy, zafascynowana jej wyglądem. Włosy nastolatki sięgały ramion i miały kolor wściekłego fioletu. Diona nie takie kolory włosów już widywała, więc przeszłaby nad fryzurą do porządku dziennego, gdyby nie fakt, iż dotyczyło to tylko lewej połowy głowy. Prawa została ostrzyżona na krótko i ufarbowana na zielono. Całości dopełniał dziwaczny makijaż. Rzęsy zostały wytuszowane tak grubo, że przypominały czułki owada, oczy obwiedziono grubą czarną kreską, a twarz upudrowano na trupioblady kolor, od którego odbijały się sztuczne buraczkowe rumieńce.

– Mamo! – Dziewczyna stanęła u stóp schodów i wrzasnęła na całe gardło. – Jakież kobiety do ciebie!

Z góry dobiegł miły w brzmieniu głos.

– Co to za panie?

– Nie wiem. Mnie to wali.

Nastolatka odwróciła się, zerknęła ukradkiem w stronę obserwującego ją gościa i zniknęła w głębi domu. Diona stłumiła śmiech. Pamiętała jeszcze własny okres buntu, więc w pewnym stopniu rozumiała zachowanie dziewczyny. Jednakże nie przypominała sobie, by kiedykolwiek zrobiła z siebie aż takiego cudaka.

U szczytu schodów ukazała się kobieca postać.

– Amela! Amelia, gdzie ty jesteś? – Schodziła wolno, nie spuszczać wzroku z ciągle stojącej w drzwiach Diony. – Ja kiedyś zwariuję z tą smarkulą – mamrotała. Podeszła do gościa z wyciągniętą ręką. – Pani do mnie? Izabella Król.

Diona odwzajemniła uścisk.

– Dioniza Remańska. A to moja koleżanka, Jemina Dorycka. Gestem dłoni wskazała w głąb pokoju, gdzie Inka z zachłanną ciekawością w oczach przyglądała się statuetce

czarnoskórego wojownika z dzidą w ręce i ogromnym penisem między nogami. Przedstawiła gospodyni cel wizyty, dość długo rozwodząc się nad koniecznością przeprowadzenia badań w takich właśnie małych miejscowościach jak Świercznica.

Izabella Król słuchała z zainteresowaniem, wreszcie skinęła głową i zaproponowała kawę, lecz Diona natychmiast odmówiła, udając, że nie dostrzega rozczarowania koleżanki. Sama również chętnie by się napiła, lecz chciała wykorzystać nieobecność sołtysa do wypytania żony, a wiedziała, że przygotowanie napoju zajmie trochę czasu. Nie mogły przejść bezpośrednio do interesującej je kwestii. Żeby nie wypaść z roli, musiały wpierw zapytać o życie we wsi i stosunki z sąsiadami.

Pierwsze wrażenie zdawało się odpowiadać rzeczywistości. Żona sołtysa, zadbana, odrobinę zbyt szczupła kobieta w okolicach czterdziestki, okazała się tak samo miła jak jej głos, w dodatku cechowały ją poczucie humoru i spora doza autoironii.

– Czy nie mogłybyście zwracać się do mnie po imieniu? – spytała z komicznie żalowaną miną, gdy po raz kolejny została nazwana „panią Król”. – Brzmi to jak jakiś gender i ksiądz gotów wykląć mnie z ambony.

– A jak nazywają panią sąsiedzi? – zainteresowała się Inka.

– Niemal wszyscy mnie tu znają, więc jestem dla nich po prostu Izką. Ale gdy mówią o mnie, to określają mnie mianem sołtysowej.

Wstrząsnęła się lekko i wysupłała cienkiego papierosa z płaskiej paczki, gestem dając gościom znak, że również mogą zapalić.

– Sołtysowa nie brzmi najgorzej – stwierdziła Diona i wydmuchała wąską strużkę dymu. – Mogliby jeszcze nazywać panią Królową.

Kobieta roześmiała się tak serdecznie, że aż łzy zalśniły w piwnych oczach.

– I niestety niektórzy tak właśnie robią – przyznała po chwili, gdy już opanowała rozbawienie. – Ale wróćmy do interesującego was tematu, skoro się spieszycie. Tylko nie wiem, czy będę mogła wam jakoś pomóc. Nie jesteśmy miejscowością atrakcyjną turystycznie, dlatego nie pojawia się tu zbyt wielu obcych.

– Przecież Szatanikowie mają tę dację, w której wynajmują pokoje – wtrąciła natychmiast Inka. – Interes nie idzie? Nie ma obłożenia?

Nie wydawało się, by wspomnienie o daczy i mieszkających tam gościach wywarło na Izabelli jakieś szczególne wrażenie. Wydeła lekko usta i lekceważąco machnęła dłonią ozdobioną wąską obrączką. Prócz niej nie nosiła żadnej biżuterii. Spoglądając na jej ciemne legginsy i czarną tunikę w bordowe i złote mazaje, Diona zastanawiała się, jak to możliwe, że kobieta wykazująca tyle dobrego smaku mogła urządzić coś tak koszmarnego jak ten pokój. Gospodyni najwyraźniej zauważyła jej konsternację i połączyła z pełnymi przerażenia spojrzeniami rzucanymi na półki kipiące bibelotami, gdyż znów się roześmiała, obejmując jednocześnie salon szerokim gestem wyciągniętej ręki.

– To jest właściwie dom mojej teściowej, więc chcąc nie chcąc, muszę się godzić na pewne rzeczy. Na przykład wystrój wnętrza. – Zagryzła wargi i zmarszczyła brwi, lecz zaraz rozpogodziła się i mówiła dalej: – Nieważne. Co do Szataników, to miewają od czasu do czasu jakichś gości na nocleg, ale ci ludzie raczej nie mają zwyczaju chodzić po wsi i integrować się z mieszkańcami. Większości z nich nigdy nawet nie widziałam.

– A Wioletta Kamińska? – rzuciła Diona, starając się, by brzmiało to obojętnie. – Podobno była u was kilka razy.

– Kto taki? Nie przypominam sobie...

Kobieta sprawiała wrażenie zdziwionej, w dodatku nie wyczuwało się w tym fałszu. Dziewczyny poczuły się zdezorientowane.

– To ta dziewczyna, którą ktoś zamordował – wyjaśniła Inka, nie spuszczać wzroku z rozmówczyni. – Pani Izo? – ponagliła, gdy kobieta, zamiast odpowiedzieć, zapatrzyła się w ścianę ozdobioną olejnym malowidłem przedstawiającym Matkę Boską dźwigającą na rękach Dzieciątka wielkości sporego cielaka.

– Musiałam się zastanowić – odparła po chwili spokojnie, bez śladu nerwowości, której dziewczyny się spodziewały. – Pamiętam ją, ale zapomniałam, jak się nazywała. Rozmawiałam z nią tylko raz, więc nie wiem, dlaczego ktoś miałby twierdzić, że przychodziła tu częściej. Może źle pani zrozumiała?

– Pani Pe... – zaczęła Inka i urwała, widząc rozpaczliwe znaki dawane jej przez koleżankę. – No co? – spytała, autentycznie zdziwiona.

Diona wzniosła oczy do nieba, choć miała ochotę zakląć siarczyście. Zaczynała rozumieć, dlaczego Dorycka ugrzęzła na dyżurce, mimo że komendant Roszak chciał z niej zrobić dochodzeniowca.

– Szkoda czasu na zastanawianie się, dlaczego ktoś rozsiewał nieprawdziwe informacje – zdecydowała i zwróciła się do Izabelli Król, nie dając Ince szans na protesty: – Jak wyglądała pani rozmowa z Kamińską? Może pani o niej opowiedzieć?

– No cóż – kobieta na moment się zawahała – chyba nie będzie to naruszeniem prywatności tej biednej dziewczyny, tym bardziej że nie rozmawialiśmy o niczym ważnym. Ona też pisała jakąś pracę i interesowało ją, czy kiedykolwiek wyjechałam stąd na dłużej. Trochę to dziwne, prawda?

– Bo ja wiem? – Diona udała zastanowienie. – Przy tego typu badaniach większość pytań wydaje się dziwna. Co jej pani odpowiedziała? Czy Kamińską usatysfakcjonowała rozmowa z panią?

Pani Izabella zaczęła dość rozwlekle opowiadać o tym, jak w wieku dziewiętnastu lat wyjechała do Włoch, by zarobić trochę grosza. Utrzymywała ten wyjazd w tajemnicy na życzenie ojca, który wstydził się, że nie jest w stanie zapewnić rodzinie odpowiedniego standardu życiowego. Po wsi krążyły wówczas różne plotki, od ślubu z bogatym i pięknym młodzieńcem do porwania przez mafię.

– Najbardziej rozśmieszyło mnie to ostatnie – mówiła Izabella, uśmiechając się ironicznie. – Bieda u nas aż piszcziała, więc ta mafia musiałaby być zbiorowiskiem imbecylów. Gdy wróciłam po pięciu miesiącach, niektórzy patrzyli na mnie jak na powstałą z grobu. Na szczęście szybko się im znudziłam i zajęli się innym tematem.

– Czy pytała, w którym roku pani wyjechała? – dociekała Diona.

– Owszem – przyznała kobieta. – Powiedziała, że to bardzo ważna informacja. Ale wie pani, w tym było coś dziwnego. – Podniosła na dziewczynę piwne oczy. – Wyglądała na zawiedzioną, gdy usłyszała, że było to w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

Diona nie uznała zachowania Kamińskiej za dziwne, lecz za co najmniej zastanawiające. Jeśli rzeczywiście Wioletta rozmawiała z żoną sołtysa tylko raz, mogło to oznaczać, że z jakichś względów postanowiła ją wyeliminować z grona podejrzanych. Podejrzanych o co? Tego niestety nie wiedziała.

– Szkoda tej dziewczyny. Była jeszcze taka młoda, miała przed sobą całe życie – westchnęła Remańska, sięgając po kurtkę rzuconą niedbale na oparcie fotela. – Byliście państwo w Świercznicy, kiedy to się stało?

– To było straszne. – Oczy Izabelli wypełniły się łzami. – Przepraszam. Głupia jestem, przecież wcale jej nie znałam. Ale jak pomyślę, że byłam w łóżku, a ona tam... – Urwała, szybkim ruchem wyjęła z kieszeni tuniki chusteczkę i wytarła oczy. – Dowiedziałam się o jej śmierci dopiero po powrocie męża, bo miałam grypę i nie wychodziłam z domu, a dziewczynki pojechały na wycieczkę szkolną.

Diona z trudem opanowała podekscytowanie, wznosząc jednocześnie modły do wszystkich znanych jej bóstw, by Inka znowu nie wyskoczyła z jakąś nieprzemysłaną uwagą. Ale wszystko wskazywało na to, że Dorycka nie zwróciła uwagi na to, co implikowała wypowiedź żony sołtysa.

– Współczuję. – Spojrzała na gospodynię ze zrozumieniem. – Też jesienią chorowałam na grypę i naprawdę modliłam się, żeby wreszcie mi przeszło.

Izabella Król pokręciła głową.

– Ja się modliłam o szybką śmierć – oświadczyła głosem tak ponurym, że obie dziewczyny wybuchnęły śmiechem. Ona także się uśmiechnęła. – Największym wyczynem było zejście do kuchni po coś do picia bez kompromitującego wypadku.

– Mąż nie mógł pani przynieść? – spytała Inka, oburzona postawą mężczyzny. – Ręce by mu odpadły, jakby miał zrobić herbatę?

Gospodyni znów się uśmiechnęła, unosząc w górę brwi.

– Widzę, że jest pani wojującą feministką. Ale nie trzeba się nade mną litować, bo to nie ten przypadek. Męża nie było w domu, wyjechał w delegację, dlatego musiałam sama sobie radzić.

Tym razem brak opanowania Jeminy był Dionie bardzo na rękę. Sama nie mogłaby tego lepiej rozegrać. Teraz należało jeszcze sprawdzić tylko jedno.

– Mój Boże – jęknęła, udając głębokie współczucie. – To pani przez cały weekend leżała sama w domu? Przecież mogła się

pani odwodnić albo co gorszego.

Wzrok kobiety uciekł gdzieś w bok, lecz zanim to nastąpiło, dziewczyna dojrzała w piwnych oczach cień niepewności.

– Wrócił dopiero w poniedziałek rano, bo podobno coś tam się przeciągnęło. – Posłała im wyjątkowo nieudolną imitację uśmiechu. – Podejrzewam, że prędzej przepięło, ale niech mu będzie, że było, jak mówił.

Odwzajemniły uśmiech, przy czym obie miały nadzieję, że w ich przypadku wyszedł bardziej autentycznie. Diona dała Ince dyskretnie do zrozumienia, że powinny zakończyć rozmowę. Nie chciała wzbudzać podejrzeń zbyt dużą dociekliwością, w dodatku musiała najpierw przemyśleć sprawę. W obliczu zebranych informacji zyskała pewność co do dwóch kwestii – Izabella Król nie była osobą, której poszukiwała Wioletta Kamińska, jej mąż natomiast mógł być odpowiedzialny za zabicie tej dziewczyny.

Wymieniły z gospodynią jeszcze kilka niezobowiązujących uwag, po czym pożegnały się i wyszły, podziękowawszy uprzednio za poświęcony im czas. Przy furtce stanęły oko w oko z rozsierdzonym Bronisławem Królem. Mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, nawet dość przystojny, lecz z wyraźnie rysującym się brzuchem, którego nie zdołała zamaskować nawet obszerna kurtka, aż kipiał wściekłością.

– Co tu robicie? Jakim prawem włążyście na teren mojej posesji? Nie życzę sobie tu żadnych bezczelnych akwizytorów.

– Niezbyt miło wita pan gości, panie Król. A może my jesteśmy tutaj służbowo? Na przykład z RIO?

Tym razem Diona popatrzyła na Inkę z uznaniem. Nie miała pojęcia, czy urząd sołtysa podlega pod Regionalną Izbę Obrachunkową, podejrzewała zresztą, że Dorycka także tego nie wie, ale strzał chyba był celny, gdyż mężczyzna zrezygnował z wygłoszenia kolejnej tyrady i przywołał na twarz coś na kształt uśmiechu. Co prawda bardziej przypominało to

grymas osoby, która usiadła na pinezce, lecz za nic w świecie nie chce tego ujawnić, mimo to dziewczyna doceniła dobre chęci.

– Na szczęście dla pana nie jesteśmy z RIO, więc nie musi się pan nas obawiać. – Podeszła bliżej i poufałym gestem strzepnęła mu z rękawa kurtki jakiś pyłek. – Zresztą to nie pan nas interesuje, tylko pańska żona.

Wymuszony uśmiech zniknął, zastąpiony nowym grymasem wściekłości. Mężczyzna cofnął się o krok i zacisnął dłonie w pięści.

– Zostaw w spokoju moją żonę! – wrzasnął, porzucając grzecznościową formę i łypnął gniewnie spod zmarszczonych brwi. – Nie masz tu nic do szukania. Wynoście się, bo wezwę policję.

– A wzywaj sobie. – Diona nie przejęła się tą groźbą. Ona także skróciła dystans, gładko przechodząc na ty. – Na Wiolettę Kamińską też się tak wydzierałeś? Czemu nie chciałeś, żeby spotkała się z panią Izą?

– Gównu cię to obchodzi!

Roześmiała mu się prosto w twarz.

– Bałeś się, że zdradzi coś, co powinno pozostać tajemnicą? Jakieś machloje?

– A może on tłucze żonę i boi się, że to wyjdzie na jaw? – włączyła się Inka, chcąc rozjuszyć go jeszcze bardziej. – W sumie z gęby nawet wygląda na przemocowca. Dlatego trzyma żonę w zamknięciu.

Zmasowany atak przyniósł skutek. Bronisław Król przerwał litanię przekleństw, w jego oczach błysnęła niepewność.

– Zwariowałyście? Jaka przemoc, co wy mi tu pierdolicie?! Chcecie mi narobić gnoju? Kto was nasłał?

– Patrz, Dionka, jak się przejął. – Inka mrugnęła do koleżanki. – Chyba trafiłam z tą przemocą, bo trzęsie się jak galernik.

– Chyba galareta? – zauważyła Diona, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Ciszej, na litość boską! – zawołał sołtys, rozglądając się podejrzliwie. – Chcecie mnie zniszczyć? Ludzie zaczną gadać i nikt nie uwierzy, że jestem niewinny. Nic z tego nie rozumiem. O co wam chodzi?

Cała uprzednia buta zesłała z niego, pozostawiając sflaczałą powłokę. Wyglądał doprawdy żałośnie z tą miną zbitego psa, lecz Diona nie poczuła nawet najmniejszego okrucchu litości. Był kłamcą.

– Dlaczego nie chciałeś dopuścić do spotkania żony z Kamińską? Czego się tak bardzo bałeś, że udawałeś, że żony nie ma w domu?

Już wcześniej doszła do wniosku, że tak właśnie musiało być. Izabella nie miała pojęcia, że Kamińska już wcześniej przychodziła do ich domu, zatem ktoś musiał tego gościa wypraszać. Rzuciła teraz okiem na twarz sołtysa i zrozumiała, że jej przypuszczenie okazało się prawdą.

– Niczego – burknął Król i zacisnął usta, lecz na widok podniesionej w wyrazie niedowierzania brwi niechętnie rozwinął wypowiedź: – Ta dziewczucha przyjechała tutaj w poszukiwaniu sensacji. Mówiła, że jest studentką, ale ciągle kogoś zaczepiała i zadawała pytania. Musiała pracować dla jakiegoś szmatławca. Dlatego nie chciałem wpuścić jej do domu.

– Choroba żony musiała ci być bardzo na rękę – stwierdziła Inka, przyglądając mu się z wyrazem niesmaku na twarzy. – Gdyby nie to, że nie masz takich możliwości, podejrzewałabym, że celowo zaraziłeś ją grypą, żeby nie spotkała się z Kamińską. Pani Izabella musi mieć na ciebie naprawdę dużo haków.

Sołtys drgnął niczym dźgnięty szpikulcem i sapnął wściekle.

– Nie o to chodzi. Ale tym pismakom nie można ufać. Powiesz im jedno, a oni przeinaczą i napiszą co innego. Kto wie, jak poprzekręcałaby wypowiedzi Izy? A w takiej wsi żona sołtysa musi być jak Penelopa.

Stwierdzenie kompletnie nie pasowało do tematu rozmowy i Diona spojrzała na Króla z zaskoczeniem.

– Jak kto? – spytała, niepewna, czy się nie przesłyszała.

– Jak Penelopa – powtórzył i popatrzył z wyższością. – Nie wie pani, kto to był? Żona Odyseusza, a Odyseusz był cezarem. Nie wie pani, że żona cezara musi być poza wszelkim podejrzeniem? A ja...

– Nie był cezarem, tylko królem Itaki – weszła mu w słowo, chcąc zakończyć idiotyczną rozmowę.

Ale sołtys nie zamierzał na to pozwolić. Jak się później dowiedziała, uwielbiał nawiązywać do starożytnych Rzymian, zwłaszcza gdy chodziło o jego osobę. Mieszał przy tym mity greckie z rzymskimi i takie omyłki jak obecna zdarzały mu się dosyć często, lecz nie przywiązywał do nich wagi i nie robił nic, by im w przyszłości zapobiec.

– Cezar czy król, jedna cholera. – Machnął ręką, bagatelizując sprawę. – Jak mówiłem, Odyseusz to był król...

– Wiem. Król Itaki i owaki. – Diona znów weszła mu w słowo, nie mogąc się powstrzymać przed wypowiedzeniem ulubionej kwestii. – A ty jesteś tylko owaki. – Teraz ona machnęła ręką, nie mając ochoty dłużej go słuchać. – Chodźmy, Inka, mam dość tego imbecyla. – Po przejściu kilku kroków, już zza furtki odwróciła się i zawołała do stojącego wciąż w tym samym miejscu sołtysa: – A tak przy okazji, gdzie byłeś w czasie, gdy zginęła Wioletta Kamińska?

Gdy odchodziły, Bronisław Król nadal stał bez ruchu, spoglądając w ich stronę przerażonym wzrokiem, i dopiero kiedy zniknęły za ścianą żywopłotu, zaklął szpetnie i ruszył do drzwi napędzany wściekłością.

Zmierzał w stronę kuchni, gdzie spodziewał się zastać żonę, lecz zanim tam doszedł, u szczytu schodów mignęły mu zielono-fioletowe włosy starszej córki i znowu targnął nim paroksyzm gniewu. Nie pojmował, co się stało z tą dziewczyną. Jeszcze kilka miesięcy temu zachowywała się całkiem normalnie i nagle jakby diabeł w nią wstąpił. Wszystkie polecenia zaczęła przyjmować lekceważącym wzruszeniem ramion i konsekwentnie je ignorowała, jakby nie jej dotyczyły, na uwagi zaś reagowała pogardą lub agresją.

Nieraz świerzbila go ręka, by pokazać smarkatej jej miejsce, ale tylko zaciskał szczęki i na wszelki wypadek oddalał się, nie chcąc ulec pokusie. Nigdy dotąd nie uderzył kobiety, nawet jeśli była tak irytująca i bezczelna. Poza tym kochał ją i ciągle miał nadzieję, że okres buntu wreszcie minie i w miejsce aroganckiego zielono-fioletowego straszdyła znów pojawi się jego wesola, grzeczna córeczka.

Gdy usłyszał, że te dwie obce kobiety rozmawiały z Izabellą pod jego nieobecność, spodziewał się zastać ją we łzach, tymczasem żona nie wykazywała żadnych oznak podenerwowania. Nucąc coś pod nosem, kroїła marchewkę w drobną kostkę, a na jej ustach czaił się lekki uśmiech. Bronisław poczuł się zdezorientowany i jak zawsze wtedy, gdy tracił pewność siebie, bezwiednie podniósł głos, pytając, czego te dwie obce baby od niej chciały.

Oderwała wzrok od krojonych marchewek i spoglądała na niego przez chwilę, po czym wróciła do swojego zajęcia, nie odzywając się nawet słowem. Odebrał to jako policzek. Głośnym szurnięciem odsunął krzesło, usiadł i przechylając się przez stół, wyrwał nóż z ręki Izabelli, nie zważając na to, że mógł ją przy tym skaleczyć.

– Kurwa mać, Iza! Przestań mnie lekceważyć!

Popatrzyła na niego wrogo, niemal z nienawiścią.

– Ty pierwszy mnie zlekceważyłeś – odparła spokojnym głosem, kontrastującym z jego krzykiem. – Ja się tylko dostosowałam do twoich standardów.

– Ja cię zlekceważyłem?! – Aż się zapowietrzył ze zdumienia.
– Zwariowałaś? Co takiego niby ci zrobiłem?

– Dobrze wiesz co. Równie dobrze mógłbyś mi napluć w twarz. Dalej udajesz, że nie wiesz? To przypomnij sobie te swoje delegacje, a zwłaszcza tę w listopadzie.

Nadal mówiła spokojnie, lecz przy ostatnich słowach w jej głosie zabrzmiały uraza i ból. Bronisław nie zwrócił na to uwagi, zbyt go pochłonęło zastanawianie się, dlaczego, na litość boską, Iza miałaby mieć do niego o to pretensje. I skąd dowiedziała się o prawdziwym powodzie tamtego wyjazdu?

Zdecydował odsunąć na później wyjaśnienie tej zagadki; bardziej intrygował go cel wizyty obcych kobiet, powtórzył więc pierwsze pytanie. Odpowiedź omal nie zwała go z nóg. To chyba niemożliwe!

– Pytały o twój wyjazd do Włoch?! Po co, do jasnej kurwy, miałyby się interesować twoim dawnym życiem?

– Nie klnij – rzuciła, znów spoglądając na niego z niechęcią.

– Tyle razy prosiłam cię, żebyś trochę panował nad słownictwem. Nie rozmawiasz z menelem, tylko z kobietą.

– Przepraszam – mruknął, choć miał ochotę zwrócić jej uwagę, że większość znanych mu kobiet słownictwem wcale nie odbiega od meneli, a niejednokrotnie ich przewyższa. – Ale wkurzyło mnie to grzebanie w naszym życiu. Dalej nie rozumiem, czemu o to pytały. Czy one są z prasy?

Izabella parsknęła pozbawionym wesołości śmiechem, odebrała mu nóż i wróciła do krojenia marchewek, robiąc to tak energicznie, że zachodziła obawa o całość jej palców, gdyby nóż się omsknął. Naraz równomierne stukanie noża o deskę ucichło.

– Idiota – stwierdziła z głębokim przekonaniem. – Celebryta się znalazł! Myślisz, że sołtys to taka ważna persona? I nie mów, że grzebią w naszym życiu, bo ciebie to nie dotyczy. Wtedy nie byłam jeszcze twoją żoną.

Ton głosu sugerował, że Iza żałuje, iż kiedykolwiek nią została. To zabolalo bardziej, niż gdyby go uderzyła w twarz. Bronisław w ostatniej chwili stłumił cisnące się na usta przekleństwo, nie chcąc jeszcze bardziej zaognić i tak już napiętej atmosfery.

– Iza, przestań – poprosił, starając się mówić spokojnie. – Musimy się trzymać razem. Powiedz, dlaczego o to pytały.

Żona z ciężkim westchnieniem odłożyła nóż, przerywając znęcanie się nad niewinnymi marchewkami.

– Właściwie to pytały o tę dziewczynę, która została zamordowana. O tę Kamińską. Chciały wiedzieć, jak ją przyjęliśmy we wsi, bo piszą jakąś pracę z socjologii.

– Brednie – skwitował krótko. – Dałaś się zrobić w ciula jak małe dziecko. Przecież one są za stare na studentki.

– Nie słyszałaś o studiach zaocznych?

O tym rzeczywiście nie pomyślał, skinął więc pojednawczo głową, dając do zrozumienia, że przyjął argument do wiadomości. Jednakże niepokój pozostał. Nie podobało mu się, że obcy interesują się akurat tamtym okresem. Po plecach przebiegł mu dreszcz, nieodmiennie zwiastujący kłopoty, i Bronisław poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Czy to nigdy się nie skończy? Coś mu mówiło, że nie.

– Czy tym zabójstwem też się interesowały? – spytał na pozór obojętnie.

Odpowiedź żony go przeraziła.

– Jakoś specjalnie to chyba nie, ale rozmawialiśmy o nim. Takie zdarzenie zawsze jest sensacją, szczególnie w niedużej miejscowości.

– Trzeba było powiedzieć, że nic nie wiesz – burknął ze złością. – Przecież byłaś chora i nie wychodziłaś z domu.

Izabella ponownie wzruszyła ramionami i wróciła do krojenia marchewek. Król pomyślał, że żona zaraziła się od starszej córki sposobem okazywania lekceważenia i że jeśli jeszcze raz wykona ten gest, chyba ją rozszarpie. Patrząc na pomarańczowe kostki wypełniające miskę niemal po brzegi, doszedł do wniosku, że będą skazani na jedzenie tego nieszczęsnego warzywa przez następny miesiąc.

– Jak zwykle spóźniłeś się z dobrymi radami – odezwała się nagle. – Właśnie to im powiedziałam. Nawet mi współczuły, że przez cały weekend nie miałam nikogo, kto mógłby mi podać chociaż szklanekę wody.

Słowa żony nie od razu dotarły do świadomości Bronisława. Dopiero po kilku chwilach pojawił się ich sens i oblał go zimny pot, naraz bowiem zrozumiał, dlaczego jedna z dziewczyn zarzuciła mu brak alibi. Przedtem wziął to za czczą gadaninę i uznał jej wypowiedź za zwykły blef. Teraz zacisnął szczęki tak mocno, że aż zgrzytnęły zęby.

– Chryste, coś ty zrobiła? – jęknął głucho.

*

Dziewczęta szybkim krokiem szły główną ulicą, dzielącą wieś na dwie części. Milczały, pogrążone we własnych myślach. Jemina odezwała się pierwsza, dając upust nagromadzonej frustracji.

– Dlaczego mi przerwałaś? – spytała głosem nabrzmiałym pretensją. – Mogłam ją przyszpilić, udowodnić, że kłamie.

Diona pokręciła głową, zdumiona ogromem bezmyślności tej dziewczyny.

– Nie kłamała – odparła zdecydowanie. – Potrafię rozpoznać, kiedy ludzie wciskają mi kit. Ona naprawdę rozmawiała z Kamińską tylko raz.

Dorycka nie zamierzała ustąpić.

– Pani Pela wyraźnie mówiła, że Wioletka była kilka razy widziana, jak wchodzi na posesję Królów. I rozmawiała w sklepie...

– Z Królem – dopowiedziała Diona. – Rozmawiała z Królem, nie z Królową. Tamte inne wizyty też pewnie skończyły się tak, że Król nie pozwolił jej spotkać się z Izabellą. On się czegoś boi, więc jeśli któreś z nich jest winne, to on, a nie ona.

– Ale powinno się...

Diona znów jej przerwała.

– Zacznijmy może od tego, czego się nie powinno – zaproponowała zwodniczo słodkim głosem.

Gdyby Inka знаła ją lepiej, wiedziałyby, że dziewczyna aż gotuje się ze złości i tylko wąska granica dzieli ją od wybuchu. Ponieważ jednak wcale jej nie znała, wróciła do przerwane go wątku:

– No właśnie – syknęła z jadowitym uśmiechem. – Nie powinno się odpuszczać w chwili, gdy ma się kogoś na łyżce.

Diona potrzebowała dobrej chwili, by pojąć, co ma łyżka do ich rozmowy. Rozśmieszyła ją zamiana sztucców, lecz nie zamierzała tego okazać. Chciała uświadomić Doryckiej jej błąd, choć w głębi duszy czuła, że będzie to sypanie pereł przed wieprze. Lub króliki, jak zapewne powiedziałyby Inka.

– Przede wszystkim nigdy, przenigdy nie powinno się nikomu zdradzać nazwiska osoby, od której pozyskało się informacje, a ty powinnaś o tym wiedzieć. Jak chcesz zdobyć zaufanie rozmówców, jeśli potem kłapiesz dziobem na prawo i lewo o tym, kto ci tych informacji udzielił?

– Oj tam. – Inka zlekceważyła sprawę. – Ta baba by się nie zorientowała. Nie słyszałaś, co Pelka o niej mówiła?

– Co takiego mówiła? – spytała Diona z umiarkowaną ciekawością. Cała ta rozmowa zaczynała ją już nużyć.

– Że jest jedną z tych wsiowych gwiazd – oznajmiła Dorycka takim tonem, jakby dokonała odkrycia na miarę wynalezienia szczepionki przeciw wścieklicznie.

– I co z tego?

Jemina popatrzyła na nią z bezgranicznym zdumieniem.

– Naprawdę nie słyszałaś, jak o nich mówiła?! – wykrzyknęła.

Uczyniła to tak głośno, że idąca z naprzeciwka babina przelekła się i upuściła wypchaną zakupami siatkę w kopny śnieg. Diona podbiegła i schyliła się, by wyjąć z puchu kostkę margaryny. Sięgnęła po opakowany w przezroczystą folię żółty ser, otrzepała bochenek chleba i podała go kobiecie, po czym ruszyła w pogoń za turlającą się cytryną, która jakimś sposobem dostała się na odśnieżony aż do płyt chodnik i przedsięwzięła próbę ucieczki. Schwyciła zbiega, wróciła do oszołomionej kobiety i włożyła jej cytrynę w dłoń, po czym oddaliła się, chcąc dogonić Dorycką, która z zaciętą miną parła naprzód, nawet nie próbując obejrzeć się za koleżanką.

Diona dopadła ją dopiero przed gospodą i przytrzymała, chwytając za rękaw.

– Napijmy się piwa na zgodę – zaproponowała. – Musimy tu jeszcze pobyć kilka dni, więc lepiej by było, jakbyśmy nie skakały sobie do gardeł. Myślę, że takiej małej wiosce jak Świercznica wystarczy jeden trup.

Ince drgnęły wargi; na próżno starała się powstrzymać śmiech. Wreszcie nie wytrzymała i zachichotała głośno.

– Myślisz, że nie mają większego zapotrzebowania na zwłoki? W takim razie zabiję cię później. – Popatrzyła w stronę gospody i do jej głosu zakradło się powątpiewanie: – Jesteś pewna, że leją tam piwo, a nie mocz właściciela?

– Gwarancji ci nie dam – odparła Diona, skręcając w stronę wejścia. – Ale na ogół w takich putykach piwo bywa całkiem niezłe. Miałam okazję odwiedzić kilka i nigdy się nie zdarzyło, żeby podawali jakieś szczyzny.

Po chwili siedziały przy niezbyt czystym stoliku, delektując się chłodną goryczką. Diona zazwyczaj pijała piwo tylko latem, ale to wyjątkowo jej smakowało i wkrótce pożałowała, że nie kupiła dużego. Postanowiła, że za chwilę uda się po repetę, najpierw jednak musiała załatwić inną sprawę.

– Powiedz mi – zaczęła ostrożnie, nie chcąc znów się narazić przewrażliwionej Ince. – Ten Dzichta... Dobrze go znasz?

Dorycka skrzywiła się na dźwięk nazwiska starszego sierżanta.

– Niezbyt – mruknęła. – Przydupas Gerbilaka. Lizał mu rowa i donosił na kolegów. Taki lawirant. Sam gównem robił, ale mówił o innych, że lekceważą swoje obowiązki. Szkoda, że Marcin go nie wypieprzył.

Diona parsknęła śmiechem.

– Nie mam nic przeciwko gejom, ale Marcin chyba nie ma takiej orientacji. – Zauważyła, że żart nie został zrozumiany, więc czym prędzej zapytała: – Właściwie dlaczego on go nie wyautował? Po cholere trzymać lesera i ignoranta?

Inka znów się wykrzywiła.

– Zaraz po Gerbilaku poleciało czterech, bo byli umoczeni w jakieś przekręty, no i udowodniono im, że pomagali tamtemu fałszować kwity. Gdyby Marcin wywalił jeszcze Dzichtę, nie miałyby kim obsadzić zmian. Poza tym w komisariacie jest kilku takich... – zawahała się. – Jak by ci to powiedzieć? Powiedzmy, że byli neutralni. Ani za Gerbilakiem, ani przeciw. Marcin się bał, że jeśli wywali Dzichtę i jeszcze jednego takiego, to tamci zaczną gadać, że to z zemsty. Dlatego odpuścił i dał im szansę.

Tuż obok doszło do awantury i dziewczyny przerwały rozmowę, popatrując z ciekawością w stronę dwóch stojących naprzeciw siebie mocno rozsierdzonych mężczyzn, obrzucających się niezbyt wymyślnymi inwektywami. Naraz jeden z nich, dotknięty do żywego jakąś uwagą adwersarza, ryknął jak ranny łoś i chlusnął mu resztą piwa prosto w twarz. Tamten zawył wściekle i zamierzył się kuflem, lecz w tej samej chwili buszujące mu w organizmie promile dały o sobie znać. Mężczyzna zatoczył się i kufel, zamiast w głowę, trafił przeciwnika w ramię.

Koledzy awanturników, do tej pory przyglądający się zajściu z nieskrywaną ciekawością, poczuli na ten widok bojowy zew i ruszyli do walki, przy czym nie bardzo można było się zorientować w ich przynależności do stron konfliktu, wyglądało bowiem na to, że każdy walczy z każdym.

– Może to jakieś eliminacje? – wyraziła przypuszczenie Inka, odchylając się lekko.

Wykazała się niezłym refleksem, gdyż uderzony w podbródek wysoki i tęgi mężczyzna poleciał prosto w jej kierunku. Gdyby upadł na nią, mógłby ją zmiażdżyć swoim ciężarem. Na szczęście zwałił się na ziemię tuż obok, po czym przejechał spory kawał po mokrej od rozlanego piwa podłodze, aż zatrzymał się pod oknem, uderzając przy tym głową w nogę krzesła. Przez chwilę wodził wkoło oszołomionym wzrokiem, a następnie poderwał się na nogi z okropnym rykiem, złapał krzesło za nogę i wywijał nim nad głową, kierując się w stronę kłębówiska walczących.

Przewidując, że za chwilę może dojść do nieszczęścia, Diona wyczekała stosownego momentu, a gdy mężczyzna ją mijał, wystawiła w bok nogę. Potknął się, wypuszczając z ręki krzesło, które zatoczyło lekki łuk i z głuchym łoskotem upadło pod ścianą, nie robiąc na szczęście nikomu krzywdy, a niedoszły miotacz ciężko klapnął na podłogę u jej stóp.

W następnej chwili przechylił się na bok, wsparł głowę na zgiętym łokciu i głośno zachrapał.

– Chyba deszcz idzie, bo stołki nisko latają – skomentowała Diona i sięgnęła po opróżnione szklanki. – Chcesz też?

– Pewnie, że chcę. – Inka podniosła się z krzesła. – Myślę, że lepiej będzie usiąść gdzie indziej.

Znacząco spojrzała na chrapiącego. Diona zerknęła w tę samą stronę i aprobująco skinęła głową.

– Jak jeszcze bardziej podkreśli głośność, to nie pogadamy. Chodźmy do rogu, tam nikt nam nie przeszkodzi.

Przystanęły przy barze, by dokonać wymiany pustych naczyń na pełne, a gdy ze szklankami w dłoniach odwróciły się, by udać się do upatrzonego stolika, ze zdumieniem odkryły, że awantura dobiegła kresu, a niedawni antagoniści popijają w jak najlepszej zgodzie, podając sobie z ręki do ręki butelkę czystej. Tylko chrapiący mężczyzna pozostał tam, gdzie go zostawiły, i jedyną zmianą było, że nie wspierał już głowy na łokciu, tylko leżał na wznak z rękami złożonymi na wydatnym brzuchu.

Diona pociągnęła spory łyk, a gdy zauważyła, że nikt w tym lokalu nie respektuje zakazu palenia, wyjęła z kieszeni paczkę papierosów.

– Co do pani Peli – zaczęła, wyłuskując papierosa z pudełka – ja jej słowa o lokalnych gwiazdach odebrałam zupełnie inaczej. Moim zdaniem ona wcale nie uważa ich za głupie, wredne czy podłe. To było tylko takie dobroduszne pokpiwanie z ich słabostek, nic poza tym. Pewnie czasami trochę zadzierają no...

Słuchająca uważnie Inka energicznie pokiwała głową, zbijając ją z pantałyku. Zaskoczona Diona urwała w pół słowa i zapatrzyła się w koleżankę. Dorycka zauważyła jej konsternację i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Co się tak gapisz jak wół na malowaną bramę? Ty nigdy nie zmieniałaś zdania? – Zaciągnęła się i wydmuchała dym, starając się, by uzyskała kształt kółek. Na widok niekształtnych smug zmarkotniała i wróciła do tematu, tym razem porzucając żartobliwy ton: – Zmieniłam zdanie, bo dotarło do mnie, że masz rację, przynajmniej jeśli chodzi o Bożenę Szatanik i Izabellę Król. Obie z całą pewnością są inteligentne, a w innych okolicznościach Szatanikowa pewnie okazałaby się tak samo sympatyczna jak Izabella. Niemożliwe, żeby pani Pelagia tego nie dostrzegała.

– Właśnie o tym myślałam – potwierdziła Diona i wspominając wizytę żony lokalnego potentata w sklepie Pelagii, dorzuciła ze śmiechem: – Za to Anna Kania to zupełnie inna bajka. Nie mam pojęcia, jak tam u niej z inteligencją, ale wredna to jest na pewno.

Upiła łyk piwa, uniosła papierosa do ust, a potem wydmuchała serię kółek. Początkowo malutkie, rosły w miarę wzbijania się w górę, aż rozwiały się pod sufitem w jasnopopielatą chmurę. Inka śledziła je wzrokiem pełnym zazdrości.

– Musisz mnie tego nauczyć. Słuchaj, przecież my mamy drugiego podejrzanego! – zawołała nagle, po czym zreflektowała się i ściszyła głos do niemal szeptu. – Pelka może mieć rację, że Szatanik nie byłby zdolny do przemocy, bo mnie się też wydał taki... taki... – szukała adekwatnego słowa.

– Misiowaty? – podpowiedziała Diona.

Dorycka przytaknęła.

– Właśnie. Taki dobroduszny misio. Ale Król to bardziej taki grizzly, a jeżeli jego żona nam nie skłamała, to facet nie ma alibi.

Diona znów sięgnęła po szklanekę, lecz odstawiła ją, nie umoczywszy ust. W zamyśleniu chwyciła prawe ucho, usiłując

poluzować zbyt mocno zaciśnięty sztyft kolczyka. Jednocześnie analizowała słowa Jeminy.

– Według zapisków Marcina Izabella zeznała, że mąż spędził cały dzień w domu, doglądając jej w chorobie. Jak myślisz, kiedy kłamała? Wtedy czy teraz?

Specjalnie zadała to pytanie, nie chcąc narzucać Doryckiej swojego zdania. Inka nie zastanawiała się długo nad odpowiedzią.

– Nam powiedziała prawdę – odparła niemal natychmiast, a w jej głosie brzmiała niezachwiana pewność. – Wtedy chciała chronić męża, a teraz... Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby udzielać nam nieprawdziwych informacji, więc musi to być prawda, że pan sołtys przez cały weekend był wyjechany.

– Bardzo bym chciała się dowiedzieć czegoś więcej o tej delegacji, w której rzekomo był – stwierdziła Diona i dopiła resztę piwa. Energicznie odstawiła szklankę. – W notatkach nie ma ani słowa na ten temat, więc pewnie ten debil Dzichta w ogóle nie weryfikował zeznań. – Skrzywiła się, dając wyraz niezadowoleniu. – Niestety wielu jest takich gliniarzy jak Dzichta i najczęściej są niereformowalni, choćbyś nie wiem jak usiłowała na nich wpłynąć. Prawda jest taka, że z głuptaka orła nie zrobisz.

Pogrążona w myślach Inka nie zwróciła na jej słowa uwagi, zadała natomiast pytania dręczące ją od jakiegoś czasu:

– Bardzo chciałabym wiedzieć, gdzie, do kurwy nędzy, był prokurator. Czemu kupił w ciemno hipotezę Dzichty, że gwałtu i zabójstwa dopuścił się jakiś przejezdny, i bez dalszych pytań klepnął umorzenie?

Dionie opadły ręce. Takie pytania mogły paść z ust policjanta w służbie przygotowawczej, ale nie aspirantki z kilkuletnim stażem. Obnażyły ogrom niewiedzy Jeminy w sprawie, która powinna być dla niej oczywista.

Hipoteza sierżanta Dzichy była tak samo prawdopodobna jak każda inna; w śledztwie nie pojawili się podejrzani, nie było też dowodów mogących wskazać kogoś personalnie. Prokurator wcale nie musiał jej „kupić”, po prostu w przewidzianym terminie umorzył śledztwo z powodu niewykrycia sprawcy.

Już chciała wytknąć Doryckiej jej żenującą niekompetencję, gdy pojawiła się myśl, że nie powinna tego robić. Aspirantka miała przełożonego, i to do niego należała ocena jej umiejętności. Wszelkie poczynione teraz uwagi mogłyby tylko popsuć dalszą współpracę z Dorycką. *Jakoś wytrzymam*, zdecydowała w myślach i nie powiedziała nic.

*

Po południu Inka tak długo nalegała, by wybrały się do Ściany Życzeń, że Diona w końcu jej uległa, doszedłszy do wniosku, że zawsze jest to jakaś rozrywka. Na lekturę nie miała nastroju, na oglądanie filmów również, a zachowanie koleżanki zraziło ją na tyle, że czuła niechęć na myśl o rozmowie o niczym czy wysłuchiwanie żalów Jeminy. Niezbyt forsowny spacer wydał jej się najlepszym rozwiązaniem.

Wyprawa okazała się bardziej męcząca, niż zakładała. Zbocze było strome, a niedostosowane do górskich wędrówek obuwie ślizgało się na oblodzonej ścieżce. Ostatnie metry pokonały z trudem. Tu śniegu było całkiem sporo i chwilami zapadały się w nim aż powyżej kolan. Ale to ich nie zraziło, przeciwnie, przerzucając się żartami, dopingowały się nawzajem i z uporem brnęły w stronę wysokiej fliszowej skały, w której ziała sporej wielkości dziura.

Mocno zdyszane stanęły wreszcie przed osławioną Ścianą Życzeń i przez chwilę milczały, odpoczywając po wzmożonym wysiłku. Dioniza pierwsza pokonała zmęczenie. Podeszła bliżej i usiłowała zajrzeć w głąb, ale jedyne, co zobaczyła, to szarość kamieni otaczających ciemną czeluść. Pomyślała, że musiałyby nie mieć rozumu, by wierzyć w jej moc sprawczą, lecz już w następnej chwili ręka sama sięgnęła do kieszeni po tkwiącą tam pięcioletówkę.

– Chyba mi całkiem odbiło – odezwała się półgłosem, a jednak wbrew tym słowom wsadziła głowę w lej i wyszeptła życzenie: – Chcę mieć dom Leszka Hardego. Spraw, żeby cena nie była zbyt wysoka.

Rzuciła monetę w głąbię. W dziurze coś zadudniło i Diona bezwiednie odskoczyła, wpadając na Jeminę, która stanęła za jej plecami, zaciekawiona dziwnymi poczynaniami.

– Co to było?

Popatrywała z lękiem to na nią, to na otwór, z którego teraz nie wydobywał się już żaden dźwięk. Remańska odpowiedziała cokolwiek zbyt głośno, chcąc rozproszyć niepewność:

– Pewnie echo tak dudni. – Siliła się na nonszalancję. – To się czasem zdarza w takich formacjach skalnych.

Uspokojona Inka wyminęła koleżankę. Wysupłała pieniędzy i szybko się obejrzała, a gdy przekonała się, że Diona nie patrzy w jej stronę, zajęta obserwowaniem krajobrazu, włożyła głowę do środka i cicho wypowiedziała swą prośbę.

Upuściła monetę, lecz czeluść pochwyciła pieniądź zbyt szybko, by mogła śledzić jego lot. Nie dosłyszała też odgłosu upadku, a jedynie takie samo głuche dudnienie jak przed chwilą. Ale tym razem nie poczuła lęku, tylko dziwny spokój. I pewność, że jej życzenie zostanie spełnione.

Rozdział 5

Smok i Jerzy

Śniadanie przyrządzone przez Pelagię pod względem kunsztu kulinarnego prawie dorównywało potrawom przygotowywanym przez Mirabelkę i Diona miała zbyt mało silnej woli, by powstrzymać się przed nałożeniem sobie na talerz jeszcze jednej porcji jajecznicy na boczku. Inka już skończyła się posilać i w oczekiwaniu na kawę wyszła z kuchni, by zadzwonić do matki, Pelagia natomiast usiadła naprzeciwko i z zadowoleniem obserwowała zajadającą ze smakiem dziewczynę.

Diona nie zwróciła uwagi na to, że jest obserwowana; zbyt zajmowały ją własne myśli. Coraz bardziej irytował ją brak kontaktu z Marcinem, fakt, że nie mogła na bieżąco skonsultować swoich spostrzeżeń i domysłów.

Wczorajsze popołudnie spędziła nad notatnikiem, gdzie zapisała ustalone fakty, a także podejrzenia oraz hipotezy, i przydałby się ktoś, kto mógłby je zweryfikować. Bardzo chciałyby się dowiedzieć, gdzie w tamten feralny weekend przebywał Bronisław Król. Jego wyjazd musiał mieć jakieś drugie dno, skoro żona zdecydowała się dać mu fałszywe alibi. Niestety Diona nie miała możliwości rozpytania go o tę kwestię, a Inka upierała się, że Lipski kategorycznie zabronił jej się ujawniać, więc ona także miała związane ręce.

Dziewczyna chciała też wreszcie się dowiedzieć, co do powiedzenia o zabójstwie miał sierżant Dzichta.

Doświadczenie nauczyło ją, że informacje zawarte w protokołach to jedno, a osobiste odczucia prowadzącego śledztwo to całkiem inna sprawa. Niestety jej prośba przekazana za pośrednictwem Inki nadal nie została spełniona, gdyż Dzichta przebywał na zwolnieniu chorobowym.

Po rozmowie z Szatanikami Diona poprosiła koleżankę, by ta opowiedziała Marcinowi o podejrzeniu nieprawidłowości przy adopcji Szymona oraz o dziwnym zachowaniu Bożeny, świadczącym, że kobieta wcale nie jest pewna niewinności męża. Według słów Inki Lipski przyjął te rewelacje mało entuzjastycznym mruknięciem i z jeszcze mniejszym entuzjazmem obiecał, że postara się przyjrzeć sprawie. Czy rzeczywiście się przyjrzał, tego żadna z nich nie wiedziała, gdyż Dorycka zapomniała o to zapytać, a sam aspirant nie nawiązał nawet słowem do tamtej rozmowy.

Wczoraj, wracając do domu po wizycie w gospodzie, Diona doszła do wniosku, że o ile Marcin nie włączy się czynnie w ich śledztwo, w zasadzie powinny je zakończyć i wrócić do domu. Jak mogła, nie mając niezbędnych do tego uprawnień, sprawdzić, czy Izabella rzeczywiście wyjechała do Włoch w dziewięćdziesiątym dziewiątym i co tak naprawdę tam robiła? W jaki sposób ustalić, czy sołtys naprawdę przebywał na delegacji, skoro nie знаła nawet celu tego wyjazdu?

Doszła do wniosku, że niemożliwością jest dalej pracować w takich warunkach, wyjęła więc telefon, zdecydowana zadzwonić do Lipskiego, lecz przerażona Inka wyrwała jej go z ręki, przypominając o zakazie kontaktu. Zachowanie koleżanki nosiło znamiona lekkiej hysterii i natychmiast wzbudziło podejrzenia Diony. Oznajmiła zatem, że coś jej w tej sprawie nieładnie pachnie, i kategorycznie zażądała zwrotu komórki, a wówczas, nie widząc innego wyjścia, Dorycka się ugięła i powiedziała prawdę.

Po aferze z Szynszylem komisariat w Jodłowcu znalazł się na cenzurowanym. Oficerowie z Biura Spraw Wewnętrznych nie ograniczyli się do skontrolowania działań sympatyków byłego komendanta, lecz patrzyli na ręce dosłownie wszystkim. Teraz, po kilku miesiącach od tamtego zdarzenia, sprawa pozornie przycichła, lecz Marcin przeczuwał, że po objęciu stanowiska komendanta ponownie ktoś miał go stale na oku. Dlatego jego współpraca z osobą będącą cywilem nie mogła zostać ujawniona.

Diona nie знаła kulis całej sprawy i dotąd nie miała pojęcia, że aspirant może być obserwowany przez BSW, toteż poczuła wyrzuty sumienia, że omal nie naraziła go na nieprzyjemności. Dopiero późnym wieczorem przyszło jej do głowy, że przecież mogła zadzwonić do niego z komórki Doryckiej. Nawet najbardziej podejrzliwy funkcjonariusz BSW nie mógłby chyba dopatrzeć się niczego niestosownego w fakcie, że urlopowana policjantka dwa razy w ciągu dnia kontaktowała się ze swoim przełożonym. Niestety okazało się, że pomysł przyszedł za późno, bo Inka przekazała już Marcinowi wszystkie ustalenia. Przy okazji wytłumaczyła Dionie, że musiała zrobić to sama, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa BSW założyło podsłuch na komórkę Lipskiego, więc numer telefonu nie miał tu znaczenia – Diona nie może do niego dzwonić i już.

– Co, może nie wierzysz, że do niego dzwonię?! – zaperzyła się Inka na widok sceptycznej miny koleżanki. Dioniza automatycznie zerknęła na telefon w ręce Jeminy i na widok wpisanego tam kontaktu wzruszyła ramionami.

Nie miała innego wyjścia, jak pogodzić się z rzeczywistością, choć nie wyobrażała sobie, jak w takim razie zdoła dokończyć misję. Wprawdzie według słów Inki Marcin obiecał, że natychmiast zajmie się zdobyciem informacji, o które prosiły,

ale dotychczasowa szczątkowa komunikacja nie napawała optymizmem.

– Jak mam coś znaleźć, skoro związał mi ręce? – mruknęła, rozgrzebując na talerzu niedojedzoną jajecznicę.

Pelagia dosłyszała tę pełną żalu skargę i z uwagą spojrzała na dotychczas zawsze pogodną i pełną energii lokatorkę. Diona wyglądała na przybitą i zrezygnowaną, a fakt, że nie dojadła posiłku, dobitnie świadczył, że dziewczyna ma jakieś problemy. Kobieta zerknęła na zegarek, sprawdzając, ile czasu zostało do otwarcia sklepu, po czym sięgnęła przez stół i dotknęła ręki trzymającej widelec.

– Może mogłabym ci jakoś pomóc?

Dziewczyna podniosła na nią smutne spojrzenie złotobrazowych oczu i pokręciła głową z wyraźnym żalem.

– Już mi pani pomogła, gdy powiedziała pani, kim interesowała się Kamińska. Informacje o Szatanikach też się przydały. Ale teraz muszę dowiedzieć się czegoś więcej o Królach, bo tam też nie wszystko ładnie wygląda.

Na dźwięk nazwiska Król Pelagia także się zafrasowała.

– Rzeczywiście, w tym przypadku nie jestem w stanie ci pomóc. Oni maniakalnie strzegą swojej prywatności i przez te wszystkie lata nie słyszałam chyba ani jednej plotki na ich temat. Co samo w sobie jest podejrzane – skonkludowała.

Diona musiała się uśmiechnąć. Pani Pela pod względem snucia teorii spiskowych była bezkonkurencyjna.

– Muszę czekać na informacje od policji, a nie znoszę takiego beczynnego czekania – pozałiła się, wiedząc, że ta energiczna kobieta ją zrozumie.

Pelagia nie odpowiedziała, więc dziewczyna uniosła głowę znad talerza z wystygłą jajecznicą, by na nią spojrzeć. Nieobecny wzrok starszej kobiety świadczył, że odpłynęła myślami gdzieś bardzo daleko. Naraz zamrugła powiekami

i popatrzyła wprost na Dionę, a na jej twarzy pojawił się nieco złośliwy uśmieszek.

– Mam pewien pomysł – oznajmiła, nie przestając się uśmiechać. – Ale najpierw muszę sprawdzić, kiedy on wraca.

– Kto taki?

– Powiem ci, jak przyjdę z pracy. Teraz muszę już iść, a ty musisz poczekać.

„Musisz czekać”. Te dwa słowa ciągle jeszcze brzmiały w uszach Diony, gdy zmywała naczynia po śniadaniu. Co prawda zgodnie z ustaleniami dzisiaj powinna to robić Inka, ale dziewczyna nawet nie próbowała jej wołać.

Odkładała umyte naczynia na suszarkę tak energicznie, że zachodziła obawa, iż część z nich może nie przeżyć takiego traktowania. Znowu wspomniała ostatnią wypowiedź Peli i z irytacją potrząsnęła głową. To były dwa najbardziej przez nią znienawidzone słowa. Nie znosiła czekania tak samo mocno jak tego, że ktoś mówił jej, co musi zrobić. To ostatnie było jedną z przyczyn, dla których nie żałowała swojego odejścia z policji. W tej czysto hierarchicznej instytucji takie osoby jak ona nie były zbyt mile widziane, co niejednokrotnie dawano jej do zrozumienia. Już wkrótce po zakończeniu pracy zorientowała się, że dziwne poczucie komfortu psychicznego wzięło się stąd, iż wreszcie poczuła się wolna.

*

Zaczęły od przypominającego szlachecki dworek domostwa Anny i Andrzeja Kaniów, lecz gdy nacisnęły dzwonek na kutej, ozdobnej furtce, nie wiadomo skąd wyrósł przed nimi rosły mężczyzna w uniformie ochroniarza i mało uprzejmym tonem zapytał zwięźle:

– Czego tu?

W Dionie od rana narastała frustracja, toteż niemal marzyła o konfrontacji. Mogłaby pokazać temu spasionemu osiłkowi, gdzie jego miejsce, i przy okazji dałaby upust złości. Inka chyba przewidziała, do czego może doprowadzić pozostawienie inicjatywy w rękach nabuzowanej koleżanki, gdyż wyrwała do przodu i udając słodką idiotkę, pierwsza przemówiła do ochroniarza.

Diona musiała przyznać, że takie postępowanie prawdopodobnie przyniosło lepsze efekty niż planowane przez nią rozwiązanie siłowe. Na widok zniewalającego uśmiechu ślicznej blondynki mężczyzna natychmiast porzucił groźną pozę i widać było, że ma zamiar zrobić niemal wszystko, by tylko zaskarbić sobie jej względy. Dzięki temu dowiedziały się, że szefowa, czyli pani Anna, pojechała do urzędu skarbowego i nie należy się jej spodziewać przed trzynastą, pan Andrzej zaś, zwany przez ochroniarza szefem, jak co dzień przebywa w zakładzie, skąd wraca około siedemnastej.

Już wcześniej dowiedziały się od Pelagii, że Kaniowie zamieszkali w Świercznicy jakieś dwadzieścia lat temu i prawie natychmiast wybudowali zlokalizowany na peryferiach miejscowości zakład produkujący plastikowe naczynia i pojemniki. Ze słów Pasierbkowej wynikało, że Kania jest głównym pracodawcą w okolicy, a to zapewniało mu swego rodzaju szacunek u mieszkańców wsi. Poproszona o rozwinięcie, wyjaśniła, że nadęci i wywyższający się Kaniowie nie są lubiani, ale w obawie przed utratą pracy nikt jawnie im tego nie okaże. Praktycznie to oni sprawowali rządy w wiosce.

Chcąc nie chcąc, musiały zmienić plan, pomaszerowały więc na drugi koniec wsi, gdzie przy głównej ulicy mieścił się warsztat Jerzego Bobkowskiego, męża kolejnej z lokalnych gwiazdek. Już z daleka dostrzegły migoczący ledami szyld informujący, że w tym właśnie budynku można naprawić

sprzęt mechaniczny i zlecić roboty ślusarskie. Podeszły bliżej i zobaczyły umieszczoną obok drzwi ogromną tablicę, na której wyszczególniono zakres wykonywanych usług, a z której wynikało, że Bobkowski naprawia chyba wszystko z wyjątkiem jachtów dalekomorskich i rakiet międzyplanetarnych.

W warsztacie zastały tylko pracownika przysypiającego z głową złożoną na biurku i przytuloną policzkiem do faktury za energię elektryczną. Natychmiast zauważyły czerwone oznaczenie – znak, że Bobkowski zalega z zapłatą – i wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. To była cenna informacja.

Bez pardonowo obudzony pracownik w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, skąd się wzięły i czego od niego chcą, a gdy wreszcie treść pytania dotarła do otumanionego snem umysłu, wzruszył bezradnie ramionami.

– Jak przyjdzie, to będzie.

– Jak to? – nie rozumiała Inka. – Przecież to on jest właścicielem. Powinien dbać o firmę, bo inaczej straci klientów.

Popatrzyła błagalnie na mężczyznę, chcąc, by jej wytłumaczył to niezrozumiałe zachowanie Bobkowskiego. Pełna zagubienia minka i niewinny głosik i tym razem zrobiły wrażenie na przedstawicielu płci odmiennej. Pracownik wstał i poruszając się dość niezręcznie, podsunął im krzesła. Widać było, że nie przywykł do przyjmowania gości; prawdopodobnie rozmowa z klientami nie należała do jego obowiązków.

Podziękowały z uśmiechem i przedstawiły się, pomijając przy tym cel wizyty, ale mężczyzna tak zapatrzył się w Inkę, że w ogóle tego nie zauważył. Przedstawił się jako Paweł Smok, co Dionę tak rozśmieszyło, że musiała odwrócić głowę, by tego nie dostrzegł. Według niej stanowił całkowite zaprzeczenia smoka. Nie dość, że był mikrej postury, to jeszcze mówiąc,

układał wargi w dzióbek, jakby chciał rozmówcę obdarzyć całusem, w myślach więc ochrzciła go Cmokiem.

– Już stracił klientów – oświadczył z goryczą, ponownie poproszony o komentarz do zachowania Bobkowskiego. – Dopóki właścicielem był jego ojciec, aż miło było przychodzić do roboty. Mieliśmy zamówienia, to i pieniędzy nie brakowało. A teraz... – Urwał i tylko wymownie machnął ręką.

Dorycka spojrzała znacząco na koleżankę, a jej wzrok ostrzegał przed wtrącaniem się do rozmowy. Diona uspokoiła ją nieznacznym skinieniem. Absolutnie nie zamierzała się włączać, gdyż to mogłoby zepsuć wysiłki koleżanki, której udało się nawiązać z mężczyzną wątpliwe porozumienie.

– Pan jest jedynym pracownikiem? – dociekała Inka.

Zapatrzonego w nią Smoka nie zaniepokoiła ta indagacja i w ogóle nie zapytał, dlaczego obce kobiety interesują się warszatem i pracodawcą. Diona siedziała jak na szpilkach, wiedząc, że w każdej chwili magia kobiecości może przestać działać, a wówczas mężczyzna odmówi dalszych odpowiedzi i wyprosi je z warsztatu.

Na razie jednak nie odrywał wzroku od Inki i tak chętnie zdradzał służbowe tajemnice, że aż ją to zastanowiło. Nie sprawiał wrażenia nierozgarniętego, musiał więc zdawać sobie sprawę, że działa na szkodę pracodawcy. Udzielił wyczerpujących informacji o tym, jak pracownicy odchodzili jeden po drugim, gdyż Bobkowski junior co miesiąc zalegał z wypłatą pensji, a premie od przerobu, przedtem obliczane rzetelnie, pozostały tylko wspomnieniem. Nie minęło pół roku, a z sześciu pracowników pozostał tylko jeden.

– Przedtem pracowaliśmy na dwie zmiany, bo klienci przyjeżdżali do nas nawet z Żywca czy Bielska-Białej, ale przy takim szefie nie da się utrzymać poziomu. Woli jeździć do Żywca i łązić po knajpach z innymi nierobami niż pilnować, z czego żyje.

Podczas jego przemowy Diona odnalazła na Facebooku profil Bobkowskiego i pokiwała tylko głową, gdy ujrzała, że jako miejsce pracy wpisano: „Szlachta nie pracuje”. Po usłyszeniu charakterystyki właściciela warsztatu niczego innego nie oczekiwała. Zdziwił ją natomiast wiek mężczyzny, spodziewała się bowiem kogoś dużo starszego. Choć zgodziła się nie wtrącać do rozmowy, musiała w tej sytuacji postąpić wbrew woli Inki.

– Znalazłam na Facebooku informację, że Bobkowski ma zaledwie dwadzieścia cztery lata. Czy to prawda?

Zignorowała grymas złości na twarzy Doryckiej i spokojnie oczekiwała na odpowiedź. Paweł Smok nie udzielił jej od razu. Oderwał wzrok od Inki, potrząsnął lekko głową niczym człowiek wybudzony z głębokiego snu i spojrzał z zastanowieniem na Dionę. Miała ochotę palnąć się w głowę za swoją niewczesną ciekawość.

– Mój tata ma takie powiedzonko: „Nie interesuj się, bo kociej mordy dostaniesz” – oznajmił, po czym uśmiechnął się złośliwie. – Nie wiem, czy jesteście ze skarbowki, czy z ZUS-u, i nie chcę wiedzieć. Jak dla mnie możecie sobie być nawet z ABW, mam to w dupie. Wiem, co sobie myślicie: że natknęłyście się na kretyna, który nawet nie wie, że jest przesłuchiwany. Ale nie trafiłyście, drogie panie. – Zwinął wargi w dzióbek, cmokając przy tym głośno. – Ja dobrze wiem, co robię. Moi kumple odeszli stąd do Kani, ale to jest jak wejście z deszczu pod rynnę, bo on nie szanuje ludzi i płaci jak z łaski.

– Też zalega z wypłatami? – spytała Diona.

Uśmiechnęła się przy tym szczerze do mężczyzny, którego tak źle oceniła. Z wyglądu może i był zaledwie cmokiem, ale w działaniu wychodził z niego prawdziwy smok. Miał jakiś plan i konsekwentnie go realizował.

– Nie zalega, ale płaci minimum i ani grosza więcej. Nie zamierzam być u niego niewolnikiem. Poczekam, aż... – urwał nagle, zrozumiał bowiem, że powiedział zbyt wiele.

Uspokoila go ruchem dłoni.

– Domyślam się, że czeka pan na dogodny moment, żeby wykupić warsztat. Domyślam się też, że zależy panu, żeby Bobkowski nie wyszedł na prostą i stara się pan dopomóc losowi. Może nie jest to zbyt etyczne, ale sam sobie na to zapracował. – Uśmiechnęła się szeroko. – Może pan spać spokojnie, nas interesuje zupełnie co innego. To jak będzie? Odpowie pan, w jakim wieku jest Jerzy Bobkowski?

Paweł Smok odetchnął głęboko i wyraźnie uspokojony, potwierdził pozyskaną na Facebooku informację, dodając do tego własny komentarz:

– Gnojek jeden, nikogo i niczego nie umie uszanować. Kiedy ojciec przekazywał mu warsztat, na koncie firmowym była sześciocyfrowa kwota, bo stary Bobkowski myślał o rozbudowie. Ale z jego planów gówno wyszło, a konto jest wyczyszczone do zera.

Wskazał na niezapłaconą fakturę, której czerwień stanowiła niezaprzeczalne potwierdzenie jego słów. Diona nie dała po sobie poznać, że już wcześniej domyśliła się prawdy. *Niech się Cmok cieszy, że dostarczył ważnej informacji*, stwierdziła w myślach, mając na względzie, że chciała mu jeszcze zadać kilka pytań.

– Co się stało z tymi pieniędzmi?

– Przełajdaczył wszystko. – Głos Smoka zatrzęsł się z oburzenia. – Przepuścił na luksusowe zachcianki, na gorzałę i narkotyki. Biedna ta Małgosia, nie ma z nim lekkiego życia. Ale właściwie nie powinienem się nad nią litować. Ma, czego chciała.

Diona miała ochotę pocałować go prosto w dzióbek, tak była wdzięczna, że sam nawiązał do osoby, o którą miała zamiar

zapytać. Teraz wystarczyło zgrabnie wejść Smokowi w słowo, a nie powinien się zorientować w ważności tematu.

– Małgosia to żona Bobkowskiego? – spytała z umiarkowaną ciekawością i zmrużyła oczy, by nie dojrzał w nich podekscytowania.

Smok potwierdził i zaczął się rozwodzić nad małżeństwem pracodawcy. Według jego słów to Małgorzata zagięła parol na Jerzego, upatrując w nim przyszłego męża. Rozpieszczona jedynaczka przywykła dostawać to, czego chciała, i w końcu dopięła swego.

– Złapała go na dziecko – wyjaśnił Smok. – Ale nie wyszła na tym dobrze. Jurek to dziwkarz, żadnej dziewczynie nie przepuści, a Małgosia nie ma nic do gadania. Mało to razy widziałem ją posiniaczoną?

– Nie może od niego odejść? – Diona nie potrafiła zrozumieć biernego poddawania się przemocy. – Przecież rodzice na pewno by ją przyjęli.

Ku jej zdumieniu Smok pokręcił głową.

– Z tego, co ludzie gadają, kilka lat temu Jurek miał kupić dla teściów ciągnik po okazyjnej cenie. Dostał od teścia pieniądze, ale wrócił bez ciągnika i bez kasy i powiedział, że go okradli. Ale się przeliczył, bo Szostak nie był palcem robiony. Pojechał na policję, pogadał z gliniarzami i dowiedział się, że Bobkowski nie zgłosił kradzieży. Wtedy wpadł w szal. – Mężczyzna niespodziewanie się uśmiechnął. – To akurat widziałem na własne oczy. Szostak wszedł do knajpy takim krokiem, jakby był szeryfem z westernu, podszedł do Jurka i bez słowa dał mu w mordę, a potem wyszedł jak gdyby nigdy nic.

Z zainteresowaniem słuchały opowiadania o tym, jak to rodzice dali córce ultimatum – albo odchodzi od męża złodzieja, albo przestają ją znać. Wybrała męża, a oni dotrzymali słowa i nigdy więcej nie odezwali się do Małgosi,

a wkrótce potem sprzedali swój dom Kaniom i wyjechali ze wsi. Tym samym Bobkowski zyskał całkowitą władzę nad ślepo w niego wpatrzoną Małgorzatą.

Paweł Smok nie miał już nic więcej do dodania, podziękowały mu więc i ruszyły przez podwórze w stronę budynku mieszkalnego, chcąc porozmawiać z Bobkowską.

– Jakoś mi jej nie żal – stwierdziła zimno Diona, wchodząc na podest przed drzwiami. – Nie znoszę kobiet, które pozwalają robić z siebie niewolnice.

W przeciwieństwie do niej Inka była nastawiona łagodniej.

– Nie możesz wszystkich tak samo oceniać. Niektóre z nich naprawdę nie mają dokąd pójść. Dobrze wiesz, jak to nieraz bywa z opieką społeczną. Pijakowi pomogą, ale matce z dzieckiem już niekoniecznie.

– Ona ma dokąd pójść. Rodzice na pewno przyjęliby ją i dziecko, gdyby odeszła od męża. Jak to powiedział Cmok, ma, czego chciała.

Dorycka zastanowiła się nad słowami koleżanki.

– Cmok? Pasuje jak ulał. Nie do końca masz rację. Niektóre kobiety są tak zaszczute, że przestają wykazywać jakąkolwiek inicjatywę. Uwierzyły, że są zerem i bez męża nie dadzą sobie rady. Poza tym boją się zemsty. Z nią może być tak samo. Przecież nie wiesz, jak Bobkowski ją traktuje.

Diona nie zamierzała się kłócić, zresztą musiała przyznać Jeminie rację. Nie znała stosunków panujących w domu Bobkowskich, toteż nie wiedziała, czy Małgorzata jest ofiarą na własne życzenie, czy może zalicza się do grona kobiet, o których mówiła Inka. Za chwilę będą miały okazję przekonać się, gdzie leży prawda.

Kiedy po dość długim oczekiwaniu Bobkowska otworzyła drzwi, z zaskoczeniem rozpoznały w niej dziewczynę, którą widziały w towarzystwie mężczyzny i dziecka w pierwszym dniu pobytu w Świercznicy. *Mogłam się tego domyślić,*

przemknęło Ince przez głowę, a po minie koleżanki poznała, że ich myśli pobiegły zbieżnym torem.

Małgorzata Bobkowska, śliczna dziewczyna o ciemnobrązowych włosach i niemal czarnych oczach, zapytała o cel wizyty, a po wysłuchaniu odpowiedzi wprawdzie skrzywiła się lekko, lecz ostatecznie zaprosiła je do środka.

– Nie mam dużo czasu – uprzedziła na wstępie. – Muszę zabrać się do gotowania obiadu, zanim syn się obudzi.

– Będziemy się streszczać – obiecała Inka. – Jak wspomniałam, interesuje nas, jak mieszkańcy wsi postrzegają obcych. Czy wchodzą z nimi w relacje towarzyskie, czy przeciwnie, są do nich wrogo nastawieni. Uznałyśmy, że świetnym materiałem do badań jest Wioletta Kamińska, która w listopadzie spędziła tutaj kilka dni.

Niedbałym gestem skwitowała uwagę koleżanki, że pobyt Kamińskiej w Świercznicy trwał blisko dwa tygodnie. Scena wypadła tak naturalnie, że Małgorzata, wodząca oczami od jednej dziewczyny do drugiej, nie miała raczej szans zorientować się, iż całość została starannie wyreżyserowana. Nie chciały wzbudzać podejrzeń nadmierną precyzją.

– W sumie to bez znaczenia, jak długo tu przebywała – dorzuciła Dioniza, nie wypadając z roli.

Jemina odchrząknęła i kontynuowała wypowiedź:

– Kamińska została zgwałcona i uduszona, z czego wniosek, że nie wszyscy odnosili się do niej przyjaźnie. – Uśmiechem złagodziła wydźwięk słów. – A pani? Z pewnością miałyście okazję porozmawiać chociaż przez chwilę. Polubiła ją pani czy wręcz przeciwnie?

Diona, która przyjęła znów rolę obserwatora, zauważyła, jak duże wrażenie wywarły na Bobkowskiej te pytania. Młoda kobieta zaczęła kurczowo wykręcać palce, uciekając wzrokiem gdzieś w bok.

– Dlaczego pani mnie o to pyta? Przecież ja jej nie zgwałciłam. To śmieszne.

– Nie sugerowałam czegoś tak absurdalnego. – Inka uśmiechnęła się pojednawczo. – Ale jestem ciekawa pani opinii o tej dziewczynie, bo słyszałyśmy krańcowo różne oceny. Nas interesuje co innego. Na przykład o co pytała, kiedy panią odwiedziła?

Diona zachnęła się w duchu, uznając indagację Doryckiej za zbyt obcesową. Według jej opinii z tą dziewczyną należało postępować delikatniej. Ale ku jej zdumieniu Bobkowska się nie oburzyła. Wyglądała na skonsternowaną, gdy patrzyła to na jednego, to na drugiego gościa, wreszcie odpowiedziała niepewnie:

– Naprawdę nie wiem, o co pani chodzi. Pamiętam tę dziewczynę, bo widywałam ją we wsi, ale nigdy z nią nie rozmawiałam.

Dorycka pokręciła głową, dając Małgorzacie do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno jej słowo.

– Wiemy, że Kamińska panią odwiedziła, i moim zdaniem niepotrzebnie się pani tego wypiera. Zapewniamy naszym rozmówcom anonimowość i mogę przyrzec, że pani nazwisko nie zostanie wspomniane w pracy.

Oczywiście, że mogła to przyrzec, wszak ta rzekoma praca nigdy nie powstanie. Mimo to Diona uznała, że Inka posunęła się za daleko, składając obietnice, której z oczywistych względów nie mogła dotrzymać. Będzie musiała podać personalia Bobkowskiej, składając Marcinowi raport, a zatem trudno mówić o anonimowości.

Następne słowa Małgorzaty sprawiły, że zapomniała o rozterkach moralnych.

– Nie wiem, skąd macie takie informacje, ale ktoś was wprowadził w błąd. Nie rozmawiałam z Kamińską ani w domu,

ani nigdzie indziej. To nieprawda, że mnie odwiedziła. Ona nigdy do mnie nie przyszła.

W głowie Diony wreszcie pojawiła się odpowiedź na pytanie, co takiego dziwnego było w słowach Smoka, że od rozmowy z nim cały czas miała wrażenie, iż umyka jej coś bardzo ważnego. Tym czymś był wiek Bobkowskiego. Skoro Jerzy miał dwadzieścia cztery lata, trudno było przypuścić, że jego żona przekroczyła czterdziestkę. Oczywiście zdarzały się takie małżeństwa, więc nie mogła kategorycznie tego wykluczyć, ale przeczyły temu wypowiedzi Smoka, który określał żonę Jerzego mianem dziewczyny. Sam wyglądał na trzydziestolatka, więc raczej nie mówiłby tak o kobiecie o dziesięć lat starszej.

Bobkowska mówiła prawdę. Nigdy nie rozmawiała z Kamińską, po prostu nie pasowała do profilu stworzonego przez Wiolettę.

– Zostawmy to – powiedziała, czym naraziła się na wrogie spojrzenie Inki, zamierzającej wziąć Małgorzatę w krzyżowy ogień pytań. – Wiem, że pani nie spotkała się z Wiolettą. Koleżanka pomyliła osoby. – Posłała dziewczynie uspokajający uśmiech, ignorując gniewne mamrotanie Doryckiej. – Ale parę razy ją pani widziała. Czy sprawiła na pani pozytywne wrażenie?

Na twarzy Małgorzaty na ułamek sekundy zagościł wyraz niechęci tak wielkiej, że bez trudu można by uznać ją za nienawiść. Zaraz potem dziewczyna opanowała się i wygięła wargi w uśmiechu, lecz uśmiech ten nie objął oczu. Diona przypomniała sobie goszczący w nich strach, gdy po przywitaniu wymieniły nazwisko Kamińskiej, połączyła to ze słowami Smoka, nazywającego Jerzego dziwkarzem, i już wiedziała. Małgorzata nie spotkała się z Wiolettą, ale jej mąż tak.

– Sprawiała wrażenie sympatycznej – dobiegł ją głos Bobkowskiej. – Wydawała się miłą i bardzo komunikatywną.

Chyba jeszcze nigdy dotąd Diona nie słyszała, by ktoś mówił o kimś w samych superlatywach głosem tak ostrym, że można by się o niego pokaleczyć.

– A pani mąż? – spytała jakby od niechcienia. – Czy on też uważał Wiolettę za miłą i komunikatywną?

Zamiast odpowiedzieć, Małgorzata znów zaczęła wykręcać palce. Nagle wstała i oznajmiła stanowczo:

– Musicie już iść. Za chwilę mój mąż skończy pracę i wróci do domu, a ja nie ugotowałam jeszcze obiadu.

Diona znacząco uniosła brew, spoglądając na ścienny zegar, wskazujący dziesięć minut po dwunastej.

– Doprawdy? – zdziwiła się nieszczerze. – Mąż zawsze wraca tak wcześnie? Przecież warsztat jest otwarty do osiemnastej.

– Jest szefem, więc nie obowiązują go godziny pracy – burknęła Małgorzata. – Zatrudnia pracowników...

– Pracownika – poprawiła Inka, przypominając o swoim istnieniu.

Bobkowska natychmiast zwróciła się w jej stronę.

– Bzdury pani opowiada. Ma sześciu pracowników.

– Miał – przyznała Dorycka. – Ale im nie płacił, więc odeszli do Kani i został tylko jeden. Nie bywa pani w warsztacie?

Twarz dziewczyny pokryła się rumieńcem zażenowania.

– Jurek nie lubi, jak tam przychodzę. Prosił, żebym tego nie robiła. Mówił, że pracownicy się na mnie gapią... On jest bardzo zazdrosny – wyznała jakby wbrew sobie.

– Gdzie teraz jest pani mąż? – wtrąciła Diona, porzucając dyplomację.

Miała zamiar wstrząsnąć tą dziewczyną, zmusić, by przejrzała na oczy, jednak odpowiedź Bobkowskiej wskazywała, że nie będzie to łatwe zadanie. Dziewczyna zdawała się nie mieć żadnych wątpliwości.

– Jak to gdzie? W pracy oczywiście. Zawsze jest w warsztacie do trzynastej, potem przyjeżdża na obiad, a później wraca do warsztatu i pracuje do późnej nocy.

Inka spojrzała na Dionę i nieznacznie kiwnęła głową, dając tym znak, że aprobejuje linię ataku. Nie miały innego wyjścia, jak przycisnąć do muru tę dziewczynę, wiedziały bowiem, co zeznała, gdy Dzichta pytał ją o dzień, w którym uduszono Wiolettę. Wówczas twierdziła, że spędziła popołudnie i wieczór z mężem, co kłóciło się z wypowiedzianymi przed chwilą słowami.

Mówiąc o Bobkowskim, Smok użył określeń „dziwkarz” i „babiarcz”, co sugerowało liczne kontakty erotyczne. Być może przyzwyczajony do sukcesów na tym polu Bobkowski złożył Kamińskiej niedwuznaczną propozycję i spotkał się z odmową? I nie potrafił się z tym faktem pogodzić?

Diona uświadomiła sobie, iż w swych przypuszczeniach posunęła się tak daleko, że w zasadzie należałoby natychmiast zakuć niezbyt fartownego rzemieślnika w kajdanki, czym prędzej więc wróciła do rzeczywistości.

– To chyba wygodne: mieć męża, według którego można regulować zegarek – stwierdziła z nutą zazdrości. – Aż się wierzyć nie chce. Naprawdę zawsze ma taki rozkład dnia? Ja nigdy nie wiem, kiedy mój facet raczy pojawić się w domu.

Małgorzata wcale nie wyglądała na zachwyconą systematycznością męża, przeciwnie, sprawiała wrażenie zniesmaczonej.

– Zawsze – potwierdziła. – I proszę mi wierzyć, to wcale nie jest takie fajne, bo ode mnie wymaga tego samego. Pamiętam, że gdy jesienią miałam gripę żołądkową, on się rozżłościł, że nie ugotowałam obiadu, i nie mógł zrozumieć, że nie da się gotować, siedząc na sedesie. Tak się obraził, że trzymało go do niedzieli.

– Faktycznie słabo – przyznała Inka.

Dodała jeszcze kilka słów współczucia, lecz Diona już ich nie słyszała, skupiona na wypowiedzi Bobkowskiej. Czy jest możliwe, że mówiła o tamtej sobocie?

– To pewnie było wtedy, kiedy chorowało pół Świercznicy. Sołtysowa wspominała, że wtedy był tu istny pogrom – rzuciła niezobowiązująco.

Małgorzata połknęła haczyk.

– Rzeczywiście tak było – przyznała. – Pamiętam, że Iza też chorowała. Obie byłyśmy wściekłe, bo nasi mężowie byli zdrowi, ale zamiast się nami opiekować, znaleźli sobie inne zajęcia.

Diona natychmiast przyznała, iż wie od Izabelli Król, że jej mąż wyjechał na delegację, i wyraziła przypuszczenie, że Jerzy Bobkowski zrobił to samo.

– Pewnie dlatego nie zatroszczył się o panią – oświadczyła, stając po stronie nieczułego męża.

Prowokacja spełniła swoje zadanie. Małgorzata drgnęła jak ukłuta szpilką i łypnęła gniewnie spod opadającej na oczy ciemnej grzywki.

– Akurat! Pojechał do tego zasranego warsztatu, a potem polazł do kumpla na wódkę. – Zauważyła powątpiewający wzrok Diony i dorzuciła gniewnie: – Wiem o tym, bo się przebudziłam, kiedy przyszedł. Śmierdział gorzałą i cały był uświniony od ziemi i igliwia. Zachciało mu się iść na skróty, a ja potem musiałam to prac.

Inka dyskretnie dała znak, że teraz ona weźmie na siebie ciężar rozmowy, a Diona nieznacznie skinęła głową, akceptując plan. Dorycka była niezła w wyciąganiu wiadomości. Potrafiła tak podejść rozmówcę, że sam potem nie wiedział, dlaczego mówił prawdę. Choć właściwie tutaj nie było już specjalnie czego wyciągać.

– Słyszałam, że powiedziała pani policji, że mąż był wtedy w domu – wypaliła Inka, spoglądając Bobkowskiej prosto

w oczy. – Nie żeby mnie to obchodziło, ale jestem ciekawa. Dlaczego pani skłamała?

Małgorzata była tak oszołomiona, że nawet nie spytała o źródło informacji, tylko od razu przeszła do wyjaśnień.

– O Boże! Pewnie wygadał się po pijaku. A sam prosił, żeby nikomu nie mówić! – rzuciła z goryczą. – Skłamałam, bo co gliniarzy obchodzi, jak spędzamy czas? Przecież Jurek tego nie zrobił, a gdyby przyznał, że był pijany i nie bardzo wie, gdzie łąził, ciągaliby go w nieskończoność na komisariat.

– To on panią do tego namówił? – indagowała dalej Inka.

– Pewnie, że on. Ja myślałam, że cały czas pracował. Tak jak zawsze.

Diona poczuła, że ma dość tych peanów na cześć pracowitego męża. Może uwierzyłaby w nie, gdyby wcześniej nie rozmawiała ze Smokiem. Ale chyba jednak nie, gdyż jak na żonę chodzącej doskonałości Bobkowska miała zbyt wiele lęku w oczach, a ciemny ślad na skroni, zamaskowany grzywką, nie okazał się rozmazanym cieniem do powiek, lecz siniakiem. Widywała już takie i była niemal na sto procent pewna, że powstał na skutek gwałtownego zetknięcia się skroni z futryną czy kantem szafy.

– Z tą pracowitością pani męża to chyba nie do końca prawda – oznajmiła, z uporem wpatrując się w siniec. – Przykro mi to mówić, pani Małgosiu, ale na przykład teraz pani męża nie ma w warsztacie i w ogóle go tam dzisiaj nie było. Ostatnio bardzo rzadko się tam pojawia, a sam warsztat stoi na granicy upadłości. Klienci odeszli, a na biurku leżą niezapłacone rachunki.

W odpowiedzi Bobkowska machnęła ręką, bagatelizując sprawę, i widać było, że nie uwierzyła w ani jedno słowo. Prawda nie była w stanie przebić się przez mur kłamstw, który Jerzy od dawna wokół niej budował.

Nagle w jej oczach pojawił się dziwny błysk; widocznie coś sobie uświadomiła. Zaraz też miały okazję dowiedzieć się, co to takiego.

– Wynoście się stąd! – syknęła, łypiąc gniewnie spod zmrużonych powiek. – Nie macie prawa mnie nachodzić i wypytywać, a ja nie mam zamiaru z wami rozmawiać. Wypierdalać albo zadzwonię na policję.

Nie miały innego wyjścia, jak się dostosować, wyszły więc, żegnane wyzwiskami Bobkowskiej, gdyż Diona na odchodnym rzuciła przez ramię, że żadna kobieta nie powinna pozwalać, by mąż się nad nią znęcał. Można się zwrócić do policji i opieki społecznej, a pogodzenie się z rodzicami też byłoby nie od rzeczy. Reakcja Małgorzaty dobitnie potwierdziła, że dziewczyna nie chce zostać uratowana.

Na ulicy Inka nagle przystanęła i spojrzała na koleżankę, a oczy rozgorzały jej ciekawością.

– Jak myślisz, czy to Bobkowski jest sprawcą?

– Nie mam pewności, ale wiele na niego wskazuje. Nie rozumiem jednego: czemu Pelagia twierdziła, że Wioletka z nią rozmawiała? Przecież to byłoby bez sensu, bo ona szukała starszych kobiet. Kumasz coś z tego?

– Ni cholery – przyznała Inka i pogrążyła się w milczeniu.

Diona również zamilkła. Wracały w kompletnej ciszy i z poczuciem porażki, bo chociaż zebrały trochę nowych informacji, ciągle było ich za mało, by z rozsypanych puzzli ułożyć kompletny obrazek.

*

Małgorzata Bobkowska czuła się kompletnie rozbita psychicznie. Chociaż zarzuciła tym obcym dziewczynom kłamstwo, podświadomie przeczuwała, że w ich słowach kryło

się sporo prawdy. Jak chociażby informacja o niezapłaconych fakturach. Od dwóch miesięcy Jurek wydzielał jej pieniądze tak skąpo, że z trudem wystarczały na zakupy, a gdy ośmieliła się zwrócić na to uwagę, on stwierdził ze złością, że jest rozrzutna i zbyt tępa, by umieć gospodarować ich budżetem.

Trzasnęły drzwi i zaraz potem w przedpokoju rozległy się kroki. Usłyszała przekleństwo i pojęła, że mąż znowu wrócił do domu w fatalnym humorze, toteż bezwiednie skuliła się w sobie, jakby to mogło uczynić ją niewidzialną.

– Jest obiad? – rzucił zamiast powitania, po czym rozsiadł się za stołem w oczekiwaniu na posiłek.

Małgorzata zmusiła się, by odpowiedzieć spokojnie:

– Będzie za chwilę. Miałam gości i przez to jestem trochę spóźniona.

– Ty w ogóle jesteś opóźniona. – W jego głosie brzmiała pogarda. Naraz spojrzał podejrzliwie. – Jacy goście? Sprowadzasz tu swoich fagasów?!

Nieraz miała ochotę wytknąć mu niekonsekwencję. Jeśli była taka brzydka, gruba i głupia, co ciągle jej powtarzał, to dlaczego jest zazdrosny o takie zero? I dlaczego inni mężczyźni mieliby lecieć na taką beznadziejną kobietę? Nigdy jednak tego nie powiedziała, i teraz także zagryzła wargi, żeby z ust nie wydostało się żadne nierozważne słowo, mogące sprowokować Jerzego.

– Przyszły dwie dziewczyny, które przeprowadzają jakąś ankietę – wyjaśniła, nie wdając się w szczegóły.

Udając całkowicie pochłoniętą sprawdzaniem, czy ziemniaki wreszcie się dogotowały, zerknęła jednocześnie w stronę Jerzego. Miał chyba jakiś specjalny zmysł, gdyż zawsze potrafił rozpoznać, gdy kłamała. Teraz mówiła prawdę, ale wolałaby, żeby nie drażył tematu, gdyż ponieważ zdawała sobie sprawę z tego, że niepotrzebnie wdała się z tymi dziewczynami w rozmowę i chyba powiedziała zbyt wiele.

Powinna była wiedzieć, że jej życzenia nigdy się nie spełniają. Niespodziewanie złapał ją za rękę i mocno ścisnął, zmuszając, by podeszła bliżej.

– Co chciały wiedzieć? – spytał niespokojnie.

– Nic szczególnego – bąknęła. – Takie tam pierdoły.

– Mów konkretnie i nie kombinuj.

Wzmocnił uścisk, nie pozwalając, by się wyrwała. Jęknęła z bólu.

– Pytały, jak się nam tu żyje – szepnęła. – Czy mamy przyjaciół i czy lubimy...

– Kłamiesz, głupia pizdo! – wrzasnął, zrywając się z krzesła.

– Przecież widzę, że cyganisz, aż ci się z uszu dymi. Nawet tego nie umiesz porządnie zrobić.

Bezwolnie przyjęła grad ciosów, starając się osłonić piersi, nadal pokryte sinymi wybroczynami. Wiedział, gdzie uderzyć, żeby sprawić jej jak największy ból, i zawsze robił to tak, by nie zostawiać śladów w miejscach nieprzesłoniętych ubraniem. Siniec na skroni był „wypadkiem przy pracy”, za który także ją obwinił. Gdyby stała spokojnie, nie uderzyłby z taką siłą, że przeleciała przez pokój i wpadła na framugę. Wymierzył potem za to karę, wbijając się w jej nieprzygotowane ciało tak gwałtownie, że krwawiła przez dwa dni, co wcale go nie zniechęciło do domagania się małżeńskich praw. Odnosiła nawet wrażenie, że krew go podnieca, podobnie jak łzy i okrzyki bólu.

Na szczęście teraz ograniczył się tylko do bicia. Małgorzata już się ucieszyła, że to koniec jej cierpień, gdy mąż nagle opuścił wzniesioną do uderzenia pięść i sapiąc głośno, ciężko zwalił się na krzesło, lecz zaraz okazało się, że to tylko przerwa na złapanie oddechu.

– O co cię pytały? Mów prawdę albo cię tu, kurwa, zatłukę.

Popatrzyła w te niemal szalone z furii oczy i powiedziała prawdę.

*

Po późnym obiedzie Inka wyszła, twierdząc, że musi przekazać Marcinowi najnowsze ustalenia, Diona zaś dotrzymywała Pelagii towarzystwa. Czuła się rozleniwiona i senna. Nie przywykła jadać głównego posiłku o tak późnej porze, lecz do wyboru miała jedynie przyrządzanie go samodzielnie, wołała więc znosić to drobne w gruncie rzeczy utrudnienie. Pela przebywała w sklepie do osiemnastej, a trudno było wymagać, żeby z ich powodu zmieniała godziny otwarcia.

Przypomniała sobie naraz o porannej rozmowie, zwróciła się więc do Pasierbkowej:

– Miała mi pani po powrocie ze sklepu powiedzieć coś ważnego.

Pelagia nawet się nie odwróciła. Spokojnie wytarła mokre dłonie w ścierkę, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się nieco złośliwie.

– Nie ma się co gorączkować – oświadczyła. – Jeszcze nie wiem, kiedy on wróci.

W tej samej chwili w kuchni pojawiła się Inka i zajęła się zmywaniem naczyń, nie nawiązując ani słowem do rozmowy z Lipskim. Diona zapomniała już o tajemniczym nieznanym i czekała teraz na relację koleżanki, ale cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną, toteż gdy minęło kolejne pięć minut, a Dorycka nadal milczała, nie wytrzymała, by nie zwrócić jej uwagi.

– Czemu się nie odzywasz? Dowiem się wreszcie, jakie są ustalenia?

Inka wskazała oczami siedzącą do niej tyłem Pelagię, lecz Dionę tylko rozsierdził ten mało subtelny wybieg.

– I co z tego, że pani Pela będzie słyszeć? Przecież od początku jest na bieżąco. Gdyby nie ona, byłybyśmy w czarnej dupie.

Dorycka odłożyła na ociekacz ostatni talerz, wyzięła gąbkę, wytarła dłonie w ścierkę i zajęła swoje poprzednie miejsce. Wszystko to robiła tak wolno, jakby celebrowała jakiś rytuał, i Diona miała ochotę solidnie nią potrząsnąć. Jej uczucia musiały się uzewnętrznić w wyrazie twarzy, gdyż Inka uniosła w górę ręce w geście poddania.

– No dobra, już mówię, tylko mnie nie bij! W sumie nic ciekawego się nie dowiedziałam. Wykonują jakieś czynności sprawdzające, ale jeszcze nie ma wyników.

– Jakie czynności? – chciała wiedzieć Diona.

– Nie dosłyszałam, bo coś cholernie trzeszczało w telefonie. Marcin akurat jechał samochodem i pewnie miał kiepski zasięg.

Inka sięgnęła po papierosy i podsunęła paczkę najpierw Pelagii, potem Dionie, która wysupłała jednego i zaczęła w zadumie obracać go w palcach.

– Możliwe – mruknęła po tak długiej chwili, że nie bardzo było wiadomo, do czego należałoby to stwierdzenie odnieść. – Przekazał jakieś zalecenia? – Zdawkową odpowiedź Inki skwitowała krótkim skinieniem i zaproponowała: – Skoczmy na piwo?

Dorycka przyjęła propozycję z entuzjazmem i wkrótce potem ponownie przekroczyły drzwi gospody. Tym razem było w niej tłoczniej i dużo głośniej, a przy stolikach dostrzegły także kilka kobiet. Inka stanęła przy barze, a Diona zajęła stolik w rogu, by mieć widok na całą salę i nie musieć pilnować tyłów. *Przyzwyczajenie drugą naturą*, pomyślała z lekkim rozbawieniem.

Zdążyły wypić zaledwie po łyku, gdy do gospody wszedł nowy gość. Przystojny brunet stanął przed barem i wolno

lustrował salę w poszukiwaniu znajomych, a gdy jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Diony, poczuła nagły dreszcz. Miał oczy psychopaty.

Dorycka trąciła ją w ramię.

– Ty, to chyba Bobkowski? O kurwa, on idzie do naszego stolika.

Diona zdążyła odpowiedzieć, że Inka będzie miała nowego wielbiciela, gdy już był przy nich i bez pytania usiadł przy stoliku. Omyliła się. Tym razem to wcale nie Dorycka stała się obiektem niewybrednych zalotów.

– Podobasz mi się – oświadczył, zamykając jej dłoń w zbyt mocnym uścisku.

– A ty mi się nie podobasz – wypaliła i gwałtownym ruchem wyszarpnęła dłoń.

Wyjątkowo urodziwa twarz Bobkowskiego wykrzywiła się złością. Diona zauważyła mocno rozszerzone źrenice i domyśliła się, że to nie alkohol jest jego siłą napędową. Przedtem zastanawiała się, jak zdołał w tak krótkim czasie przepuścić tyle pieniędzy; teraz już wiedziała, gdzie się podziały.

– Chodź ze mną do kibla. – Słowa zabrzmiały jak rozkaz. – Zapłacę – dodał z ociąganiem, gdy ujrzał jej minę.

– Spierdalaj – zaproponowała uprzejmie. – Nie poszłabym z tobą nawet za milion.

Słowa nie wywarły spodziewanego efektu. Chciała go sprowokować, a on tylko się zdziwił.

– Co ty, jakaś lesba jesteś? To z nią się liziesz? – Wskazał na Inkę z miną pełną pogardy. – Trzeba was dobrze zerznąć, to od razu wam przejdą te zboczenia.

Dionę zaczęła bawić ta rozmowa i postanowiła jeszcze trochę go podpuścić.

– Nie wiedziałam, że rżnięcie na to pomaga. Na gejów też to działa?

– Popierdoliło cię? – Wykrzywił wargi w grymasie obrzydzenia. – Ich trzeba wytępić, zajebać na śmierć.

Nie wytrzymała i roześmiała się w głos, a każde spojrzenie na ogłupiałego tą reakcją Bobkowskiego wywoływało świeży przyływ wesołości. Wreszcie zdołała się opanować.

– Chcesz zobaczyć, jak wygląda kryptogej? – zwróciła się do Inki. – To mu się przyjrzyj. Biedaczysko marzy o seksie z mężczyzną, ale nie ma odwagi poprosić.

– Faktycznie – przyznała Dorycka ze złośliwym uśmieszkiem. – Sama słyszałam, że chce jebać pedałów.

Do zamroczonego umysłu Bobkowskiego dopiero teraz dotarł sens tej rozmowy. Mężczyzna bluznął przekleństwem, zerwał się z krzesła i wziął zamach, chcąc uderzyć Dionę, lecz zgrabnie się wywinęła, okręciła się na pięcie i stopą w ciężkim traperze kopnęła go w goleń. Zawył i zaczął podskakiwać na zdrowej nodze, młóćąc jednocześnie rękami przed twarzą dziewczyny. Ale z niezrozumiałych dla niego powodów pięści stale napotykały tylko powietrze.

Wokół nich natychmiast zebrał się krąg kibiców.

– Dawaj, Jurek! – wrzeszczeli, a z ich komentarzy wynikało, że życzą mu jak najdotkliwszej porażki. – Przecież to tylko baba! Gośkę ciągle tłuczesz, a tej nie poradzisz? Miętka faja z ciebie.

– Odpierdol się! – ryknął Bobkowski do najbliższego stojącego.

Niespodziewanym ruchem rzucił się do przodu, by masą swojego ciała zbić Dionę z nóg. Nie cofnęła się, tylko minimalnie przesunęła, chwytając wyciągniętą rękę, szarpnęła ostro, uskakując w bok, po czym z półobrotu kopnęła go w wypięte pośladki. Widownia wydała z siebie głośne westchnienie, gdy mężczyzna padł ciężko na podłogę i zastygł w bezruchu.

Barman podbiegł i schylił się, po czym zbadał wyćwiczonym ruchem puls leżącego. Widać było, że ma sporą wprawę w tej

materii. Po chwili wyprostował się, spojrzał zimno na nieprzytomnego i stwierdził dość obojętnie:

– Żyje. Dzwonić po policję? Mam nadzieję, że zgłosi pani napaść. Przyda mu się posiedzieć kilka dni na dołku, bo ostatnio naprawdę przegina.

– A będę miała świadków? – odpowiedziała pytaniem. – Bo z tego, co słyszałam, są z tym tutaj pewne problemy.

Zdziwiła się, gdy usłyszała, że problemów nie będzie. Lokalna społeczność niespecjalnie potępiała nadużywających alkoholu, traktując ich z przymrużeniem oka. Picie miało tu wiekowe tradycje i nie istniała chyba rodzina, w której ten problem by nie wystąpił. Ale, jak to oświadczył pewien starszy jegomość, podkreślający sumiastego węża dla dodania ważności swoim słowom, „Nie trzeba nam tu żadnych ćpunów ani innych genderów, bo to porządna wioska”. Inny zaś dorzucił, że młody Bobkowski mógłby się napić wódki jak normalny chłop, a nie wciągać nosem proszek do prania, po którym pierdoli mu się pod dekle.

Diona przez chwilę zastanawiała się, czy rzeczywiście nie wezwać policji, po namyśle jednak zrezygnowała. Po pierwsze, miały tu z Inką przebywać incognito, a przyjazd jodłowieckich policjantów oznaczałby dekonspirację. Po drugie, miała wrażenie, że rola Bobkowskiego w tej historii nie jest wcale jasna i oczywista. Nie miał co prawda alibi, ale to jeszcze nie czyniło z niego zabójcy. W dodatku dalej nie wiedziała, po co Kamińska przychodziła do jego domu i czy w ogóle przychodziła. Tak twierdziła Pela, ale Małgorzata kategorycznie temu zaprzeczyła, a Diona skłonna była jej wierzyć.

I wreszcie po trzecie, gdy patrzyła na Bobkowskiego, który właśnie usiłował usiąść, tocząc wkoło błędnym wzrokiem, nie miała pewności, kogo policjanci uznają za agresora. Niby miała świadków, ale kto wie, czy stróże prawa nie uparliby się,

by potraktować incydent jako bójkę? Wówczas ona także miałaby problemy.

– To co, mam dzwonić? – powoli pytanie barman.

– Na razie nie – zdecydowała. – Najpierw muszę z nim pogadać.

Na twarzy mężczyzny odmalowało się zdziwienie, lecz powstrzymał się przed zadawaniem pytań. Przy pomocy gościa z wąsem dźwignął ciągle jeszcze oszołomionego Bobkowskiego, podprowadził do stolika i usadził na krześle. Diona podziękowała mu i odczekała, aż obaj mężczyźni się oddalą, a później przystąpiła do zadawania pytań.

Rozdział 6

Jak Kania dżdżownic

Barman pojawił się ponownie, jeszcze zanim powiedziały Bobkowskiemu, czego od niego oczekują. Na tacy niósł kilka szklanek wypełnionych złotym płynem, ukoronowanych białymi czapami piany. Postawił dwie na stoliku, po czym zerknął pytająco na Dionę, a gdy przyzwalająco skinęła głową, wręczył trzecią jej niedawnemu przeciwnikowi.

Inka przyglądała się sponiewieranemu Bobkowskiemu ze złośliwą uciechą, której nawet nie próbowała ukryć, on zaś udawał, że tego nie widzi. Wlepił wzrok w daleki od czystości blat stolika i łapczywie przyssał się do szklanki.

– Jadł wilk razy kilka, to zjedli i wilka – oznajmiła Dorycka, wprawiając oboje słuchaczy w lekkie osłupienie.

– Co ty pierdolisz? Jaki wilk? – jęknął Bobkowski, obmacując głowę i kierując na Dionę wzrok pełny pretensji. – Przez ciebie przyjebałem makówką w dechy!

– Zachowuj się, bo zarobisz dokładkę. Bez bluzgów, proszę – pouczyła go zimnym tonem, choć najchętniej ryknęłaby śmiechem na widok żalosnej prezencji wielkiego twardziela, za jakiego mężczyzna starał się uchodzić.

Nie odpowiedział, tylko oddychał ciężko, wciągając gwałtownie powietrze przez zaczerwienione nozdrza. Zerkał przy tym ukosem to na jedną, to na drugą z dziewczyn, jakby sprawdzając, która z nich jest podatniejsza na perswazję.

Wybrał Dorycką i zwrócił się do niej, nadając głosowi proszący ton:

– Słuchaj, głupio to wyszło. Sorry. Chyba nie myślicie dzwonić na gliny? Mam małe dziecko...

– Rychło w czas sobie o nim przypomniałeś – prychnęła pogardliwie. – Kochający tatuś się znalazł!

– To ja zdecyduję, czy dzwonić, czy nie – oświadczyła Diona.

– Na razie jestem na tak. Przekonaj mnie do zmiany zdania. Ale błagam, bez ckliwych kawałków o małym dziecku, bo ja nie znoszę dzieci i wali mnie, czy są duże, czy małe.

– Ale ja naprawdę... – jąkał się Bobkowski. – Karolek...

– Karol? – Diona udała zdziwienie. – Ładne imię. To na cześć Marksa?

Wiedziała, że tym go rozzłości, i się nie zawiodła. W oczach Bobkowskiego błyskała wściekłość, gdy podnosił się z miejsca.

– Głupia cipa. To na...

Przerwała mu, pociągając go z powrotem na krzesło i wymownym gestem dotknęła leżącej na stoliku komórki.

– Siadaj i nie próbuj żadnych numerów! – ostrzegła, po czym wskazała w stronę innych gości. – Widzisz, jak się nam przyglądają? Tylko czekają na okazję, żeby ci przydzwonić, więc nie radzę ryzykować.

Powiódł wzrokiem po znajomych twarzach i zaklął pod nosem.

– Zakłamanie gnoje – mruknął. – Sami piją i biją żony, a teraz nagle tacy święci.

Inka nie wytrzymała i w kilku dosadnych słowach wytłumaczyła mu różnicę. Oni pili, on ćpał, a tego konserwatywne społeczeństwo nie toleruje, gdyż wódka jest swojska, znana od lat, narkotyki natomiast jawią się jako coś niebezpiecznego, zagrażającego wszystkim dokoła. W drugiej kwestii, być może oni także bili żony, ale swoje własne, on

natomiast pozwolił sobie podnieść rękę na obcą kobietę, a na to nie mogli dać przyzwolenia, bo tak robią tylko bandyci.

Bobkowski nie wyczuł ironii w głosie Doryckiej i zwiesił głowę, uznając swoją porażkę.

– Czego jeszcze chcecie? – wystękał wreszcie. – Przecież przeprosiłem.

– Zadam ci kilka pytań. Jak odpowiesz, będziesz sobie mógł pójść. To co, robimy deal?

Po krótkim namyśle wyraził zgodę, lecz nie potrafił ukryć błysku chytrych w oczach prawie pozbawionych tęczówek. Jasne było, że nie zamierza odpowiadać szczerze.

– Pytaj i miejmy to z głowy.

Znów powiodła wzrokiem do tych ogromnych źrenic.

– Koka czy amfa? A może crack?

Już otwierał usta, by odpowiedzieć, gdy zorientował się, że niemal dał się podejść. Pokręcił głową z udawanym współczuciem.

– Ten numer nie przejdzie. Proszę następny zestaw pytań.

– Proszę, jak ci się naraz dowcip wyostrzył. Wystarczyło dobrze przywalić głową w dechy i klepki się poustawiały jak trzeba. Interesuje mnie Kamińska. – Zrobiła krótką pauzę, dzięki czemu zobaczyła w jego oczach paniczny strach. Czyżby to jednak on? – Czego chciała od twojej żony?

– Kurwa – wyrwało mu się, lecz na jego twarzy pojawiła się ulga. Najwyraźniej spodziewał się innego pytania. – To wy byliście u Gośki. Po co tu weszycie? – Nie doczekał się odpowiedzi, więc dość obojętnie wzruszył ramionami. – Ona nie gadała z Goską, tylko z moją matką.

Diona z trudem ukryła zdumienie, a gdy zerknęła na Inkę, przekonała się, że dla koleżanki te słowa były takim samym zaskoczeniem. W ogóle nie wzięły pod uwagę, że mogło chodzić o matkę Bobkowskiego, zasugerowane słowami Pelagii o pięciu lokalnych gwiazdkach, prawie wszystkich w niemal tym

samym wieku. Dzięki owemu „prawie” przyjęły za pewnik, że Kamińska rozmawiała z Małgorzatą. Jeżeli zaś Pela, przysłuchując się rozmowom klientek, usłyszała tylko nazwisko, mogła błędnie przyjąć, że mowa jest o Bobkowskiej młodszej. Tylko dlaczego? Wyobraźnia natychmiast podsunęła prawdopodobne rozwiązanie i Diona postanowiła sprawdzić jego prawdziwość.

– Ani razu nie widziałam we wsi twojej matki. Chyba rzadko wychodzi z domu?

– W ogóle nie wychodzi – burknął. – Rok temu miała wypadek i od tego czasu jeździ na wózku.

W ostatniej chwili zapanowała nad sobą, nie pozwalając uśmiechowi wypłynąć na usta. Jerzy Bobkowski był dupkiem, ale głupio by wyszło, gdyby okazała rozbawienie na wieść o kalectwie jego matki. Niemniej śmieszyło ją, że wystarczyło dobre lanie i groźba wezwania policji, żeby zmienić „pana na dzielni” w pokorne cielę.

– O czym Kamińska z nią rozmawiała?

– Nie wiem – odparł krótko.

Diona uniosła brew i pochyliła się do przodu, na co mężczyzna natychmiast odsunął się niczym w obronie przed atakiem węża. Znów stłumiła śmiech.

– Bo się pogniewamy, Jureczku – ostrzegła. – Miałeś być miły i współpracować.

– Przecież, kurwa, współpracuję – zachnął się i dorzucił: – Nie było mnie przy tej rozmowie, to skąd mam wiedzieć, o czym gadały? Ona podobno szukała biologicznej matki, ale nie bardzo jarzę...

Urwał, wyraźnie zmieszany, a Diona tym razem nie próbowała walczyć z rozbawieniem. Zwodniczo przyjaznym gestem poklepała go po ręce.

– Bo byłeś naćpany, prawda? Dobra, zostawmy dragi i twoją mamusię w spokoju. Powiedz mi jeszcze, co robiłeś w ten

wieczór, kiedy Wioletta Kamińska została uduszona? Bo że nie było cię ani w robocie, ani w domu, to dobrze wiem.

W oczach Bobkowskiego ponownie błysnęło przerażenie. Stało się dla niej oczywiste, że jest w jakiś sposób zamieszany w napaść na Wiolettę, lecz Diona nie potrafiła ustalić, w jakim stopniu to, co przytrafiło się dziewczynie, było jego winą. W pierwszej chwili pomyślała, że ma przed sobą sprawcę, który najpierw dziewczynę zgwałcił, a później, przerażony własnym czynem, udusił ją, by nie mogła go wskazać. Jednakże jego następne słowa zaprzeczyły tej teorii, gdyż zapytany, czy domyśla się, kto mógł dopuścić się tego czynu, skrzywił się niczym po wypiciu butelki octu.

– Uważasz mnie za jakiegoś pierdolonego kapusia?! – oburzył się, przybierając zgorszoną minę.

Diona była gotowa postawić swoją miesięczną pensję na to, że dla ratowania własnej skóry Jerzy sprzedałby nie tylko sąsiadów, ale i syna, którego rzekomo tak bardzo kochał. Tego jednak mu nie powiedziała, nie chcąc prowokować go ponad miarę, więc tylko skwitowała ironicznie:

– Pewnie, lepiej chronić mordercę. Ciekawa moralność.

Miał na tyle przyzwoitości, by się zmieszać. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, lecz to on poddał się jako pierwszy i Diona znowu musiała stłumić rozbawienie. Mężczyzna był tak przewidywalny, że jego następne ruchy nie stanowiły żadnej tajemnicy.

– Nie o to chodzi! – warknął, zapominając o swoich wcześniejszych słowach. – Wcale nie chcę chronić tego skurwysyna i gdybym wiedział, kto to jest, tak bym mu jebnął, że nie byłoby co zbierać. Ale nie wiem. Kumasz? Nie wiem! – podniósł głos do krzyku, lecz zaraz się zreflektował i dokończył już normalnym głosem: – U nas we wsi nie ma nikogo, kto mógłby udusić dziewczynę sznurkiem.

Mówił coś jeszcze, lecz Diona przestała go słuchać, chcąc skupić się na ostatnim zdaniu. Wiedziała już, że nie kłamał, chcąc sprawiać wrażenie niewinnego. Jego oburzenie było prawdziwe, a zatem to nie on jest sprawcą. Choć nie miał wiarygodnego alibi, jedno jedyne słowo postawiło go poza podejrzeniem. Zatem trzeba szukać dalej.

*

Dzień wstał pochmurny, co natychmiast przełożyło się na humor Diony. Wystarczył jej rzut oka na siąpiącą nieprzerwanie mżawkę, by straciła ochotę na opuszczenie przytulnego domu Pelagii, a na myśl, że zgodnie z planem powinny odwiedzić Annę i Andrzeja Kaniów, skrzywiła się z niechęcią. Jakoś straciła zapał do tego śledztwa. Jeszcze nigdy nie miała do czynienia z tyloma kłamczuchami; odnosiła chwilami wrażenie, że w tej wiosce kłamców tylko jedna Pelagia Pasierbek mówi prawdę.

Nagle przypomniała sobie, że Pela miała jej powiedzieć coś ważnego, i natychmiast upomniała się o informację. Pelagia znowu obdarzyła ją nieco złośliwym uśmiechem, co wydało się dziewczynie podejrzanym. *Coś musi być nie tak z tym tajemniczym facetem*, pomyślała, czując coraz większą ciekawość.

– Mówiłam, żebyś się nie gorączkowała – odparła Pela. – Z tego, co wiem, Gredtke ma wrócić dopiero jutro.

Ton jej głosu bardzo przypominał uśmiech – pobrzmiwało w nim zadowolenie mocno podbarwione złośliwością.

– Kto to jest Gredtke? – zaciekawiała się dziewczyna.

– Nasz lokalny esbek. – Pela na widok miny Diony pokręciła głową. – Myślisz, że cię wkręcą?

– Nie, no dlaczego? – broniła się Diona. – Przecież esbek to nie żadne dziwowisko, jak, nie przymierzając, dwugłowe cielę, i równie dobrze jeden z nich może mieszkać w Świercznicy. Ale nie kapuję, w czym on mógłby mi pomóc.

– Jak to w czym? – oburzyła się Pelagia. – Przecież sama mówiłaś, że potrzebujesz informacji. Kto jak kto, ale Gredtke na pewno ci ich dostarczy.

Pełna powątpiewania mina Diony w zasadzie wystarczyłaby za odpowiedź, lecz dziewczyna powiedziała to głośno i wyraźnie:

– SB rozwiązano trzydzieści lat temu. Facet może i był dobry w swoim fachu, ale co mi przyjdzie z takich starych informacji? Przecież wszyscy moi podejrzani byli wtedy dziećmi, mieli po dwanaście, góra piętnaście lat.

Pelagia Pasierbek nigdy nie zwykła bawić się w dyplomację. Waliła prawdę prosto w oczy, nie zważając, czy się to komuś podoba, czy nie, i teraz także nie odstępowała od swoich zasad.

– Głupia jesteś – oznajmiła bez mrugnięcia okiem. – Sama powiedziałaś, że minęło trzydzieści lat. Chyba nie sądzisz, że przez ten czas Gredtke nigdzie nie pracował?

– A skąd mam wiedzieć, co robił? – oburzyła się Diona. – Równie dobrze mógł wtedy mieć już wysługę lat i przejść na emeryturę.

O tym pani Pela jakoś nie pomyślała. Przyłapaną na nieścistości, nie zmieszała się wcale, lecz zaśmiała się cicho, spoglądając na swoją lokatorkę z uznaniem.

– Dobra jesteś, nie dajesz sobie wcisnąć ciemnoty – pochwaliła szczerze. – Cofam tę głupią. Po rozwiązaniu SB Gredtke służył w komendzie powiatowej. Nie wiem, co tam robił, ale dosłużył się majora.

– Podinspektora – poprawiła Diona.

Pelagia tylko machnęła ręką.

– Jakoś nie mogę się przyzwyczaić do tych nowych stopni – sarknęła. – Ponoć miał awansować na podpułkownika. – Puściła oko do Diony. – Tylko na mnie nie krzycz. Nie pamiętam, jak to jest po nowemu? Inspektor?

– Młodszy inspektor.

– Masz rację. Nieważne. W każdym razie miał awansować, ale uchwalili tę ustawę o esbekach i z awansu wyszły nici, a Gredtke odszedł na emeryturę. – Pelagia przesunęła cukiernicę tak, by znalazła się w równym rządku z solniczką i pojemnikiem na pieprz. – Nie sądzisz, że powinien coś wiedzieć o swoich sąsiadach? W przeciwieństwie do mnie on tu mieszka od urodzenia. Nie lubi gości, więc będziesz mi potem musiała zdać relację z wizyty. Z przyjemnością mu to później wypomnę, bo mnie wyprosił, kiedy przyszłam zaoferować mu pomoc.

Słowa wyjaśniały złośliwy uśmiech Pelagii, prócz tego brzmiały obiecująco, jeśli chodzi o śledztwo. Stały mieszkaniem, w dodatku były funkcjonariusz, z pewnością dysponował jakąś wiedzą o mieszkańcach wsi. Nie mógł być jakimś pionkiem, skoro rozważano awansowanie go do stopnia młodszego inspektora. Diona nie była pewna, jaki wydział mógł dysponować etatem dla tak wysokiej szarży, ale za to miała pewność co do jednego – ów Gredtke nie mógł być byle kim.

– Kiedy odszedł na emeryturę? – spytała, podpierając brodę pięścią.

Pelagia z zadowoleniem odnotowała, że jej oczy poweselały, a ciało odzyskało zwykłą sprężystość. Najwyraźniej chwilowy kryzys już minął.

– Gdzieś tak w połowie dwa tysiące siedemnastego – odpowiedziała po krótkim namyśle. – Czy to ma znaczenie?

Tak, kryzys zdecydowanie minął, Diona bowiem posłała Pelagii figlarny uśmiech. Starsza kobieta pomyślała, że

dziewczyna powinna stale się uśmiechać, tak bardzo wówczas zmieniała się jej twarz, z przeciętnej stając się niemal piękną.

– Ma znaczenie o tyle, że pewnie dalej ma w komendzie jakichś znajomych – wytłumaczyła Diona, nie przestając się uśmiechać. – Jeśli rozstał się z nimi w zgodzie albo są mu winni jakąś przysługę, może zechcą sprawdzić dla niego to i owo.

– No widzisz. – Pela odwzajemniła uśmiech. – Wcale nie jest tak źle. Odpocznij, dziewczyno, zrelaksuj się, a najlepiej prześpij. Gredtke wraca dopiero jutro, więc dzisiaj i tak nic nie załatwisz. Musisz czekać.

Znowu to czekanie! Serdecznie nienawidziła sytuacji, gdy nie mogła od razu działać, ale Pelagia miała rację. Pocieszała się, że może koleżanka dostarczy jakichś nowych danych, uzyskanych podczas rozmowy z Marcinem.

Nastroju bynajmniej nie poprawiła jej informacja, że Marcin w dalszym ciągu nie odniósł się w żaden sposób do sygnalizowanych mu problemów, tylko nakazał kontynuować rozpytywanie.

– Niech go szlag! – wybuchnęła po wysłuchaniu relacji Doryckiej, która zaraz rano zadzwoniła do Lipskiego. – Co on sobie wyobraża?! Nie myślałam, że jest takim dupkiem. Mam ochotę pieprzyć tym wszystkim i wracać do domu.

– Nie możesz! – przeraziła się Inka. – Nie poradzę sobie sama. Zostali nam Kaniowie i Wąsik, no i wypadałoby jeszcze pogadać z matką Bobkowskiego. Nie ciekawi cię, czego Wioletta od niej chciała?

– Nie ciekawi – burknęła znad kubka z kawą.

Wcale nie skłamała. Nie ciekawiło, gdyż dobrze wiedziała, po co Kamińska przyjechała do Świercznicy. Inka też to wiedziała, ale albo zapomniała, albo nie zwróciła uwagi na słowa Bobkowskiego. Dionę natomiast zastanawiało, czy Wioletta odnalazła właściwą kobietę i czy mogło to być

powodem jej śmierci. Postanowiła uporządkować sobie w głowie zebrane informacje i sprecyzować ewentualne pytania, po czym zapisać je w notatniku, by nic jej nie umknęło podczas rozmowy z podinspektorem Gredtkem.

Po dość długiej i burzliwej dyskusji postanowiły najpierw odwiedzić matkę Jerzego, żeby ostatecznie odfajkować rodzinę Bobkowskich, a dopiero potem udać się do domu Kaniów, bardziej przypominającego rezydencję jakiegoś prominenta niż budynek mieszkalny bezdzietnego małżeństwa.

Diona nalegała wprawdzie, by odwrócić kolejność, ale z chwilą, gdy uległa Ince, poczuła niespodziewaną ulgę i dopiero po dłuższym czasie pojęła jej przyczyny. Wcale nie miała ochoty na spotkanie z wyniosłą, zarozumiałą kobietą, wiedząc dobrze, że zostaną tam potraktowane jak osoby pośledniejszego gatunku. Zbyt dobrze pamiętała wizytę Anny Kani w sklepie Pelagii, by spodziewać się miłego przyjęcia.

W drodze do Bobkowskich przypomniała sobie, że to właśnie dzisiaj miał wrócić Robert Gredtke, o którym pani Pela mówiła niby złośliwie, ale w gruncie rzeczy w samych superlatywach. Powinna się do niego wybrać, tylko może jeszcze nie dziś. Nie ma sensu zawracać komuś głowy w dniu powrotu, zwłaszcza że to starszy człowiek, więc z pewnością będzie zmęczony po podróży. Zamiast tego lepiej podejść do siostry Wąsika i wreszcie domknąć kwestię rozmów ze wszystkimi kobietami będącymi w sferze zainteresowań Kamińskiej.

Drzwi i tym razem otworzyła im Małgorzata, a one na jej widok dosłownie zaniemówiły. Zapuchnięty, podbiegnięty krwawymi wybroczynami policzek niemal całkowicie przesłaniał lewe oko, przypominające wąską szparkę, taki sam krwiałk ozdobił pękniętą górną wargę, a gdy dziewczyna uniosła rękę, chcąc zasłonić twarz, dostrzegły na nadgarstkach sińce stanowiące odbicie palców.

– Matko Boska! – wykrzyknęła Inka.

Diona wykazała się większym opanowaniem i zamiast krzyżeć, natychmiast przeszła do konkretów.

– Zgłosiła to pani? – Odnotowała przeczący ruch głową i skrzywiła się lekko. – Jeszcze nie jest za późno, żeby zrobić obdukcję i zgłosić przemoc na policji. Niech się pani ratuje, póki czas, bo on nie przestanie. I któregoś razu panią zabije lub okaleczy na całe życie.

– Nie mogę – jęknęła Małgorzata. – Ślubowałam przed Bogiem...

– A on nie ślubował? – Diona miała ochotę potrząsnąć tą upartą, głupią dziewczyną. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. – Dobra, zostawmy to na razie. My do pani teściowej. Jest w domu?

– Przecież nie chodzi – burknęła Małgorzata.

Poprowadziła je na schody, a później wąskim przedpokojem do dużego pomieszczenia z przeszkloną połową ściany, przed którą stała niezliczona ilość kwiatów. Minęła dobra minuta, nim w tym gąszczu dostrzegły kobietę siedzącą na wózku inwalidzkim.

Barbara Bobkowska byłaby piękną kobietą, gdyby nie jakiś rys wokół ust, nadający jej twarzy wyraz okrucieństwa. Na widok gości dyskretnie poprawiła fryzurę, układając ciemne loki na ramionach. Nim dziewczyny zdążyły wypowiedzieć słowa powitania, odezwała się do synowej:

– Nie jestem zainteresowana rozmową z twoimi koleżankami. Wystarczy, że muszę znosić twoją obecność. Przyszły cię pocieszać? – roześmiała się urągliwie. – Trzeba było nie pchać się do męża z łapami. Pewnie o tym nie wiecie, ale to ona zawsze prowokuje awantury. – Przeniosła wzrok na Inkę, zapewne uznając, że lalkowata twarz okolona blond włosami oznacza, iż jej właścicielce nie zbywa na rozumie. – Jak sobie popije, to staje się agresywna, a przecież żaden mężczyzna nie pozwoli, żeby kobieta go tłuła.

Widząc, że Dorycka szykuje się do wypowiedzenia jakiejś ciętej repliki, Diona powstrzymała ją kuksańcem w bok, postąpiła kilka kroków do przodu i odezwała się z należyty szacunkiem:

– Dzień dobry. Nazywam się Dioniza Remańska, a to moja koleżanka, Jemina Dorycka. Nie jesteśmy znajomymi pani synowej. Przysłała nas tutaj Pelagia Pasierbek, bo podobno może nam pani pomóc.

Barbara Bobkowska zlustrowała ją od stóp do głów, po czym poddała Inkę takiej samej procedurze. Oględziny musiały wypaść pomyślnie, gdyż wzrok kobiety złagodniał.

– Usiądźcie. – Gestem wskazała komplet wypoczynkowy pod przeciwległą ścianą i wyjechała z kwietnego gąszczy. – Czego stoisz jak krowa? – warknęła na Małgorzatę. – Przynieś kawę i ciastka, a potem się wynoś.

Młodsza Bobkowska bez słowa sprzeciwu poszła wykonać polecenie, a starsza z kobiet podjechała do stolika, całą uwagę poświęcając gościom. Widać było, że wprost płonie z ciekawości, toteż Inka postanowiła trochę ją podręczyć.

– Serdecznie pani współczuję. To musi być okropne, tak całymi dniami siedzieć w wózku. Mam nadzieję, że to tylko chwilowe.

Włożyła w głos tyle empatii, że kobieta nie miała innego wyjścia, jak podziękować za dobre słowo.

– Niestety lekarze nie dają szans na poprawę – odezwała się w chwili, gdy Małgorzata pojawiła się z zastawioną tacą.

Diona odniosła nieodparte wrażenie, że słowa zawierały jakiś ukryty przekaz skierowany do synowej, ale nie zamierzała głębiej w to wnikać. Miała inne zadanie do wykonania. Po krótkim zamieszaniu związanym z rozstawianiem filiżanek i nakładaniem ciasta na talerzyki wreszcie mogła przejść do rzeczy. Zwięźle sformułowała pytanie, licząc na równie zwięźłą

odpowiedź, niczego bowiem nie pragnęła bardziej niż jak najszybciej opuścić ten dom i jego dziwną mieszkankę.

– No wie pani, to są przecież intymne sprawy, nie powinno się ich upubliczniać – odparła Bobkowska.

Rumieniec podekscytowania i błysk w oku świadczyły o czymś przeciwnym. Widać było, że kobieta tylko się kryguje, a tak naprawdę bardzo pragnie znaleźć się w centrum zainteresowania. Dziewczyny porozumiały się wzrokiem.

– Jeśli pani odmówi udziału w badaniach, to trudno. – Inka uśmiechnęła się blado, chcąc sprawić wrażenie, że z trudem skrywa rozczarowanie. – Ale mogę panią zapewnić, że zachowałam pani pełną anonimowość.

To pani Barbarze zdecydowanie nie odpowiadało, natychmiast więc wycofała się z wcześniejszych słów.

– Nie, nie! – Zamachała upierścienioną dłonią tuż przed twarzą Doryckiej. – Ja tylko tak ogólnie rozważałam.

Inka miała ochotę podręczyć ją jeszcze dłużej, ale na dyskretny znak Diony zmieniła zdanie i przeszła do zadawania pytań z opracowanego zaraz po przyjeździe zestawu. Barbara Bobkowska odpowiadała chętnie i tylko raz zmieniła temat, pytając, dlaczego żadna z nich nie robi notatek. Diona bez zmruczenia powiek skłamała, że nigdy nie zapomina tego, co usłyszy. Kobieta wzięła odpowiedź za dobrą monetę, mogły więc kontynuować rozmowę. Skończywszy „grę wstępną”, Inka umilkła, pozwalając koleżance przejąć pałeczkę.

– W listopadzie ubiegłego roku odwiedziła panią jedna z takich obcych osób – oświadczyła, nie bawiąc się w podchody. – Wioletta Kamińska. Podobno szukała tutaj biologicznej matki. Czy właśnie o tym z panią rozmawiała?

Zagrała w otwarte karty, licząc na wiele mówiącą reakcję, ale nie spodziewała się, że Bobkowska wybuchnie śmiechem. Mocno zdumiona, przeczekwała atak wesołości i już miała zapytać o jego powody, gdy pani Barbara odpowiedziała na

niezadane pytanie. Ciągłe jeszcze chichotała, kiedy tłumaczyła przyczynę swojego zachowania.

– Ona też miała taką minę jak wy, gdy się roześmiałam. Biedactwo, była taka pewna, że to ja jestem jej matką.

– Ale pani nią nie jest?

– Jak mogłabym być? Jureczek urodził się w październiku, a ta dziewczyna w lutym następnego roku. Nawet gdybym natychmiast po porodzie zaszła w ciążę, to czteromiesięczne płody nie są zdolne do samodzielnego życia.

Pani Barbara, dumna z wprawienia dziewczyn w konsternację, była tak przejęta swoją rolą, że gestykułując gwałtownie, potrąciła filiżankę. Gorąca kawa zalała cały stół, a kilka kropel prysnęło na kolana Bobkowskiej. Krzyknęła z bólu, poderwała się z wózka i chwyciła skraj sukienki, po czym sięgnęła do szafy po ściereczkę, by doprowadzić stół do porządku. Dziewczyny oniemiały.

– Cud, cud! Alleluja, cud! – zakrzyknęła Diona, gdy już odzyskała zdolność mowy.

Twarz Bobkowskiej pokryła się nagłą bladością, kiedy kobieta zrozumiała, że zdradziła swój skrzętnie skrywany sekret. Jęknęła cicho, wróciła do wózka i ciężko opadła na siedzenie, zasłaniając się rękami.

– Nie mówcie nic Goście. Błagam! – wydusiła po chwili. – Ona mi tego nie daruje.

– Wcale się nie dziwię – odparła Diona lodowatym tonem. – No dobrze. Dlaczego pani udaje niewydolną ruchowo? Po co ta maskarada?

Z uwagą wysłuchały opowieści o wypadku samochodowym, o który Barbara z uporem obwiniła synową, choć to nie Małgorzata była sprawcą. Jadący z naprzeciwka kierowca zagapił się i skręcił jej tuż przed maską.

– Ale to i tak jej wina – upierała się Bobkowska. – Gdybyśmy wyjechały wcześniej, tak jak tego chciałam, nie miałabym

połamanych nóg. Wiecie, jak to cholernie bolało? Teraz niech ona pocierpi!

Nie skomentowały tej wypowiedzi, choć jej pokrętna logika znów wprowadziła je w lekkie osłupienie. Po kilku minutach pełnych wymownego milczenia Diona zręcznie zmieniła temat, ciekawa, dlaczego Kamińska była przeświadczona, że Barbara jest jej matką. Bobkowska w pierwszej chwili odmówiła odpowiedzi, lecz uniesiona brew Diony i wzrok znacząco skierowany na wózek skłoniły ją do zmiany zdania.

– Skojarzyła to z moją nieobecnością – wyjaśniła niechętnie.

– Naprawdę nie uważam, że to w porządku wtykać nos w cudze sprawy – pouczyła z kwaśną miną.

– Za to udawać kalekę jest bardzo w porządku – odcięła się Inka. – Gdzie i po co pani wyjechała?

– Do szpitala! – wrzasnęła rozzłoszczona Bobkowska. – Od połowy sierpnia leżałam na podtrzymaniu, a po porodzie zostałam w Żywcu u mojej mamy. Wróciłam do domu dopiero w kwietniu, dlatego ta głupia dziewczucha uznała, że to ja urodziłam ją w tajemnicy i oddałam do adopcji. Czy to wreszcie koniec przesłuchania?

Dorycka posłała jej czarujący uśmiech.

– Prawie. Tak sobie myślę, że to musi być bardzo wygodne udawać kalekę. Synowa posprząta, wypierze i wyprasuje, zrobi zakupy i podetknie żarełko pod sam nos. A co na to szanowny małżonek?

W oczach Bobkowskiej zamigotały niebezpieczne błyski.

– Szanowny?! – wysyczała z wściekłością. – Miałby szanownego, gdybym tak go dorwała. I tę jego kurwę!

– Ojej! – wykrzyknęła Diona z fałszywym współczuciem. – Ma kochankę?

– Skurwysyn jeden, odszedł do niej jeszcze przed moim wypadkiem. Myślałam, że wróci, kiedy ja... Nie wiedział, że

udaję, więc powinien był wrócić. Ale on kazał mi nająć sobie opiekunkę. Podły gnój!

Cała pozorna ogłada gdzieś zniknęła i po wytwornych manierach nie został nawet ślad. Dziewczyny wysłuchały jeszcze żalów, że to przez odejście ojca Jureczek się załamał, a potem zaczął szukać pociechy w narkotykach. Gdy przeszła do narzekań na synową, wstały i skierowały się do wyjścia. Wówczas urwała w pół słowa i przypomniała o dochowaniu przed Małgorzatą tajemnicy.

– Niczego pani nie obiecywałam – odparła beztrosko Inka. – Ona też nie – dodała, wskazując na Dionę.

Bobkowska wycelowała oskarżycielsko palec w tę ostatnią.

– Nieprawda! Pani mi przecież obiecała. Powiedziała pani „dobrze”, kiedy poprosiłam, żeby nie mówić Goście.

Diona uśmiechnęła się szeroko.

– Skłamałam.

*

Zgodnie z przewidywaniami bramy Kaniów strzegł cieć. *Pardon, ochroniarz*, poprawiła się Diona w myślach, przyglądając się napakowanemu mięśniakowi w opiętej kurtce moro. Ospale ruchy i niezbyt inteligentny wyraz twarzy mężczyzny kazały jej przypuszczać, że pokonałaby go w pierwszym starciu, o ile wcześniej nie zabiłby jej, przygniatając masą okazałego cielska. Na wszelki wypadek postanowiła tego nie sprawdzać.

Zamiast tego wypchnęła do przodu Inkę, licząc, że i tym razem ładna buzia i bezradne spojrzenie niebieskich jak niezabudki oczu podziałają dezorientująco. Tak też w istocie się stało. Niepodejrzewający podstępny ochroniarz wysłuchał ogólnikowego tłumaczenia, że przyszły odwiedzić Annę Kanię,

przyjął za pewnik, że są jej znajomymi, i bez dalszych pytań wpuścił je na teren posesji.

Po wejściu na podest przed drzwiami Diona sięgnęła do dzwonka, Inka zaś kucnęła, by doprowadzić do ładu rozwiązana sznurówkę ciągnącą się za nią niczym luźno puszczone linka holownicza za samochodem.

– Mam nadzieję, że poczęstuje nas jakąś colą albo chociaż mineralną – odezwała się po chwili, nie unosząc głowy. – Łaknę picia jak kania dżdżownic.

W odpowiedzi usłyszała dziwny dźwięk, jako żywo przypominający gdakanie kury. Zaciekawiona, uniosła głowę i zamarła, gdy ujrzała koleżankę przyciskającą do ust dłoń mającą zdławić niekontrolowany chichot. Jako materiał izolacyjny dłoń niezbyt się sprawdziła, gdyż to właśnie spod niej wydobywało się owo gdakanie, będące efektem tłumienia śmiechu. Oczy Diony skierowane były na drzwi i stojącą w nich kobietę.

Anna Kania nie wyglądała na oburzoną, czego obawiała się Inka, gdy uświadomiła sobie, że kobieta mogła wziąć jej słowa za żarty z nazwiska. Bardziej na zadumaną nad jakimś problemem, co dawało nadzieję, że może jednak nie zostaną wyrzucone poza bramę na przysłowiowy zbity pysk.

Inka czym prędzej zawiązała sznurówkę, tworząc z niej nieco niekształtną kokardkę, i dźwignęła się do pionu, przywołując na twarz przyjazny uśmiech, po czym skierowała się w stronę kobiety, szturchając po drodze koleżankę, żeby wyrwać ją z krótkiego transu.

– Dzień dobry – odezwała się najpiękniej, jak umiała. – Nazywam się Jemina Dorycka i jestem...

– Bardzo spragniona – dokończyła za nią kobieta w drzwiach. – Wobec tego proszę dalej. Ale muszę uprzedzić, że chociaż nazywam się Kania, naprawdę nie mam zwyczaju wsysać dżdżownic jak spaghetti.

Diona wreszcie opanowała gdakanie i również podeszła bliżej.

– Dioniza Remańska. Jestem koleżanką tej wariatki.

Kania przyjrzała się jej w zadumie.

– Mówią, że z kim przestajesz, takim się stajesz. Gdakanie raczej nie jest objawem normalności.

Dziewczyna parsknęła śmiechem, doceniając złośliwą replikę gospodyni. Tylko Inka spoglądała to na jedną, to na drugą, nie rozumiejąc dowcipu.

Diona wywróciła oczami i zwróciła się do gospodyni:

– Wyszło na to, że z całą naszą trójką jest coś nie tak. Kania od dżdżownic, Remańska od gdakania i Dorycka od kolumny. Czy mimo to mogłybyśmy przez chwilę porozmawiać?

Anna Kania uczyniła dłonią zapraszający gest.

– Chyba nie mam innego wyjścia, jak się zgodzić. Obiecałam pani Kolumnie, to jest pani Doryckiej, coś do picia.

Zdążając za nią w głąb domu, Diona nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok naburmuszonej twarzy koleżanki. Inka jak zwykle nie potrafiła przyjąć z humorem żartów ze swojej osoby, choć tak chętnie kpiła z innych. Detektywka in spe doszła do wniosku, że po zakończeniu pobytu w Świercznicy nie będzie żałowała zakończenia tej znajomości. Nie bardzo było im po drodze.

Odsunęła od siebie myśli o Doryckiej i zaczęła poświęcać więcej uwagi otoczeniu. Rychło zauważyła, że chociaż Kaniowie niewątpliwie dysponowali większym majątkiem i, co za tym idzie, mogli przeznaczyć większe środki na wystrój wnętrz, niż miało to miejsce u Królów, na pierwszy rzut oka dom urządony jest dużo skromniej. Zaskoczona swoim odkryciem, przyjrzała się uważnie mijanym sprzętom i wkrótce ustaliła przyczynę tego paradoksu. Był nią gust, a raczej brak gustu, w domu Królów rzucający się w oczy na każdym kroku. Kaniowie natomiast postawili na elegancką

prostotę, co dało efekt może odrobinę zbyt surowy, ale daleko bardziej przemawiający do Diony.

Anna Kania również spodobała jej się bardziej niż Izabella Król. Spokojna, bez nerwowych ruchów tamtej, miała w sobie coś z królowej, chociaż to nazwisko Izabelli sugerowało przynależność do najwyższych sfer. W Izabelli wyczuwało się niepokój, targające nią sprzeczne uczucia, natomiast Anna emanowała godnością i powściągliwością. W niczym też nie przypominała teraz tamtej oschłej, wyniosłej kobiety ze sklepu Pelagii i dziewczyna zastanawiała się, które oblicze Kani jest prawdziwe. Po namyśle doszła do wniosku, że oba. Widocznie wtedy Anna miała zły dzień. Może gnębiły ją jakieś problemy albo kłopoty ze zdrowiem? A może po prostu niezbyt lubią się z Pelagią? W końcu każdy człowiek ma swoje słabostki, każdy też ma prawo być czasem nie w humorze.

Zgodnie z obietnicą gospodyni podała Ince litrową butlę coca-coli i wysoką szklankę z grzechoczącymi na dnie kostkami lodu, a to wystarczyło, by udobruchać ciągle jeszcze nabzdyczoną dziewczynę. Diona poprosiła o kawę i wkrótce potem delektowała się wytoczonym z ciśnieniowego ekspresu ciemnym płynem przyozdobionym kremową pianką. Kania usiadła z kubkiem herbaty w dłoni i z lekkim półuśmiechem wysłuchiwała historyjki o badaniach prowadzonych na potrzeby pracy magisterskiej. Nie przerywała pytaniami i odezwała się, dopiero gdy Inka miała zamiar przejść do zadawania pytań.

– To mała miejscowość, więc wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. – Uśmiechnęła się tym swoim zniewalająco-złośliwym uśmiechem i dorzuciła: – A jak nie wiedzą, to sobie zmyślą, żeby mieć co opowiadać. Tak było i z wami. Już mi doniesiono, że pojawiłyście się we wsi, chodźcie po domach i zawracacie ludziom głowy głupimi pytaniami. – Popatrzyła na swoich gości z miną oznajmiającą, że na pewne sprawy nie ma się żadnego wpływu. – To normalne. Mój mąż jest tu uważany

za bardzo ważną osobę, bo Kania Plast daje pracę większości mieszkańców. Niektórzy uważają, że dzięki donoszeniu o tym, co dzieje się we wsi, będą mieć większą szansę na awans czy podwyżkę.

– A tak nie jest? – chciała wiedzieć Diona.

Kania zdecydowanie zaprzeczyła, wyjaśniając przy tym, że oboje z mężem nie znoszą donosicielstwa i plotek. Niestety ludzie na ogół są tak skonstruowani, iż nie dociera do nich, że podobne zachowanie nie przyniesie im żadnych profitów.

– Ale dzięki temu jesteśmy na bieżąco – stwierdziła z lekkim rozbawieniem. – Na przykład już wczoraj wieczorem wiedzieliśmy, że Bobkowski dostał od jednej z pań po mordzie. Sądząc z opisu, to pani go spacyfikowała – zwróciła się w stronę Diony.

Dziewczyna dostosowała się do żartobliwego tonu gospodyni.

– To prawda, że dzięki mnie przeżył odlot bez konieczności wydawania pieniędzy na narkotyki, ale nieprawdą jest, jakoby dała mu po mordzie. Nie chciałam sobie brudzić rąk takim ścierwem.

– Nigdy nie widziałam na żywo, żeby ktoś tak szybko się ruszał i miał takiego celnego kopa. – Inka nie posiadała się z podziwu. – Jak ty to robisz?

– Lata treningu – odparła Diona zwięźle i szybko zmieniła temat. – Pani Anno, czy mam rozumieć, że wie pani również, co najbardziej nas interesuje?

Kania skinęła głową i wolnym ruchem podniosła kubek do ust. Popijając herbatę, przyglądała się swoim gościom tak uważnie, jakby dokonywała w myślach ich szczegółowej oceny. Dziewczyny również ją obserwowały, ciekawe dalszego rozwoju sytuacji. Kobieta zdecydowanym ruchem odstawiła kubek.

– Chcecie wiedzieć, czy rozmawiałam z Wiolettą Kamińską, prawda? Powiem wam, bo nie mam powodu niczego ukrywać,

choć może nie powinnam, skoro wy nie jesteście ze mną szczerze.

Pod jej przenikliwym spojrzeniem twarz Inki pokryła się lekkim rumieńcem, Diona jednak nawet nie mrugnęła.

– Skąd to przypuszczenie? – spytała z umiarkowaną ciekawością.

Anna nie odpowiedziała od razu; najpierw poddała dziewczynę kolejnej wnikliwej lustracji.

– Stąd, że mieszkamy tu różnych obcych, a wy skupiłyście się na tej jednej dziewczynie. Myślę, że jesteście w jakiś sposób powiązane z policją.

Diona tylko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się leciutko.

– Skupiłyśmy się na Kamińskiej dlatego, że została zamordowana. Przyzna pani, że to dość niecodzienne zdarzenie, dlatego mamy pewność, że ta dziewczyna zapadła ludziom w pamięć. Prócz tego jestem osobiście zainteresowana tematem. – Przybrała niepewną minę, jakby chciała się przyznać do czegoś wstydliwego. – Fascynuje mnie praca policjantów i kiedyś nawet marzyłam, że związę swoje życie z tą formacją. Nic z tego nie wyszło, ale fascynacja pozostała. Dlatego tak bardzo interesuję się Kamińską. A nuż odkryję coś, na co policjanci nie zwrócili uwagi?

– Marzy ci się wykrycie sprawcy? – Inka zrobiła wielkie oczy.

– Nic o tym nie mówiłaś – wytknęła z wyrzutem.

– A to ma jakieś znaczenie? – odpowiedziała pytaniem Diona. – Przecież na logikę i zdrowy rozum nie mam żadnych szans. Ale pomarzyć chyba mi wolno.

– A marz sobie – łaskawie zezwoliła Dorycka. – Choć ja wolałabym snuć marzenia o przystojnym śledczym z wielkim...

– Przybrała zachwyconą minę, zatrzepotała rzęsami, po czym dokończyła niewinnie: – Rozumem.

Diona parsknęła śmiechem i pogroziła jej palcem. Anna Kania także się uśmiechnęła. Rozmowa dziewczyn chyba ją

przekonała o ich szczerości, gdyż niespodziewanie zaczęła zdawać relację z rozmowy z Wiolettą Kamińską. Bez oporów przyznała, iż Kamińska chciała odnaleźć biologiczną matkę, dlatego wzięła na celownik kobiety, które na pewien czas zniknęły spod czujnego oka sąsiadów.

– Całkiem sprytnie to wymyśliła – pochwaliła nieszczęsną dziewczynę. – Tu wszyscy są poddawani ścisłej inwigilacji, więc nie ma możliwości urodzenia dziecka, a następnie pozbycia się go w taki sposób, by sąsiedzi o tym nie wiedzieli. Ta kobieta musiała stąd wyjechać na jakiś czas, by ukryć ciążę, i wrócić dopiero po porodzie.

– Mam rozumieć, że to nie była pani?

Diona uśmiechem złagodziła wydźwięk pytania. Anna nie poczuła się urażona; bardziej rozbawiła ją ta supozycja, roześmiała się bowiem serdecznie.

– Nawet gdybym bardzo chciała nią być, to fakty są przeciwko mnie. Po pierwsze, nie mieszkałam wtedy w Świercznicy. Przeprowadziliśmy się tutaj dwadzieścia lat temu, a Kamińska miała wówczas już trzy lata. Wiem o tym, bo powiedziała mi, że urodziła się w dziewięćdziesiątym szóstym – wyjaśniła, widząc zdziwienie Inki.

– A po drugie? – zainteresowała się Diona. – Musi być jakieś drugie, skoro powiedziała pani „po pierwsze”.

– Po drugie, PESEL też w tym przypadku jest przeciwko mnie. Mam trzydzieści osiem lat, więc musiałabym ją urodzić, mając piętnaście. – Kania wzruszyła ramionami. – Wiem, wiem. Takie przypadki niestety czasem się zdarzają, ale milicja na pewno prowadziłyby jakieś postępowanie, więc sprawa stałaby się głośna i nie dałoby się załatwić adopcji w tajemnicy.

Diona wolno skinęła głową. Miała ochotę zwrócić Kani uwagę, że w dziewięćdziesiątym szóstym nie było milicji, tylko policja, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Nomenklatura

nie miała tu znaczenia, ważniejszy wydał jej się fakt, że wówczas minimalny wiek, od którego daną osobę uznawało się za zdolną do wyrażenia ważnej prawnie zgody na czynności seksualne, wynosił, podobnie jak obecnie, piętnaście lat. Tak przynajmniej jej się wydawało. Pewności nie miała, zatem zapisała sobie w pamięci, by po powrocie do domu Pelagii na wszelki wypadek zadzwonić w tej sprawie do ojczyma.

Naraz jeszcze jedna myśl zaświtała jej w głowie. Diona aż podskoczyła, gdyż uprzytomniła sobie, że ta myśl od dawna błąkała się po obrzeżach podświadomości, uporczywie nie dając się sprecyzować.

– Przecież to jest bez sensu! – wykrzyknęła. – Kurwa mać!

Zapomniała, że jest w tym domu gościem, zatem nie powinna się wydzierać i przeklinać niczym pretendent do Niebieskiej Karty, i dopiero zdumiona mina Inki pomogła jej oprzytomnieć. Bała się spojrzeć na Kanię, nie mogąc na szybko wymyślić wiarygodnego wytłumaczenia swojego wybuchu.

– Co się stało? – spytała Anna.

W tym samym momencie przyszło olśnienie.

– Przepraszam bardzo – powiedziała ze skruchą. – Zachowałam się jak ostatni burak. Zdenerwowałam się, bo nagle odkryłam, że popełniłyśmy błąd w naszych założeniach. To kwestia techniczna, nie będę pani zanudzać. – Spojrzała na Dorycką. – Powiem ci w domu, o co chodzi. Niestety będziemy musiały wszystko przepisać od nowa.

Za tę minę Inka powinna dostać Oskara, pomyślała, ujrzawszy, jak koleżanka przyobleka twarz w wyraz smutku połączonego ze złością.

– Niech to szlag – mruknęła Inka. – To co, chyba już pójdziemy?

Diona skinęła głową. Chciała zadać gospodyni jeszcze jedno pytanie, lecz nie miała chwilowo pomysłu, jak mogłaby to

zrobić, nie wzbudzając podejrzeń. Niespodziewanie z pomocą przyszła jej właśnie Kania, pytając z rozbawieniem, czy jako niedoszła funkcjonariuszka organów ścigania uznała ją za niewinną.

Odwzajemniła uśmiech i odparła z udawaną powagą, naśladując udziwniony sposób mówienia niektórych funkcjonariuszy i urzędników:

– Z naszych ustaleń wynika, że podejrzewania wobec pani nie znalazły potwierdzenia w faktach. Należałoby jednak wyjaśnić jeszcze jedną kwestię. Czy ma pani alibi na czas popełnienia morderstwa? Gdzie pani wtedy przebywała?

Anna wybuchnęła śmiechem, po czym zwróciła uwagę, że pytanie jest wprawdzie z gatunku podchwytliwych, lecz sposób jego sformułowania w każdym przestępcy wywołałby tylko politowanie.

– Chyba dobrze, że nie została pani policjantką – wytknęła nie bez złośliwości. „Ma pani alibi na czas popełnienia morderstwa?” – przedrzeźniała. – Każdy głupi by się zorientował, że odpowiadając, automatycznie przyzna, że wie, kiedy dokonano zbrodni.

Dziewczyna udała zaszokowaną.

– Nie pomyślałam, że to aż tak oczywiste – wyznała ze skruchą. – Wydawało mi się, że raczej bardzo sprytnie. – Westchnęła cicho. – A tak z ciekawości, ma pani to alibi?

– Mam. Byliśmy u znajomych i... – Gospodyni urwała, spojrzała z uznaniem na Dionę i znów się roześmiała. – Zwracam honor. Dałam się podejść jak małe dziecko. Może powinna pani jednak pomyśleć o wstąpieniu do policji?

– To już nie jest ta sama policja co jeszcze kilka lat temu. – Diona skrzywiła się lekko. – Dziękujemy pani za cierpliwość i za poświęcony czas.

W tej samej chwili do pokoju wszedł przystojny mężczyzna w wieku około czterdziestu lat. Zaskoczony widokiem gości

przystanął, zawahał się na moment, lecz Anna ponagliła go, prosząc, by się przywitał. Przybysz okazał się panem tego domu. Andrzej Kania sprawiał bardzo miłe wrażenie i absolutnie nie pasował do obrazu tyrana i wyzyskiwacza, toteż Diona zaczęła się zastanawiać, ile w opinii Smoka i Pelagii było prawdy, a ile niesłusznych oskarżeń wynikających z jakichś mniej lub bardziej zadawnionych uraz.

*

Dziewczyny zamieniły z gospodarzami jeszcze kilka słów i po krótkim pożegnaniu opuściły dom. Anna śledziła je wzrokiem, dopóki nie zniknęły za bramą, po czym odwróciła się do męża z pełnym zadowolenia uśmiechem.

– Poszły sobie – stwierdziła oczywistość. – Możemy teraz poświętować. – Wtuliła się w jego ramiona i sięgnęła mu do krocza. – Mam ochotę – wymruczała, pieszcząc go przez spodnie.

– Ty zawsze masz ochotę – odparł, lecz nie zabrzmiało to jak zarzut.

Odsunął rękę żony i naparł na nią biodrami, ocierając się o jej brzuch.

– Co im powiedziałaś? – spytał nagle.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił ją twarzą do okna. Anna weszła na stojący pod oknem podest, uniosła tunikę i zdjęła ją przez głowę, potem przytrzymała się parapetu i wygięła się w łuk, wypinając zgrabny tyłeczek.

– To, co ustaliliśmy – odparła głosem drżącym z podniecenia. – Pośpiesz się – syknęła. – Zaraz dojdę.

Andrzej Kania walczył właśnie ze stawiającymi opór spodniami, więc tylko przesunął dłonią między jej nogami,

odnotowując z satysfakcją, że getry Anny są całkiem mokre. Uwielbiał w niej to, że nigdy nie miała dość.

– To dojdiesz jeszcze raz – odpowiedział i zdarł z niej getry wraz z majtkami. – Z niczym się nie wygadałaś?

Jęknęła głośno, czując, jak ją wypełnia. Zaraz jednak zastygł w bezruchu i zrozumiała, że nie posunie się dalej, dopóki nie usłyszy odpowiedzi.

– Nie jestem idiotką! To tylko dwie nie za mądre dziewczyny. Nie są w stanie nam zagrozić!

Niemal oszalała z pożądania, wykrzykiwała te słowa, nie mogąc doczekać się spełnienia. Andrzej zawsze tak na nią działał. Wystarczyło, by pomyślała o seksie z nim, a natychmiast miejsce rozsądnej, opanowanej kobiety zajmowała goniąca się suka. W oczekiwaniu na pierwszy dreszcz orgazmu dojrzała stojącego przed domem ochroniarza. Mężczyzna patrzył prosto na nią, zauważyła też, że jego ręka pod kurtką porusza się miarowo.

– Kubica patrzy – wyjęczała. – Patrzy na nas i się branzluje.

To był sygnał dla Andrzeja, który uwielbiał mieć w takich chwilach widownię. Po to właśnie kazał ustawić podest przed oknem, by mężczyźni strzegący domu mogli obserwować ich akt miłosny. Naparł na nią tak gwałtownie, że niemal wbił ją w parapet, krzycząc przy każdym ruchu:

– Jesteś! Moja! Na zawsze! – Naraz stęknął głośno, poruszył się jeszcze kilka razy i zastygł w niej, po czym powiedział już spokojnie: – Jesteśmy w tym razem! Pamiętaj o tym, kiedy z kimś rozmawiasz.

– Przecież wiem – burknęła, obserwując ochroniarza, który właśnie wycierał dłoń w chusteczkę. – Może następnym razem go zaprosimy?

– Nawet nie próbuj – warknął. – Nie zamierzam się tobą dzielić. Naprawdę ci nie wystarczam? – zapytał, dobrze wiedząc, że za parę minut znowu stwardnieje.

Ochroniarze też o tym wiedzieli i właśnie drugi z nich pojawił się pod oknem w oczekiwaniu na spektakl. Ten był mniej wstydlivy i zawsze rozpinął spodnie, nie starając się udawać, że zajmuje się czymś innym. Rozgarnął teraz na boki poły kurtki, na co Andrzej natychmiast zareagował, napierając mocniej na Annę.

– Może lepiej każ mu wejść do środka – powiedziała nagle, widząc, że mężczyzna zsuwa bokserki. – Przecież mu odpadnie na tym zimnie. Co za różnica, skąd na nas patrzy?

Kania zerknął na nią podejrzliwie.

– Co ty kombinujesz? Nie myśl, że się zgodzę...

– Oj tam, od razu wymyślasz niestworzone historie. – Posłała mu przez ramię uspokajający uśmiech. – Poza tym nie udawaj świętego. Mam ci przypomnieć Wioletkę? Myślisz, że nie wiem, na co miałeś ochotę?

Nie powiedział już nic. Wysunął się z Anny, podszedł do okna i zastukał w szybę, a gdy młody, przystojny ochroniarz uniósł głowę, przyzwał go ruchem ręki.

Rozdział 7

Zbrodnia Ikara

Po opuszczeniu domu Kaniów postanowiły jeszcze tego samego dnia porozmawiać z Arkadiuszem Wąsikiem, który wraz z siostrą mieszkał w znajdującym się niedaleko sklepu budynku komunalnym. Od Pelagii dowiedziały się, że w czasach, gdy w Świercznicy funkcjonowała szkoła podstawowa, mieszkanie to przydzielono ojcu Wąsików, pełniącemu w niej funkcję kierownika. Później szkołę zlikwidowano, Wąsik podjął pracę w szkole w Jodłowcu, lecz mieszkanie nadal pozostawało do jego dyspozycji, był bowiem samotnym rodzicem dwojga dzieci. Gdy przeszedł na emeryturę, próbowano się go stamtąd pozbyć, lecz wówczas Arkadiusz wystąpił o przydział.

Młody Wąsik nie zwykł pokornie czekać na wyroki losu i chcąc zwiększyć swoje szanse, rozpowszechnił informację o ciężkiej chorobie ojca, a wówczas opinia publiczna stanęła po jego stronie. Ludzie szanowali starszego Wąsika za to, że po śmierci żony przy porodzie nie ożenił się po raz drugi, lecz całkowicie poświęcił się wychowaniu dzieci, pomstowali więc na bezduszność urzędników, którzy chcieli wyrzucić na bruk umierającego człowieka i jego niepełnosprawną córkę.

Starsza od brata o czternaście lat Zofia nie wymagała wprawdzie stałej opieki, ale z pewnością nie poradziłaby sobie bez pomocy. Mieszkańcy Świercznicy dobrze wiedzieli, że potrafiła wykonywać proste prace, lecz gubiła się

w meandrach życia i wystarczyło na przykład, że na sklepowych półkach inaczej ułożono towary, a Zosia natychmiast wpadała w panikę. Dlatego pogłoski o usunięciu Wąsików z mieszkania wzbudziły wiele emocji i żeby nie zaognić sytuacji, mieszkanie przydzielono Arkadiuszowi. Kilka miesięcy później stary Wąsik zmarł i rodzeństwo pozostało same.

Diona i Inka wypytały Pelagię, o której godzinie Arkadiusz Wąsik kończy lekcje, pojawiły się więc przed jego drzwiami tuż po siedemnastej, postanowiły bowiem dać mu czas na spokojne zjedzenie obiadu. Wspięły się po stromych schodach i zadzwoniły do drzwi, odczekały chwilę, po czym zadzwoniły ponownie.

W mieszkaniu rozległo się ciężkie człapanie. Potem usłyszały szcęk zamka i w drzwiach stanęła niska, przysadzista kobieta o lekko mongoidalnych rysach i miłym uśmiechu. Bez zdziwienia przyjęła wyjaśnienie, że przyszły odwiedzić jej brata, skinęła tylko głową, odsunęła się od drzwi i zaprosiła je do środka. Mówiła niewyraźnie, ale nie na tyle, by nie dało się jej zrozumieć, co kazało przypuszczać, że upośledzenie jest stosunkowo łagodne.

Weszły do przedpokoju i tam powitał je Arkadiusz, zaintrygowany odgłosami rozmowy. Wiszący na szyi odtwarzacz MP3 i ciągle jeszcze tkwiąca w jednym uchu słuchawka pozwalały domyślić się powodów, dla których nie słyszał dzwonka, co zresztą za chwilę sam potwierdził:

– Kiedy nie mogę czytać, słucham audiobooków – mówił, gdy po przywitaniu prowadził je do pokoju.

Diona ucieszyła się, natychmiast bowiem dostrzegła tu dodatkową możliwość porozumienia.

– Ja też lubię audiobooki. Korzystam z nich przy prasowaniu, myciu okien czy innych wrednych czynnościach. Dzięki temu się nie dłużą.

– A jak nie słuchasz, to czytolisz – wytknęła Inka z pretensją.

Dorycka nie przejawiała zamiłowania do lektury i drażniło ją, że Diona ciągle siedzi z nosem w książce zamiast pójść z nią na spacer czy oddać się pogawędce. Mawiała o sobie, że jest zwierzęciem stadnym, któremu towarzystwo drugiego człowieka jest niezbędne jak powietrze. Pozostawiona sama sobie, nudziła się niepomierne, gdyż nie potrafiła zorganizować sobie rozrywki.

– A żebyś wiedziała, że czytolę – odparła Diona, której bardzo przypadło do gustu nowe słówko. – Dzięki temu żyję życiem wielu osób – wypaliła, po czym zawstydziała się, że użyła tak oklepanego argumentu. Żeby zatrzeć wrażenie, czym prędzej zwróciła się do Wąsika: – Czego pan teraz słucha?

Arkadiusz wyglądał na lekko skonfundowanego. Twarz o bardzo jasnej cerze lekko mu poczerwieniała, w patrzących spod jasnoblond grzywki piwnych oczach pojawiło się zawstydzenie:

– Może to głupie, że dorosły mężczyzna, w dodatku uczący przedmiotu ścisłego, ma takie upodobania, ale najbardziej lubię powieści obyczajowe. Mówią, że to babska literatura. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Ale ja naprawdę lubię ten gatunek.

Diona doszła do wniosku, że wybór Wąsika wcale nie jest pozbawiony logiki. Trzydziestokilkuletni mężczyzna nie miał praktycznie życia osobistego i intymnego, nic więc dziwnego, że szukał w książkach jego namiastki. Z braku osobistych doświadczeń identyfikował się z bohaterami, przejmując ich życie na własność.

Przypomniała sobie przezwisko, którym obdarzyli go uczniowie. Ikar. Przedtem ją rozśmieszyło, lecz teraz, gdy poznała Wąsika osobiście, nie wydawało jej się już tak zabawne. Intuicja podpowiadała jej, że podobnie jak mityczny

Ikar, Wąsik także usiłował osiągnąć słońca i zapłacił za to słoną cenę.

Na twarzy mężczyzny widziała nie tylko zmęczenie, ale i zgorzknienie, co niespecjalnie ją dziwiło. Wiedziała, że musi mu być ciężko nie tylko pod względem psychicznym, ale i materialnym. Od nauczycieli wymagano coraz większego zaangażowania, obwiniając ich jednocześnie o wszelkie niepowodzenia czy wybryki podopiecznych, ale od lat nikt nie pomyślał, by zapewnić im godziwą płacę. Zofia z pewnością pobierała rentę, lecz Diona nie miała złudzeń co do wysokości świadczenia. obrońcy życia poczętego jakoś nie chcieli pamiętać o nim, kiedy już pojawiała się na świecie.

Znaczące pochrząkiwanie Inki kazało jej wrócić do rzeczywistości. Oderwała wzrok od Wąsika, który zapewne czuł się nieswojo, gdy tak wgapiła się w niego od kilku minut. Nie mógł wiedzieć, że w ogóle go nie dostrzegają. Spojrzała na Inkę i wzdrygnęła się, widząc na jej buzi wyraz lekkiego obrzydzenia. Dorycka wierciła się na wersalce, usiłując przyjąć taką pozycję, by nie musieć patrzeć na Zofię.

– Nie ma sensu, żebyśmy siedziały tu obie. Może pójdziesz na zakupy? – zaproponowała, modląc się w duchu, by Inka pojęła przesłanie.

Nie chciała, żeby Wąsik zauważył, jak koleżanka reaguje na obecność jego siostry. Byłoby mu przykro lub, co gorsza, mógłby się rozgniewać i odmówić współpracy. Na szczęście Dorycka zrozumiała i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Chyba masz rację. Może kupię ten napój gwiazd?

Wstała, złapała kurtkę rzuconą na oparcie i ruszyła do drzwi tak szybko, jakby ścigały ją Furie. Dotarła już do przedpokoju, gdy przypomniała sobie o dobrych manierach i rzuciła w głąb mieszkania krótkie „do widzenia”.

Wąsik jednak zauważył. Po wyjściu Inki przyglądał się Dionie przez chwilę, wreszcie westchnął.

– Dziękuję pani. Nie jest to miłe uczucie widzieć, jak niektórzy reagują na obecność Zosi. Ale nie mam żalu. Nie każdy jest obdarzony empatią.

Ale mogłaby przynajmniej zapanować nad wyrazem twarzy i nie okazywać tak ostentacyjnie swoich uczuć, warknęła w duchu, lecz powstrzymała się od wypowiedzenia tej uwagi. Słowa nie zatrały tamtego wrażenia. Postanowiła skupić się na zleconym jej zadaniu, przeszła więc do meritum.

Nie miała pewności, czy Wąsik uwierzył w historyjkę o badaniach socjologicznych. Teoretycznie powinien, tyle razy bowiem już ją powtarzała, że sama niemal wierzyła w jej prawdziwość. Jednak błąkający się na twarzy Ikara uśmiešek kazał jej przypuszczać, że mężczyzna ma wątpliwości.

– Proszę pytać. Chętnie odpowiem – odezwał się, gdy na moment umilkła. – Należy wspierać wszelkie dążenia do wiedzy.

Przeraziła się, że zaraz zostanie uraczona sławetną opowieścią o Ikarze, na szczęście Wąsik nie powiedział już nic więcej, tylko przybrał wygodniejszą pozycję w oczekiwaniu na pytania.

Jakoś nie miała serca oszukiwać tego doświadczonego przez los człowieka, pominęła więc prawie cały wstęp jako kompletnie nieistotny dla sprawy i niemal natychmiast przeszła do sedna.

– Miał pan okazję poznać Wiolettę Kamińską, prawda?

Wąsik się zawahał.

– Tak bym tego nie nazwał – odparł po chwili.

Diona, ku swojemu ogromnemu zdumieniu, zauważyła w jego głosie wyraźne drżenie. Tego się nie spodziewała. Natychmiast po przekroczeniu progów tego mieszkania uznała Arkadiusza za całkowicie niezdolnego do przemocy, następnym krokiem było więc wykluczenie go jako ewentualnego sprawcy gwałtu i zabójstwa. Przez moment

rozważała nawet rezygnację z nękania go pytaniami i nie odstąpiła od pierwotnego planu tylko dla spokoju sumienia. Tymczasem mężczyzna sprawiał wrażenie przestraszonego.

– Jak mam to rozumieć?

– Dokładnie tak, jak powiedziałem. Nie można mówić o poznaniu kogoś, jeśli z tym kimś zamieniło się tylko kilka słów.

Oj, Ikar, coś mi tu kręcisz, stwierdziła, obserwując uważnie wyraźnie podenerwowanego Arkadiusza. Pod jej uporczywym spojrzeniem spał się jeszcze bardziej, dzięki czemu zyskała pewność. Ikar miał nieczyste sumienie.

– To bardzo ciekawe, co pan mówi – odezwała się zwodniczo przyjaznym głosem. – Bo wiem z pewnych źródeł, że zamienił pan z Kamińską trochę więcej niż tylko kilka słów. Odwiedziła was w domu...

– Zosi proszę w to nie mieszać! – warknął, przerywając jej wypowiedź.

Poderwał się gwałtownie z wersalki i stanął nad Dioną z groźną miną. Wbijał w nią pałające gniewem oczy i już otworzył usta, by coś powiedzieć, gdy niespodziewanie odezwała się Zofia:

– Wioletka tu była. Ona jest fajna.

Wąsikowi opadły ręce. Zwiesił głowę, wrócił na swoje miejsce i spojrzał bezradnie na siostrę, a później przeniósł wzrok na Dionę.

– Nie wiem, kim pani jest i po co pani tu przyszła, ale błagam, niech pani da spokój tym pytaniom. Musi mi pani dokładać?

– Nie muszę – przyznała. – Ale pan nie musi mnie okłamywać. Ta dziewczyna nie żyje. Została zamordowana, a ja odnoszę wrażenie, że nikogo w tej wiosce to nie obeszło. Nawet policja sobie odpuściła. Tak nie powinno być.

– I postanowiła pani zająć się wyjaśnieniem tej sprawy – skonkludował, kiwając głową. – Zosiu, idź do siebie – poprosił, a siostra natychmiast opuściła pokój. – Nie chcę, żeby tego słuchała – wyjaśnił, kiedy zamknęła za sobą drzwi.

– Tego, czyli czego? – podchwyciła natychmiast Diona.

Popatrzył na nią ponuro.

– O tym, że Wioletka nie żyje. Siostra bardzo ją polubiła. Ma pani rację. Skłamałem. Chciałem chronić Zosię.

Opowiadał swoją historię krótkimi, rwącymi się zdaniem, pomagając sobie gestykulacją, a w miarę, jak podawał coraz więcej szczegółów, przed oczami dziewczyny wreszcie zaczynał się rysować przebieg wydarzeń.

Kamińska kilka razy zaczepiała Wąsika, chcąc z nim porozmawiać, lecz ciągle ją zbywał, tłumacząc się brakiem czasu, co nie mijalo się z prawdą. Dziewczyna sprawiała jednak sympatyczne wrażenie, była miła i uprzejma, toteż w końcu uległ i zaprosił ją do domu. Nie miał pojęcia, że badania, o których wspominała, stanowią jedynie pretekst do nawiązania znajomości. Gdy przyszła, zauważył natychmiast, jak bardzo się zdziwiła na widok Zosi. Zdziwiła i przeraziła, co od razu go zmroziło. Dopiero później zrozumiał przyczynę tego zachowania. Wioletta myślała, że Zosia jest jej matką.

– Czy miała powody, żeby tak uważać? – przerwała mu Diona, nieco zaskoczona nagłą szczerością nauczyciela.

– To był wynik całkiem logicznego myślenia. – Wąsik się uśmiechnął. – O tym, że jest adoptowana, Wioletta dowiedziała się dopiero po śmierci adopcyjnych rodziców. Powiedziała jej o tym babka. Wprawdzie starsza pani nie znała nazwiska biologicznej matki Wioletty, ale za to zapamiętała słowa córki, która twierdziła, że kiedyś przypadkowo spotkała tę kobietę i dowiedziała się, że mieszka ona w miejscowości Świercznica w Beskidzie Żywieckim. Dlatego Kamińska tu przyjechała.

– No dobra – mruknęła Diona. Słowa Wąsika potwierdziły jej domysły. – Czegoś mniej więcej takiego się spodziewałam. Ale dlaczego za swoją potencjalną matkę uznała tylko kilka kobiet? Przecież w Świercznicy jest więcej pań po czterdziestce.

Arkadiusz podczas opowiadania wyraźnie się odprężył; widocznie wyznanie prawdy przyniosło mu ulgę. Teraz uśmiechnął się całkiem szczerze.

– Może dlatego, że Wioletta przyszła na świat w Pile.

Nie musiał dodawać nic więcej. Świercznicę od Piły dzieliło na oko jakieś sześćset kilometrów, było więc mało prawdopodobne, że jakaś kobieta wiedzona nieznanym impulsem pokonała tę odległość, by właśnie w Pile wydać dziecko na świat. Po czym natychmiast wróciła do domu, a nikt z sąsiadów nie zauważył, że w trakcie swoich krótkich wojaży zgubiła gdzieś ciążowy brzuch.

– To załatwia sprawę innych kobiet – mruknęła, starannie ukrywając irytację na Marcina, że nie zawarł w notatkach żadnej wzmianki o miejscu urodzenia Kamińskiej. – Ale Zofii Wioletta nie wykluczyła tak jak tamtych. Z tego jasno wynika, że pana siostra dwadzieścia trzy lata temu przebywała poza Świercznicą na tyle długo, by dać asumpt do podejrzeń, że w tym czasie chodziła z brzuchem, urodziła dziecko, a następnie oddała je do adopcji. Czy tak właśnie było?

– Nic dodać, nic ująć – westchnął Wąsik. – Miałem wtedy niespełna dziesięć lat, więc pewne fakty z przeszłości mogą mi się mieszać, ale to akurat pamiętam dobrze, bo wiązało się z rodzinną awanturą.

Okazało się, że latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku Zofia poznała pewnego turystę, studenta, który przypadkiem zabłąkał się do Świercznicy, i zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Arkadiusz nie wiedział, jak to wyglądało ze strony turysty, i miał się już nigdy nie

dowiedzieć, nie zmieniało to jednak faktu, że mężczyzna nie powędrował dalej, tylko pozostał w wiosce do końca wakacji. Prowadzał się z Zosią, na każdym kroku manifestując swoje uczucie, a gdy nadszedł wrzesień, student wyjechał, zabierając ze sobą dziewczynę. O to właśnie między ojcem a córką wybuchła wielka kłótnia.

– Bał się o nią – domyśliła się Diona.

– Oczywiście, że się bał – potwierdził Arkadiusz. – Nie polubił tego całego Zbysia i podejrzewał, że facet potrzebuje jej tylko do łóżka. Ale ona nie chciała słuchać żadnych argumentów. Dopiero co odkryła miłość i seks i za żadne skarby nie pozwoliłaby sobie tego odebrać.

– Nie mógł jej jakoś powstrzymać?

Wąsik ze smutkiem pokręcił głową. To, co ojciec cały czas uważał za błogosławieństwo, teraz stało mu na przeszkodzie. Jej choroba nie była na tyle ciężka, by dziewczyna nie mogła sama o siebie zadbać czy nauczyć się prowadzenia domowego gospodarstwa. Przerastały ją jedynie sprawy finansowe oraz urzędowe, ale to nie wystarczało, by ojciec mógł nagle wystąpić o ubezwłasnowolnienie. Córka była panią siebie, była też pełnoletnia, zatem nie mógł jej powstrzymać przed opuszczeniem domu.

Miłości studenta wystarczyło tylko na pół roku, później zaś odkrył, że wysprzątany na błysk wynajęty pokój, doskonale przyrządzane obiady i seks co noc nie zrekompensują niedostatków, które z biegiem czasu odkrywał w swojej dziewczynie. Nie była reprezentacyjna, więc nie mógł się nią pochwalić przed kolegami, do intelektualnych dysput także się nie nadawała, a rozczulająca go na początku dziecięca naiwność wkrótce zaczęła irytować. Końcem lutego postanowił dokonać radykalnego cięcia i któregoś dnia spakował dobytek Zofii, wsadził ją w pociąg i odesłał do domu.

Po wysłuchaniu tej niepięknej historii Diona długo milczała. Żal jej było niepełnosprawnej dziewczyny i rozumiała gniew jej brata, musiała jednak zwrócić uwagę Arkadiusza na pewną istotną kwestię.

– Przykro mi, że siostra zawiodła się w swoich uczuciach, ale musi pan przyznać, że to nie wyklucza Zosi jako potencjalnej matki. Mogła zajść w ciążę na początku znajomości z tym studentem, a przedterminowe porody nie są wcale rzadkim zjawiskiem, zwłaszcza u pierworódek.

Nauczyciel zwany przez uczniów Ikarem wysłuchiwał spokojnie tej hipotezy, po czym zdecydowanie pokręcił głową.

– Mogłoby się tak zdarzyć, gdyby nie fakt, że Zosia już jako nastolatka cierpiała na atrofię jajników, a po kilku latach lekarze orzekli, że stała się całkowicie bezpłodna. Ojciec mówił mi później, że może to okrutne i samolubne z jego strony, ale ucieszył się z tej diagnozy. Obawiał się, że jakiś gnojek może zechcieć wykorzystać naiwną dziewczynę, która potem zostanie z dzieckiem, a przecież sama ledwo potrafi zadbać o siebie. Doskonale go teraz rozumiem, choć wtedy wydawał mi się pozbawiony uczuć. – Wąsik uśmiechnął się melancholijnie. – Jednak to prawda, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Zrozumiałem ojca dopiero, gdy przejąłem opiekę nad Zosią.

Diona przyjęła wyjaśnienie z pewną ulgą, choć podejrzliwa natura podpowiedziała od razu, że należałoby to zweryfikować. Zagryzła wargi, wspomniała bowiem brak jakiejkolwiek próby kontaktu ze strony Marcina. Będzie musiała w końcu nim wstrząsnąć, bo ileż można czekać? Teraz jednak pora dokończyć rozmowę z Wąsikiem.

– Uwielbiam czytać kryminały – wyznała, uśmiechając się porozumiewawczo do drugiego miłośnika słowa pisanego. – Czytolić, jak to określiła moja koleżanka. Dlatego z ciekawości pytam wszystkich o alibi na czas zabójstwa Kamińskiej. Ma

pan jakieś czy powinnam pozostawić pana w gronie podejrzanych?

– Mam – przyznał, odwzajemniając uśmiech. – Akurat tamtej nocy przebywałem w towarzystwie pewnej kobiety.

– Ona oczywiście to potwierdza?

Niby to się droczyła, lecz każdy, kto znał ją lepiej, dostrzegłby pod maską rozbawienia pełne skupienie. Nie umknęło jej uwadze, że Arkadiusz lekko się zmieszał, zauważyła też zmianę rytmu oddechu.

– Jeśliby musiała, to na pewno by potwierdziła – odparł, lecz dosłyszała w jego głosie nutkę wahania.

Zdecydowała nie dręczyć go dłużej, by – jeśli jest winny – nie wzbudzić w nim podejrzeń. Dlatego nawet słowem nie wspomniała, że podane teraz alibi ma się nijak do stwierdzenia odnotowanego przez sierżanta Dzichtę, jakoby Wąsik spędził cały tamten dzień w towarzystwie siostry. Stłumiła przekleństwo na wspomnienie faktu, że sierżant nie zadał sobie trudu porozmawiania z Zofią Wąsik, ograniczając się do uwagi: „niepełnosprawna umysłowo, rozmowa mija się z celem”. Według jej opinii to właśnie przyjęcie Dzichty do policji miało się z celem i przyrzekła sobie, że nie omieszka napomknąć o tym Marcinowi, jeśli mężczyzna jeszcze kiedyś się do niej odezwie.

W drodze do domu przystanąła przy gospodzie i zawahała się, niepewna, czy powinna do niej wejść. Nie wiedziała, jak stali bywalcy tego przybytku zareagują na obecność samotnej kobiety. Innym razem powitałaby z radością możliwość słownej przepychanki zakończonej być może okazją do skopania komuś tyłka, ale dzisiaj chciała po prostu usiąść i pomyśleć. Nie miała ochoty wracać do domu. Chciała przemyśleć w spokoju pewne sprawy, a tam musiałyby rozmawiać albo z Inką, albo z Pełą. Albo z nimi obiema.

W inną porę roku mogłaby przysiąść gdzieś na ławeczce czy nawet wprost na trawie, ale nie w taki ziąb. Z nieba snuła się monotonnie drobna mżawka, powlekając wszystko cienką warstwą wilgoci. Śnieg rozmiękł i przybrał postać szarej brei, na której nogi rozjeżdżały się na boki, przez co przechodnie posuwali się krokiem gejszy. Rozejrzała się dokoła i stwierdziła, że rozmyślanie na łonie natury kategorycznie odpada.

Spodziewała się, że w piątkowe popołudnie w gospodzie będzie więcej klientów, tymczasem przy dwóch zaledwie stolikach siedziało kilku mężczyzn. Pochłonięci dyskusją o polityce, nie zwrócili na wchodzącą najmniejszej uwagi. Diona podeszła do baru, powitała uśmiechem barmana i zamówiła małe piwo.

– Dzisiaj też będzie pani bić chamów?

– A to zależy, jak bardzo mnie wkurzą – odparła z udawaną powagą i zanurzyła wargi w białej pianie.

Zamieniła jeszcze kilka słów z rozbawionym jej deklaracją mężczyzną, po czym przeszła do ulubionego stolika w rogu i zajęła się problemem niedającym jej spokoju od wizyty u Kaniów. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie popełniła błędu w ocenie sytuacji. Wprawdzie intuicja mówiła jej (a nawet krzyczała), że Kamińska zginęła z powodu swojego nadmiernego wścibstwa, ale teraz Diona zaczęła mieć wątpliwości. Przecież Wioletta urodziła się w dziewięćdziesiątym szóstym roku, a nie w średniowieczu! Nikt by nie ukamienował matki za urodzenie nieślubnego dziecka ani nie wypaliłby jej na czole szkarłatnej litery. Wątpliwe jest, że ktokolwiek zwróciłby na to uwagę.

Diona także przyszła na świat jako nieślubne dziecko, a skoro w roku dziewięćdziesiątym nikt nie robił Marcie Remańskiej żadnych przykrości z tego powodu, dlaczego sześć lat później matka Kamińskiej miałaby obawiać się potępienia?

Nawet gdyby była mieszkanką tak małej wioski jak Świercznica, skończyłoby się zapewne na krótkotrwałej sensacji, po czym wszystko wróciłoby do normy.

– Musi w tym być coś więcej – szepnęła do siebie.

Tylko co? Nie potrafiła znaleźć żadnego racjonalnego powodu, dla którego ktoś miałby posunąć się aż do zabójstwa, by nie dopuścić do upublicznienia informacji o córce z nieprawego łoża. Rany boskie, kogo mogłoby to obchodzić w dobie wolnych związków? Toż takich dzieci są tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy.

Może jednak Dzichta miał rację, sugerując, że było to zabójstwo po gwałcie? Niby prawdopodobne, lecz Diona jakoś nie mogła się przekonać do tej hipotezy. Przeszkadzała jej w tym odzież ofiary. Jeżeli Wiolettę zabił gwałciiciel, zgodnie z logiką powinien zrobić to natychmiast po akcie seksualnym, a nie dopiero wtedy, gdy dziewczyna zdążyła się ubrać. I dlaczego miałby najpierw pozwolić jej odejść, a dopiero potem ją udusić? Na pewno nie zgwałcił jej na poboczu dosyć mocno uczęszczanej drogi, w miejscu doskonale widocznym dla każdego, kto by tamtędy przejeżdżał. Musiał zrobić to gdzie indziej, dlaczego więc zabił dziewczynę w tym miejscu?

Diona stwierdziła po raz kolejny, że hipoteza Dzichty składa się z samych dziur. Poirytowana własną niemocą, jednym haustem dopiła piwo i wyszła z gospody, posyłając po drodze siedzącym mężczyznom spojrzenie pełne rozczarowania. Czuła się tak nabuzowana negatywnymi emocjami, że z przyjemnością wdałaby się w jakieś starcie, żeby wyładować złość. Chętnych do bójki jednak nie było.

Dochodząc do sklepu, była już tak wściekła, że zachodziła obawa, iż wyrwie Ince wszystkie włosy z głowy. Ciągle drżała z gniewu na wspomnienie odrazy na twarzy Doryckiej, gdy ta spoglądała na Zosię Wąsik, toteż gdy przez sklepową witrynę dojrzała Bożenę Szatanik, nie zawahała się ani na moment.

Musiała się jakoś wyładować, a okazja sama pchała się w ręce.

Energicznie wmaszerowała do sklepu i podeszła prosto do Szatanikowej, obracającej w dłoniach trójkąt chudego twarogu.

– Nie wierzę, że pani nie wie, dlaczego zginęła Kamińska – niemal wrzasnęła, pomijając słowa powitania. – Ona mieszkała w pani domu i przychodziła do pani na pogawędkę. Na pewno musiało jej się coś wymyknąć. Chce pani, żeby morderca chodził wolny?

Bożena Szatanik z okrzykiem przestachu upuściła twaróg i odskoczyła w tył, jakby zobaczyła węża.

– Czego pani chce? Proszę mnie zostawić w spokoju, bo wezwę policję! – krzyknęła, ale w jej głosie brzmiała błagalna nutka.

Wokół nich natychmiast zebrała się grupka gapiów. Wchodząc do sklepu, Diona nie podejrzewała, że jest w nim tyle ludzi. Było tak, jakby połowa wsi postanowiła zrobić zakupy tuż przed zamknięciem. Teraz wyroili się spomiędzy regałów, licząc na sensację. Wśród nieznanymi lub znanych tylko z widzenia twarzy dostrzegła Izabellę Król, zasłaniającą dłońią uśmiech, Annę Kanię, obserwującą z rozbawieniem zajście, a także Pawła Smoka, który zastygł z rozdziawionymi ze zdumienia ustami i butelką tyskiego w ręce.

– Chcesz wezwać policję? Proszę bardzo! Na pewno ucieszą się z pewnej ciekawej informacji o twoim mężu. – Szalejąca ze złości Diona nie przebierała w słowach. – Musi jeszcze ktoś zginąć, żebyś się opamiętała?!

Krzyk pomógł rozładować nadmiar emocji. Remańska poczuła, jak złość z niej uchodzi, pozostawiając po sobie znużenie. Widziała skierowane w jej stronę ciekawskie spojrzenia, lecz nie czuła się winna czy zażenowana swoim zachowaniem, a jedynie postawą tych ludzi, którzy godzili się,

by zabójca uszedł bezkarnie. Nie wierzyła, że nie wiedzą, kto zabił.

Zawróciła w stronę drzwi i wtedy to usłyszała.

– Poczekaj!

Odwróciła się wolno w stronę Szatanikowej, rozpoznała bowiem jej głos. Zaczerwieniona po niedawnej słownej utarczce kobieta spoglądała teraz z wyraźną skruchą. Diona popatrzyła na nią z niechęcią.

– Słucham?

Bożena Szatanik dzielnie brnęła dalej:

– Dzisiaj nie mogę. Naprawdę nie mogę. Muszę wysprzątać daczę, bo jutro przyjeżdżają nowi goście, a mąż i syn mi nie pomogą, bo mają pilną robotę na fermie – tłumaczyła się nieskładnie. – Przyjdź jutro rano. Opowiem ci wszystko, co wiem. Ale przyjdź sama, bez tej drugiej. Wiesz, czemu nie chcę z nią rozmawiać.

Diona nie spodziewała się, że Szatanikowa zechce chronić incognito Inki. Teraz od razu złagodniała, tym bardziej że propozycja jutrzejszego spotkania była jej bardzo na rękę. Dzisiaj czuła się zbyt zmęczona, by prowadzić poważną rozmowę.

– W porządku. – Zdobyła się nawet na przyjazny uśmiech. – W takim razie przyjdę jutro. O której?

– Może być koło dziesiątej?

– Okej.

Skinęła głową obecnym, wyszła ze sklepu i zamknęła za sobą drzwi, tym razem zużywając do tej czynności dużo mniej energii. Musiała przejść na drugą stronę budynku, by dostać się do wejścia prowadzącego do części mieszkalnej. Poprzednio chodziły przez ogród, lecz teraz nie zamierzała ślizgać się na szklanej tafli, w jaką wieczorny mróz zamienił prawie całkiem stopiony śnieg.

Na ulicy dojrzała przemykający po drugiej stronie cień, w którym mimo kaptura naciągniętego na połowę twarzy rozpoznała Arkadiusza Wąsika. Pomyślała z rozbawieniem, że Ikar powinien raczej przemieszczać się drogą powietrzną niż przekradać się między domami jak jakiś nietop, po czym otworzyła furtkę wiodącą do wejścia. Już po chwili wspinała się po schodach do mieszkania Pelagii, a dziwaczne zachowanie Ikara odeszło w zapomnienie.

Inka leżała na tapczanie i gapiła się w ekran telewizora, z uwagą śledząc perypetie serialowych bohaterów. Diona popatrzyła na nią i otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła, rezygnując ze zwrócenia jej uwagi na niestosowność zachowania u Wąsików. Doszła do wniosku, że nie zmieni jej mentalności, choćby i wywołała awanturę. Inkę brzydziła niepełnosprawność Zofii Wąsik, a na to nie było lekarstwa i żadne argumenty nie sprawią, że dziewczyna przestanie odczuwać to, co odczuwa.

Diona westchnęła ciężko i zwała się na krzesło jak pijany drwal.

– Nabyłaś to wino gwiazd? – spytała z nadzieją w głosie. – Czuję się tak, jakbym przerzuciła tonę węgla.

Dorycka natychmiast poderwała się na nogi.

– Oczywiście, że nabyłam. Już pędzę po akcesoria. A może siądziemy w kuchni? Za chwilę wróci Pela, mogłaby do nas dołączyć.

Diona doszła naraz do wniosku, że za to wino gotowa jest wybaczyć Jeminie naprawdę wiele. Zdjęła kurtkę, której do tej pory nie miała siły nawet rozpiąć, rzuciła ją niedbale na tapczan, zmieniła jeszcze obuwie i podążyła za koleżanką. Inka potrafiła zachowywać się idiotycznie, ale wcale nie była taka zła.

*

Jeminę obudziło wycie syren. Mamrocząc pod nosem niezbyt parlamentarne słowa, nakryła głowę poduszką w nadziei, że to wystarczy do odizolowania się od jazgoczącego dźwięku. *Przejadą i będzie spokój*, pomyślała, starając się ponownie zanurzyć w sen. Niestety wycie nie ustawało, a nawet się wzmogło, prócz tego do otępiełego snem mózgu dotarło, że z zewnątrz dobiegają pełne przerażenia okrzyki. Odrzuciła kołdrę, wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna. Widok biegających w panice, niekompletnie ubranych mieszkańców wsi przekonał ją, że musiało stać się coś złego.

– Diona! Dionka, obudź się!

Szarpała koleżankę za ramię, a gdy ta odmruknęła coś niezrozumiałego i odwróciła się do ściany, pociągnęła ją za włosy. To pomogło. Diona usiadła na łóżku, potarła dłonią oczy i spojrzała w miarę przytomnie, choć niezbyt przyjaźnie.

– Czemu mnie budzisz? Odbiło ci? Co się stało?

– Nie wiem, ale lepiej wstań – odparła Inka niecierpliwie. – Pośpiesz się. Nie słyszysz, jak syreny wyją? Chyba wszyscy ludzie wyszli na drogę.

Diona nie pytała o nic więcej. Nie tracąc czasu na przebieranie, naciągnęła dzinsy na spodnie od piżamy, a górę zakryła swetrem. Inka w tym czasie zdążyła już włożyć buty i właśnie wpychała ręce w rękawy kurtki.

– Poczekaj chwilę – poprosiła, przegrzebując torebkę. – Na wszelki wypadek wezmę legitymację. Nie wiadomo, co tam zastaniemy.

– Słusznie – pochwaliła ją koleżanka z ironicznym błyskiem w oku. – W razie ataku zasłonisz się blachą i będziesz bezpieczna.

Te słowa zdenerwowały Dorycką. Jej służbowa broń spoczywała w pancерnej szafie w komisariacie, więc nawet gdyby bardzo chciała, nie mogła jej zabrać. Przecież oficjalnie przebywała na urlopie, a Diona jako była policjantka powinna dobrze wiedzieć, że nikt normalny nie wyjeżdża na urlop z pistoletem w bagażu. Bardziej jednak zabolą ją kpina dosłyszana w głosie koleżanki. Czyli ona też uważa ją za kompletną niezgułę, nienadającą się do pracy w policji. To nie było przyjemne odkrycie.

Obrażona i wściekła, zacisnęła wargi w wąską kreskę i wyszła, nie oglądając się na koleżankę. Nie zamierzała na nią czekać. Jednak Diona dogoniła ją przy furtce i pociągnęła za rękaw kurtki, co jeszcze bardziej rozwścieczyło policjantkę. Gwałtownym ruchem wyzwoliła odzież z uścisku.

– Zostaw mnie! – warknęła.

Szarpnęła furtkę tak gwałtownie, że klamka wyrwała jej się z ręki, a skrzydło poleciało na nią, o milimetry mijając jej twarz. Odskokczyła i wpadła na Dionę, która przytrzymała ją, chroniąc przed upadkiem.

– Nie foszkuj, dobra? – powiedziała spokojnie, przytrzymując szalejące skrzydło furtki. – Niepotrzebnie się wściekasz, bo nie miałam nic złego na myśli. Przecież nie mam pojęcia, jak strzelasz. Chodziło mi o to, że moim zdaniem nie ma tam dla nas żadnego zagrożenia. Cokolwiek się stało, służby już są na miejscu, bo przecież jeszcze chwilę temu wyły syreny. To co, zgoda między nami?

– Sorki, źle cię zrozumiałam – bąknęła Inka. – Zawsze po przebudzeniu mam przymulca i nie myślę logicznie.

Wyszły na drogę, na której nie dostrzegły już nikogo. Gdzieś przed nim rozlegał się stłumiony gwar licznych głosów i domyśliły się, że mieszkańcy maszerują ulicą biegnącą przez całą Świercnicę, zmierzając w stronę wylotu z wioski. Przyspieszyły kroku i po chwili one również znalazły się na

ulicy, dziwiąc się panującej tam jasności. Dorycka uniosła nawet głowę, chcąc sprawdzić, czy któryś z mieszkańców należącego do gminy komunalnego bloku nie włączył na dachu jakiegoś halogenu, lecz właśnie wyszły z zakrętu na prosty odcinek drogi i przekonała się, że źródłem światła jest coś innego.

Łuna pożaru oświetlała niemal całą wieś i nawet z tej odległości widziały bijące aż po niebo płomienie.

– ...nas zbaw ode złego... – dobiegło ich mamrotanie mijanej właśnie kobieciny, okutanej w ogromną chustę.

Fragmenc postyszanej modlitwy wprowadził Inkę w religijny nastrój lub też wywołał religijną fiksację. Tak oceniła to Diona, gdy usłyszała, jak Dorycka powtarza w kółko: „O dobry Boże”, „O Matko Boska” i „O Jezu przenajświętszy”. W pierwszej chwili rozbawiła ją ta mantra, lecz w następnej uświadomiła sobie, do kogo należą płonące zabudowania, przyspieszyła więc kroku, gestem poganiając koleżankę. Otworzyła usta, by podzielić się swoim spostrzeżeniem, lecz w tym momencie powiew halnego rzucił im w nozdrza obrzydliwy odór palonych piór i Inka aż jęknęła.

– Rany boskie, to u Szataników – wrzasnęła, zrywając się gwałtownie do biegu. – Kurza ferma się pali.

Parły wytrwale naprzód, ślizgając się na oblodzonej nawierzchni. W ciągu dnia halny przyniósł z sobą odwilż, lecz wieczorem nastąpiło ochłodzenie, zamieniając rozmiękły śnieg w zamarzniete bryłki, a kałuże wody w szklane tafle. W pewnej chwili Inka przejechała kawałek na butach i ciężko upadła na drogę. Zaraz podniosła się i klnąc szpetnie, rozmasowała stłuczone pośladki. Prócz tego nie odniosła innych obrażeń, lecz Diona, patrząca w jej stronę z troską, na mgnienie oka straciła koncentrację i również się poślizgnęła. Przyklęknąwszy w ogromnym wykroku, odniosła wrażenie, że rozerwała się na dwie części, a w kolanie coś nieprzyjemnie

chrupnęło. W oczekiwaniu na falę bólu uniosła głowę, chcąc przywołać Inkę, lecz zamiast krzyknąć, wpatrywała się z rozwartymi ustami w szalejący żywioł. Wyglądał tak, jakby ogarnął sobą połowę wsi.

Znowu buchnęły płomienie, jeszcze wyżej niż poprzednio, i Diona dojrzała to, co właściwie wiedziała od początku, lecz uparcie wypierała ze świadomości. Paliła się nie tylko kurza ferma. Budynek mieszkalny również płonął, podobnie jak stojąca w pewnym oddaleniu dacza, w której jeszcze dwa dni temu mieszkały. Na tę myśl poczuła dreszcz przebiegający wzdłuż krzyża.

Naraz wspomniała wieczorną kłótnię z Bożeną Szatanik oraz zapewnienie kobiety, ogłoszone w obecności wielu klientów sklepu, i domyśliła się, że pożar nie wybuchł przypadkiem. Ktoś nie chciał dopuścić do ich rozmowy.

Gdy przy pomocy koleżanki wreszcie się podniosła, inni zdążyli je wyprzedzić. Na miejscu zastały tłum gapiów niekwapiących się do pomocy, za to skutecznie przeszkadzających strażakom, tracącym niepotrzebnie czas i energię na przeganianie najbardziej ciekawskich, bezmyślnych do tego stopnia, że wchodzili aż na podwórze, płacząc się pożarnikom pod nogami. Jeden rzut oka wystarczył Dionie, by mogła się zorientować, że akcja gaszenia ognia nie ma szans się powieść. Jednostek było zbyt mało, by mogły opanować żywioł szalejący w trzech miejscach równocześnie, a wiejący nieprzerwanie halny ciągle od nowa podsycał płomienie.

Dziewczyna zagryzła wargi, ważąc coś w myślach, wreszcie podjęła decyzję. Nie mogła postąpić inaczej.

– Wchodzimy – zwróciła się do Inki. – Musimy im pomóc. Dobrze, że wzięłaś tę swoją legitymację.

– Ale wszyscy się dowiedzą... – zaczęła niepewnie Dorycka, nie wiedząc, czy postępują słusznie.

Diona takich wątpliwości nie miała.

– Mam w dupie całe incognito – warknęła. – Trzeba im pomóc.

Zdecydowanym krokiem podeszły do jednostki dowodzenia, gdzie spodziewały się zastać kierującego akcją. Gdy stanęły przed nim, Inka, nie chcąc tracić czasu na zbędne tłumaczenia, zamiast powitania machnęła legitymacją. Manewr okazał się skuteczny, gdyż mężczyzna, już otwierający usta, by – jak podejrzewały – posłać im soczystą wiązanekę, natychmiast powściągnął gniew.

– Szybko tu dotarliście – pochwalił.

Diona krótko wyjaśniła ich obecność w Świercznicy, po czym poprosiła o przydzielenie im jakichś obowiązków. Strażak nie zastanawiał się długo. W gaszeniu ognia wprawdzie pomóc nie mogły, ale gdyby zajęły się spacyfikowaniem namolnych gapiów, mógłby oddelegowanych do tego zadania ludzi przerzucić na pierwszą linię. Nie zaoponowały i natychmiast ruszyły wykonać polecenie, choć oznaczało to, że ich przykrywka nie ma szans się utrzymać.

Tak też w istocie się stało. Mimo że spędziły w wiosce zaledwie pięć dni, stały się już powszechnie rozpoznawalne. Wszyscy kojarzyli je jako osoby zadające ciągle jakieś pytania i tłumaczące się badaniami do pracy magisterskiej, toteż w pierwszej chwili nie zostały potraktowane poważnie. Po kilku kpiących uwagach Diona straciła cierpliwość. Zaprzestała tłumaczenia, że swoim zachowaniem tubylcy utrudniają strażakom pracę, i ostrym głosem nakazała opuszczenia podwórza. To wywołało gwałtowny sprzeciw. Nikt nie lubi, by mu rozkazywano, a już tym bardziej, gdy robi to jakaś obca kobieta, uzurpująca sobie prawo do wydawania poleceń. Oni byli u siebie, mogli więc robić to, co chcieli, i żadna miastowa dziewczucha nie będzie im rozkazywać.

Wysłuchiwała tych uwag w milczeniu, po czym skinęła na koleżankę, doszła bowiem do wniosku, że nie mają innego wyjścia, jak się ujawnić. Inka sięgnęła do kieszeni, wyjęła legitymację i machnęła nią przed oczami najbliższej stojących.

– Policja! Cofnąć się!

Wrzasnęła tak donośnie, że stojącej tuż obok Dionie zadźwięczało w uszach. Efekt tego okrzyku przeszedł ich najśmielsze oczekiwania. Najbliżej stojący, wśród których rozpoznała Andrzeja Kanię i Jerzego Bobkowskiego, cofnęli się gwałtownie, wpadając na gapiów tkwiących z tyłu. Remańska natychmiast to wykorzystała.

– Proszę opuścić teren działania straży pożarnej! – Jej okrzyk w ilości wyprodukowanych decybeli w niczym nie ustępował wrzaskowi Jeminy. – Cofnąć się aż do drogi. Każdy, kto wejdzie w obręb ogrodzenia, zostanie ukarany mandatem za utrudnianie akcji gaśniczej. Czy to jasne?

Dobiegły ją gniewne pomruki, lecz groźba okazała się skuteczna. Jeden po drugim gapie opuszczali teren posesji, podążając za sołtysem, który wycofał się jako pierwszy. Gdy po kilku minutach podwórze opustoszało, dziewczyny spojrzały po sobie i obie jednocześnie odetchnęły z ulgą.

– Nawet gładko poszło – stwierdziła Inka. Przysiadła na betonowym murku ogrodzenia, jakby nagle opuściły ją wszystkie siły. – Bałam się, że będą się ciskać.

Diona pogmerała w kieszeniach kurtki i po krótkich poszukiwaniach wydobyła paczkę papierosów.

– Wiedzą, że my o nich sporo wiemy, dlatego woleli nie iść na udry. Chcesz?

Podsunęła Ince pudełko LM-ów. Dorycka wysupłała papierosa i pomacała się po kieszeniach.

– Chyba zostawiłam zapalniczkę w torebce – stwierdziła, kończąc bezowocne poszukiwania. – A ty masz?

Diona również przeszukała swoją garderobę i pokręciła głową.

– Byłam pewna, że wsunęłam do paczki. Trzeba by skombinować jakiś ogień.

W tej samej chwili pod niebo wzbił się nowy słup płomieni i mimo tragizmu sytuacji dziewczyny wymieniły rozbawione spojrzenia. Inka wstała, zdecydowana podejść do strażaka kręcącego się koło jednego z wozów bojowych, lecz Diona ją powstrzymała nagłym okrzykiem, wskazując na leżącą metr dalej zapalniczkę.

Podniosła się z cichym westchnieniem, gdyż murek zaczął ją już uwierać w pośladki, a chłód betonu nieprzyjemnie przenikał przez materiał dżinsów i cienką piżamę. Po kilku krokach schyliła się po zapalniczkę, lecz naraz coś ją tknęło i zastygła w skłonie, z ręką niemal dotykającą oksydowanego metalu. Wolno cofnęła dłoń, wyprostowała grzbiet i zwróciła się do koleżanki:

– Inka, chodź tutaj. – Odczekała chwilę, a gdy Dorycka stanęła przy niej, jeszcze raz wskazała zapalniczkę. – Jak myślisz, skąd to się tu wzięło?

Inka przez chwilę spoglądała bezmyślnie na znalezisko. Potem przeniosła wzrok na ogrodzenie i rosnący tuż przy nim wysoki krzak jałowca, po czym znów spojrzała na zapalniczkę i widniejące na śniegu ślady stóp. W jej oczach błysnęło zrozumienie.

– No to, kurwa, nie zapalimy – oznajmiła ponurym głosem i zawróciła w stronę murku. – Chyba że jednak pójdziemy do strażaków po ogień.

– Ja pójdę – zadeklarowała się Diona. – Ty lepiej tu zostań i pilnuj, żeby ktoś jej nie zajmował i nie zdeptał tych śladów.

Nie powiedziała Doryckiej, po co tak naprawdę chce pójść do strażaków. Nie chciała jej dodatkowo stresować, aczkolwiek podejrzewała, że będzie to nieuniknione. Ale póki nie usłyszy

potwierdzenia swoich podejrzeń, istniała szansa, że okażą się chybione. Przez chwilę łudziła się, że tak właśnie będzie, że Szatanikowie wyjechali do jakiejś babci czy ciotki i wcale nie było ich w domu, ale zaraz rozsądek wziął górę nad pobożnymi życzeniami. Przypomniała sobie słowa Bożeny o pracach mających trwać do późna i zyskała pewność, że podejrzewa są słuszne.

Strażak dowodzący akcją nie potrafił udzielić jej jednoznacznej odpowiedzi. Budynek mieszkalny płonął tak gwałtownym ogniem, że w trosce o życie swoich ludzi mężczyzna zabronił im wszelkich prób wdarcia się do wewnątrz.

– Jesteśmy tylko ochotnikami, brakuje nam ludzi i sprzętu – wyjaśniał. – A zanim zawodowi tu dojadą, wszystko pewnie zdąży się wypalić do fundamentów. – Zauważył jej zdziwienie i wyjaśnił: – Mają problemy z dotarciem tutaj, droga jest nieprzejezdna z powodu jakiejś kraksy. Podobno...

Machnięciem ręki przerwała te wyjaśnienia.

– Nie to mnie zdziwiło, tylko pana słowa o fundamentach. Podejrzewa pan, że nie zdołacie uratować tych budynków?

– Ja nie podejrzewam – odpowiedział mężczyzna, marszcząc gniewnie brwi. – Ja to wiem.

– Jak to?

Spojrzał z taką złością, jakby to właśnie ją obwiniał o zaistniałą sytuację. Już otwierał usta, gdy z głuchym stęknieniem zapadła się część dachu, a nowy słup ognia powędrował ponad korony stojących opodal drzew. Jedno z nich zaczęło się tlić. Na ten widok strażak tylko pokiwał głową, a gdy się odezwał, jego głos brzmiał już spokojnie.

– Tak to, że mamy tutaj trzy pożary, a nas jest za mało nawet do jednego. Ze zwykłym zdołalibyśmy sobie poradzić, ale nie z takim, gdzie użyto jakichś akceleratorów. Dlatego od początku wiedziałem, że bez pomocy zawodowych nie

uratujemy żadnego z tych budynków, i zdecydowałem, że przede wszystkim podejmiemy działania obronne.

– Czyli jakie? – przerwała mu Diona. – Przepraszam, że tak wypytyuję, ale jestem kompletnym laikiem, jeśli chodzi o pożarnictwo.

Twarz strażaka złagodniała, pojawił się na niej cień uśmiechu.

– Chodzi o zapobieżenie rozprzestrzenianiu się pożaru. Wprawdzie najbliższe budynki stoją w dość dużej odległości, ale ten cholerny halny powoduje, że wszystkie założenia mogą wziąć w łeb. O, niech pani patrzy!

Wzrok Diony powędrował za jego ręką, wskazującą niesiony wiatrem rozżarzony kawał czegoś, wyglądający jak płonąca deska. Na ich oczach przeleciał nad drogą i upadł w ogrodzie sąsiedniej posesji, gdzie natychmiast dosięgły go strumienie wody z węża trzymanego przez czujnych strażaków. Dziewczyna dopiero teraz zrozumiała, dlaczego jeden z wozów został ustawiony po drugiej stronie drogi, w znacznym oddaleniu od ognia. Do tej chwili takie działanie wydawało jej się kompletnie irracjonalne.

– Halny wieje od południa – powiedziała cicho, bardziej do siebie. Strażak dosłyszał i znowu cień uśmiechu przemknął mu po twarzy.

– Ma pani rację. To dlatego od północnej strony postawiłem tę jednostkę. Nic więcej nie mogę zrobić. Mamy w Świercznicy tylko jeden wóz bojowy. Drugi przyjechał z Osin, a trzy następne z Jodłowca. – Przeciągnął dłonią po zmęczonej twarzy. – Podjąłem decyzję, że do czasu otrzymania wsparcia odpuścimy sobie gaszenie budynków kurzej fermy. Stoi na uboczu, nie sąsiaduje ani z pozostałymi domami, ani z lasem, dlatego nie stanowi zagrożenia dla innych. Najgorzej jest tutaj. Budynek zbudowano z drewnianych bali, dach pokryto

gontem szczypanym z drewna starą góralską techniką. Wygląda to ładnie, ale...

Nie dokończył, a Diona nie poprosiła o kontynuowanie. Nie musiał mówić nic więcej, owo „ale” miała właśnie przed oczami. Dłonią wskazała drugi z płonących budynków i uwijających się przy nim strażaków.

– A tamten? Jest szansa, że...? – Teraz ona urwała, zobaczywszy wymowną minę mężczyzny. – Czy tam także użyto przyspieszacza?

– Głowę dam sobie uciąć, że tak – padła natychmiastowa odpowiedź. – Gasilem w swoim życiu niejedną pożar, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Mam tylko nadzieję, że przynajmniej w tamtym budynku nikogo nie było.

Na te słowa Diona zadrżała.

– Teraz już nie – odpowiedziała lekko drżącym głosem. – Ale gdyby podpalono go kilka dni wcześniej, raczej byśmy nie porozmawiali.

Strażak gwizdnął cicho. Spoglądał na nią z ogromną ciekawością i dziewczyna była pewna, że pod czaszką kłębią mu się dziesiątki pytań. Nie zdążył jednak ich zadać, gdyż w uszy wdarł się im naraz ryk syreny, początkowo oddalony i jeszcze dość cichy, lecz z każdą chwilą narastający i zbliżający się coraz bardziej. Wkrótce na drodze wykwitły migające plamy sygnalizacji świetlnej, potem ujrzeni cztery samochody straży pożarnej i jadący tuż za nimi radiowóz.

Na ten widok Diona wycofała się dyskretnie, nie chcąc przeszkadzać w działaniach strażaków. W jej szybkim odwrocie tkwiło jeszcze coś – otóż przed chwilą wykorzystała fakt, że mężczyzna dowodzący akcją uznał ją za policjantkę. A ona nie dość, że nie wyprowadziła go z błędu, to jeszcze wzięła na spytki, strażak zaś udzielił wyczerpujących informacji w dobrej wierze, pewien, że rozmawia z funkcjonariuszką policji. Woląca więc na wszelki wypadek

oddalić się na z góry upatrzone pozycje, jak później określiła przed Inką tę nagłą rejteradę. Lepiej zniknąć mu z oczu i nie narażać się na ewentualną awanturę.

W ostatniej chwili przypomniała sobie o zapalniczce. Gdy wyartykułowała swoją prośbę, po twarzy strażaka przemknął cień uśmiechu, lecz mężczyzna nie skomentował tego dosyć zaskakującego w obecnej sytuacji życzenia i bez słowa podał jej żądany przedmiot. Podziękowała uprzejmie, lecz chyba tego już nie słyszał, pochłonięty obserwacją daczy, która właśnie zapadała się w sobie, siejąc wkoło snopami iskier.

Diona wolno ruszyła z powrotem, obserwując szaleństwo żywiołu. Dochodziła już do murku, przy którym pozostawiła Inkę, gdy nagle aż przystanęła z wrażenia, uprzytomniła sobie bowiem, że widziany wieczorem, zasłaniający twarz i skradający się Arkadiusz Wąsik zmierzał właśnie w tym kierunku. Czyżby wszystko, co wczoraj usłyszała, było kłamstwem i to właśnie Ikar stał za tą zbrodnią?

Rozdział 8

Problemy są niczym myszy

Najrozsądniej byłoby natychmiast wycofać się poza zasięg wzroku policjantów, lecz nie mogły tego zrobić. Przynajmniej jedna z nich musiała zostać, żeby wskazać miejsce, gdzie nadal leżała zapalniczka. Wobec sprzeciwu Inki, tak gwałtownego, że graniczyło to z histerią, Diona zgodziła się pozostać i udzielić funkcjonariuszom wszelkich wyjaśnień. Siedziała więc nadal na murku, cierpliwie czekając, aż sytuacja nieco się uspokoi.

Po godzinie miała ochotę rozszarpać koleżankę, która zostawiła ją na palcu boju, sama zaś wróciła do domu i pewnie teraz siedziała w ciepłej kuchni, popijając herbatę, podczas gdy Diona trzęsała się z zimna, kuląc się pod gwałtownymi podmuchami lodowatego wiatru. Nie pojmowała, dlaczego Dorycka tak bardzo broniła się przed rozmową z kolegami z komisariatu. Przedtem nie zwróciła na to uwagi, ale teraz z nudów zaczęła analizować sytuację i doszła do wniosku, że coś jej w tym wszystkim nie pasuje.

Tłumaczenie Inki, że koledzy absolutnie nie mogą jej tu zobaczyć, gdyż jest na urlopie, nagle wydało się Dionie idiotyczne. Przecież pojawienie się przy pożarze w niczym nie naruszało żadnego punktu regulaminu i z pewnością nikogo by nie zdziwiło. Wszak z tego samego powodu pojawiła się tu niemal cała wieś. Dorycka musiała mieć jakieś inne powody,

by upierać się, że musi pozostać niezauważona, ale jakie, tego dziewczyna nie potrafiła się domyślić.

Mimo wysiłków pożarników żadnego z trzech budynków nie dało się uratować. Pojawienie się zastępów zawodowej straży pożarnej nie mogło już w żaden sposób wpłynąć na wynik walki z żywiołem. Przybyli za późno i jedyne, co im pozostało, to pomoc w dogaszaniu. Łuny pożarów już jakiś czas temu zmieniły się w kłęby ciemnego dymu z rzadka tylko rozjarzającego się ogniem i gapie, widząc, że spektakl ma się ku końcowi, zaczęli się powoli rozchodzić.

Na miejscu pozostało tylko kilku najwytrwalszych obserwatorów, nieopuszczających doskonałego stanowiska na ogrodowej ławeczce. Diona prześlizgnęła się po nich wzrokiem i ruszyła na poszukiwanie policjantów. Wypatrzyła jednego z nich, rozmawiającego ze strażakiem kierującym akcją, i skierowała się ku niemu, zdecydowana im przerwać. Trzęsła się z zimna tak bardzo, że aż szczękały jej zęby, i nie miała zamiaru czekać ani minuty dłużej. Musiała jak najszybciej się rozgrzać, jeśli nie chciała przyplącić tej nocnej wyprawy chorobą.

Dzieliło ją od mężczyzn zaledwie kilka kroków, gdy policjant odwrócił się – i wówczas go rozpoznała. Starszy aspirant Dariusz Lipski także ją poznał i twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu.

– Właśnie się zastanawiałem, gdzie się podziewasz. Wydało mi się niemożliwe, żebyś przespała taką akcję – oznajmił, witając ją serdecznym uściskiem.

Odwzajemniła uśmiech, ale czuła się niezbyt komfortowo. Lubiła starszego Lipskiego, lecz od pewnego czasu mężczyzna zaczął traktować ją jak przyszłą synową, a to niezbyt jej odpowiadało. Jej relacje z Marcinem trudno byłoby nazwać związkiem uczuciowym, więc zachowanie Dariusza uważała za swego rodzaju zaklinanie losu.

– To właśnie jest pani, która pomogła mi opanować sytuację
– włączył się strażak, a ona spojrzała na niego z wdzięcznością, że przerwał tę krępującą scenę.

– Tylko trochę okiełznałam tę tłuszczę – stwierdziła, bagatelizując swoje zasługi. – Nie ma o czym mówić. Masz chwilę? – zwróciła się do Dariusza, który jakiś czas temu kategorycznie zażądał, by przestała tytułować go panem. – Chciałam ci coś pokazać.

Poprowadziła go do miejsca, gdzie leżała zapalniczka, a obok niej widniały w zmrożonym śniegu wyraźne ślady. Dariusz prześledził je wzrokiem aż do płotu. U podnóża ogrodzenia były zdecydowanie głębsze, można więc było domniemywać, że ten, kto je pozostawił, w tym miejscu zeskokczył z płotu, gubiąc przy tym zapalniczkę.

– Trzeba będzie jak najszybciej zrobić odlew, dopóki mróz trzyma – stwierdził, wyjmując telefon, żeby przywołać technika.

Na czas rozmowy Diona odsunęła się dyskretnie na bok, zastanawiając się, jak by tu zapytać o Marcina, żeby jego ojciec nie zaliczył jej zainteresowania do kategorii uczuciowej. Policjant nieświadomie pomógł jej pozbyć się rozterki, mówiąc z lekką pretensją:

– Czemu nie zadzwoniłaś do Marcina? Nawet jeśli nic nie wykryłaś, to mogłaś przynajmniej dać znak, że żyjesz.

Wpatrywała się w niego, nie mogąc zebrać myśli, wreszcie potrząsnęła głową, chcąc pozbyć się kokonu spowijającego mózg. Dariusz użył całkiem prostych słów, a jednak nie potrafiła ogarnąć rozumem ich treści.

– Zadzwonię dzisiaj – wyjąkała w końcu, bardziej na odczepnego, uznała bowiem, że nie ma sensu wprowadzać go w zawiłości związane z ustaloną procedurą kontaktów. Tę sprawę musiała załatwić bezpośrednio z Marcinem.

Lipski nie oponował. Zauważył, że dziewczyna ma cienie pod oczami, a ruchy, zazwyczaj sprężyste i energiczne, teraz są powolne i wymuszone.

– Jesteś zmęczona – stwierdził oczywistość. – Idź się położyć. Nie sądzę, żebyś była jeszcze potrzebna, ale gdyby coś, to powiem, gdzie cię szukać. Są trzy ofiary śmiertelne, więc pewnie sprawę przejmie powiatówka – zakończył, potwierdzając to, czego od początku była w zasadzie pewna.

Rzeczywiście była zmęczona, i to tak bardzo, że nie miała nawet siły się uśmiechnąć. Policjant zauważył to i zawołał kolegę, młodego policjanta w stopniu starszego posterunkowego. Diona nigdy dotąd go nie widziała. *Pewnie nowy nabytek*, pomyślała obojętnie i z taką samą obojętnością wysłuchiwała, jak Lipski rozkazuje funkcjonariuszowi odwieźć ją do domu. W radiowozie omal nie zasnęła, a gdy tylko znalazła się w pokoju, runęła na łóżko, nie zdejmując nawet kurtki.

Ostatkiem świadomości odnotowała, że widocznie się starzeje, gdyż jeszcze dwa lata temu potrafiła ciągnąć dwie zmiany z rzędu i nie czuła się potem aż tak fatalnie. Ta myśl dodała jej odrobinę energii, akurat tyle, by zdjąć kurtkę i buty. Na więcej nie znalazła siły. Zagrzebana po uszy w pościeli, usiłowała powstrzymać szczykanie zębami i zanim zasnęła, pomyślała, że chyba już nigdy nie będzie jej ciepło.

*

Inka wyjęła z kieszeni telefon i nacisnęła ikonkę połączenia. Po krótkiej rozmowie z satysfakcją odłożyła komórkę, zrobiła sobie herbatę i popijając aromatyczny płyn, układała w myślach plan zajęć. Diona pewnie pośpi jeszcze kilka godzin. Wróciła dopiero nad ranem, w dodatku chyba kompletnie wykończona, skoro nawet nie zdjęła ubrania przed

położeniem się do łóżka, a teraz jest tak rozpalona, że może to oznaczać tylko chorobę. Lepiej nie mogło się ułożyć.

Dorycka przez chwilę czuła wyrzuty sumienia, że cieszy się z niedyspozycji koleżanki, ale zaraz odsunęła je na bok. Nad nią nikt się nie litował. Nikt nie dał jej szansy, więc musiała sama o siebie powalczyć, a skoro okazja niemal wepchnęła jej się w ręce, nie zamierzała tego zmarnować przez głupie skrupuły.

Rezygnując z reszty herbaty, wślizgnęła się na palcach do pokoju, zmieniła obuwie i złapała kurtkę. Nim opuściła dom, sprawdziła jeszcze, czy na pewno ma przy sobie legitymację, po czym ruszyła w stronę domu sprawcy. Chciała osobiście dokonać zatrzymania i nikt nie mógł jej przed tym powstrzymać.

Nie zamierzała pozwolić, by ktoś przejął jej sukces, by słowa uznania przypadły komendantowi czy Dionie. Marcin w ogóle nie pracował nad tą sprawą, a Diona? No cóż. Może kiedyś była z niej niezła policjantka, ale obecnie po jej zachowaniu wyraźnie widać, że wypadła z obiegu. Dwa lata w cywilu zmiękczyły ją, stępiły intuicję, pozbawiły pazura. Dlatego nie potrafiła dojrzeć tego, co było widoczne jak na dłoni. Pozwoliła odejść wolno temu tępemu patusowi, choć powinno być dla niej oczywiste, że to on zgwałcił i zabił. Właściwie dobrze się stało. Dzięki temu młodsza aspirant Jemina Dorycka dokonała zatrzymania zabójcy i nikt już nie ośmielił się twierdzić, że nie nadaje się do tej pracy.

Wyobraziła sobie minę Marcina, gdy zobaczy ją wprowadzającą do komisariatu skutego kajdankami zabójcę, i roześmiała się głośno, nie zważając na zdumione miny mijających ją dwóch starszych kobiet. Wiedziała, że będzie miał do niej pretensje o tę samowolę, ale ani myślała się tym przejmować. Nie oglądając się za siebie, szybkim krokiem zmierzała do celu. Nie mogła pozwolić, by ktoś ją uprzedził.

Drzwi i tym razem otworzyła Bobkowska, a z jej zaskoczonej miny policjantka wywnioskowała, że nie spodziewała się tej wizyty. Małgorzata spoglądała trwożnie na gościa, nie mogąc zdobyć się nawet na słowa powitania, a co dopiero na pytanie o powód porannych odwiedzin. Nie uczyniła też zapraszającego gestu, więc w obawie, że nagle zatrzaśnie jej drzwi przed nosem, Dorycka prześlizgnęła się obok niej i weszła do przedpokoju.

– Czy zastałam pani męża?

Bobkowska i tym razem się nie odezwała, wskazała tylko ręką na wprost, z czego policjantka wywnioskowała, że Bobkowski znajduje się w kuchni.

Był tam rzeczywiście. Siedział przy stole nad talerzem z resztkami kiełbasy na gorąco i ostrym tonem przemawiał do małego synka, usiłując zmusić go do przełknięcia bladuróżowej, glutowatej papki, na której widok żołądek podszedł dziewczynie do gardła. Nigdy nie potrafiła pojąć, dlaczego przeznaczone dla dzieci produkty spożywcze muszą mieć konsystencję smarków. Szybko odwróciła wzrok.

Na widok wchodzącej Bobkowski wolno odłożył łyżeczkę. Nie odezwał się, lecz w jego oczach Inka zauważyła błysk rozpoznania. Spiał się w sobie, przygotowując się do odparcia słownego ataku, na co dziewczyna uśmiechnęła się złośliwie. Mogła z wyrazu jego twarzy czytać jak z otwartej książki.

– Panie Bobkowski, jest pan zatrzymany pod zarzutem zgwałcenia i uduszenia Wioletty Kamińskiej. – Wyrecytowała tę formułkę z wyraźną przyjemnością, po czym sięgnęła do kieszeni po kajdanki. – Rączki proszę.

W tej samej chwili odkryła, że popełniła wielki błąd. Tak przywykła do poruszania się pieszo na terenie wsi, że nie pomyślała o zabraniu samochodu, wskutek czego będzie musiała prowadzić Bobkowskiego w kajdankach przez prawie całą Świercznicę. *Niech to szlag*, zaklęła w duchu i już miała

zadzwoić do Diony z prośbą o przyprowadzenie auta, gdy przypomniała sobie, że nie może włączać koleżanki w tę akcję, jeśli nie chce stracić szansy na samodzielne zatrzymanie podejrzanego. Tym bardziej że Diona nie wierzyła, by to Bobkowski udusił Kamińską.

Westchnęła cicho i popatrzyła ponownie na mężczyznę, który nie wykonał najmniejszego ruchu, tylko spoglądał przed siebie tępym wzrokiem.

– Jurek...? – usłyszała tuż obok niepewny głos Małgorzaty. – Jurek, co się dzieje?

Inka nie miała czasu na wysłuchiwanie małżeńskich pogaduszek.

– Dawaj, kurwa, ręce – powtórzyła gniewnie, podchodząc do podejrzanego.

Mężczyzna wstał i wolno odwrócił się do niej plecami, a jego ręce takim samym powolnym ruchem skierowały się ku tyłowi. Nagle Bobkowski wykonał gwałtowny przechył tułowiem, uderzając Dorycką barkiem w ramię. Zamachała rękami, chcąc uchronić się przed upadkiem, a kajdanki pofrunęły w powietrzu, o milimetry mijając buzię dziecka. Następne pchnięcie i policjantka zwała się na ziemię, przewracając Małgorzatę. Gdy wreszcie zdołały rozdzielić splątane kończyny i powstać, po Bobkowskim nie było już ani śladu.

*

Dźwięk był wyjątkowo natrętny. Wwiercał się w uszy i atakował mózg z takim uporem i tak gwałtownie, że nie pomogło nakrycie głowy poduszką. Wyrwana w ten arcynieprzyjemny sposób ze snu Diona dźwignęła się na łokciu i powiodła wokół nieprzytomnym wzrokiem, nie mogąc w pierwszej chwili pojąć, gdzie się znajduje, dlaczego tak

potwornie boli ją całe ciało i przede wszystkim, co tak okropnie brzęczy, nie pozwalając jej spać. Musiało minąć kilka sekund, nim dotarło do niej, że źródłem dźwięku jest jej własny telefon, nie wiadomo dlaczego odłożony na talerzyk, na którym prócz komórki znajdowały się szklanka i łyżeczka. To właśnie dwa ostatnie przedmioty dawały ów brzękliwy pogłos, gdy telefon zaczynał wibrować.

Ze stęknieniem podźwignęła się z łóżka, wzięła do ręki komórkę i zerknęła na wyświetlacz. Dzwonił Marcin. A więc wreszcie raczył sobie o niej przypomnieć!

– Słucham – rzuciła krótko.

Oficjalny ton powinien wywołać u rozmówcy wyrzuty sumienia, okazało się jednak, że się przeliczyła. Widocznie Lipski sumienia nie posiadał.

– Możesz mi powiedzieć, co ty wyprawiasz? – usłyszała gniewne słowa, wypowiedziane nieco niewyraźnie.

Domyśliła się, że Marcin cedzi je przez zęby, jak zawsze wtedy, gdy był maksymalnie wściekły, i od razu się zdenerwowała. Kto jak kto, ale on nie miał najmniejszego prawa do robienia jej uwag. To nie ona zmieniła zasady w trakcie rozgrywki.

– Niczego nie wyprawiam, tylko leżę w łóżku. Jestem przeziębiona. Czym sobie zasłużyłam na ten zaszczyt?

– Jaki, kurwa, zaszczyt? Diona, co z tobą?!

Marcin podniósł głos aż do krzyku, a Diona wzdrygnęła się lekko i odsunęła telefon od ucha. Ból głowy stawał się nie do zniesienia.

– Ze mną? To z tobą coś jest nie tak! – Teraz ona też krzyczała, wyładowując nagromadzoną przez pięć dni frustrację. – Śledzenie, obserwacja, telefon na podsłuchu... To już nie jest ostrożność, tylko paranoja! Jak się tak boisz o swój stołek, to trzeba mnie było tu nie wysyłać. Jak mam coś zdziałać bez wsparcia? Nie odpowiedziałeś na żadne

pytanie, nie przekazałeś żadnej informacji. Do rzeczy z taką robotą!

Nie odpowiadał tak długo, że aż zerknęła na wyświetlacz, by sprawdzić, czy Lipski się nie rozłączył. Stwierdziła, że połączenie jest aktywne, ponownie więc przyłożyła telefon do ucha, rzucając niepewne „halo?”. W tej samej chwili mężczyzna odezwał się znów, lecz ton jego głosu był zupełnie inny. Nie było w nim pretensji, tylko czujność.

– Możesz wyjaśnić, o czym przed chwilą mówiłaś? Bo mnie się wydaje, że z nas dwojga to ty masz paranoję.

Tego już było Dionie za wiele. Z wściekłym warknięciem mimo wszystko rozłączyła rozmowę i z jękiem opadła na poduszkę, lecz nie dane jej było poleżeć w spokoju, gdyż telefon znów się rozdzwonił. Zakląła szpetnie, po czym wyciszyła dzwonek i wibracje, w nadziei, że dzięki temu będzie mogła ponownie zasnąć, lecz tym razem nie pozwolił na to jej organizm, domagając się pilnie wizyty w toalecie. Wstała z najwyższą niechęcią i poczłapała do łazienki, zabierając po drodze czyste ubranie. To, które miała na sobie, śmierdziało dymem i potem, co wywoływało odruch wymiotny.

Po półgodzinie, odświeżona kąpielą, poczuła się znacznie lepiej. Nawet ból głowy minął, pozostało tylko tępe ćmienie za oczami, ale postanowiła na to nie zważać. Skierowała się do kuchni, by przy kawie ustalić z Inką plan dnia, lecz zastała tam tylko Pelagię, krzątającą się przy śniadaniu.

– Dzień dobry – przywitała się z gospodynią. – A gdzie to nasza Jemina?

Pela zrobiła wielkie oczy.

– Myślałam, że jeszcze śpi. Nigdy nie wstaje o tej porze.

Diona zerknęła na zegar wiszący nad lodówką. Rzeczywiście, było kilka minut po ósmej, czyli pora, gdy Inka zazwyczaj jeszcze słodko spała. Nawet godzinę później nie dawało się jej

dobudzić i Diona nieraz zastanawiała się, jakim sposobem Doryckiej udaje się zdążyć na czas do pracy.

– Łóżko jest puste – odparła nie mniej zaskoczona. – Musiała wstać już jakiś czas temu i gdzieś pójść. Dziwna sprawa...

Wzięła z rąk Pelagii kubek z kawą, usiadła przy stole i dopiero wtedy zauważyła karteczkę wsuniętą częściowo pod cukiernicę. Szybko ją wydobyła i podniosła do oczu. Pela obserwowała to z zaciekawieniem.

– Co tam masz? To od Inki?

– „Muszę coś załatwić. Niedługo wrócę” – odczytała Diona i odłożyła kartkę na stół, nie próbując nawet się domyślać, co takiego pilnego Dorycka musiała załatwić, że aż wymagało to od niej wstania przed świtem, rozwalając przy tym ustalony plan dnia. Doszła do wniosku, że problemy są niczym myszy: mnożą się bez opamiętania.

– Panna tajemnicza – oceniła Pela nieco ironicznym tonem. – Jakby co, to Gredtke już wrócił – dodała po chwili, nawet się nie odwracając.

Minęło kilka minut, nim do Diony dotarł sens jej słów. Natychmiast poderwała się z miejsca, gotowa wyruszyć do emerytowanego policjanta.

– Gdzie mam go szukać? Poda mi pani adres?

– Siadaj i jedz – osadziła ją Pelagia. – Gredtke ci nie ucieknie.

– Żarcie też nie – burknęła, ale bez większego przekonania, gdyż zapach frankfurterek już wkręcał się w nozdrza.

Przełykając ślinę, doszła do wniosku, że jest chyba jedyną osobą, u której gorączka wywołuje wzmożony apetyt. Wszyscy inni cierpieli w chorobie na jadłowstręt i prawdopodobnie stąd wzięło się sławetne przekonanie, że chorzy nie jedzą. Skapitulowała ostatecznie, gdy brzuch wydał z siebie głośne burczenie. *Gredtke nie zając*, pomyślała, atakując widelcem

pierwszą kiełbasę. *Może gdy się prześpię, choroba się zniechęci i sobie pójdzie.*

*

Później sama zastanawiała się, dlaczego oczekiwała, że będzie starszy. Wszak nie wiedziała, w którym roku ani po ilu latach służby odszedł na emeryturę. Niemniej zaskoczyło ją, gdy ujrzała przed sobą mężczyznę niewyglądającego nawet na pięćdziesiątkę. Zagapiła się na niego tak, że zapomniała o elementarnych wymogach dobrego wychowania, stojąc bez ruchu niczym przysłowiowy słup soli. *Dobrze, że przynajmniej miałam zamknięte usta, a nie stałam jak debil z rozdziawioną gębą,* rozmyślała, gdy wracając do domu, wspominała tamtą chwilę. Wówczas jednak trwała tam w milczeniu i dopiero lekko zniecierpliwiony gest mężczyzny wyrwał ją z osłupienia.

– Dzień dobry. Czy pan podinspektor Robert Gredtke?

Spojrzał z nieodgadnioną miną i wolno skinął głową.

– Samo imię i nazwisko wystarczy, stopień sobie darujmy.

W jego głosie brzmiała wyraźna niechęć, którą Diona uznała za adresowaną ku niej i trochę się zmartwiła. Nie wieszczyło to efektywnej współpracy, zwłaszcza że Gredtke nie uczynił najmniejszego ruchu. Ciągle tkwił w drzwiach, zagrządzając ciałem przejście, i nic nie wskazywało, by zamierzał zaprosić ją do środka. Westchnęła cicho, przywołała na twarz najbardziej przyjazny z kolekcji sztucznych uśmiechów i przeszła do sprawy, która przywiodła ją w te niegościnne progi.

– Skierowała mnie do pana Pelagia Pasierbek, u której się zatrzymałam – wyjaśniła spokojnie.

Starła się mówić uprzejmie, choć zachowanie mężczyzny wywołało irytację. Nie znosiła takich demonstracyjnych póż.

– Wiem – przerwał jej bezceremonialnie. – A gdzie jest ta druga? Aspirantka z Jodłowca? Pewnie bała się przyjść, bo wszystkim wiadomo, że esbecy zioną ogniem, gwałcą ładne dziewczyny i zjadają małe dzieci na śniadanie.

Znowu ją zaskoczył, choć właściwie mogła się spodziewać, że jako były funkcjonariusz zna przynajmniej z widzenia policjantów z jodłowieckiego komisariatu. Dosłyszała w jego głosie nutkę goryczy i zrobiło jej się przykro, choć nie jej winą było, że został tak podle potraktowany przez państwo, któremu służył z narażeniem życia.

– Za to ja przyszedłam bez obaw. Przynajmniej raz brak powalającej urody okazał się przydatny.

Gredtke przyjrzał się jej uważnie, jakby dopiero teraz odkrył obecność gościa stojącego przed drzwiami, i niespodziewanie się uśmiechnął.

– Zależy, co kto uważa za powalającą urodę – oznajmił, ponownie lustrując ją wzrokiem. – Osobiście nie gustuję w lalkowatych blondynkach, wolę ciemnowłose dziewczyny z charakterem.

– Nawet jeśli ten charakter jest paskudny? – spytała przekornie.

– Nawet. Ale czemu pani nie wchodzi do domu? – zdziwił się nagle. – Przecież nie będziemy rozmawiać w progu.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Zgłupiał czy tylko udaje idiotę? Nie znalazła odpowiedzi na to pytanie i ponownie cicho westchnęła.

– Może jestem głupia, ale nie mam w zwyczaju wpychać się komuś do domu bez zaproszenia, a już na pewno nie wtedy, gdy ktoś zasłania wejście ciałem, broniąc go niczym przed najazdem Hunów.

Wyraźnie zaskoczony Gredtke popatrzył to na nią, to na skrzydło drzwiowe, kiwające się lekko od podmuchów wiatru, i odsunął się, robiąc jej przejście.

– Faktycznie, ma pani rację. Proszę wejść. Przepraszam, że trzymałem panią przed drzwiami.

Powiedział to cicho i z taką niechęcią, że pojęła, iż przeproszenie nie przychodzi mu łatwo. Pod tym względem nie różnił się zatem zbyt wiele od znanych jej mężczyzn. Skinęła głową i przekroczyła próg, rozglądając się z zaciekawieniem. Po chwili znaleźli się w pomieszczeniu wyglądającym na skrzyżowanie salonu z gabinetem. Na to pierwsze wskazywała obecność eleganckiego, obitego kremową skórą kompletu wypoczynkowego, stolika okolicznościowego i barku na kółkach, na którym stała taca z obróconymi do góry dnem szklankami. Pod oknem dojrzała dużą komodę, a obok niej wysoki kwietnik, z którego zwieszały się bujnie rozrośnięte rośliny.

Diona doszła do wniosku, że żona Gredtkego musi kochać kwiaty i wkładać dużo serca w ich pielęgnację, wiedziała bowiem, że samo podlewanie nie wystarcza, by uzyskać takie efekty. Jej samej nigdy się to nie udało. Zwalczyła uczucie zazdrości i przeniosła wzrok obok, na biurko ze stojącym na blacie monitorem i na fotel na kółkach, po czym zlustrowała ścianę, którą jeszcze niedawno musiały ozdabiać jakieś obrazki, na co wskazywały jaśniejsze prostokąty.

Rzut oka na przeciwległą ścianę, gdzie wisiał ogromny telewizor, świecący wygaszaczem ekranu, na stojącą na stoliku szklankę wypełnioną do połowy ciemnym płynem oraz na niedbale wysunięty podnózek przy fotelu wystarczył, by Diona doszła do wniosku, że oderwała Gredtkego od oglądania jakiegoś filmu. Miała ochotę zapytać o tytuł, lecz powściągnęła niewczesną ciekawość. Nie przyszła tu w celach towarzyskich. Wolno odwróciła się do gospodarza, cierpliwie przeczekującego tę lustrację.

– Pani Pela powiedziała, że mieszka pan tu od urodzenia – zagaiła.

Gredtke ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Wskazał jej gestem jeden z foteli, sam jednak nie usiadł, tylko stał nad nią, znów uważnie świdrując ją wzrokiem.

– Jak się pani nazywa? Chyba nie dosłyszałem.

Niespodziewanie dla samej siebie uśmiechnęła się szeroko, tym razem zupełnie szczerze.

– Nie mógł pan dosłyszeć, bo wcale się nie przedstawiłam. Nie zdążyłam, bo zaczęliśmy dyskutować o wyższości nieblondynek nad blondynkami. Nazywam się Dioniza Remańska i jestem... – zawahała się i umilkła.

Nie bardzo wiedziała, jak określić rolę, w jakiej się tu znalazła. Policjantką już nie była, detektywem jeszcze nie, a określenie się mianem policyjnej konsultantki byłoby grubą przesadą.

– Nietrudno się domyślić. – Odwzajemnił uśmiech. – Służy pani w powiatowej?

Przez moment wahała się, czy nie odmruknąć niezobowiązująco i tym samym pozwolić mu tkwić w błędnym przekonaniu, ale uczciwość i rozsądek zwyciężyły. Nie chciała oszukiwać człowieka, którego zamierzała poprosić o pomoc, poza tym w każdej chwili mógł zażądać okazania legitymacji, a wówczas musiałaby przyznać się do wprowadzenia go w błąd i tym samym zaprzepaścić szansę na dowiedzenie się czegoś.

Zerknęła ukradkiem na pociągłą, ciągle jeszcze przystojną twarz, na spoglądające zimno niebieskoszare oczy, rejestrujące każdą, o co była gotowa się założyć, najmniejszą nawet zmianę jej mimiki. Głowę by sobie dała uciąć, że temu uważnemu wzrokowi nic nie jest w stanie umknąć. Doszła do wniosku, że Gredtke musiał być świetnym policjantem, i postanowiła mu zaufać. Zresztą nie miała w tej kwestii wielkiego wyboru – alternatywą było odejście z kwitkiem.

– Nie jestem już policjantką – wyznała, westchnęła po raz trzeci i opowiedziała, czego od niego oczekuje.

Gredtke słuchał w milczeniu, nie dając poznać, jakie wrażenie robią na nim jej słowa. Skończyła swoją spowiedź i utkwiała w nim wzrok w oczekiwaniu wyroku, lecz zamiast nawiązać do jej wyjaśnień, gospodarz znowu ją zaskoczył.

– Właśnie miałem robić sobie kawę. Napije się pani ze mną?

Przytaknęła ruchem głowy. Mężczyzna wyszedł, a ona siedziała w fotelu, zastanawiając się, jak rozumieć tę propozycję. Gdyby nie chciał z nią rozmawiać, raczej nie oferowałby poczęstunku, więc chyba powinna być dobrej myśli. Podbudowana tym wnioskiem wstała i podeszła do okna, chcąc przyjrzeć się kwiatom. Przechodząc obok biurka, rzuciła na nie okiem, lecz szybko odwróciła wzrok, gdy ujrzała leżące na blacie urzędowe pismo sygnowane pieczęcią MSWiA. Nie zamierzała naruszać czyjejs prywatności.

Zaintrygował ją stojący obok kwietnika kosz na śmieci, miejsce bowiem było nietypowe na tego typu przedmiot. Podeszła bliżej i dostrzegła wystające z niego ramki. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wyjęła obrazek, potem drugi i dwa kolejne i przekonała się, że popełniła błąd w domysłach. To nie były obrazki, tylko oprawione w ramki odznaczenia – brązowy Krzyż Zasługi, a obok srebrny i złoty, w ostatnią zaś ramkę oprawiono odznakę zasłużonego policjanta. Diona pomyślała, że Pelagia miała rację. Gredtke nie był takim sobie zwykłym gliną. Ale dlaczego wyrzucił te wszystkie odznaczenia do kosza?

Usłyszała za sobą kroki i odwróciła się, a wówczas stanęła oko w oko z gospodarzem. Nie mówiąc ani słowa, Gredtke postawił filiżanki na stoliku i zawrócił ku drzwiom. Na chwilę zniknął jej z oczu, lecz zaraz znów się pojawił, podszedł bliżej i nogą przysunął kosz na śmieci. Brał jej z rąk ramki jedna po drugiej, spoglądał na nie przez chwilę, po czym wrzucał do kosza, a na jego kamiennej twarzy nie drgnął żaden mięsień. Diona z fascynacją zmieszaną z przerażeniem wsłuchiwała się

w brzękliwe dźwięki i zareagowała dopiero, gdy rozprawił się z ostatnim odznaczeniem.

– Co pan robi?! – wykrzyknęła z oburzeniem. – Przecież tak nie można. Te odznaki to powód do dumy, a pan...

Umilkła, gdyż zabrakło jej słów. Mężczyzna odstawił kosz, podszedł do biurka, wziął do ręki pismo z MSWiA i wetknął jej do ręki.

– Czytaj – nakazał takim tonem, że bezwiednie usłuchała.

Przebiegła wzrokiem gęsto zadrukowane kartki i zrozumiała, że ma przed sobą odmowę zastosowania wobec Gredtkego artykułu 8a ustawy dezubekizacyjnej, dającego możliwość wyłączenia byłego funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa spod działania ustawy. Popatrzyła na mężczyznę, potem na wyraźnie odznaczające się na ścianie cztery jaśniejsze prostokąty – miejsca po zdjętych odznaczeniach.

– Nie rozumiem – przyznała. – Te medale i dwadzieścia lat służby w policji to za mało na zmazanie ewentualnych przewin?

Zacisnął szczęki tak mocno, że zagrały mu mięśnie na policzkach, i to były pierwsze emocje, jakie okazał. Potem wzruszył ramionami i wskazał jej fotel. Usiadła i wzięła do ręki jedną z filiżanek, ruchem głowy odmawiając cukru. Upiła łyk, patrząc na mężczyznę znad naczynia, i przekonała się, że Gredtke nie spuszcza z niej wzroku. Zmieszała się i drgnęła, omal nie wylewając kawy.

– Służyłem w SB przez cztery lata i jakoś nie mogę sobie przypomnieć ani jednego bandyckiego czy choćby nieetycznego czynu. Ale według nich – machnął ręką w stronę leżącego znów na biurku pisma – jestem zbrodniarzem, bandytą i oprawcą. Nie chciałem błagać ich o łaskę. Tak, pani Dionizo, ten artykuł to nic innego jak możliwość błagania ich o darowanie przewin. Pewnie czytają te nasze odwołania przy

wódce i napierdalają się z naiwniaków. Nie słyszałem, żeby komuś tej łaski udzielono.

– Co pan teraz robi? – spytała, gdy przerwał i sięgnął po kawę.

Gredtke przytknął filiżankę do ust, upił kilka łyków i popatrzył na Dionę.

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Jak mówiłem, nie miałem zamiaru się odwoływać. Zrobiłem to dla żony, bo wiedziałem, jak bardzo przeżywa tę sytuację. Dobrze, że nie doczekała odpowiedzi. – Dostrzegł uniesione w górę brwi dziewczyny i wyjaśnił zwięźle: – Była już wtedy w stanie terminalnym i zmarła trzy miesiące później.

Poczuła ucisk w gardle, jakby jakaś dłoń dławiła ją, nie pozwalając zaczerpnąć powietrza. Z trudem przełknęła ślinę.

– Czytałam brednie o wielotysięcznych esbeckich emeryturach – odezwała się, z trudem dobywając głosu ze ściśniętego emocjami gardła. – Ile miał pan tej emerytury za cztery lata służby w SB? Cztery stówki? Pięć?

Przez surową twarz mężczyzny przewinął się smutny uśmiech.

– Może połowę z tego. Ale zaraz potem trzy czwarte zabrała mi PO tą pierwszą ustawą, więc esbeckiej emerytury została mi niecała stówka. Odebrali nam emerytury wysłużone w policji, bo mogli tak zrobić. Ale nie o to chodzi.

– Nie? To o co?

Posłał jej wyjątkowo ponure spojrzenie.

– Mówię tylko w swoim imieniu. Wiem, że innym jest ciężko. Mają różne zobowiązania, na przykład kredyty brane w dobrej wierze. Mnie nie chodzi o pieniądze. Oboje z żoną nieźle zarabialiśmy, a żyliśmy skromnie. Poradzę sobie finansowo, nawet gdyby mieli odebrać mi wszystko. Ale nie mogę darować, że wrzucili nas do jednego worka, zrobili z nas bandziorów i zamknęli wszystkie możliwości obrony, zamiast

postawić przed sądem tych, którzy rzeczywiście byli winni. I jeszcze śmiało twierdzić, że w Polsce nie stosuje się odpowiedzialności zbiorowej.

Diona skinęła głową w geście solidaryzowania się z tą opinią.

– Nie potrafię pojąć, jak to możliwe, że więźniom liczy się do emerytury czas spędzony za kratami, a ludziom, przeciw którym nie toczyło się żadne postępowanie, czasu służby w SB w ogóle nie zaliczono.

Gredtke parsknął krótkim, pozbawionym wesołości śmiechem.

– Bo według nich tacy jak ja są gorsi od morderców, gwałcicieli czy bandziorów. Staliśmy się wyrzutkami społeczeństwa, emerytami wyklętymi. Ojczyzna nas odrzuciła, choć oddaliśmy jej nasz czas, zdrowie, a niejednokrotnie życie. Dlatego nie zamierzam niczego dla tej ojczyzny robić. Już nie.

Diona nie od razu uświadomiła sobie, co implikuje wypowiedź emerytowanego policjanta, pojęła to dopiero, gdy wstał, dając do zrozumienia, że wizyta jest skończona. Rozumiała jego gniew i rozzalenie, lecz mimo to nie ustąpiła. Potrzebowała tych informacji jak powietrza.

– Niech mi pan pomoże. Proszę.

Złożyła dłonie w błagalnym geście. Na ten widok Gredtke odwrócił wzrok, mimo to nie zmienił zdania.

– Nie powinna pani prosić – pouczył surowo. – Sama pani odeszła czy wydalono panią z szeregów policji?

– Sama odeszłam – odparła, patrząc mu prosto w oczy. – Po prostu miałam dość.

Wzdrygnęła się na wspomnienie tamtych, tak trudnych dla niej dni. Gredtke dostrzegł to i uśmiechnął się sarkastycznie. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, po czym odwrócił się i oparł biodrem o parapet.

– Sama pani widzi. Policja nie jest warta tego, żeby tracić dla niej czas, który można spożytkować inaczej. Tak samo ojczyzna. Okazało się, że ona jest tylko pustym słowem, wykorzystywanym przez władze do ogłupiania narodu.

Diona wstała, ale nie poszła w stronę drzwi. Przeciwnie, ruszyła ku gospodarzowi i zatrzymała się zaledwie dwa kroki przed nim. Musiała zadrzeć głowę, by móc spojrzeć mu w oczy.

– Nie proszę dla policji ani dla ojczyzny – powiedziała gniewnie, niemal skandując słowa. – Proszę dla dziewczyny, która miała tylko dwadzieścia trzy lata. Proszę dla trojga ludzi być może spalonych żywcem. Ich morderca ciągle przebywa na wolności. Pozwoli pan, żeby mu się udało?

*

Po opuszczeniu domu Roberta Gredtkego Diona nie od razu wróciła do domu. Musiała odreagować. Przechadzała się wolno po wsi, spoglądając na przestrzał na mijających ją ludzi, ignorując całkowicie słowa powitania, którymi od czasu do czasu ją obdarzano. Nawet ich nie słyszała, zajęta własnymi myślami. Po godzinie spaceru wreszcie poczuła, że odzyskała jaki taki spokój ducha, choć na wspomnienie odznaczeń wrzuconych do kosza na śmieci nadal trzęsła nią złość. Gdyby nie przyszła w porę, Gredtke wyrzuciłby je, nic na tym nie zyskując. Na szczęście zdołała go przekonać, że powinien postąpić inaczej.

Weszła do pokoju i od razu zauważyła, że Inki nadal nie ma, choć musiała w międzyczasie się pojawić, gdyż na łóżku leżała kurtka. Domyśliła się, gdzie koleżanka może przebywać, i poszła jej poszukać, by przekazać najnowsze informacje.

Dorycka siedziała przy kuchennym stole, podpierając brodę rękami, a na jej twarzy widniał wyraz przygnębienia.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Diona. – Jakies złe wieści?

– Nic takiego – mruknęła Inka, odwracając wzrok. – Kłótnia z facetem. Nie mam ochoty o tym mówić.

Diona skinęła głową i podeszła do ekspresu. Miała zamiar zrobić sobie kawę, a później ponownie odwiedzić swoich podejrzanym, żeby móc ostatecznie skreślić tych, którzy nie byli winni. Dzięki Gredtkemu zyskała w miarę jasny obraz sytuacji, ale potrzebowała jeszcze potwierdzenia.

Z pełnym kubkiem w ręce zmierzała w stronę stołu, gdy nagle drzwi się otworzyły i do kuchni zajrzała Pelagia. Rzuciła na dziewczyny szybkie spojrzenie, skinęła głową i cofnęła się ze słowami:

– Są tutaj, tak jak myślałam. Niech pan wejdzie.

Widok Marcina tak zaskoczył Dionę, że omal nie wypuściła kubka z rąk. Ale i tak naczynie zachybotowało jej się w dłoni, opryskując rękę i stopy wrzątkiem. Wrzasnęła z bólu. Lipski doskoczył i zabrał jej kubek.

– Podobno to ja nie umiem przenosić płynów.

– Skąd się tu wzięłeś?

Pytanie nie zaliczało się do kategorii najmądrzejszych, niestety czuła się tak ogłupiała, że tylko na takie było ją stać. Marcin nie odpowiedział, chyba nawet nie dosłyszał. Wpatrywał się w Inkę z jeszcze bardziej zaskoczoną miną niż mina Diony, Dorycka natomiast wyglądała tak, jakby chciała skurczyć się do rozmiarów krasnoludka. Na jej poblądłej twarzy malowały się jednocześnie panika i bunt.

– Co ty tu robisz?

Diona jeszcze nigdy nie słyszała Marcina mówiącego tak ostro i nieprzyjaźnie. Coś tu było wyraźnie nie tak.

– Przyjechałam, żeby jej pomóc – powiedziała Inka cicho i niewyraźnie, ze wzrokiem wbitym w blat stołu.

– Kiedy? – Nie odpowiedziała, więc doprecyzował pytanie: – Kiedy tu przyjechałaś?

– Wczoraj.

Uniosła głowę i popatrzyła na koleżankę, milcząco błagając o pomoc. I właśnie to spojrzenia sprawiło, że Diona domyśliła się prawdy. Nareszcie zrozumiała i zatrzęsł nią taki gniew, że miała ochotę podejść do Doryckiej i pięścią zmazać jej z twarzy tę niewinną minkę. To, że się powstrzymała, uznała później za ogromny sukces.

– Wczoraj? – spytała nadspodziewanie spokojnie. – Ty kłamliwa suko! – Odwróciła się tyłem do Inki, nie mogąc znieść jej widoku. – Przywiozła mi dokumenty od ciebie i powiedziała, że kazałeś jej ze mną jechać – wyjaśniła Marcinowi. – Była bardzo przekonująca, więc to kupiłam. Później, gdy chciałam do ciebie zadzwonić, naopowiadała mi bredni, że prawdopodobnie masz telefon na podsłuchu, więc ja nie powinnam się z tobą kontaktować, żeby nie narobić ci kłopotów. Powiedziała, że tylko ona może do ciebie dzwonić, i nawet pokazała mi rejestr rozmów w telefonie. Ani przez moment nie pomyślałam, że to fejk.

Niespodziewanie Dorycka roześmiała się, obrzucając rozjuszoną Dionę pogardliwym spojrzeniem, po czym wstała gwałtownie i stanęła przed Marcinem z rękami wspartymi na biodrach, a gdy się odezwała, jej głos był przesycony jadem.

– Rzygać mi się chciało, jak cię słuchałam. Nic, tylko Diona i Diona, jakby dysponowała jakimiś supermocami. Teraz masz tę swoją cudowną Dionę! Dawała się robić w bambuko jak dziecko z przedszkola. Jakby to była wielka sztuka, zmienić nazwę kontaktu w telefonie! Do narzeczonego dzwoniłam, ty tępa dzido!

Diona nie zareagowała na zaczepkę. Nie zamierzała wyklócać się z tą dziewczyną, wyraźnie przekonaną o swojej racji. Pomyślała, że może Inka jest naiwna i tępa, ale nigdy nie

podejrzewałyby, że ktoś może posunąć się do tak pokrętej intrygi po to, by wziąć udział w akcji niegwarantującej sukcesu.

Marcin sprawiał wrażenie kompletnie zdezorientowanego. Wbijał wzrok w Dorycką, jakby nie do końca pojmował sens jej słów.

– Możesz mi powiedzieć, jak chciałaś z tego wybrnąć? – spytał po dłuższym czasie. – Przecież po waszym powrocie wszystko by się wydało.

Dorycka wzruszyła obojętnie ramionami.

– I co z tego? Wtedy miałabym już na koncie zatrzymanie sprawcy. Ja bym miała – podkreśliła – a nie ty i nie ona. Dzięki temu byłabym nie do ruszenia i na pewno dostałabym dobry etat.

Na te słowa Diona wzniosła oczy do nieba, Marcin zaś wyglądał, jakby miał się udławić. Jakiś czas walczył ze sobą, wreszcie skapitulował i wybuchnął głośnym śmiechem. Wówczas Remańska także się roześmiała.

– Dobry etat! – wydusiła z trudem. – Ja nie mogę...

Inka nie spodziewała się takiej reakcji. Wodziła po nich spojrzeniem pełnym furii, wreszcie wybuchnęła:

– A dlaczego nie?! Czemu nie mogłabym zostać komendantem? Ty jakoś mogłeś, a jesteś tylko dwa stopnie wyżej. Zatrzymanie sprawcy czterech zabójstw to trochę więcej niż wsadzenie kilku pijaków na dołek.

Diona wreszcie zdołała opanować rozbawienie. Co prawda nie do końca, bo kąciki ust ciągle się unosiły, ale na tyle, by mogła w miarę normalnym głosem zadać pytanie.

– Zdradzisz nam, gdzie masz tego zatrzymanego? Bo jakoś nigdzie go nie widzę.

Demonstracyjnie zlustrowała kuchnię. Zajrzała nawet pod stół, co ponownie doprowadziło Dorycką do pasji.

– Nie muszę ci się spowiadać! – wrzasnęła i ruszyła w stronę drzwi, lecz po kilku krokach musiała się zatrzymać, gdyż Marcin zastąpił jej drogę.

– Nie tak szybko. Jak na razie jeszcze nie awansowałaś i nie zostałam komendantem, więc przede mną nadal musisz się spowiadać. Co z tym sprawcą? Kto to jest?

Miał coś takiego w oczach, że nie potrafiła nie udzielić odpowiedzi.

– Jerzy Bobkowski.

Lipski popatrzył pytająco na Dionę, lecz ona tylko pokręciła głową.

– To nie on ją udusił. Może jest winny gwałtu, ale nie zabójstwa.

– Akurat! – wrzasnęła Inka, odzyskując rezon. – Gdyby nie był winny, to nie próbowałby uciekać. A on spierdalał, aż się kurzyło.

Mimo targającej nim złości Marcin nie powstrzymał się od uśmiechu.

– To ma być to twoje sławetne zatrzymanie? Pierwszy raz słyszę, żeby szefowie nagradzali funkcjonariusza awansem, kiedy sprawca daje w długą. Chryste, kobieto! Nie wiedziałem, że z ciebie aż taki tuman.

Dorycka aż zachłysnęła się z oburzenia. Nadal nie widziała w swoim zachowaniu nic nagannego. Uważała, że każdy człowiek mający choć trochę ambicji na jej miejscu postąpiłby tak samo. Machnęła lekceważąco ręką.

– Każdemu może się zdarzyć, że mu podejrzany ucieknie. Czasami tak bywa. Gdzie wióry rąbią, tam trociny lecą.

– Trociny to masz zamiast mózgu – warknął, mając już dość tej rozmowy. – Pakuj klamoty do auta i wynoś się stąd.

– Nie przyjechałam tu autem – odparła obrażonym tonem.

Marcin stracił cierpliwość.

– A jak?! – wrzasnął. – Wierzchem? A może koleśnie?

– Nie wiem, co to jest „koleśnie”. – Inka wydeła usta. – Przyjechałam tu z nią, jej samochodem.

– Koleśnie czyli kolasa – wyjaśniła uprzejmie Diona. – Jeszcze w nocy pamiętałaś, jak mam na imię. Co to, galopująca skleroza?

– Prędzej galopujący pierdolec – mruknął Marcin i zwrócił się lodowatym tonem do Doryckiej: – W takim razie zadzwoń do kogoś, nich cię stąd zdejmie. Nie wiem, kto i jak, ale za dwie godziny ma cię tu nie być. Rozumiesz czy mam ci to dać na piśmie?

Nie odpowiedziała, zadarła tylko dumnie głowę i wyszła, demonstracyjnie trzaskając drzwiami. Lipski spoglądał przez chwilę w tamtą stronę, jakby w obawie, że zawróci, po czym przeniósł wzrok na Dionę, krzątającą się koło ekspresu. Wylała zimną kawę i podstawiła kubek pod wylewkę, potem sięgnęła po drugi. Na ten widok uśmiechnął się, mimo że w środku jeszcze dygotał ze złości. Żałował, że uległ ojcu, który uprosił go, by nie pozbywał się Jeminy z komisariatu. Dariusz Lipski przyznał, że Dorycka niezbyt nadaje się do pracy w policji, i wspólnie zastanawiali się nawet, co przyświecało Roszakowi, że wysłał ją do szkoły aspirantów. Ale Dariuszowi żal było dziewczyny będącej w dodatku ich daleką krewną. Tak długo męczył syna, że ten w końcu ustąpił, a teraz tego żałował.

Diona postawiła kubki na stole i usiadła naprzeciwko Marcina.

– Powiem ci teraz, dlaczego uważam, że Bobkowski nie zabił Kamińskiej.

Zaczęła od zrelacjonowania rozmów z osobami, które wraz z Inką uznały za podejrzane. Starła się być sprawiedliwa w ocenie i nie zamierzała zatajać zasług Doryckiej, chociaż tamta potraktowała ją jak wroga, a z jej słów wynikało, że od

samego początku udawała sympatię, w rzeczywistości zaś czuła do Diony głęboką niechęć.

Lipski wysłuchał uważnie sprawozdania, później zamyślił się, analizując punkt po punkcie uzyskane informacje.

– Miałem zamiar oddać ją do zamrażarki. – Diona domyśliła się, że mówił o Jeminie. – Ale jeszcze się zastanowię. Wynik będzie zależał od tego, jak bardzo spieprzyła sprawę próbą zatrzymania Bobkowskiego. – Upił łyk kawy i zapalił papierosa. – Mówisz, że oni wszyscy kłamali, podając Dzichcie alibi? Źle się stało, że to właśnie on prowadził śledztwo. Nadaje się do tej roboty jak ja do jazdy figurowej na lodzie. Ale Gerbilak go lubił, więc sama rozumiesz. Dałem mu szansę, kiedy przejąłem rządy, niestety jej nie wykorzystał, wykorzystał za to stanowisko służbowe do uzyskania korzyści materialnej.

Urwał, gdy Diona parsknęła śmiechem, i uniósł pytająco brew.

– Zawsze mnie śmieszyło używanie takiego długiego i wymyślnego określenia dla zwykłej łapówki. Ma postępowanie?

Skinął głową, potwierdzając domysł.

– Jest zawieszony i pewnie wyleci. No dobrze. Przyjrzyjmy im się po kolei, ale najpierw powiedz: skąd wiesz, że kłamią?

Opowiedziała o sprzecznych informacjach uzyskanych podczas rozmów i przede wszystkim o wizycie u Roberta Gredtkego i korzyściach, jakie z niej wyniosła. Na pierwszy ogień wzięła Arkadiusza Wąsika, który zeznał, że spędził tamtą sobotę w domu, ani na chwilę nie wychodząc, lecz w rozmowie z Dioną wygadał się, że wieczorem był u kobiety. Dodatkowo obciążało go to, że wieczorem przed wybuchem pożaru u Szataników przemykał w stronę ich posesji, zachowując się jak człowiek, który stara się być niewidzialny. Co prawda nie było go w sklepie, gdy Szatanikowa przyrzekła

opowiedzieć o Kamińskiej, ale mógł już wcześniej uznać ją za zagrożenie.

– Co z tym pożarem? Kto to w końcu prowadzi? Bo twój tata mówił, że pewnie śledztwo przejmie powiatowa.

– Na razie nic nie przejmie, bo nie ma kim robić – wyjaśnił Marcin z westchnieniem. – Tak jakby u nas była nadprodukcja ludzi. Skąd wiesz, że to nie on zabił i podpalił? Po coś się tam przecież skradał.

– Tu właśnie bardzo przydał się Gredtke. On naprawdę dużo wie o sąsiadach.

Emerytowany policjant zwrócił Dionie uwagę na oczywisty fakt, że w tamtej części Świerznicy, w której się paliło, jest więcej domów, nie tylko te należące do Szataników. W chwili, gdy to powiedział, przypomniała sobie posesję Królów i słowotok pani domu, pytanej o tamten wieczór. Gredtke potwierdził jej domysł – od mniej więcej pół roku Izabella Król była kochanką Arkadiusza Wąsika.

– Teraz rozumiem. – Lipski kiwnął głową. – Kiedy mąż poprosił Izabellę, by skłamała, mówiąc, że był wtedy w domu, a ona zgodziła się bez sprzeciwu, zrobiła to wcale nie dlatego, że bała się o męża. Ona po prostu sobie także dała alibi, przez co nie musiała przyznawać się do zdrady. A co w tym czasie naprawdę robił sołtys?

Opowiedziała o rzekomej delegacji Bronisława Króla i jego podenerwowaniu ich wizytą, świadczącym o nieczystym sumieniu. Marcin zgodził się z sugestią, że należałoby to dokładniej sprawdzić. Być może chodziło tylko o wypad z kolegami na popijawę czy dłuższą wizytę u kochanki, ale równie dobrze mogły stać za tym jakieś nieczyste interesy.

– Wiem za to, jak to było z wyjazdem jego żony i dlaczego Król tak się zdenerwował, gdy o tym wspomnialiśmy. Gredtke twierdzi, że Izabella, owszem, wyjechała do Włoch i można nawet uznać, że do pracy. Była tam prostytutką.

– Takie buty!

Policjant nie dodał nic więcej, ale z wyrazu jego twarzy rozpoznała, że od razu pojął, dlaczego sołtys starał się za wszelką cenę utrzymać ten fakt w tajemnicy. Dla osoby mającej polityczne ambicje ujawnienie wstydlivej przeszłości żony byłoby katastrofą całkowicie przekreślającą przyszłą karierę.

– Będziesz musiał go sobie wezwać – zasugerowała Diona. – Jestem prawie pewna, że nie on zabił, ale trzeba to wyjaśnić. Cholera jasna! Gdyby nie ta kretynka i jej chore ambicje, już mielibyśmy to odfajkowane.

Drzwi nagle się otworzyły i do kuchni weszła „ta kretynka”. Na ich widok odezwała się z wyszukaną uprzejmością:

– Pozwolą państwo, że się pożegnam? Było mi bardzo miło poznać panią bliżej. Tak miło, że cieszę się, że już się nie spotkamy.

– Szkoda, doprawdy. – Diona dostosowała się do jej tonu. – Mam rozumieć, że rezygnujesz z treningów? Jeszcze bardziej szkoda. Może wtedy podejrzany by ci nie uciekł.

Dorycka zmeła w ustach jakieś przekleństwo.

– Nie zapłaciłam za pobyt, bo nie mam pieniędzy. Będziesz musiał to załatwić – popatrzyła wyzywająco na Lipskiego. – Dbanie o wizerunek komisariatu to twój obowiązek – stwierdziła ze słodkim, fałszywym uśmiechem. – Bawcie się dobrze.

Pomachała dłonią przed ich oczami w parodii pożegnalnego gestu i wyszła. Przez chwilę spoglądali za nią, po czym wybuchnęli śmiechem. Marcin zamierzał skomentować wielkie wyjście podwładnej, lecz przeszkodził mu sygnał komórki. Odebrał i przez jakiś czas słuchał uważnie, a gdy wreszcie się rozłączył, powiedział:

– Muszę wracać. Jasny szlag, że też wszystko musi się naraz pieprzyć. Dzichta zawieszony, Jemina zwariowała i jeszcze

trzech ludzi na L4. – Dopiero teraz zauważył, że Diona bardzo kiepsko wygląda. – Ty też jesteś jakaś niewyraźna. Źle się czujesz?

Przyznała, że po nocnym przemarznięciu nie może dojść do formy i wszystko wskazuje na to, że nabawiła się przeziębienia. Marcin zastanawiał się tylko przez chwilę, po czym zdecydował, że jej misja w Świercznicy dobiegła końca. Nie zaoponowała. Nie spodziewała się wydobyć z tych ludzi niczego więcej, a gdyby jednak zaszła potrzeba dodatkowej rozmowy, to wieś nie leżała na końcu świata, mogła przyjechać tu ponownie.

Błyskawicznie spakowała swój dobytek, po czym poszli do sklepu, by uregulować należność za pobyt i pożegnać się z Pelagią, którą Diona serdecznie polubiła. Wiedziała, że będzie za nią tęsknić.

Rozdział 9

Mogła wśród brzoź

Marcin usilnie namawiał Dionę, by zatrzymała się u niego, lecz nie skorzystała z propozycji i pojechała do Strzygomia. Widziała, że odmowa go uraziła, ale wolała, by się obraził, niżby miał sobie robić jakieś nadzieje. Lubiła go bardzo, może nawet więcej niż lubiła, ale to nie wystarczało. Nie mogła mu dać tego, czego pragnął.

Mirosława Belka przyjęła ją z otwartymi ramionami i natychmiast pobiegła na piętro, by przygotować pokój. Diona spojrzała porozumiewawczo na Agatę Drawicz, córkę Mirabelki. Obie doskonale wiedziały, że pokój wręcz lśni czystością i nie wymaga absolutnie żadnych przygotowań, ale wytłumaczenie tego starszej pani przerastało ich umiejętności perswazji.

Wkrótce pojawiła się ponownie i nie zważając na sprzeciwy dziewczyny, zagoniła ją do łóżka. W ciągu następnej godziny Diona szczerze pożałowała swojej decyzji, nie tylko bowiem Mirabelka, ale także Agata i jej przyjaciółka Ewka co rusz pojawiały się w pokoju, to przynosząc lekarstwa w ilości gwarantującej postawienie na nogi połowy populacji gminy, to znów serwując jadło i napitki.

Przyjmowała te dowody uwagi z lekkim zażenowaniem, gdyż nie przywykła do znajdowania się w centrum uwagi. Nie protestowała jednak, wiedząc, że kobiety w ten sposób wyrażają swoją wdzięczność.

Trzeciego dnia po południu pojawił się Marcin i od progu poinformował ją, że wezwani na świadków Arkadiusz Wąsik i Bronisław Król raczyli wreszcie przyznać się, gdzie znajdowali się w chwili zabójstwa Wioletty Kamińskiej. Wąsik rzeczywiście spędzał czas w objęciach Izabelli Król, która podejrzewając męża o zdradę, postanowiła odplacić mu pięknym za nadobne. W tym czasie Bronisław Król przebywał w Zakopanem, lecz bynajmniej nie była to delegacja służbowa. Gościł tam w ekskluzywnym hotelu, podejmowany przez bogatego przedsiębiorcę ze Śląska, pragnącego odkupić od gminy tereny pod budowę ośrodka SPA. Zarzekał się jednak, że żadnej korzyści materialnej nie przyjął.

– Nosi to co prawda znamiona korupcji, ale raczej nie pomoże w rozwikłaniu sprawy zabójstwa – skomentowała Diona. – Moment, a co z pożarem? Wtedy Ikar także przebywał u Królowej?

– Tak. Potwierdziła to i myślę, że tym razem powiedziała prawdę. Postraszyłem ją odpowiedzialnością za składanie fałszywych zeznań i bardzo się przeraziła.

Marcin zademonstrował minę Izabelli i Diona roześmiała się serdecznie.

– Zatem dwóch mamy z głowy – skonkludowała. – Co z resztą?

– Dokładniej to trzech, bo Szatanika wyeliminował ktoś inny – zauważył Lipski. – Tak z ciekawości, poznałaś może te ich tajemnice?

– Nie na sto procent, ale prawie – odparła, otulając się szczelniej polarem. Gorączka już minęła, lecz Dionę nadal przenikał chłód. – Gredtke mówił, że Bożena wyjechała z facetem. Była bardzo młoda, gdy nagle została sama, w dodatku pod ciągłą kontrolą teściowej. Ale z nową miłością jej nie wyszło, więc szybko pojechała do matki, a później udawała, że była tam od początku. – Zamilkła, po czym

dorzuciła: – Niestety nadal nie wiem, gdzie przebywał Szatanik w chwili zabójstwa Kamińskiej, ale to chyba teraz nie ma już znaczenia?

Na to akurat pytanie mógł odpowiedzieć Marcin, który podobnie jak Diona lubił mieć zamknięte wszystkie wątki. Szatanik w tajemnicy przed żoną pojechał do Żywca, gdzie przeprowadzał negocjacje odnośnie do sprzedaży kurzej fermy. Potencjalny nabywca namówił go na picie alkoholu, więc Jacek przenocował w hotelu. Zapewne utrzymywał te rozmowy w tajemnicy przed żoną, nie chcąc, by poznała powód sprzedaży.

– Rozmawiałem z tym facetem – opowiadał Lipski. – Podobno Szatanik bał się, że białaczka ponownie zaatakuje, dlatego postanowił cały swój czas poświęcić żonie, nie mając pewności, jak długo jeszcze będzie żyła.

– Niech to szlag!

Diona nie powiedziała nic więcej. Nie chciała się przyznać, że czuje się częściowo odpowiedzialna za śmierć rodziny Szataników. Gdyby wtedy w sklepie zapanowała nad sobą, Bożena nie przestraszyłaby się i nie oznajmiłaby publicznie, że nazajutrz powie wszystko, co wie o Kamińskiej. Wówczas zabójca nie miałby powodu do wyeliminowania jej jako potencjalnego zagrożenia.

Policjant bez trudu domyślił się, o czym dziewczyna myśli, i popatrzył na nią surowo.

– Przestań! – nakazał tonem niedopuszczającym dyskusji. – Nie ty spaliłaś Szataników. Winny jest tylko jeden człowiek i to nie jesteś ty.

– Wiem – westchnęła. – Logika podpowiada mi to samo, a jednak...

W odpowiedzi wyciągnął rękę i zmierzwił jej włosy. Miał ochotę ją przytulić, lecz wiedział, że natychmiast by się

odsunęła, więc ograniczył się do tego jednego gestu pocieszenia. Podziękowała spojrzeniem.

– Kto nam został? – zapytał, żeby oderwać ją od złych myśli.

– Kaniowie i Bobkowsy. – Zamyśliła się nad ostatnim nazwiskiem. – Czy Jerzy Bobkowski wrócił do domu?

Marcin zaprzeczył ruchem głowy.

– Uruchomiłem poszukiwanie, bo jednak jest coś w tym, co mówiła Jemina. On był już kiedyś oskarżony o gwałt, ale tamta dziewczyna najpierw zaczęła się wycofywać i płatać, a potem nagle wyjechała za granicę i ślad po niej zaginął. Szkoda, bo rozmowa z nią mogłaby wniesć coś nowego. Bobkowski był wtedy nieletni, miał zaledwie siedemnaście lat i dobrą opinię, więc sprawa się rozmyła. Ale tak teraz myślę, że to jednak on.

Diona nie wyglądała na przekonaną. Wewnętrzny głos ciągle jej powtarzał, że sprawcą jest ktoś inny, a podczas lat służby w policji nauczyła się go słuchać.

– Sprawca zgwałcenia zostawił ślady biologiczne, a to przeczy hipotezie, że zabił, żeby Kamińska nie mogła go wskazać. Jeśli to Bobkowski, to oczywiście mógł założyć, że zastraszy ją lub przekupi, tak jak to zrobił poprzednim razem, ale szczerze mówiąc, nie bardzo mi pasuje do tej układanki. To jest damski bokser. Tłucze żonę, do mnie zresztą też wystartował z łapami. Myślę, że gdyby to on zgwałcił Kamińską, nie obyłoby się bez bicia.

Lipski słuchał uważnie, słowem czy gestem nie dając znać, czy zgadza się z jej opinią, czy wręcz przeciwnie. Przy ostatnich słowach zmarszczył gniewnie brwi.

– Skurwelec – ocenił zwięźle. – W takim razie zostali tylko Kaniowie. Uważasz, że to Kania ją zgwałcił i udusił?

Doszli do punktu wywołującego u niej najwięcej wątpliwości. Anna Kania była za młoda na dwudziestotrzyletnią córkę, poza tym Kaniowie jako jedyni mieli niezbite alibi. Byli u znajomych

na imprezie imieninowej, z której wyszli około dwudziestej drugiej, a więc cztery godziny po tym, jak ktoś pozbawił Kamińską życia. A jednak Diona cały czas miała przeświadczenie, że ten ładny obrazek jest z gruntu fałszywy.

Właśnie z tego powodu podczas rozmowy z Robertem Gredtkem poprosiła go o najdrobniejsze nawet informacje o Kaniach. Miała szczęście, gdyż kilka lat wcześniej, jeszcze w czasach, gdy Gredtke był w czynnej służbie, do policji wpłynął donos, jakoby firma Kania Plast pod przykrywką produkcji pojemników zajmowała się wytwarzaniem amfetaminy. Wówczas poddano przedsiębiorstwo i właściciela dokładnej obserwacji, sprawdzono też przeszłość Kaniów. Podejrzenia się nie potwierdziły, lecz z akt Gredtke zapamiętał, że Andrzej Kania miał już wcześniej do czynienia z policją. Było to dawno, tuż przed przeprowadzką Kaniów do Świercznicy, wkrótce po ich ślubie. Młode małżeństwo gościło jedyną siostrę Andrzeja, która w ich mieszkaniu popełniła samobójstwo, i to tragiczne wydarzenie dało Kaniom impuls do zerwania umowy najmu i przeprowadzki na drugi koniec Polski. Sam Gredtke przyznał, że w tej sytuacji trudno im się dziwić.

Diona wysłuchiwała z zainteresowaniem opowiadania emerytowanego policjanta, lecz także musiała stwierdzić, że niewiele jej to dało. Mimo to nadal nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś z Kaniami jest nie tak.

– Nie wiem – odparła w końcu, zauważyła bowiem, że Marcin zaczyna się niecierpliwić. – Naprawdę nie wiem. Chyba nie Kania – oświadczyła dość niepewnie.

– W takim razie kto?

Sama nieustannie zadawała sobie to pytanie, nie pierwszy bowiem raz wyeliminowała wszystkich podejrzanych. Przedtem opierała się bardziej na przeczuciach, teraz wiedziała więcej.

A jednak wynik ciągle wychodził taki sam – albo Kania, albo Bobkowski.

Nagle uświadomiła sobie, że jest jeszcze jedna droga do dojścia prawdy, a był nią pożar u Szataników.

– Sprawdzaliście, czy osoby z naszej listy mają alibi na czas pożaru?

– Zajęliśmy się przede wszystkim nimi, ale nic to nie dało. Nauczyciel był u sołtysowej, sołtys pił z tym przedsiębiorcą od zakupu gruntów, a siostry nauczyciela raczej nie ma co brać pod uwagę. – Lipski zauważył, że Diona marszczy brwi, i wyjaśnił: – Osoby z zespołem Downa są z gruntu dobre i nie znają uczucia nienawiści. Wiem, że to generalizowanie, ale trudno przypuszczać, że akurat Zofia Wąsik jest inna.

Diona zgodziła się z tą argumentacją.

– Okej, jedźmy dalej. Bobkowski?

Marcin się skrzywił.

– W domu z żoną. Podobnie Kania. Nie udowodnię, że było inaczej, muszę przyjąć to za dobrą monetę.

Zamyśliła się, po czym spytała z ożywieniem:

– Ten strażak, z którym rozmawiałam, mówił, że użyto akceleratora. Czy już wiadomo, co to za przyspieszacz?

– Zwykła nafta. – Marcin ponownie się skrzywił. – Używa się jej przy produkcji tworzyw sztucznych, w warsztacie Bobkowskiego służy jako rozpuszczalnik i do czegoś tam jeszcze. – Zawahał się. – Nie pamiętam, ale jest to zapisane w protokole. Weź też pod uwagę, że tutaj bardzo często zdarzają się awarie sieci energetycznej, dlatego w każdym chyba domu nadal stoi gdzieś w kąciку stara lampa naftowa, przechowywana na czarną godzinę. A więc jest i nafta.

Diona znowu popadła w zadumę, nie mogąc pozbyć się przeświadczenia, że o czymś zapomniała. Usiłując sobie to uzmysłwić, ponownie przywołała w pamięci twarze czterech mężczyzn.

– Mam! – krzyknęła. – Nie mogłam złapać tego, co mi chodziło po głowie – usprawiedliwiła swój wybuch.

– Takie było szybkie? To chyba wesz z turbodoładowaniem.

Postukała się w czoło, pokazując, co myśli o tego typu dowcipach.

– Jak to było z tą dawną sprawą o gwałt?

– A co miało być? – zdziwił się Lipski. – Ona twierdziła, że ją zmusił, on z kolei, że się zgodziła. Nie wypierał się, że odbył z nią stosunek seksualny, bo biologia świadczyła przeciwko niemu. Zostawił nasienie, więc nie miał wielkiego pola manewru.

– Właśnie o to mi chodziło, czy pozostawił ślady biologiczne – ucieszyła się Diona. – Osoba, która zgwałciła Wiolettę, także zostawiła spermę. Porównaliście?

– Kurwa mać!

Te dwa słowa wystarczyły Dionie za odpowiedź. Nie mogła mieć do Marcina pretensji. Na sprawdzenie wytypowanych przez nią osób miał niecałe trzy dni, w dodatku dawna sprawa gwałtu zdarzyła się siedem lat temu. Nic dziwnego, że w natłoku zajęć nie pomyślał o porównaniu próbek biologicznych.

Uśmiechnęła się, chcąc dodać mu otuchy, i ziewnęła szeroko, nagle potwornie zmęczona, chociaż przespała prawie cały dzień.

– Może skończymy na dziś? – zaproponowała, widząc, że i on jest zmęczony.

Jakby na potwierdzenie domysłu, Marcin zamrugał i potarł dłonią oczy.

– Chyba masz rację. Najchętniej walnąłbym się do łóżka i przespał najbliższe trzy miesiące. Zróbmy tak: jutro zobaczę, jak ma się sprawa z tymi próbkami, i zadzwonię albo przyjadę. Wtedy pomyślimy, co dalej.

*

Zanim Lipski wydobył akta dawnej sprawy z archiwum, na terenie Jeleśni zatrzymano Jerzego Bobkowskiego. Młody człowiek wydawał się bardzo zdziwiony, że mimo zmiany wyglądu policjanci go rozpoznali. W swojej naiwności myślał, że przefarbowane na blond włosy i kilkudniowy zarost uniemożliwią identyfikację, i nie zdawał sobie sprawy, że właśnie te żółtawe włosy przyciągną uwagę funkcjonariuszy, taki bowiem kolor uzyskuje brunet po jednokrotnym rozjaśnianiu.

Po nocy spędzonej w pomieszczeniu dla osób zatrzymanych Bobkowski utracił wiele z wcześniejszej arogancji. Przestał się odgrażać, że policjanci drogo zapłacą za zatrzymanie go, nie pozował już na człowieka mafii. Spokorniał.

Marcin obserwował go długo, zanim przeszedł do zadawania pytań, zastanawiał się bowiem, czy powinien wziąć pod uwagę sugestię Diony. Pomysł w pierwszej chwili wydał mu się absurdalny i nawet zwrócił jej uwagę, że w swoich spekulacjach posunęła się za daleko. Rozmawiali przez telefon, nie mógł więc zobaczyć jej miny, ale z tonu głosu wywnioskował, że poczuła się rozczarowana. Wymienili jeszcze kilka zdań, lecz do tego tematu więcej nie wracali, ziarno jednak zostało zasiane i im dłużej rozmyślał nad jej słowami, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że mogła mieć rację.

Żałował, że akta z archiwum jeszcze nie dotarły. Mógłby dowiedzieć się czegoś więcej niż tylko tyle, ile w kilku zdaniach przekazał mu ojciec. Dariusz Lipski nie zajmował się sprawą tamtego gwałtu, toteż wszystko, co wiedział, znał z opowiadań, w dodatku nie było tego zbyt wiele.

Naraz Marcin zorientował się, że rozmyśla o starych aktach, gdyż podświadomie podjął już decyzję, by pójść za radą Diony. A zatem pora zaczynać.

Nadal wpatrywał się w zatrzymanego, rozważając, którą ze spraw poruszyć jako pierwszą, i wówczas Bobkowski nie wytrzymał napięcia.

– Czemu zostałem aresztowany? Ja nic nie zrobiłem!

– Jesteś zatrzymany, a nie aresztowany. Na razie. – Marcin uśmiechnął się złośliwie. – A dlaczego, to już sam powinieneś wiedzieć.

– Jestem niewinny!

Bobkowski teatralnym gestem uderzył się pięścią w pierś, lecz gest ten wywołał u rozmówcy jedynie wzruszenie ramion.

– Daruj sobie – mruknął aspirant. – Tym mnie nie przekonasz. Dorycka mówiła...

– Ta blondynka? – przerwał mu Bobkowski. – To jakaś wariatka. Razem z tą drugą nachodziły nas w domu i buntowały żonę przeciwko mnie, a potem ona przyszła sama, machnęła mi przed oczami jakąś fałszywką i wyjęła kajdanki. To na co miałem czekać? Popchnąłem ją i spierdoliłem. Z wariatami lepiej nie zaczynać.

Podane w ten sposób powody ucieczki jawiły się całkiem wiarygodnie. *Nieźle to ktoś wymyślił*, doszedł do wniosku Marcin, przeświadczony, że autorem pomysłu nie był Bobkowski. *Pewnie poddał mu go któryś z kumpli od ćpania i rulety.*

– To akurat w ogóle mnie nie interesuje – stwierdził, nie spuszczając wzroku z młodego mężczyzny. – Ja chciałbym spytać cię o inne sprawy. Od której by tu zacząć? – Udał, że się zastanawia. – Pamiętasz Kingę Międzyrzecką?

Na dźwięk tego nazwiska Bobkowski najpierw pobladł, potem poczerwieniał, chwytając przy tym kurczowo brzeg biurka.

– To... – zająknął się. – To się już przedawniło.

– Chyba śnisz! Po siedmiu latach?

– Ale... ale jej przecież już nie ma... Znaczy się Międzyrzeckiej... Wyjechała... nie może zeznawać...

Zatrzymany plątał się i przerywał sam sobie, nie kończąc ani jednego zdania. Lipski stłumił uśmiech. Mężczyzna albo zapomniał, albo nigdy tego nie wiedział, że w dwa tysiące dwunastym roku sprawcę gwałtu ścigało się wyłącznie na wniosek osoby pokrzywdzonej. Międzyrzecka wycofała oskarżenie wobec Bobkowskiego, a obecnie przebywała w nieustalonym miejscu, zatem status sprawy nie mógł się zmienić. Ale jeżeli Diona miała rację, ten człowiek powinien odpowiedzieć za inny czyn.

– Skąd wiesz, że wyjechała? – spytał, nadając głosowi ton umiarkowanego zaciekawienia. – Widziałeś, żeby wsiadała do autobusu?

– A żebyś wiedział, że widziałem, ty tępy, jebany psie – wrzasnął Bobkowski, wyprowadzony z równowagi tym całkiem niewinnym pytaniem. – Było jeszcze ciemno, temu nikt inny jej nie widział. A zresztą nie muszę ci niczego mówić. Chuj ci w dupę!

– Czy to propozycja? Dziękuję, ale nie jestem zainteresowany. Musisz poszukać partnera gdzie indziej.

Aspirant ze złośliwym uśmiechem obserwował, jak twarz zatrzymanego z czerwonej staje się bordowa. Diona miała rację. Bobkowski rzeczywiście był homofobem i ta uwaga zgodnie z zamierzeniem wyprowadziła go z równowagi. Inna sprawa, że sam pięknie się podłożył.

– Nie będę gadać z pedałem! – Mężczyzna poderwał się z krzesła, lecz spojrzenie policjanta osadziło go na miejscu. – Niech mnie przesłucha jakaś policjantka. Może być nawet ta wariatka.

– Jesteś pewien, że ona nie jest lesbijką? – zakpił Marcin. – Przecież prowadziła się z tamtą drugą.

Bobkowski i tę wypowiedź wziął na poważnie, gdyż wydawał się autentycznie przerażony.

– Kurwa, wy tu wszyscy jesteście zboczeni. Ja pierdolę, jaki syf!

– Przestań histeryzować, głupku – zgasił go Lipski. – Nie widzisz, że cię wkręcą? Jak to się stało, że tylko ty widziałeś, jak Międzyrzecka wsiadała do autobusu, a inni nie? Wszyscy nagle oślepli?

– Bo tylko my jechaliśmy z ostatniego przystanku – wyjaśnił Bobkowski już spokojniej. – Wsiadła tylnym wejściem, kierowca mógł nie zwrócić uwagi.

– Ty też wsiadłeś tylnym wejściem?

Zaprzeczył ruchem głowy, po czym ponaglony przez policjanta, przełożył odpowiedź na język mówiony.

– Ja poszedłem do przodu. Nie chciałem tej pizdy widzieć na oczy po tym, co mi zrobiła. O mało mnie przez nią ze szkoły nie wyjebali.

Ostatnie słowa rozbawiły Lipskiego niemal do łez. Roześmiał się serdecznie.

– Faktycznie straszne, zwłaszcza że pół roku później i tak wyleciałeś. Pięć jedynek na świadectwie to naprawdę jest wyczyn. Ale wróćmy do Międzyrzeckiej...

– Nie dam się w nic zrobić! – Bobkowski znów się zdenerwował. – Ona wyjechała za granicę, nie potrafisz tego zrozumieć? Ja jej nic nie zrobiłem!

Marcin starannie ukrył podekscytowanie. Jerzy Bobkowski stanowczo za bardzo się zarzekał i już samo to było podejrzane. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę fakt, że nikt mu jak na razie nie zarzucił, że jest odpowiedzialny za zniknięcie Kingi Międzyrzeckiej. Czyżby Diona miała rację?

– A czy ja mówię, że zrobiłeś? Tak tylko wspomniałem, bo mnie to zaciekało, że taka młoda dziewczyna sama wyjechała za granicę. Trochę to dziwne. – Popatrzył na zegarek i skrzywił się lekko. – Muszę już kończyć, ale jutro znowu sobie porozmawiamy – obiecał takim tonem, jakby umawiał się na randkę.

Bobkowski wyglądał na tak zdumionego, jakby nagle lampa spadła mu na głowę. Kilka razy otwierał i zamykał usta, nim zdołał wykrztusić:

– Ale jak to? Przecież nic na mnie nie macie! Musicie mnie wypuścić! Nie macie prawa mnie tu trzymać!

– Czyżby? Nie minęła nawet doba, więc jeszcze trochę tu pobędziesz. Gdzie ci się tak spieszy? – Marcin udał zdziwienie.
– W domu pusto, bo żona zabrała dziecko i wróciła do rodziców, a kumple od narko też siedzą na dołku.

Bobkowski odpowiedział tylko jednym słowem, za to powtórzonym po wielokroć:

– Kurwa. Kurwa. Kurwa.

*

Nie było chyba mieszkańca Świercznicy, który potrafiłby powiedzieć, kiedy ostatni raz pojawiły się tam dziki. Jelenie, sarny i zające przychodziły dość często, zwłaszcza do przydomowych ogródków, gdzie zawsze mogły znaleźć coś smacznego. Ci, którzy hodowali kury, potrafili by wiele opowiedzieć o lisach, zresztą inni również nieraz widywali przemykający chyłkiem między domami rudy kształt. Bywały też wilki, ale z rzadka; chyba tylko ze dwa razy zdarzyło się, że podeszły aż do wsi, skuszone pobekiwaniem owiec należących do starego Jędrzejczyka. O dzikach natomiast nikt nigdy nie wspominał.

Pierwszą wieść o przybyszach przyniósł właśnie mieszkający na uboczu Jędrzejczyk. Przyczłapał do gospody i wsparty na dębowym kiju („Kij był dobry dla starzyków, to i dla mnie wystarczy”), opowiadał, że „te sakramenckie skurwisyny” zryły mu całą łączkę za domem, tam gdzie zawsze rosła najlepsza trawa. Wiedzieli, o jakiej łączce mówi, choć nie chciało im się wierzyć w tę najlepszą trawę. Jak może być dobra w miejscu przylegającym do drogi? Tuż koło pętli autobusowej, gdzie nieraz i przez kilka minut kierowca nie wyłącza silnika, czekając na dolatujących spóźnialskich? I – przede wszystkim – skąd tam naraz dziki? Musiało się staremu przywidzieć.

Jędrzejczyk jednak trwał przy swoim tak uparcie, że wreszcie kilku mężczyzn postanowiło sprawdzić, czy rzeczywiście dokonano spustoszenia łączki i czy sprawcami mogły być dziki. O ile pierwsze raczej musiało być prawdą („Jędrzejczyk nie robiłby sobie z nas jajec!”), to drugie jawiło się jako wielce wątpliwe.

Ruszyli gromadą w dziewięciu czy dziesięciu chłopa, głośno rozważając, jakie inne zwierzę w ciągu jednej nocy potrafiłoby zryć ziemię na piętnastoarowym obszarze. Ktoś wysunął przypuszczenie, że mógł to być niedźwiedź, a inni natychmiast wybuchnęli gromkim śmiechem. Dostosowując swoje kroki do poruszającego się w ślimaczym tempie Jędrzejczyka, nie ustawali w docinkach i można było śmiało domniemywać, iż autor pechowej supozycji już do końca swoich dni będzie nosić przydomek „Niedźwiedź”.

Przedefilowali przez całą wioskę, wzbudzając szalone zainteresowanie, gdyż trzeba było naprawdę wielkiego wydarzenia, by w popołudnie nie siedzieli nad kuflem jasnego. Ci bardziej ciekawscy z gapiów dołączali do kompanii i gdy wreszcie idący skrótem przez pola wędrowcy dotarli na miejsce, bardziej przypominali procesję lub pochód pierwszomajowy z lat dawno minionych, jak to z niejakim

sentymentem wspomniał jeden z miłośników popołudniowego piwka.

Przystanęli na skraju łączki i powiedli zdumionymi spojrzeniami po brunatnej, zrytej ziemi w miejscu, gdzie powinna zalegać warstwa śniegu. Co prawda ostatnimi dniami temperatura dochodziła nawet do dziesięciu stopni powyżej zera, ale wieczorami spadała na tyle dużo, by zamieniać rozmiękły śnieg i warstwę wody w lód, dlatego więc tutaj tylko gdzieś tam widniała brudnobiała plama?

– Bezkurcyje musiały tu cosik wyczuć – tłumaczył Jędrzejczyk. – Temu tak ryły.

Sołtys Bronisław Król, który także dołączył do tej procesji, znacząco wciągnął nosem powietrze i powiedział głośno:

– Przeszedłem tu, żeby przekonać się naocznie, czy faktycznie nawiedziły nas dziki. Ale nie zamierzałem przekonywać się o tym nanośnie.

– Jak? – zapytał najbliższej stojący.

– Nanośnie – powtórzył Król uprzejmie. – Albo nawęsznie. Nie czujesz, jak tu cuchnie? Coście wy, Jędrzejczyk, zakopali na tej łączce?

– Delikutaśnik się znalazł! – zawołał tamten pogardliwie. – Dziki nasrały, to śmierdzi. Co w tym dziwnego? Jak ty srasz, to malinami pachnie?

Mężczyźni zarechotali, zadowoleni, że sołtysowi się dostało. Piastował we wsi ważną funkcję i samo to wystarczyło, by cieszyć się z jego porażki. O tym, że nikt inny nie chciał kandydować, woleli nie pamiętać.

Król nie miał zwyczaju łatwo się poddawać. Pokręcił głową, lecz nic już nie powiedział, choć był pewny, że mężczyzna się myli. Miał na tyle czuły węch, że potrafił odróżnić smród ekskrementów od fetoru gnijącego mięsa. Ruszył naprzód wprost na zryte pole, nie zważając, że grudki ziemi oblepiają

eleganckie zamszowe buty. Ciekawość okazała się silniejsza od lęku o stan ulubionego obuwia.

Większość mężczyzn pozostała na skraju łączki, ale kilku ciekawskich, w tym właściciel gruntu, podążyło za nim. Sołtys doszedł mniej więcej do połowy, gdy wiatr przyniósł nowy powiew obrzydliwego odoru. Teraz i tamci go poczuli.

– Kruca, tu naprawdę zajężdza padliną! – zawołał Jędrzejczyk. – Cosik się mi zdaje, że od strony tych brzozek.

Brzozy rosły na skraju łąki, oddzielając ją od przydrożnego rowu, i rzeczywiście smród niósł się stamtąd. Skręcili więc pod kątem prostym, chcąc jak najszybciej zobaczyć przyczynę ohydneho fetoru.

– Ej, chłopcy, czekajcie! Tu coś jest! – zawołał naraz jeden z mężczyzn, wskazując leżący opodal krwawy ochłap.

Podeszli tam wszyscy i przystanęli, wpatrując się w strzępy czegoś, co jeszcze niedawno było zwierzęciem.

– Królik – stwierdził Jędrzejczak po spojrzeniu fachowym okiem na sponiewierane truchło. – Co za skurwisyn mi go podrzucił? To nie mój, mówię przed Bogiem. Jo, panie sołtys, nigdy żem królików nie hodował.

– Tu leżą resztki drugiego! I pełno kości – zawołał inny z mężczyzn.

Im bardziej zbliżali się do celu, tym więcej kości oraz króliczych resztek ukazywało się ich oczom. Smród się wzmagął. Zasłaniając nosy i usta rękami, weszli między brzozy, gdzie ujrzeni rozgrzebany sporej wielkości dół, a w nim jeszcze więcej fragmentów króliczych zwłok. Wpatrywali się w nie z gniewnymi minami.

– Ktoś musiał tu przywieźć tę padlinę – ocenił trzeźwo sołtys.
– Nikt w Świercznicy nie ma takiej wielkiej hodowli królików, a tych tutaj musiało być naprawdę dużo. Jak nic ze trzydzieści.

– Więcej – zaproponował jeden z mężczyzn. – Na samym tym kawałku, co go przeszliśmy, naliczyłem ponad piętnaście głów.

Jędrzejczyk spoglądał z rozpaczą na zrujnowaną łączkę i króliczą hekatombę.

– Co mam z tym zrobić? – spytał bezradnie.

Król trzymał już w rękach komórkę, by powiadomić odpowiednie służby. Nie miał co prawda pewności, czy wywóz padliny do lasu to sprawa dla policji, czy może dla leśników, ale że nie wiedział, czy zagajnik składający się z piętnastu na oko brzoź można uznać za część lasu, na wszelki wypadek zadzwonił na komisariat. Po zgłoszeniu zdarzenia rozłączył się i wybrał numer sanepidu, zakładając, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zabijałby królików po to, by zakopać je na cudzym gruncie. Zwierzęta zapewne padły na jakąś zarazę, a to mogło stworzyć zagrożenie. Wszak większość mieszkańców wsi hodowała jakieś zwierzęta, w tym wielu z nich właśnie króliki.

Skończył akurat rozmawiać, gdy stojący nieco z boku Jędrzejczyk nagle pobladł straszliwie i zachwiał się na nogach. Sołtys upuścił aparat w błoto, doskoczył i go podtrzymał; w tej samej chwili jeden z towarzyszących im mężczyzn podparł staruszką z drugiej strony.

– Co wam, Jędrzejczyk? – spytał Król z niepokojem. – Serce? Dzwońcie na pogotowie – zawołał, widząc utopiony w błocie własny telefon.

– Do rzyci se wsadź pogotowie! – Jędrzejczyk nagle odzyskał siły na tyle, by móc oswobodzić jedno ramię. Natychmiast wyciągnął je w stronę dołu. – Tam się popatrz.

W jednej ze ścian dołu tkwiło coś szarobiałego. Wszyscy podeszli bliżej i oto na ich oczach z nierównej ściany osypała się spora grudka ziemi, odsłaniając to, co przedtem ledwo odrobinę wystawało. Kości ludzkiej dłoni.



Marcin wpatrywał się w starego mężczyznę z niekłamany podziwem.

– Że też od razu pan rozpoznał, że to ludzki palec!

Pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Jędrzejczyk uśmiechnął się szeroko, ukazując bezzębne dziąsła. Nie próbował skrywać dumy z osiągnięcia, a znalezisko traktował jak swoją niekwestionowaną własność i dość niechętnie dopuścił do niego ekipę śledczą. W nadziei na sławę znalazcy ciągle się łudził, że wkrótce nadjedzie wóz transmisyjny telewizji.

– Ja, panie oficyjerze, mam dziewięćdziesiąt siedem roków – oznajmił, a widząc niedowierzanie policjanta, zaczął wyjaśniać: – Rodziłem się w dwudziestym drugim i widziałem na własne oczy, jak nasze wojsko wkraczało w trzydziestym ósmym na Zaolzie. Szesnaście lat już miałem i chciałem iść z nimi. Oj, głupi był człowiek za młodu. Napatrzyłem się jeszcze na wojnę tyle, że nikomu nie życzę. I na trupy się napatrzyłem, i na mogiły zbiorowe, co je Niemcy po sobie zostawiali. Temu ludzkie kości mi niedziwne.

Lipski podziękował mu, chwalać jeszcze raz za spostrzegawczość, i zbliżył się do dołu będącego zbiorową mogiłą królików, na którą nikt teraz siłą rzeczy nie zwracał uwagi. Ważniejszy stał się ten drugi grób.

Gdy usłyszał od dyżurnego o króliczych zwłokach w Świercznicy, wykazał umiarkowane zainteresowanie, chociaż to on sam kazał natychmiast raportować o wszelkich nietypowych zdarzeniach w tej wiosce. Nielegalny pochówek padłych zwierząt nie mieścił się w sferze jego zainteresowań. Co jakiś czas zdarzało się, że gdzieś w Polsce jakiś skąpy hodowca postanawiał zaoszczędzić na utylizacji padliny

i zakopywał truchła w lesie lub na polach, ale nie o takie zdarzenia Marcinowi chodziło. Nie minęło jednak pięć minut, a dyżurny znów się pojawił, tym razem z informacją, że ten sam człowiek zgłosił odnalezienie kości dłoni. To już było coś. Nie zastanawiając się wiele, Lipski zadzwonił po wsparcie do komendy powiatowej, a potem wsiadł w samochód i ruszył w stronę Świercznicy. Wspomniał po drodze hipotezę Diony i skinął głową do wtóru własnym myślom. Był prawie pewny, że wie, do kogo należy dłoń.

Mężczyźni w ochronnych kombinezonach delikatnie usuwali ziemię warstwa po warstwie, nie chcąc uszkodzić kości. Widząc mizerny postęp pracy, aspirant domyślił się, że trochę to potrwa, zajął się więc zbieraniem zeznań od licznej grupy świadków. Po chwili dowiedział się, iż tylko i wyłącznie determinacji Bronisława Króla zawdzięcza, że wszyscy ci ludzie nie rzucili się hurmem do dołu, żeby znaleźć się jak najbliżej znaleziska. W dodatku to właśnie sołtys jako pierwszy wyczuł smród i uparł się odnaleźć jego źródło. Gdyby nie on, króliczy dół pewnie nie zostałby ujawniony, a wówczas dziki mogłyby dobrać się do ludzkich kości, utrudniając zebranie jakichkolwiek śladów.

Mężczyźni odsłonili wreszcie to, co pozostało z ludzkiego ciała. Całkowicie zeszkieletowane, spoczywało na boku, okryte fragmentami odzieży, która nie w pełni uległa degradacji. Marcin przyglądał się z zainteresowaniem burej szmacie wokół bioder szkieletu.

– To spódnica?

Jeden z mężczyzn skinął głową.

– Musiała być z włókna syntetycznego, bo w ogóle się nie rozłożyła. Są też fragmenty biustonosza i majtek.

Ujął urękawiczoną dłonią brudny łachman i włożył ostrożnie do torebki na dowody rzeczowe.

– Te majtki leżały w okolicach głowy? – upewnił się aspirant.
– Ciekawe.

– Nie tylko majtki – odezwał się drugi z mężczyzn. – Jest też damska torebka i torba podróżna.

Wskazał ziemię przy głowie szkieletu, spod której wystawał fragment jakiegoś przedmiotu. Aspirant bez trudu go rozpoznał, sam miał kiedyś taką torbę. Tani wyrób z sieciówki okazał się tak samo odporny na działanie czasu jak spódnica i dużo bardziej niż torebka, z której zostały tylko metalowe elementy, pasek oraz te części, gdzie materiał został kilkakrotnie przesyty. Gdy mężczyzna ostrożnie je podniósł, oczom zebranych ukazało się lustro, plastikowy grzebień, fragmenty portmonetki i kilka sztuk bilonu oraz zafoliowany dokument w bardzo kiepskim stanie.

– Nie wiem, czy da się coś z tym zrobić – oznajmił technik. Folia była rozdarta i papier zgnił. – Moim zdaniem rozleci się, gdy tylko to ruszymy.

– Zrób dobre zdjęcia, a potem... Wola boska.

Widząc, że Marcin nie przejął się zbytnio fatalnym stanem dokumentu, technik uznał za swój obowiązek zwrócić mu uwagę.

– Szkoda, bo miałbyś identyfikację.

– Ja i bez dokumentu wiem, czyje ciało tu zakopano. Zapamiętałem z akt opis odzieży i torby. Spódnica pasuje, torba też. I biżuteria – dodał, wskazując na odsłonięte kręgi szyjne, wokół których połyskiwał wisiołek z zawieszka w kształcie motyla.

Odszedł kilka kroków, pozwalając tamtym pracować w spokoju, i popatrzył w stronę wsi, gdzie w jednym z domów rodzice od wielu lat czekali na bodaj tylko kilka słów od córki. Na znak, że żyje.

– Witaj, Kingo Międzyrzecka – szepnął tak cicho, że nikt go nie usłyszał. – Twój bliscy wreszcie odzyskają spokój.

Zapalił papierosa, nie przejmując się, że popiół może zanieczyścić miejsce zdarzenia, gdyż po czasie, jaki minął od pochówku, nie mogły tu zostać żadne ślady biologiczne. Nic, co mogłoby naprowadzić na osobę sprawcy.

Westchnął, uświadamiając sobie, że nie ma praktycznie nic na Bobkowskiego oprócz głębokiego przeświadczenia, że to za jego sprawą Kinga Międzyrzecka znalazła się tutaj wśród brzoź. Ale przekonanie to za mało, trzeba poprzeć je dowodami, a tych niestety nie miał i raczej mieć nie będzie.

– Marcin! Marcin, chodź tu szybko!

Podszedł do wołającego go technika, nie wiedząc czemu szeroko uśmiechniętego.

– Czego się szczerzysz? – spytał niezbyt przyjaznym tonem. – Znalazłeś woreczek ze złotymi pięciorublówkami?

Technik tylko machnął ręką.

– Za chwilę też się będziesz szczerzył – obiecał. – Popatrz, na czym leżała.

Ostrożnie uniósł w górę dłoń trzymającą zafoliowany dokument, tym razem nieuszkodzony i całkiem czytelny. Była to legitymacja szkolna.

*

Mężczyzna nie prezentował się zbyt pięknie. Brudne, skołtunione włosy, niechlujnie przycięty zarost i nieświeże ubranie nadawały mu wygląd menela i zniechęcały do bliższego kontaktu. Niestety policjant nie wybiera sobie rozmówcy.

– Jakoś mocno ostatnio podupadłeś, Jakubiec. Brakuje mamusi, co?

Zatrzymany nawet nie spojrzał na aspiranta, tylko mruknął pod nosem:

– Pierdol się.

Lipski roześmiał się, ubawiony przewidywalnością młodego człowieka. Oni zawsze tak zaczynali, ci chłopcy z dobrych rodzin, którym wydawało się, że życie poza prawem jest takie fajne. Takie *cool*. Po zatrzymaniu demonstrowali niezłomną postawę „króla na dzielni”, obrzucając policjantów inwektywami i odmawiając wyjaśnień, po czym z każdym dniem spędzonym w celi miękli coraz bardziej, aż pozostawała tylko trzęsąca się galareta. Jakubiec w niczym nie różnił się od innych.

– Pierdolić to cię będą kumple pod celą, jak już znajdziesz się w więźniu.

– Chce mnie pan wsadzić? Niby za co? – zdziwił się Oskar Jakubiec. – Za te kilka gramów dostanę co najwyżej zawiasy.

Zamiast odpowiedzieć, Marcin położył przed nim kilka zdjęć.

– Poznajesz ten dokument?

Mężczyzna pochylił się i wpatrzył w fotografie przedstawiające pod różnym kątem ten sam dokument – legitymację szkolną wystawioną na nazwisko Oskar Jakubiec. Potem wzruszył ramionami i wyprostował się, przybierając nonszalancką pozę.

– Co mi pan tu pokazuje jakąś starą legitkę? Chuj mnie to obchodzi. Już dawno skończyłem ze szkołą.

– A raczej szkoła skończyła z tobą – sprecyzował aspirant. – Jak myślisz, skąd ten dokument wziął się u nas?

Jakubiec zmarszczył brwi, rozmyślając intensywnie.

– Gdzieś zgubiłem – odpowiedział w końcu. Intuicja podpowiedziała mu, że najlepiej powiedzieć prawdę. – Musiałem wyrobić nową.

– Kiedy ją zgubiłeś?

– A co cię to...! – zaczął zatrzymany gniewnie, ale na widok miny policjanta spuścił z tonu i odparł już spokojnie: – Nie pamiętam dokładnie. To było dawno, sześć czy siedem lat

temu. – Naraz się roześmiał. – To ma być ten powód, dla którego niby wyląduję w Wadowicach czy innym Sztumie?

– Zgadłeś. Gratuluję intuicji – pochwalił Lipski ze złośliwym uśmiechem. – Oj, Oskar, nie masz pojęcia, jak mnie ucieszyła ta legitymacja. Dzięki niej sprawa zabójstwa trafi do statystyki jako zamknięta.

Na te słowa młody mężczyzna stracił pewność siebie. Ręce zaczęły wykonywać jakieś nerwowe gesty, a oczy pozezowały w stronę teczki z aktami, leżącej przed aspirantem, usiłując dojrzeć, co zostało napisane na karcie tytułowej.

Marcin dostrzegł manewry Jakubca i postanowił ułatwić mu zadanie.

– Kinga Międzyrzecka. Siedem lat temu pozbawiłeś ją życia i pochowałeś. Wczoraj znaleziono jej szczątki oraz twoją legitymację.

– Co mi pan tu wciska?! Jakie zabójstwo? – Jakubiec aż się zapowietrzył. – Nawet jej nie znałem. – Zamyślił się, a następnie spojrzał na Lipskiego, przybierając obojętną minę. – Mogłem zgubić legitymację, kiedy szedłem do kumpla. Pewnie wiatr ją porwał z przystanku i rzucił na ziemię, i zaklinowała się tam, i już tak została.

– Mógłbyś mieć rację – stwierdził Marcin, a Jakubiec odetchnął głęboko. – Tylko widzisz, twoja legitymacja leżała na samym spodzie, pod szkieletem Międzyrzeckiej, a to oznacza, że najpierw w dole znalazła się ona, a dopiero potem zwłoki. Poza tym skąd wiesz, że grób znajdował się niedaleko przystanku? – Mężczyzna otwierał już usta, lecz policjant mu przerwał: – Nie mam czasu na wysłuchiwanie z dupy wziętych historyjek. Ta legitymacja jest jak podpis pod zabójstwem i wystarczy, żeby cię wsadzić na długie lata. Więc albo mówisz prawdę, albo wracasz na dołek. Wybieraj.

Jakubiec wybrał prawdę.

Tamtego rana przed siedmiu laty zadzwonił do niego spanikowany Jurek Bobkowski i błagał o pomoc, więc nie zastanawiając się wiele, Oskar wsiadł na motorynkę i pojechał do Świercznicy. Byli z Jurkiem najlepszymi kumplami, a to zobowiązuje.

Zgodnie ze wskazówkami kolegi zostawił motorynkę przy drodze i poszedł do brzozowego zagajnika, gdzie zastał Jurka nad częściowo obnażonym ciałem martwej dziewczyny. Od razu ją rozpoznał. Wiedział, że matka Bobkowskiego zapłaciła Kindze za wycofanie zeznań i zniknięcie z wioski. Międzyrzecka miała wyjechać na stałe do ciotki do Jordanowa. Dlaczego więc została i czemu jest martwa?

O tym, co się wydarzyło, Bobkowski opowiadał, nie starając się nawet ukrywać przerażenia. Spotkał Kingę, gdy szedł skrótem na pierwszy poranny autobus. Udawała, że go nie widzi, co go zdenerwowało, dziewczyna bowiem nadal mu się podobała jak żadna inna. Wściekły, że tak go lekceważy, zapytał, czy nie chciałyby powtórzyć tamtego numerku, kiedy leżała pod nim, zdana na jego łaskę. Odpowiedziała, że nie powinien być taki zadowolony, gdyż ma zamiar ponownie zmienić zeznania i go oskarżyć, a na koniec podziękowała za pieniądze, dzięki którym będzie mogła wyrwać się z tej wiochy. Wtedy wpadł w szal i ją zaatakował. Krzyczała, więc chciał ją uciszyć, a gdy wreszcie wyczerpany zsunął się z niej, odkrył, że dziewczyna nie oddycha.

– Pomogłem mu wykopać dół i wrzucić tam ciało – wyznał Jakubiec. – Było ciepło, więc miałem na sobie tylko koszulkę i krótkie spodnie z płytkimi kieszeniami. Ta jebana legitka musiała mi wypaść, kiedy wlałem do dołu i odbierałem ciało od Jurka – zakończył i nie powiedział już nic więcej.

Skonfrontowany z zeznaniami kolegi Bobkowski przyznał się, że przed siedmiu laty zgwałcił i udusił Kingę Międzyrzecką, utrzymywał jednak, że nie zamierzał pozbawić dziewczyny

życia. Po prostu przydusił ją zbyt mocno. Być może mówił prawdę. Marcin ani myślał zaprzętać sobie tym głowy. Ważniejsze dla niego było, że Bobkowski kategorycznie zaprzeczał, jakoby zgwałcił także Wiolettę Kamińską. Aspirant nie wierzył w jego zapewnienia do czasu, gdy wreszcie miał możliwość porównania próbek biologicznych. Należały do dwóch różnych osób.

*

– Gdzie popełniliśmy błąd? – powtórzyła po raz chyba setny.

Diona chodziła w kółko po pokoju, objając się o liczne sprzęty, gdyż była zbyt zaaferowana, by zwracać uwagę na otoczenie. Marcin obserwował ją z rozbawieniem, choć właściwie wcale nie było mu do śmiechu. Miał w celi dwóch mężczyzn, lecz żaden z nich nie był odpowiedzialny za śmierć Kamińskiej. Najgorsze zaś było, że podobnie jak miotająca się po pokoju dziewczyna nie miał żadnego pomysłu, kogo jeszcze mógłby wytypować do roli sprawcy.

– Może ten kretyn Dzichta miał jednak rację, że to sprawka kogoś na gościnnych występach? – zastanowił się głośno.

Pokręciła głową, nieprzekonana do tej wersji. Nie wierzyła, iż kogoś przypiliło do tego stopnia, że gdy ujrzał idącą poboczem Wiolettę, rzucił się na nią i ją zgwałcił, a potem udusił. Poza tym nadal nie zostało wyjaśnione, co Kamińska robiła na tej drodze. Gdyby się gdzieś wybierała, pojechałaby samochodem, tymczasem jej peugeot stał sobie spokojnie na podjeździe pod daczą Szataników.

– Nikt obcy nie pojawił się wtedy w Świercznicy, a przecież ta droga kończy się tuż za wsią. Nie, to musiał być któryś z lokalsów – upierała się przy swoim. – Daj tę listę, przeanalizujemy jeszcze raz.

Zgodnie pochylili głowy nad spisem mieszkańców, skupiając się na płci męskiej, lecz Diona nadal nie mogła pozbyć się myśli, że w małżeństwie Kaniów tkwi coś niepokojącego. Po długim zastanowieniu wreszcie zdołała sprecyzować owo „coś”. Kaniowie byli zbyt doskonali.

Podzieliła się tą myślą z Marcinem.

– Każdy ma na sumieniu jakieś sprawy, o których wolałby nie pamiętać. Nie ma ludzi idealnych, dlatego jestem pewna, że ukrywają jakiegoś trupa w szafie. Mam ochotę przyjrzeć się bliżej ich przeszłości.

Lipski doszedł właśnie do podobnego wniosku, uznał więc, że taka zbieżność założeń stanowi dowód na słuszność podejrzeń. Gdy jeszcze Diona przypomniała mu, iż siostra Kani popełniła samobójstwo, zyskał pewność, że nie wszystko w tej rodzinie było tak kryształowo czyste, jak Kaniowie usiłowali to przedstawić.

Dziewczyna wstała i podjęła przerwana wędrowkę donikąd. Obserwował z pobłażliwym uśmiechem, jak potrąca stojące jej na drodze krzesło, po czym zahacza biodrem o róg biurka.

– Mogłabyś nie demolować mi pokoju? – poprosił, krztusząc się od śmiechu. – To jest mienie państwowe.

– Trzeba sięgnąć do ich przeszłości – stwierdziła, ignorując jego uwagi. – Gdzie oni przedtem mieszkali?

Marcin otworzył teczkę z aktami, by wyszukać właściwą kartę.

– Przeprowadzili się do Świercznicy z Krośniewic... – Zawiesił głos i wczytał się w zapiski. – Ale przebywali tam dwa tygodnie – dorzucił po chwili ze zdumieniem. – Przedtem mieszkali w Sicinie, tam zresztą się oboje urodzili. – Popatrzył na Dionę z błyskiem ekscytacji w oczach. – Sicin to taka mała wioska koło Piły.

Nie dodał nic więcej i wcale nie musiał tego robić. Dziewczyna pamiętała doskonale, że właśnie w Pile urodziła

się Wioletta Kamińska.

– Jadę tam – oznajmiła z miną świadcząca, że nie da się odwieść od tego pomysłu.

Marcin pokręcił głową, na co zareagowała gniewnym parsknięciem, lecz nie pozwolił jej dojść do słowa.

– Żadne „jadę”, tylko „jedziemy”. – W odpowiedzi na zdziwioną minę Diony oświadczył kategorycznym tonem: – To za duża odległość, żeby jechać bez gwarancji, że ktoś w ogóle zechce z tobą rozmawiać. Musisz mieć wsparcie w postaci legitymacji, a że sama legitymacja nie może z tobą jechać, to zabiorę się na doczepkę. Dziś nie dam rady, ale możemy ruszyć nad ranem. Co ty na to?

Obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

– To jesteśmy umówieni.

*

Jemina Dorycka wolnym ruchem odłożyła słuchawkę i wyłączyła mały, niemal niewidoczny pstryczek na obudowie aparatu, po czym podeszła do drzwi. Uchyliła je ostrożnie, a gdy nie zauważyła nikogo na korytarzu, opuściła nadal niezasiedlony pokój komendanta i przemknęła na palcach do toalety. Po chwili opuściła ją już normalnie, nie starając się zachować ciszy.

Siedząc nad aktami, z trudem skrywała złośliwy uśmiech. Marcin nie domyślał się nawet, że od chwili, gdy zaczął pełnić obowiązki komendanta, pilnie śledziła jego poczynania. Dzięki temu mogła tak dobrze udawać w Świercznicy osobę oddelegowaną do pomocy Dionie. Nic z tego nie wyszło, ale teraz dostała drugą szansę.

Po odejściu podinspektora Gerbilaka załoga jodłowieckiego komisariatu poświęciła blisko dwa tygodnie na odnalezienie

i demontaż urządzeń podsłuchowych, nikt prócz Doryckiej nie wiedział jednak, że nie odnaleziono jeszcze jednego, podłączonego bezpośrednio do telefonu komendanta. Przesuwając malutki pstryczek, można było przełączyć słuchawkę telefonu w jego gabinecie na nasłuch dźwięków przekazywanych przez mikrofon zamontowany na obudowie monitora Marcina.

Odkryła to przypadkiem, gdy nastąpiła awaria jednego z urządzeń. Gerbilak wezwał wówczas swojego ulubieńca i kazał mu usunąć usterkę, a czysty przypadek sprawił, że funkcjonariusz nie zamknął za sobą drzwi. Przechodząca korytarzem Jemina usłyszała tę rozmowę i z ciekawości postanowiła śledzić poczynania totumfackiego Gerbilaka, nie podejrzewając nawet, że kiedyś wykorzysta tę wiedzę.

Teraz wpatrywała się w akta, nie widząc ani jednego słowa, myślami bowiem błędziła gdzie indziej. Marcin i Diona podejrzewają Kaniów, którzy mieszkali dawniej niedaleko Piły, czyli miasta, gdzie Kamińska przyszła na świat. Tak, to mogło oznaczać, że jedno z nich zabiło dziewczynę, bo z jakiegoś powodu mu zagrażała. Tylko po co Marcin i Diona postanowili tam pojechać, skoro Kaniowie są na miejscu? Mimo wyteżania umysłu nie mogła tego zrozumieć i w końcu poniechała próżnych wysiłków.

– A niech jadą w pizdu – szepnęła do siebie. – A ja w tym czasie pojedę do Świercznicy. Tym razem będę przygotowana.

Podjęcie decyzji uspokoiło Dorycką na tyle, że mogła zająć się pracą bez obaw, że popełni jakiś błąd, za co Marcin znów będzie mieć do niej pretensje, ale sama myśl o tym wywołała świeży przyptyk gniewu. Byli przecież rodziną! Cóż z tego, że dość daleką? Ważne, że łączyły ich więzy krwi, a on zdawał się tego nie zauważać. Tak nie powinno się robić. Gdzie rodzinna lojalność? Ale ona mu jeszcze udowodni swoją wartość.

Rozdział 10

Niedobra miłość

W Sicinie wszyscy dobrze znali Kaniów Leśnych i Kaniów Jeziornych, obie rodziny nosiły bowiem to samo nazwisko, chociaż nie łączyło ich żadne pokrewieństwo. Tych pierwszych znano od jak najgorszej strony, ponieważ rzadko zdarzał się im dzień trzeźwości. Maria i Czesław mieli córkę Annę oraz dwóch synów, którzy bardzo szybko poszli w ślady rodziców. Obecnie z całej rodziny pozostała tylko Anna i młodszy z jej braci, zresztą co do tego ostatniego sąsiedzi nie mieli pewności, dawno już bowiem nie widzieli, by opuszczał rozpadającą się ruderę za laskiem, będącą rodzinnym domem Kaniów Leśnych, którzy od tej lokalizacji wzięli swój przydomek.

– Z nich wszystkich jedna Ania nie tykała alkoholu – opowiadała kobieta mieszkająca najbliżej dawnej posesji Kaniów Jeziornych. Bardzo dobrze знаła również drugich Kaniów, o czym nie omieszkała wspomnieć zaraz na początku rozmowy.

Uszczęśliwiona, że znalazła się w centrum uwagi, nie miała żadnych oporów przed zdradzaniem dobrych i złych stron swoich sąsiadów, przy czym tych złych było jakby trochę więcej. Diona nie znosiła osób wykorzystujących najbliższy nawet pretekst, by przypiąć bliźnim łatkę, ale nie mogła nie przyznać, jak bardzo w chwilach takich jak obecna bywają przydatne. Rozalia Linderska, natychmiast ochrzczone przez

dziewczyne Rozalindą, dysponowała nieprawdopodobnie wielką wiedzą o obcych jej w gruncie rzeczy ludziach.

– Jaka była Anna jako dziecko i nastolatka? – chciał wiedzieć Marcin, by łatwiej mu było wyrobić sobie zdanie o kobiecie, której w Świercznicy tak naprawdę nikt dobrze nie znał.

Linderska wykonała dłonią nieokreślony gest.

– Nijaka – odparła krótko, a widząc rozczarowanie policjanta, uzupełniła wypowiedź: – Taka cicha szara myszka. Niczym się nie wyróżniała i starała się nikomu nie wchodzić w drogę. Czasem miałam wrażenie, że najchętniej włożyłaby czapkę niewidkę. Dlatego tak mnie zdziwiło, kiedy dowiedziałam się, że wyszła za Andrzeja. No bo gdzie jej do takiego chłopaka?! Inteligentny, przystojny, bogaty. Mógł mieć każdą, a wybrał dziewczynę, za którą żaden się dwa razy nie obejrzał, w dodatku z takiej rodziny!

– Może musiał się żenić? – zasugerowała Diona.

– Ma pani na myśli, że wpadli? – upewniała się Rozalinda. – Nie, na pewno nie, bo Andrzej tu przyjechał jakieś pół roku po ślubie i wtedy go spytałam, czy dzieciątko już jest w drodze. Odpowiedział, że na razie nie planują potomstwa. Jakby to się dało zaplanować! – zaśmiała się rubasznie. – Guma strzeli albo noga się facetowi omsknie w najważniejszym momencie i już dzieciak gotowy.

– Wie pani, nie każdy mężczyzna leci na ładną buzię – odezwał się Lipski. – Są tacy, którzy większą wagę przywiązują do innych cech. Do inteligencji, poczucia humoru czy zwykłej ludzkiej dobroci.

– A tam! – Linderska zbagatelizowała jego wywód. – On miał niewiele ponad dwadzieścia lat, jak się żenił. Nie wmówi mi pan, że taki szczył przedkłada inteligencję nad zgrabne nogi czy ładną buzię. A Anka... Nie wiem, jak wygląda teraz, ale wtedy była naprawdę nieciekawa. Włosy to miała takie

rzadkie, pewnie z niedojadania, bo tam wszystko szło na gorzałę. I kolor miały taki jakiś mysi. W ogóle cała była jak mysz, niziutka, chuda i ciągle zalękniona. W dodatku nie za mądra, więc nie mów mi pan o inteligencji! Toż ją z litości nauczyciele przepuszczali z klasy do klasy.

– Dzieci się zmieniają... – zaczęła Diona, lecz Linderska nie dopuściła, by jej przerwano. To było jej pięć minut i nie zamierzała z nich rezygnować.

– Tak samo wyglądała, gdy brała ślub, dlatego dziwiłam się Andrzejowi. Jego siostra Joanka też nie zaliczała się do wysokich, ale miała prezencję jak się patrzy. Samym wzrokiem potrafiła sprawić, że człowiekowi szło w pięty. No i patrz pan, co się porobiło. Taka odważna, pyskata, niedająca sobie w kaszę dmuchać, a się zabiła.

Rozalinda pokręciła głową nad niezrozumiałymi wyrokami losu, a Marcin i Diona wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Coś było nie tak w opowieści tej kobiety. Będą musieli przedyskutować to na osobności.

– Jaka była rodzina Andrzeja Kani? Bo podobno rodzice już tu nie mieszkają...?

Linderska popatrzyła na aspiranta niemal ze zgrozą.

– Panie, co pan? Jaja sobie pan robisz? Toż oni nie żyją już ponad dwadzieścia lat!

To była dla nich nowość. Marcin nie miał czasu przyjrzeć się rodzinom małżeństwa Kaniów nawet w tak ograniczonym zakresie jak podstawowe dane, toteż słowa Rozalindy stanowiły dlań ogromne zaskoczenie. Oboje Kaniowie dobijali czterdziestki, więc wedle wszelkich prawideł ich rodzice powinni nadal żyć. Słowa sąsiadki wyjaśniały, co przyczyniło się do przedwczesnej śmierci rodziców Anny. Tak często dzieje się z osobami nadużywającymi alkoholu. Ale dlaczego bliscy Andrzeja zmarli tak młodo?

Diona musiała myśleć o tym samym, gdyż pochyliła się do przodu, starając się gestykulacją przyciągnąć uwagę Linderskiej.

– Czy rodzice Andrzeja też pili?

– A gdzieżby zaś tam! – Kobieta oburzyła się w imieniu zmarłych. – To byli tacy porządni ludzie. Bogaci – dodała takim tonem, jakby uważała, że te dwie cechy są ściśle ze sobą powiązane i jedna wynika z drugiej. – Ale musieli się czymś Bogu narazić, bo rzadko się zdarza tyle tragedii w jednej rodzinie.

– Pani to chyba ma genialną pamięć – powiedziała Diona, chcąc się przypodobać. – Jak pani o nich mówi, to jakbym ich widziała.

Urwała, nie wiedząc, co jeszcze mogłaby dorzucić, nigdy bowiem nie święciła triumfów w rozmowach o niczym. Słodzić też nie potrafiła. Wiedząc o tym, Marcin postanowił jej dopomóc.

– Pewnie, że to tragedia. Siostra Andrzeja była przecież taka młodziutka...

– Nie tylko to. – Rozalinda natychmiast mu przerwała. – Zaczęło się od starych Kaniów, dziadków Andrzeja i Joanki. To stary Kania pobudował ten dom nad jeziorem, od którego wzięło się ich przezwisko. On był lekarzem, ginekologiem, podobno bardzo dobrym. Musi tak być, bo nieraz kolejka do niego aż na dworze stała. Bo, widzisz pan, on miał w domu prywatny gabinet. Dobrze się im powodziło, ale i na nich przyszła bieda. – Potrząsnęła głową nad marnością ludzkich losów. – Tylu kobietom pomógł, a jak żona mu zachorowała, to jej jedynej pomóc nie umiał. Raka miała, bidulka, i zawięła się w parę miesięcy.

Diona już miała zwrócić jej uwagę, że ginekolog, nawet ten najlepszy, niewiele jest w stanie pomóc osobie chorej na raka, ale w porę ugryzła się w język. Krytyka mogła zniechęcić

przeczuloną na tym tle kobietę do kontynuowania opowieści. Lepiej pozwolić jej mówić, a później oddzielić ziarno od plew.

Zadowolona, że ma tak uważnych słuchaczy, kobieta trąkotała dalej, a Diona słuchała, starając się już na tym poziomie wyselekcjonować i przechować w pamięci istotne informacje, resztę zaś zapomnieć.

– Po śmierci żony stary Kania zaczął popijać. Najpierw tylko trochę, potem coraz więcej, a wiadomo, że jak człowiek napity, to nieostrożny. Wpadł biedaczysko pod samochód i zginął na miejscu. Widocznie dobry Bóg nie chciał, żeby się męczył bez żony.

Wzniesione ku niebu oczy Diony wzięła widocznie za nabożne skupienie, gdyż uśmiechnęła się z zadowoleniem. Z pewnością miałyby mniejsze powody do radości, gdyby poznała jej myśli. *Jeśli Bóg jest dobry, to dlaczego pozwolił, by kierowca tamtego samochodu musiał potem żyć ze świadomością, że zabił człowieka? Nie mógł nakazać Kani zwyczajnie się powiesić albo skoczyć z mostu, zamiast wymyślać samobójstwo per procura?*

– A potem wcale nie działo się Kaniom lepiej – kontynuowała Linderska. – Minęło dziesięć lat... albo nie, chyba dwanaście. Nie, chyba jednak dziesięć, bo Andrzej miał piętnaście, a Joance szło na czternasty...

Tamtego dnia Andrzej pomagał siostrze w nauce. Tłumaczył jej jakieś zadanie z fizyki i jak to często bywa między rodzeństwem, doszło między nimi do głośnej kłótni, przez co nie słyszeli kroków ojca ani nawet jego wołania, o ile w ogóle zdążył zawołać. Nie wiadomo, czy ojciec wszedł na piętro, by ich pogodzić, czy chciał poprosić syna o pomoc, bo już wcześniej źle się poczuł, w każdym razie kiedy Andrzej wyszedł od Joanki, zobaczył ojca leżącego w progu swojego pokoju. Natychmiast zadzwonił po pogotowie, ale jak się później okazało, Łukasz Kania już wtedy nie żył. Mężczyzna od

dłuższego czasu chorował na serce i czekał w kolejce na wszczęcie by-passów.

– Czyli Sabina Kania została sama z dwojgiem dorastających dzieci. Pewnie nie było jej łatwo?

Diona zrobiła współczującą minę, choć tak naprawdę nie widziała żadnego powodu, dlaczego miałaby współczuć nieznannej kobiecie, w dodatku z powodu dawno minionych zdarzeń. Okazało się, że postąpiła słusznie, Linderska bowiem popatrzyła na nią z aprobatą i nawet zdobyła się na nikły uśmiech.

– Ano nie było – odparła z tak głębokim westchnieniem, że aż zafalowały obfite piersi, wtłoczone w przyciasną bluzkę. – Co z tego, że mąż zabezpieczył ją finansowo, jak nie miała wsparcia w rodzinie? Łukasz miał co prawda brata, ale pokłócili się lata temu i nie utrzymywali żadnych kontaktów. A rodzice Sabiny wraz z młodszą córką zaraz na początku lat dziewięćdziesiątych wyjechali do Hiszpanii i zamieszkali tam na stałe.

– Ale musieli być chyba jacyś kuzyni czy dalsi wujkowie? – drażyła Diona.

– E tam! – Linderska machnęła ręką. – W dzisiejszych czasach mało kto ma czas dla własnego rodzeństwa, a miałby przejmować się dalszą rodziną? Pewnie, że byli jacyś dalsi krewni, ale nie tutaj, tylko gdzieś w Polsce, i Sabina nieraz mówiła, że nie myśli nawiązywać z nimi kontaktów. Wiecie co? – Przechyliła się ku gościom i dodała konfidencko ściszym głosem: – Podobno ta rodzina zazdrościła Kaniom bogactwa i dlatego od dawna ze sobą nie rozmawiali. Tacy już są ludzie, że nie lubią tych, którym się lepiej w życiu powiodło – zakończyła sentencjonalnie.

Marcin, przysłuchujący się w milczeniu opowiadaniu o dziejach Kaniów Jeziornych, postanowił sprowadzić rozmowę na bardziej współczesne tory.

– Chyba jednak nie było tak źle, bo młodzi przecież wyszli na ludzi – zagaił.

Rozalinda natychmiast przeniosła na niego wzrok i miał okazję zauważyć w jej oczach błysk ekscytacji.

– Nie do końca wszystko u nich działa się po bożemu. – Po swoim oświadczeniu zrobiła efektowną pauzę, by zwiększyć moc następnych słów. – Gdyby tak było, Joanka nie zaszłaby w ciążę jako czternastolatka!

Na taką właśnie informację czekali, niemal wznosząc modły, by wreszcie ją usłyszeć. Nic więc dziwnego, że oboje nie zdołali zachować spokoju. Linderska z uśmiechem zadowolenia wysłuchiwała wszystkich „ovej”, „to jest to” i „a nie mówiłam, że coś tam nie gra?”, dumna, że to ona udzieliła tak ważnych wyjaśnień.

Lipski pierwszy się opanował i zasypał ją gradem pytań.

– Co się stało z dzieckiem? Wiadomo, kto był ojcem? Czy kogoś oskarżono w tej sprawie?

Uszczęśliwiona jego zainteresowaniem kobieta wierciła się trochę w fotelu, przybierając wygodniejszą pozycję, a zza sztucznie zafrasowanej miny przebijał źle skrywany triumf. Tak, to zdecydowanie była jej chwila.

– Wiem od Sabiny, że chciała córce załatwić skrobankę za granicą, ale za późno zorientowała się, że Joanka jest w ciąży, i nic już nie dało się zrobić, więc zdecydowała, że trzeba oddać dziecko do adopcji. Ze szpitala wróciła tylko Joanka... – Linderska urwała i w zamyśleniu pokiwała głową. – Nie zauważyłam, żeby młodą jakoś to obeszło. Już bardziej całą tę aferę przeżyła Sabina. Mówiła, że chętnie zatrzymałaby małą, bo to przecież wnuczka, ale córka nawet nie chciała o tym słyszeć. Właściwie trudno się dziwić.

– Dlaczego? – zapytała Diona, gdy kobieta umilkła.

Rozalia nie odpowiedziała na pytanie, lecz skierowała wzrok na policjanta.

– Pytałeś pan, co z ojcem. Otóż żadnego ojca nie było! – oświadczyła z mocą, a gdy dostrzegła miny gości, pospieszyła z dalszymi wyjaśnieniami. – To znaczy, ojciec tak w ogóle to był, bo jakże by inaczej. Ale nie wiadomo, kim był, bo Joanka została zgwałcona. Dlatego nie chciała tego dziecka.

Coś, jakaś dziwna nuta w głosie kobiety, kazała Dionie drażyć teoretycznie zamknięty temat ojcostwa.

– Zauważyłam już, że jest pani bardzo spostrzegawcza. Odnoszę wrażenie, że pani chyba miała jakieś wątpliwości, prawda? Proszę się nimi z nami podzielić.

Linderska udawała przez chwilę, że walczy ze sobą, i możliwe, iż rzeczywiście walczyła. Nie wiedzieli, jak było naprawdę, najważniejsze jednak, że zwyciężyła w niej chęć podzielenia się sensacyjnymi wręcz domysłami.

– Wydaje mi się, że taki gwałt musi zostawić w psychice jakiś ślad – oświadczyła, spoglądając pytająco na gości. Pokiwali zgodnie głowami, a wówczas ona też kiwnęła, usatysfakcjonowana. – No właśnie! A Joanka zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, i gdyby nie brzuch, nawet bym nie pomyślała, że przytrafiło jej się coś takiego. Inni też się dziwili, że taka jest pogodna.

– Kto w takim razie mógł być ojcem?

Kobieta nie od razu odpowiedziała policjantowi. Poruszała niemo ustami, jakby przepowiadała sobie jakąś kwestię; wreszcie zdecydowała.

– Powiem panu, co myślę, bo jeśli się nie mylę, najwyższy czas coś tym zrobić. Tak nie powinno być! Prawda jest taka, że wtedy nie miałam żadnych podejrzeń, bo Kaniówna nie interesowała się chłopakami w tym sensie, co to wiecie... Przyszło mi to do głowy dopiero po śmierci Sabiny.

– No właśnie – przerwała jej Diona. – Jeszcze o tym miała nam pani opowiedzieć.

– Przecież właśnie mówię – fuknęła Rozalinda. – Sabina zginęła cztery lata po śmierci męża. Spadła ze schodów, z samiuńskiej góry, a te schody były naprawdę strome i wysokie. Rozbiła sobie głowę i skręciła kark.

Jak wykazała sekcja zwłok, do wypadku doszło około drugiej w nocy. Śmierć nastąpiła natychmiast i nawet gdyby dzieci obudziły się, słysząc rumor, i wezwały pomoc, karetka przyjechałaby na próżno. Policja ustaliła, że prawdopodobnie kobieta weszła na piętro, chcąc zamknąć okno, które ktoś nieopatrznie pozostawił otwarte. W nocy przysłała gwałtowna burza i silny wiatr. Skrzydło okienne głośno trzaskało o futrynę, a padający niemal poziomo deszcz wpadał przez otwarte okno, mocząc schody i podłogę w przedpokoju.

– Wyszło na to, że podchodząc do okna, Sabina wdepnęła w kałużę i zmoczyła papcie, a wtedy o tragedię nietrudno – zakończyła Linderska z miną fachowca od nieszczęśliwych wypadków. – Po jej śmierci dzieci zostały same, na szczęście Andrzej był już pełnoletni i mógł przejąć opiekę nad Joanką. Kalendarzowo był między nimi tylko rok różnicy, chociaż tak naprawdę to wychodziło blisko dwa, bo Andrzej jest ze stycznia, a Joanka urodziła się w sierpniu następnego roku. Ale udało mu się to załatwić i mogli zostać razem. Tylko że nie wiem, czy to było dobre...

– Co ma pani na myśli? – zaciekawiał się Marcin.

Kobieta wahała się chwilę, lecz znowu chęć przekazania sensacyjnych wieści zwyciężyła nad lojalnością wobec dawnych znajomych.

– Odwiedziłam ich parę razy i wiecie co? Oni się tak zachowywali... miałam wrażenie, że to jest coś więcej niż siostrzana czy braterska miłość. Potem Andrzej ożenił się z Anią i wyprowadził się do innej miejscowości, a ja pomyślałam, że zwariowałam na starość i mam zwidy. Ale

okazało się, że Joanka pojechała za nimi, a zaraz potem się zabiła. I tak sobie myślę, czy nie z zazdrości.

Jeśli liczyła, że swoimi słowami wywoła szok u słuchaczy, to musiała srodze się zawieść, Marcin bowiem w ogóle nie zareagował, Diona natomiast pokiwała głową, jakby właśnie czegoś takiego się spodziewała. Wobec takiej reakcji Linderska zacisnęła wargi w wąską kreskę i nastroszyła się niczym kura wysiadująca jaja. Widać było, że poczuła się urażona i nie zamierza powiedzieć nic więcej, toteż aspirant podjął próbę ułagodzenia jej i namówienia na dalsze niedyskrecje.

– To jest dla nas niesamowicie ważne – stwierdził z powagą, choć najchętniej ryknąłby śmiechem, tak irracjonalne wydały mu się jej podejrzenia. Ale mogła powiedzieć coś mającego prawdziwą wartość dla śledztwa, nie chciał więc jej zniechęcać. – Dziękujemy, że zechciała pani podzielić się z nami swoimi spostrzeżeniami i domysłami.

Pierwsze słowa ją udobruchały, lecz gdy Marcin umilkł, znowu się najeżyła.

– To nie były żadne domysły. Znaczy się wtedy tak, ale po śmierci Joanki rozmawiałam z Andrzejem i on mówił, że ich widział.

– Nic z tego nie rozumiem – poskarżyła się Diona. – Kogo Andrzej widział?

– Aaa! – Do Linderskiej dotarł powód nieporozumienia. – Miałam na myśli Andrzeja od Kaniów Leśnych, brata Ani. Jak Joanka się zabiła, to on akurat chyba z miesiąc nie trzeźwiał. Wszyscy się dziwili, skąd brał pieniądze, ale jak wylądował w szpitalu i go odtruli, to jakiś czas nie pił. Wtedy powiedział, że to nowy szwagier dał mu pieniądze.

– Takiemu pijakowi? – nie dowierzał Marcin. – Czemu miałyby to robić?

– Pewnie chciał go uciszyć. Bo wiecie, ten Andrzej miał się zenić z Joanką – wypaliła Rozalinda. – Co tak patrzycie?

Prawdę mówię, nawet na zapowiedzi już dali i była mowa, że będą mieszkać w domu Kaniów Jeziornych.

– Teraz to już kompletnie nic nie rozumiem – przyznał Lipski. – Po co dziewczyna z dobrego domu miałaby wychodzić za takiego ochlaptusa?

Linderska długo zastanawiała się nad odpowiedzią. Wreszcie wyznała, że zna sprawę tylko z opowiadań Andrzeja Kania Leśnego i nie może ręczyć, że nie były to zwidy ogarniętego delirium umysłu. W każdym razie inni we wsi, którym również się pożalił, nie uwierzyli ani jednemu słowu. Ale ona pamiętała dobrze niepokojące zachowanie rodzeństwa i pomyślała sobie, że pijaczyna mógł mówić prawdę.

Ta zaś przedstawiała się tak, że Andrzej od Jeziornych zawarł z bratem Anny umowę, w myśl której miał mu płacić co miesiąc pewną kwotę w zamian za ożenek z jego siostrą. Z tym że małżeństwo miało pozostać nieskonsumowane, a Joanka dalej mieszkałaby z bratem. Brat Anny przystał na te warunki więcej niż chętnie, gdyż oprócz pieniędzy na alkohol mało co go interesowało. Śmierć narzeczonej także niewiele go obeszła, zwłaszcza że przekaz pocztowy dotarł zgodnie z umową. Ale w następnym miesiącu listonosz nie przyniósł pieniędzy.

Po upływie pół roku w Sicinie pojawił się Andrzej. Przyjechał sam, bez żony, i oznajmił szwagrowi, że siostra nie ma ochoty nigdy więcej go oglądać. Jeszcze tego samego dnia przy pomocy obcych mężczyzn zapakował dobytek na ogromną ciężarówkę i odjechał. Wtedy widziano go w Sicinie ostatni raz, a do domu Kaniów Jeziornych wprowadził się nowy właściciel.

To wówczas Andrzej Kania Leśny zaczął opowiadać po wsi każdemu, kto gotów był postawić mu piwo, że nieraz zakradał się do ogrodu Kaniów, żeby podglądać Andrzeja i Joankę, którzy żyli ze sobą jak mąż i żona. Nikt nie dawał mu wiary, biorąc bredzenie pijaka za zemstę za niedotrzymanie obietnicy

finansowania, jedna tylko Rozalia Linderska sądziła inaczej, ale zachowała podejrzenia dla siebie.

– Za rękę ich nie złapałam, za ich prześcieradło też nie robiłam, to po co miałam takie rzeczy rozpowiadać. Może to nieprawda, co ten pijus mówi, a raz zepsutą opinię trudno naprawić. Wam powiedziałam tylko dlatego, że jesteście z policji, więc pomyślałam sobie, że powinniście wiedzieć wszystko, nawet to, co złe.

– Bardzo dobrze pani zrobiła – pochwalił Marcin. – To nam może dużo pomóc. A nie orientuje się pani przypadkiem, gdzie została pochowana Joanna Kania?

Linderska wyglądała na zdumioną.

– Joanna Kania? Nie znam takiej... A, chodzi panu o Joankę? Ona wcale nie miała na imię Joanna, tak tylko ją wszyscy nazywali, bo jak była malutka, to zawsze każdego pytała: „Jak masz na imię? Bo jo Anka”. I tak została Joanką, ale na imię miała Anna, tak samo jak jej bratowa.

*

– Czy ty myślisz o tym, o czym ja myślę? – spytał naraz Marcin.

Stali obok siebie, wpatrując się w marmurową płytę ozdabiającą grób Anny Kani, siostry Andrzeja od Jeziornych. Oni także zaczęli posługiwać się przydomkami, by nie pogubić się w natłoku zdublowanych Kaniów.

– Jeśli myślisz o tym, że na tym nagrobku powinna być inna data urodzenia, to tak – odparła Diona. – Nie sierpień, bo to Joanka urodziła się w sierpniu. Anna od Leśnych miała urodziny w maju, a oboje chyba wiemy, że właśnie ona tutaj leży.

Marcin skinął głową i chwycił ją za rękę, odciągając od grobu. Misja została zakończona i nadeszła pora, by wracać do domu.

– Już niedługo zyskamy pewność – oświadczył, włączając silnik. – Poprosiłem o wynik sekcji zwłok Anny Kani i obiecano mi go niezwłocznie dostarczyć.

– Jak dotyczy zwłok, to raczej zwłocznie – prychnęła. – Po co ci to?

Rozsiadła się wygodnie i włączyła nawigację, by tak jak poprzednio pełnić funkcję pilota, a gdy usłyszeli głos wypowiadający słowa „kieruj się na wschód”, jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Już jesienią ustalili, że jednakowo śmieszy ich polecenie kierowania się w określoną stronę świata i że oboje w takich przypadkach zawsze widzą oczami wyobraźni, jak kierujący wystawiają w trakcie jazdy głowy przez okna samochodów, chcąc zlokalizować północ.

– Na skrzyżowaniu w lewo – powiedziała, o kilka sekund wyprzedzając głos płynący z telefonu, a Marcin natychmiast wykonał polecenie. Włączył się do ruchu i zerknął na towarzyszkę podróży.

– Pytałaś, po co mi wynik sekcji zwłok – przypomniał. – Myślałem, że się domyślisz. Jedna Anna Kania urodziła dziecko, druga natomiast nie.

Diona aż sapnęła, po czym palnęła się w głowę tak mocno, że telefon wypadł jej z dłoni i chwilę trwało, nim go odnalazła. W tym czasie Marcin dojechał do następnego skrzyżowania i zamiast ponownie skręcić w lewo, pojechał w przeciwnym kierunku. Dziewczyna wreszcie zakończyła zwycięsko walkę ze znarowioną komórką, która przy upadku zawiesiła się i przestała reagować na polecenia. Wkrótce znów usłyszeli głos, nakazujący skręcić dwa razy w lewo.

– Potem jeszcze w prawo i będziemy ustawieni w dobrym kierunku. Jedno małe zgubienie to żaden wyczyn – pocieszała

zawstydzonego pomyłką aspiranta. – Ojciec przejechał kiedyś prawie sto kilometrów, zanim się dodupił, że jedzie w złym kierunku. A mama opowiadała, że wkrótce po zrobieniu prawa jazdy jechała z Bielska do Wisły i w Skoczowie pojechała złym zjazdem. To było rano w Boże Ciało, więc na drodze pusto jak okiem sięgnąć. Pokonała całkiem ładny kawałek, kiedy naprzeciwko pojawiły się pierwsze samochody. Wtedy bardzo się zdziwiła, dlaczego jadą wprost na nią.

– Wjechała pod prąd? – domyślił się Marcin. – Pewnie zaraz zawróciła.

– A gdzie tam – roześmiała się Diona. – Wtedy jeszcze nie było barierek dzielących jezdnie i po prostu przejechała przez to zielone na środku. – Umilkła i dość długo jechali w milczeniu, przerywanym od czasu do czasu poleceniami nawigacji. – Wiesz – odezwała się nagle – cały czas mnie męczyło, dlaczego ktoś miałby robić taką wielką tajemnicę z urodzenia dziecka. Ale dziecko z kazirodczego związku to całkiem inna bajka.

– Ciekawi mnie, jak to było z ich rodzicami. – Marcin włączył się w rozważania. – Urodziła to dziecko wkrótce po ukończeniu piętnastu lat, a ojciec zmarł niedługo wcześniej. Jak myślisz, co takiego mógł zobaczyć w pokoju syna, że aż dostał zawału?

– Też o tym pomyślałam – przyznała. – I o tym, że matka poszła w środku nocy na piętro niekoniecznie po to, by zamknąć okno. Równie dobrze mogła chcieć sprawdzić, czy jej podejrzenia są słuszne.

Marcin przystanął na światłach i oderwał wzrok od drogi, by spojrzeć na Dionę.

– Albo mogła posłyszeć coś niepokojącego. Ciekawe, czy kiedykolwiek dowiemy się, jak było naprawdę. Ale niepokoi mnie jeszcze jedno. Po tym, czego się dowiedzieliśmy, nie widzę Kani jako sprawcy gwałtu na Kamińskiej. On jest chyba całkowicie zafiksowany na punkcie siostry i nie dostrzega

innych kobiet. Poza tym głowę dam sobie uciąć, że działali wspólnie, a to chyba wyklucza gwałt.

Diona przywołała w pamięci twarze mężczyzn mieszkających w Świercznicy i nagle głośno wciągnęła powietrze. Zaciekawiony Lipski chciał spytać o powody tego zachowania, lecz ponagliła go gestem.

– Zielone masz! – Ruszył natychmiast, a wtedy rzuciła swoją bombę: – Chyba wiem, kto to jest. Nie rozumiem, dlaczego w ogóle nie braliśmy go pod uwagę.

*

Jemina nie zamierzała popełnić tego samego błędu i tym razem zabrała ze sobą pistolet. Zaparkowała przed wjazdem na posesję, wysiadła z samochodu i zadzwoniła do bramy, a gdy ta uchyliła się lekko, policjantka machnęła legitymacją przed oczami ochroniarza. Bez słowa postąpił w tył, pozwalając jej przejść. Szybkim krokiem przemierzyła podwórze i zadzwoniła do drzwi. Otworzyła jej Anna Kania i jakkolwiek wyglądała na nieco zdziwioną niespodziewaną wizytą, uprzejmie zaprosiła do środka.

– Zastałam pani męża?

– Tak, zaraz go zawołam.

Anna zamknęła drzwi i odwróciła się z okrzykiem „Andrzej! Chodź tutaj, pani chce z tobą rozma...”. Na widok broni w ręce gościa okrzyk urwał się w połowie słowa.

– Policja – oznajmiła Dorycka. – Proszę stanąć pod ścianą i się nie ruszać.

Policjantka stanęła w lekkim rozkroku, cały czas mierząc w Annę, jednocześnie zaś popatrywała w głąb domu, nie chcąc przegapić nadejścia Andrzeja. Po chwili usłyszała za sobą jakiś szmer i odwróciła się, lecz nie była dość szybka.

Mocne uderzenie w głowę posłało ją na podłogę, a broń wysunęła się z bezwładnej ręki.

*

Obudził ją ból głowy, tak potworny, że łzy same napłynęły do oczu. Chciała je obetrzeć, lecz okazało się to niewykonalne – leżała na betonowej podłodze z dłońmi przykutymi kajdankami do metalowego regału. Wysoko na przeciwległej ścianie ujrzała wąskie okienko, poniżej składowisko jakichś rupieci i domyśliła się, że umieszczono ją w piwnicy.

Usłyszała zbliżające się kroki, przybrała więc poprzednią pozycję, udając nieprzytomną. Może dzięki temu dowie się czegoś istotnego?

– Co za niespodzianka! Wścibska pani studentka okazała się policjantką – doszedł ją miękki głos Anny. – Czemu ją uderzyłeś?

Jemina poczuła ulgę, uznając, że kobieta nie jest jej wrogiem. *Ona nie pozwoli mnie skrzywdzić*, przemknęło jej przez głowę.

Niemal w tej samej chwili odezwał się mężczyzna i dziewczyna straciła wszelką nadzieję, odczytywał bowiem dane z legitymacji służbowej, na co Anna zareagowała wybuchem śmiechu.

– Uspokój się! – warknął. – Nie widzę w tym nic zabawnego, że ta policyjna suka weszła do naszego domu, żeby węszyć!

– Śmieję się, bo to dodatkowa adrenalina – znów odezwała się Anna. – Nie powiesz mi, że ostatnie wydarzenia nie przyniosły ci radości! Przedtem było już trochę nudno, a teraz wreszcie coś się dzieje. Szkoda, że ją tak mocno walnąłeś, wolałabym, żeby była przytomna.

Dorycka poczuła dreszcz strachu, gdy w odpowiedzi rozległ się śmiech Andrzeja Kani. Nie miała pojęcia, co tych dwoje zamierza, ale przeczuwała, że nie czeka jej nic przyjemnego. Naraz śmiech się urwał.

– Przyszła tutaj z bronią. Jak sądzisz...?

– Myślisz, że moglibyśmy sobie postrzelać? – W głosie Anny zabrzmiała ekscytacja. – W takim razie trzeba będzie później jakoś sprytnie się jej pozbyć albo wydłubać z ciała wszystkie kule.

Dalszej rozmowy Jemina już nie słyszała. Zanim zemdląła ze strachu, zdążyła pomyśleć, że Ściana Życzeń bezczelnie ją oszukała. Miała przecież spełnić prośbę, a nie pozwolić, by dziewczyna skończyła marnie w jakiejś zapyziałej piwnicy.

*

Ustalili, że do Kaniów udadzą się dopiero nazajutrz. Diona, jak zwykle niecierpliwa, optowała wprawdzie za tym, by zatrzymania dokonać natychmiast, lecz Marcin kategorycznie sprzeciwił się temu pomysłowi, tłumacząc, że Kaniowie nie mają pojęcia, iż ktoś wpadł na ich trop, zatem z pewnością nie uciekną pod osłoną nocy.

– Przed zatrzymaniem chcę mieć w ręce nakaz, a teraz na pewno go nie dostanę. Co tak patrzysz? – spytał z irytacją. – Nie wiesz, jak jest? Zbliża się już północ i prokurator na pewno nie będzie szalał z zachwyty, gdy zostanie obudzony w środku nocy. Co innego gliniarze. My możemy zapierdalać na okrągło.

Rzadko widywała aspiranta poirytowanego do tego stopnia, żeby narzekał na służbę czy kłął w obecności kobiety.

– Czemu jesteś taki wkurzony? Nie powinieneś raczej się cieszyć?

Wyprzedził wlokący się pojazd, sięgnął między siedzenia po butelkę sprite'a i upił kilka łyków.

– Zmęczony jestem, i tyle – odparł po chwili. – To nie jest robota dla mnie. Niechby w końcu mianowali kogoś na komendanta, bo mam już dość siedzenia na nie swoim stołku i tłumaczenia się z błędów poprzednika.

Diona zrobiła wielkie oczy. Była przekonana, że Lipski odnalazł się w nowej roli i że z pewnością przyjmie stanowisko komendanta, jeśli mu je zaproponują. Znajomi z dawnych czasów twierdzili, że Marcin ma spore szanse.

– Nie wiem, czy dobrze robisz – powiedziała z wahaniem. – W dochodzeniówce dostaniesz pewnie etat specjalisty i szóstą grupę. Komendant komisariatu to chyba jednak jest lepsza fucha.

– Ale parszywa – skwitował krótko. – Nie leży mi ta robota i już. Wolę dostać mniej, ale robić to, co lubię.

Na to nie znalazła odpowiedzi i resztę drogi przebyli w milczeniu. Lipski podwiózł ją pod dom Belki i zaraz zawrócił, a Diona jeszcze dość długo spoglądała na drogę, gdzie powoli niknęły światła oddalającego się samochodu. Nadal nie była pewna swoich uczuć względem tego mężczyzny.

Nazajutrz obudziła się dopiero po dziesiątej i w panice pobiegła do łazienki. Chciała jak najszybciej wyjść z domu, więc zgodnie z regułą złościwości losu wszystko leciało jej z rąk. A kiedy tuż przed wyjściem ostatni łyk kawy zamiast w ustach wylądował na bluzce, miała ochotę rozplakać się i tupać nogami jak małe dziecko.

Koniec końców przyjechała do Jodłowca grubo po jedenastej. Zaparkowała na trapezowatym rynku, biegiem ruszyła do komisariatu i z przyzwyczajenia szarpnęła mocno za klamkę, wiedziała bowiem, że bez użycia siły drzwi nawet nie drgną. Niespodziewanie tym razem otworzyły się lekko

i płynnie, pociągając ją za sobą, i Diona na moment zawisła na schodkach, rozpaczliwie uczepiona klamki.

– Chcecie zabić petentów?! – rzuciła po wejściu, pomijając słowa powitania. – O mało co pofrunęłabym z tymi drzwiami aż do Żywca.

Siedzący w dyżurce sierżant posłał jej zdziwione spojrzenie.

– Przecież zawsze pani narzekała, że za ciężko chodzą. Teraz przesuwają się leciutko i też jest źle?

Z trudem powściągnęła język, stwierdziwszy, że już wystarczająco się wygłupiła, i spytała tylko, czy aspirant Lipski jest w swoim pokoju. Uzyskała twierdzącą odpowiedź, a sekundę później usłyszała brzęczyk zwalnianej blokady, pchnęła więc drzwi oddzielające poczekalnię od reszty pomieszczeń i pomaszerowała w głąb korytarza.

Marcin rozmawiał akurat przez telefon, postanowiła zatem wykorzystać okazję i zrobić sobie kawę. Brakowało jej tego ostatniego łyka, którym napiła bluzkę. Gdy zauważyła rozpaczliwe gesty aspiranta, uśmiechnęła się i dostawiła drugi kubek. Widocznie mężczyzna także był na głodzie.

Z wypowiedzianych słów domyśliła się, że Marcin rozmawia z prokuratorem, i aż płonęła z ciekawości, czy dostanie upragniony nakaz. Z jego twarzy nie mogła nic wyczytać, podobnie jak z oczu spoglądających na nią tak, jakby nagle stała się przezroczysta.

– I co? – spytała, gdy tylko odłożył komórkę.

– I nico – burknął, sięgając po kubek. – Siczek twierdzi, że to domysły niepoparte żadnymi dowodami. Kazał czekać na wynik autopsji Joanki Kani. Jeśli będzie w nim stwierdzenie, że dziewczyna rodziła, to po ptokach, mogę zapomnieć o nakazie.

– Aha.

Wolno skinęła głową i także wzięła do ręki kubek, po czym upiła kilka łyków, delektując się gorzkim płynem, wpatrzona

niewidzącym wzrokiem w ścianę. Podekscytowanie odpłynęło, w jego miejsce pojawił się spokój.

Lipski obserwował ją spod oka, wiedząc, że teraz przestawiła się na tryb „chłodna kalkulacja”. Ciągle nie mógł się nadziwić, jak ona to robi, że w jednej chwili z nabuzowanej adrenaliną czy wściekłością Furii potrafi zmienić się w racjonalnie myślącą, zimną profesjonalistkę.

– Coś wymyśliłaś? – zainteresował się, gdy zauważył, że jej wzrok znów stał się czujny.

Skrzywiła się lekko.

– Nic. Trzeba poczekać na ten wynik, a potem się zobaczy. Nie ma co pogrywać z Siczkiem, bo to jeden z rozsądniejszych prokuratorów.

– Też tak myślę.

Sięgnął po słuchawkę stacjonarnego telefonu i nakazał doprowadzić zatrzymanego. Na te słowa Diona poderwała się z krzesła.

– Nie będę ci przeszkadzać. Daj znać, jak będziesz coś wiedział.

Powstrzymał ją ruchem ręki.

– Siedz i słuchaj, a jeżeli będziesz miała jakieś uwagi, napisz mi je na kartce. Okej?

Uśmiechnął się przy tym tak tajemniczo, że coraz bardziej zdziwiona, zdobyła się tylko na nieme przytaknięcie i wpatrzyła się w drzwi, ciekawa, kogo za chwilę w nich ujrzy. Nie przyszło jej do głowy, że może to być Paweł Smok, a przecież wczoraj sama zwróciła uwagę Marcina na tę personę. Była przy tym pewna, że pojedą do Świercznicy, by porozmawiać z tym mężczyzną, i w ogóle nie pomyślała, że Lipski niekoniecznie musi osobiście dokonać zatrzymania. Miał od tego ludzi.

Paweł Smok nie wyglądał na przejętego swoją sytuacją. Skłonił się lekko aspirantowi, przeniósł wzrok na Dionę

i w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania, a po twarzy przemknął lekki uśmiech. Usiadł na wskazanym miejscu i odezwał się pierwszy, nie czekając na pytanie.

– Mam wrażenie, że policjanci, którzy mnie tu przywlekli, nie są zbyt rozgarnięci. Chyba pomylili status podejrzanego ze statusem świadka.

Marcin pominął drugie zdanie, skupiając się na pierwszym.

– Twierdzi pan, że użyto wobec pana środków przymusu niewspółmiernych do sytuacji, czy tak? Chce pan złożyć zażalenie?

Zdumiony mężczyzna przez chwilę spoglądał tępo, nie wiedząc, co powinien odpowiedzieć.

– Niczego takiego nie twierdziłem – zaprzeczył, gestykulując żywo. – Byli grzeczni i uprzejmi. Dlaczego miałbym się zażalać?

– Powiedział pan wyraźnie, że pana przywlekli – przypomniał policjant. – To kojarzy się dość jednoznacznie.

Gestykulacja Smoka przeszła w machanie rękami, tak gwałtowne, iż zachodziła obawa, że ramiona wyskoczą ze stawów.

– Oj tam, przecież to tylko takie określenie, niczego złego nie miałem na myśli – tłumaczył się nieskładnie, wyraźnie wyprowadzony z równowagi podejrzeniem, jakoby chciał wejść w spór z policją. – Nie musi pan być taki dosłowny, panie komisarzu.

– Jak już, to panie aspirancie – poprawił go Marcin i wskazał na swój pagon. – To jest szaszłyk, czyli gwiazdki na patyku. Trzy oznaczają starszego aspiranta. Komisarz też ma trzy gwiazdki, ale bez patyka.

Celowo rozwodził się nad różnicą w oznaczeniu szarży, by jeszcze bardziej zbić mężczyznę z pantałyku. Zauważył z satysfakcją, że zdołał zmazać mu z twarzy ten pełen wyższości uśmieszek, a i smocza pewność siebie wyraźnie się

nadwątliła. Ten konkretny smok raczej już nie będzie ziać ogniem.

– Nie wiedziałem – bąknął mężczyzna, składając usta w dzióbek, a policjant z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Już wiedział, dlaczego Diona przezwiała do Cmokiem.

– To akurat jest najmniej ważne – oznajmił, zamykając temat. – Przejdźmy do powodów pańskiej obecności tutaj.

– No właśnie, nie bardzo rozumiem, dlaczego tu jestem. – Smok odzyskał odrobinę pewności siebie. – Przecież to jasne, że Bobkowski zgwałcił tę dziewczynę! I dobrze o tym wiecie, bo sami wsadziliście go do aresztu.

Marcin kilka chwil milczał, w skupieniu przyglądając się mężczyźnie.

– Jerzy Bobkowski został aresztowany pod innym zarzutem – wyjaśnił, nie wdając się w szczegóły. – Pan natomiast jest podejrzewany o zgwałcenie i zabójstwo Wioletty Kamińskiej. Spokój! – rzucił ostro, gdy Smok zaczął wykrzykiwać jakieś nieskładne słowa. – Sprawdziliśmy, że w chwili zabójstwa wcale nie przebywał pan u brata. Okłamał pan sierżanta Dzichtę, fabrykując sobie alibi. – Zawiesił głos, a gdy mężczyzna nie skomentował wypowiedzi, spokojnie kontynuował: – Za chwilę pobiorę od pana wymaz z ust celem pozyskania próbki biologicznej.

– Po co? – spłoszył się tamten. – Absolutnie się nie zgadzam.

Marcin postanowił skrócić dystans poprzez porzucenie oficjalnej formy. Z doświadczenia wiedział, że taki zabieg często pozbawia przesłuchiwanym pewności siebie, uświadamiając im dobitnie, że nie są już panami sytuacji.

– Twoja zgoda nie jest mi do niczego potrzebna. Możemy pobrać tę próbkę siłą. Mnie tam wszystko jedno.

Na to dictum Smok nie znalazł odpowiedzi i już bez protestów otworzył szeroko usta, umożliwiając pobranie

wymazu. Dopiero gdy wyprowadzano go z pokoju, odwrócił nagle głowę, starając się spojrzeć na aspiranta.

– To była jej wina! – wykrzyknął z mocą. – Prowokowała mnie, zachowywała się jak jakaś kurwa!

Lipski dał znak funkcjonariuszowi, by przyprowadził Smoka z powrotem, a gdy zatrzymany zajął to samo miejsce, co poprzednio, odezwał się zadziwiająco łagodnie:

– Opowiedz o tym. Będzie ci lżej.

I Smok opowiedział. Mówił długo i rozwlekle, nie pomijając żadnego szczegółu, a z jego słów wynikało, że Wioletta często przychodziła do warsztatu pod pretekstem wyciągania informacji o mieszkańcach Świercznicy, w rzeczywistości zaś pojawiała się wyłącznie po to, by prowokować go eksponowaniem swoich wdzięków.

– Specjalnie nie wkładała biustonosza, żebym mógł zobaczyć, jak jej sterczą sutki. – Gorycz w głosie mężczyzny mieszała się z ekscytacją. – I za każdym razem miała na sobie tak obcisłe spodnie, że wszystko się odznaczało. Kiedyś przyszła wieczorem, tuż przed zamknięciem, i powiedziała, że się odwdzięczy, jeśli załatwię jej rozmowę ze starszą Bobkowską. Załatwiłem to bez problemu, bo ta jędrza mnie lubi. – Uśmiechnął się z dumą. – Ale jak chciałem odebrać zapłatę, to Kamińska mnie wyśmiała. Powiedziała, że miała na myśli pieniądze i że nigdy w życiu nie poszłaby ze mną do łóżka. Nazwała mnie obleśnym, podła oszustka. Wtedy wymyśliłem plan.

Jak wynikało z opowieści, niedaleko od Świercznicy znajdowała się leśna polana. Dawno temu, jeszcze w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, stała tam mała gajówka, która z biegiem czasu popadła w ruinę przy sporym współudziale okolicznych mieszkańców, podbierających drewniane bale i deski na opał. Nie bardzo było już wiadomo, z jakiego powodu nadleśnictwo zaniechało remontu obiektu,

gdy jeszcze nie znajdował się w stanie wykluczającym opłacalność takiego działania. Obecnie w miejscu dawnej gajówki pozostały tylko fundamenty i kamienna podmurówka, gęsto porośnięte pokrzywami, spomiędzy których tu i ówdzie wyłaniały się wysmukłe pnie młodych brzoź.

Obok paśnika dla zwierzyny i pozostałości dawnego domostwa kilka lat temu leśnicy wybudowali dużą szopę służącą do przechowywania zapasów siana. Z daleka mogła niewprawionemu oku wydać się małym drewnianym domem, jakich wiele jeszcze można było napotkać w wyższych partiach Beskidu Żywieckiego, i Smok liczył, że nieznaną okolic dziewczyna nie od razu zorientuje się w omyłce.

Wiedział, że jej czas się kończy, gdyż kilka razy wspomniała o zbliżającym się terminie wyjazdu, miał więc nadzieję, że determinacja wygra z rozsądkiem. Założenie okazało się słuszne. Gdy tylko usłyszała o starszym małżeństwie mieszkającym w środku lasu opodal Świercznicy, które z racji długoletniej pracy w urzędzie gminy w Jodłowcu wie dosłownie wszystko o okolicznych mieszkańcach, natychmiast postanowiła ich odwiedzić i niemal błagała Smoka, by ją do nich zaprowadził.

Wyjechali ze Świercznicy samochodem, Smok bowiem niezbyt gustował w pieszych wycieczkach. W upatrzonym miejscu zjechał na przydrożną polankę, ukrytą częściowo za zasłoną gęsto rosnących młodych świerków, i pozostawił tam samochód, a później poprowadził Wioletkę w górę stromego zbocza, na którego szczyt wiodła dawno temu leśna droga. Dzisiaj pozostał po niej tylko ślad w postaci wąskiej ścieżki wydeptanej przez służby leśne.

Zdyszana i zmęczona wspinaczką Wioletta nie miała sił, by się rozglądać, dzięki czemu znaleźli się w połowie polany, zanim zorientowała się, że nie ma tam żadnego domu. Smok nie zaatakował jej od razu. Był w wyborzym humorze, gdyż

sytuacja rozwijała się zgodnie z planem. Znaleźli się sam na sam na opuszczonej polanie i Kamińska nie miała już powodu, by grać rolę niedostępnej. W wiosce certowała się, by nie wyjść przed innymi ludźmi na łatwą, ale tutaj nie musiała udawać.

Podniecony myślą o rozkoszy, której za moment doświadczy, Smok nie zważał już na nic. Objął dziewczynę, a gdy zaczęła się wyrywać, użył siły, by ją przytrzymać.

– Wtedy nazwała mnie zboczeńcem – wyszłochał – i coś we mnie pękło. Była taka śliczna, mięciutka i podniecająca, że musiałem ją mieć za wszelką cenę. Ale ona ciągle się broniła i krzyczała, i musiałem ją jakoś uciszyć. Namacałem kamień, złapałem i uderzyłem ją w głowę. Przyznaję, że ją zgwałciłem. Ale nie zabiłem.

Smok zakończył swoją spowiedź, ale Marcin nie zamierzał na tym poprzestać. Pozostało zbyt wiele niejasnych punktów.

– Mówisz, że jej nie zabiłeś – mruknął, a Smok skwapliwie przytaknął. – Tak po prostu pozwoliłeś jej odejść?

Mężczyzna wyraźnie się zmieszał.

– Tak po prostu to nie – wyznał z pewnym oporem. – Chciałem tylko trochę odpocząć, zebrać siły na powtórkę. Leżałem na niej, żeby nie mogła się ruszyć, i tłumaczyłem, że nie powinna nikomu mówić o tym, co przed chwilą zrobiliśmy, bo przecież to nie był żaden gwałt, tylko wybuch namiętności.

– Ciekawe sformułowanie – mruknęła pod nosem Diona, nie mogąc się opanować.

Marcin posłał jej wściekłe spojrzenie, lecz nie zdążył nic powiedzieć, gdyż Smok go uprzedził.

– Ona najpierw też mówiła podobnie. Krzyczała i mi groziła, ale po jakimś czasie zrozumiała, że mam rację, i nawet przyznała, że było fajnie. Potem poprosiła, żebym się z niej zsunął, bo coś uwiera ją w plecy, a ten drugi raz wołałaby

przeżyć w bardziej komfortowych warunkach. Jestem dżentelmenem, więc się zgodziłem.

– A Kamińska pewnie to wykorzystwała i dała nogę? – W głosie policjanta dało się słyszeć stłumiony śmiech. Smok popatrzył na niego z urazą i skrzywił się, lecz odpowiedział.

– Nadużyła mojego zaufania – oświadczył ku jeszcze większemu rozbawieniu aspiranta. – Ledwie się odsunąłem, a ona złapała swoje ubranie i pomknęła w las.

– Nie goniłeś jej?

– A jak? – burknął Smok ze złością. – Zapomniałem, że mam spodnie opuszczone do kostek i po kilku krokach wywaliłem się jak długi. Zanim ogarnąłem sytuację, po Wioletcie nie było ani śladu. Pobiegłem kawałek w tamtym kierunku, ale po chwili zawróciłem, bo to nie miało sensu. Ona mogła być wszędzie.

Marcin wyobraził sobie mężczyznę usiłującego biec ze spodniami zamotanymi wokół kostek i z trudem zachował powagę. Potem przed oczami stanął mu obraz martwej dziewczyny i rozbawienie minęło jak ręką odjął.

– Mówisz, że Kamińska ci uciekła – powiedział wolno. – A mnie się wydaje, że jednak ją dogoniłeś. Nie było tak, że dopadłeś ją przy drodze i udusiłeś?

Na twarzy mężczyzny odmalowało się przerażenie.

– No co pan? Ja bym nie mógł nikogo zabić, a tym bardziej Wioletki. Ona przecież była moja. Poza tym nie miałem żadnego sznurka! – zakończył, tocząc po obecnych triumfalnym spojrzeniem.

Diona poruszyła się niespokojnie. Już druga osoba wymieniła sznurek jako narzędzie zbrodni i nie mógł to być przypadek. Uznała, że powinni wyjaśnić tę kwestię, czym prędzej więc skreśliła kilka zdań na kartce wyjętej z zasobnika drukarki i wręczyła notatkę Marcinowi. Ten przeczytał szybko, skinął Dionie głową i zwrócił się do Smoka:

– Skąd wiesz, że uduszono ją sznurkiem?

– Od Bobkowskiego – odparł mężczyzna. – On wracał akurat do domu, gdy policja się tam pojawiła. Mówił, że jeden z policjantów trzymał w ręce sznurek. Na pewno zdjął go z szyi biednej Wioletki.

Westchnął głośno, a Lipski wzniósł oczy do nieba. Niewiedza tego mężczyzny o policyjnych procedurach była porażająca. Ale może to i lepiej? Dzięki temu można go spokojnie wyeliminować.

– A co tam robił Bobkowski? – zainteresował się nagle.

– Wracał od kumpla – odparł Smok z błyskiem w oku. Teraz udzielał informacji bardziej niż chętnie. – On ma w Osinach takiego kumpla, z którym lubi się napić i wciągnąć kreskę.

– Mam rozumieć, że wracał samochodem taki napity i wciągnięty?

Smok wzruszył ramionami.

– U niego to norma. Ale wtedy mu nie przyfarciło, bo nie wyrobił na zakręcie i dachował tym swoim ślicznym kabrioletem. Nic mu się nie stało, ale musiał drałować pieszo.

Diona zastanawiała się właśnie, jak można dachować samochodem nieposiadającym dachu, gdy Marcin uznał, że na dzisiaj wystarczy, i nakazał odprowadzić Smoka do celi. Spotkało się to z gwałtownym sprzeciwem zatrzymanego, przeświadczonego, że po złożeniu zeznań zostanie wypuszczony.

– Jak to? Czemu nie puścicie mnie do domu?

– Będziesz odpowiadać za zgwałcenie Wioletty Kamińskiej. – wyjaśnił Lipski. – Jutro, a może jeszcze dzisiaj, złożysz zeznania w obecności prokuratora, który zdecyduje, czy będziesz siedział do sprawy.

– Ale za co? – Smok nadal nie rozumiał, dlaczego spotyka go to wszystko. – Przecież nic złego nie zrobiłem. To był tylko seks.

*

Wyczekiwany z niecierpliwością wynik autopsji wreszcie dotarł, a zawarte w nim słowa potwierdziły podejrzenia Marcina i Diony. Zmarła była dziewczicą. Ale Anna Kania zwana Joanką dziewczicą być nie mogła, gdyż urodziła dziecko, wszystko więc wskazywało, że zamiast niej w grobie spoczęła Anna Kania od Leśnych, świeżo poślubiona żona Andrzeja. W tej sytuacji, po wysłuchaniu całej historii, prokurator nie miał żadnych wątpliwości.

– Pojadę z tobą – oświadczyła Diona, gdy Marcin wyszedł z prokuratury z nakazami w ręce.

Usiłował odwieść ją od tego pomysłu, lecz nie dawała się przekonać i w końcu uległ, ale z zastrzeżeniem, że absolutnie nie wolno jej wykroczyć poza rolę biernego obserwatora.

– Przy najmniejszej próbie wejścia w nasze kompetencje wylecisz – ostrzegł. – Wystarczy mi jedna samowolna osoba.

Miał na myśli Jeminę, która od trzech dni nie pokazała się w pracy, nie uprzedziła też o planowanej nieobecności. Po jego minie Diona poznała, że nie żartuje, i przyrzekła sobie dostosować się do wymogów. Nie mogła ryzykować, że ją wyrzuci, pozbawiając przyjemności obejrzenia Kaniów w kajdankach.

Podjechali pod posesję w dwa radiowozy. Na widok policyjnych mundurów ochroniarz bez wezwania otworzył bramę, nie pytając o powody najazdu, po czym natychmiast schował się do przybudówki określanej mianem kanciapy. Jak na osobę, do której obowiązków należało zapewnienie bezpieczeństwa pracodawcy i jego małżonce, wykazał zadziwiająco małe zainteresowanie ich losem.

Na dzwonek nikt nie zareagował, podobnie jak na walenie pięścią w drzwi. Marcin już otwierał usta, by nakazać otwarcie siłowe, gdy stojąca z tyłu Diona przypomniała sobie podobną sytuację podczas jednej z interwencji.

– Próbowaliście je otworzyć?

Funkcjonariusz pokręcił głową i nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły. Weszli.

W domu było pusto. Na wezwanie nikt nie odpowiedział, rozbiegli się więc po domu w poszukiwaniu gospodarzy, Diona natomiast stała nadal przy drzwiach, zastanawiając się, co oznacza samochód zaparkowany tuż przed wejściem. Wiedziała, że Kaniowie dysponowali wielkim garażem, więc raczej nie pozostawialiby auta na zewnątrz, zwłaszcza w taki dzień jak dziś, kiedy nastąpił kolejny nawrót zimy. Nagle zrozumiała. Podstawili samochód niemal pod same drzwi, żeby szybciej przenieść do niego dobytek, który zamierzali ze sobą zabrać.

– Planują dać w długą – szepnęła.

W tej samej chwili usłyszała dochodzący z głębi domu okrzyk przerażenia. Wiedziona ciekawością odwróciła się w tamtym kierunku, postąpiła krok naprzód i nagle poleciała do przodu, popchnięta przez zmierzającą ku drzwiom postać. Padając, rozpaczliwym wyrzutem ramienia uchwyciła uciekającego za skraj kurtki i pociągnęła za sobą, po czym stęknęła głucho, gdy uderzyła pośladkami w podłogowe płytki, a zaraz potem drugi raz, gdy łokieć przeciwnika trafił ją w żebro. Nad sobą ujrzała wykrzywioną wściekłością twarz Anny Kani.

Diona upadła tak niefortunnie, że jej lewa ręka znalazła się pod tułowiem. Nie mogła jej wyszarpnąć spod ciężaru dwóch ciał, więc do obezwładnienia szalejącej kobiety została jej tylko prawa ręka. Dziewczyna nie miała czasu, by zawołać o pomoc, całą uwagę musiała bowiem poświęcić uciekinierce, ze

wszystkich sił próbującej wyswobodzić się z uścisku. Kania wyrwała się wreszcie i uklękła, chcąc wstać, dzięki czemu Diona odzyskała swobodę i wreszcie mogła posłużyć się obiema rękami. Płynnym ruchem podniosła się do klęku i zaatakowała Annę, chcąc przewrócić ją na wznak.

– Andrzej, ratuj! – wrzasnęła tamta, robiąc gwałtowny unik.

Zaskoczona jej zwinnością Diona nie zdążyła wyhamować i poleciała do przodu. Padając na ziemię, usłyszała strzał i sekundę później głucho stęknęcie. Zanim zdążyła pojąć, co się stało, tuż obok rozległ się pełny rozpaczony krzyk. Porwała się z podłogi w samą porę, by zobaczyć nadbiegających z różnych stron domu policjantów, a gdy przeniosła wzrok na Annę, pierwsze, co ujrzała, to szeroko otwarte, niewidzące oczy i wąska strużka krwi sącząca się z ust kobiety. Dopiero później zwróciła uwagę na porzucony obok ciała pistolet i na klęczącą przy zwłokach postać. Andrzej Kania płakał bezgłośnie, pozwalając, by spływające mu po policzkach łzy skapywały na wypogodzoną teraz twarz siostry.

– Kurwa mać, ale się porobiło. – Marcin podszedł do Diony i z ponurą miną obserwował przez chwilę Andrzeja Kanię, znieruchomiłego nad ciałem Joanki. – Dajcie mu jeszcze kilka minut na pożegnanie, a potem zabierzcie – nakazał towarzyszącym mu funkcjonariuszom, po czym zwrócił się do Remańskiej. – Spóźniliśmy się. Jemina nie żyje.

Epilog

Ciało Doryckiej znaleziono w piwnicy, w świeżo wykopanej dziurze. Tuż obok stała mała betoniarka. To właśnie odgłos pracy silnika zwabił tam funkcjonariusza, który swoim nadejściem przeszkodził Andrzejowi w desperackiej próbie usunięcia śladów zbrodni. Jak później zeznał Kania, postanowił mimo sprzeciwów Joanki najpierw wylać beton, a dopiero potem przekraść się do samochodu.

Po zabiciu Doryckiej Kaniowie nie mieli pomysłu, co zrobić z ciałem, postanowili więc pochować je w piwnicy, a potem zniknąć. Nie spieszili się jednak z wyjazdem, przeświadczeni, że mają wystarczająco dużo czasu, by zatopić zwłoki w betonie, zapakować do samochodu najniezbędniejsze rzeczy i odjechać w siną dal. Planowali pozostawić na posesji ochroniarzy, przekonanych, iż pracodawca i jego małżonka udają się do znajomych z towarzyską wizytą. Uznali, że minie kilka dni, zanim ktoś zainteresuje się ich nieobecnością.

Przyjazd policji kompletnie zaskoczył rodzeństwo, które uwierzyło w zapewnienia Inki, że prócz niej nikt nie podejrzewał ich o zabicie Kamińskiej. Walenie do drzwi, a później kroki ludzi rozbiegających się po domu tak przeraziły Joankę, że chciała natychmiast uciekać, lecz Andrzej jej nie usłuchał. Zawrócił do piwnicy, ale nie zdołał pokryć zwłok policjantki warstwą betonu, gdyż przeszkodziły mu zbliżające się kroki. Natychmiast schował się za drzwiami, a kiedy usłyszał krzyk funkcjonariusza pochylającego się nad

dziurą w posadzce, przemknął do przedpokoju, gdzie trafił na scenę walki.

– Nie chciałem zabić Joanki – szlochał, wpatrując się pełnymi łez oczami w prokuratora. – Ona była moim życiem. Róbcie ze mną, co chcecie, bo już na niczym mi nie zależy.

– Odpowie pan na kilka pytań? – spytał prokurator Edward Siczek tak obojętnie, jakby nie zależało mu na uzyskaniu odpowiedzi.

I rzeczywiście tak było. Nie żywił do Kani nawet cienia współczucia. Potrafił zrozumieć uczucie łączące go z siostrą i byłby nawet skłonny je usprawiedliwić, gdyby nie szereg ofiar, które rodzeństwo pozostawiło za sobą.

Andrzej Kania zgodził się udzielić wyjaśnień i wówczas okazało się, że scenariusz wymyślony przez Dionę i Marcina był zaskakująco trafny.

Wzajemna fascynacja objawiła się po śmierci dziadka. Po pogrzebie Andrzej pocieszał tulącą się do niego zrozpaczoną Joankę, a ona pocieszała jego. W pewnej chwili jej pieśzchotliwe gesty przerodziły się w coś więcej, a wówczas odkrył, że uczucia, które żywił do siostry, wykraczają daleko poza uczucia braterskie. Nie mieli zamiaru z tym walczyć. Przeciwnie, świadomość, że robią coś zakazanego, dodatkowo ich podniecała, korzystali więc z każdej sposobności, by oddawać się coraz śmielszym pieśzchotom.

Do pierwszego pełnego zbliżenia doszło, gdy wedle wszelkich znaków powinni być w domu całkiem sami. Nie przewidzieli, że ojciec zapomni lekarstw i zawróci, i że zaskoczony dziwnymi odgłosami dobiegającymi z pokoju syna, pofatyguje się na piętro. Tymczasem on otworzył drzwi, zobaczył swoje dzieci uprawiające kazirodczy seks i jego serce nie wytrzymało.

Nie umarł od razu. Leżał w progu kilka chwil, wzrokiem błagając o pomoc, a to wedle słów Andrzeja dodatkowo ich podnieciło. Od tamtej pory lubili mieć obserwatorów podczas

miłosnego aktu, dlatego ułatwiali Andrzejowi od Leśnych podglądanie. Wiedzieli dobrze, że i tak nikt nie uwierzy pijakowi, gdyby nawet chciał o tym komuś opowiedzieć. Ale Andrzej nie chciał. Wolał wspinać się na wysokie drzewo naprzeciwko okna Joanki i obserwować kochającą się parę niż za cenę poczucia się ważnym przez kilka minut na zawsze utracić możliwość oglądania takiego widowiska.

Potem doszło do nieszczęścia. Poczuli się do tego stopnia bezkarni, że przestali zważać na kalendarzyk Joanki, będący ich jedyną formą antykoncepcji. Zaznaczała w nim daty miesiączek, zakładając przy tym, że jedynie przez kilka dni w środku cyklu muszą wstrzymać się od współżycia. Na szczęście naiwna matka uwierzyła w historyjkę o gwałcie i nie dość, że niczego nie podejrzewała, to jeszcze wykazywała wiele zrozumienia dla graniczącej z nienawiścią niechęci córki do dziecka rozpychającego się coraz bardziej w jej brzuchu.

Później wszystko wróciło do normy i mogłoby tak trwać jeszcze wiele lat, gdyby nie głupi przypadek. Andrzejowi było tak spieszo do siostry, że nie zamknął za sobą drzwi, a przeciąg uchylił je na całą szerokość. Zmierzając w nocy do toalety Kaniową zaniepokoiły jęki dochodzące z piętra, poszła więc sprawdzić ich źródło...

– Przez nią o mało wszystko nie wzięło w łeb – opowiadał Kania. – Nie dość, że nas przyłapała, to jeszcze domyśliła się, jak to było z ojcem, i powiedziała, że powiadomi policję. Nie dała nam wyboru.

W jego głosie nie było nawet cienia skruchy, gdy opowiadał, jak silnym pchnięciem zrzucił matkę ze schodów, a później wraz z Joanką stali długo nad ciałem, by upewnić się, że naprawdę umarła.

Późniejsze dwa lata wspominał jako jedno wielkie pasmo szczęśliwości. Nic już ich nie ograniczało. Rozsądek jednak zwyciężył i postanowili zawrzeć fikcyjne małżeństwa, by móc

w jakimś obcym mieście uchodzić za męża i żonę. Dlatego ich wybór padł na noszące takie same imiona rodzeństwo Kaniów Leśnych. Planowali, że po ślubie Andrzej i Anna wyjadą do Krośniewic, gdzie czekało na nich wynajęte mieszkanie i gdzie młodzi małżonkowie będą przebywać aż do ślubu Joanki z Andrzejem od Leśnych. Rodzeństwo ustaliło, że Joanka obdaruje świeżo poślubionego męża taką kwotą, żeby zapomniał o wszystkim prócz chęci natychmiastowej zamiany gotówki na alkohol. Prócz tego co miesiąc listonosz miał mu przekazywać pięćset złotych.

– Takie pięćset plus – roześmiał się Kania, opowiadając o uknutej intrydze. – Ja z kolei miałem powiedzieć Ance, że pomyliłem się co do swoich uczuć i nie mogę z nią żyć, ale jako katolik nie dopuszczam możliwości rozwodu. W planie było comiesięczne wypłacanie jej alimentów. Ale siostra swoją zazdrością wszystko zepsuła.

Przy wyjeździe młodej pary Joankę ogarnęły czarne myśli. Wyobraziła sobie brata kochającego się z Anną, toteż postanowiła natychmiast temu zapobiec i pojechała za nimi. Wbrew temu, co teraz mówił Andrzej, to on wszystko zepsuł, kiedy w noc poślubną, zamiast do łóżka żony, przyszedł do siostry. Nie wiedzieli, że znużona bezskutecznym czekaniem Anna wstała, by odszukać męża, i ujrzała ich w jednoznacznej sytuacji.

– Nie miałem pojęcia, że brała jakieś lekarstwa – powiedział Kania ze wzruszeniem ramion. – Przywiozła sobie zapas na trzy miesiące i wszystko to łyknęła. Zostawiła list, w którym napisała, że po tym, co zobaczyła, wie, że nigdy jej nie kochałem, i takie tam bzdety. – Urwał i znów wzruszył ramionami. – To Joanka wymyśliła zamianę tożsamości. Zawsze miała genialne pomysły. Mówiła, że grzechem byłoby nie wykorzystać sytuacji i że dzięki temu nie będzie musiała

brać ślubu z tym pijakiem i potem płacić mu, żeby nas nie wsypał.

Siczek spoglądał na niego, lecz w żaden sposób nie skomentował wypowiedzi. Odczekał chwilę, po czym przeszedł do następnego pytania.

– Proszę powiedzieć, jak to było z Kamińską. Czym wam zagrażała?

– Na początku niczym – wyznał Kania. – Odpuściła, kiedy Joanka powiedziała jej, ile ma lat. Ale potem zauważyła podobieństwo pewnych rysów. Miały z Joanką identyczny wykrój ust, nawet podobnie się uśmiechały. Aż się dziwiłem, że nikt prócz mnie tego nie dostrzegł. Ale ta cholerna dziewczucha zauważyła coś więcej. Odkryła, że wszyscy troje mamy takie same, lekko szpiczaste uszy, i zaczęła drążyć, czy mnie i Joankę łączy jakieś pokrewieństwo. Była o krok od poznania prawdy i musieliśmy ją uciszyć.

Okazja trafiła się im przez przypadek. Wracali właśnie z imprezy u znajomych, gdzie pierwotnie mieli zostać na noc, ale gospodarz pokłócił się z żoną. Chcąc odreagować, nie żałował sobie trunków, przez co już o osiemnastej był tak pijany, że zasnął przy stole. W tej sytuacji Kaniowie postanowili wrócić do domu. Dojeżdżali właśnie do Świercznicy, gdy zauważyli idącą poboczem Kamińską. Dziewczyna była w fatalnym stanie. Zmierzwione włosy, plama krwi na spodniach; wszechobecne igliwie, zapłakana buzia i brak wierzchniego okrycia świadczyły, iż przeżyła jakąś niemiłą przygodę, postanowili więc podwieźć ją do Świercznicy. Joanka zjechała na pobocze, zatrzymała samochód i właśnie wtedy przyszło olśnienie.

– To był impuls – opowiadał Kania. – Nagle uzmysłowiliśmy sobie, że to idealna okazja, żeby raz na zawsze pozbyć się tej dziewczyny. Było oczywiste, że wcześniej ktoś na nią napadł,

należało więc załatwić sprawę tak, żeby jej śmierć poszła na konto tamtego człowieka.

– Które z was ją udusiło?

Kania zawahał się. Wielce prawdopodobne było, że chciał rzucić winę na nieżyjącą siostrę, ale doszedł do wniosku, że zbyt wiele ma na sumieniu, by miało to jakieś znaczenie. Po namyśle przyznał więc, że to on zaciskał dłonie na szyi Wioletty Kamińskiej, dopóki nie wydała ostatniego tchnienia.

Mężczyzna powiedział to tak obojętnym tonem, że prokurator wzdrygnął się, choć nieraz już miał do czynienia z różnymi degeneratami. Ale zachowanie tego człowieka nie mieściło mu się w głowie.

– Ta dziewczyna była waszą córką. Czy to nic dla was nie znaczyło?

Andrzej Kania ponownie wzruszył ramionami.

– Dziecko to tylko zlepek komórek, nic więcej. Czy płacze pan nad obciętym paznokciem?

Dyskusowanie z tym człowiekiem nie miało najmniejszego sensu, wobec czego prokurator zacisnął tylko szczęki i powstrzymał się od komentarza. Po chwili zadał następne pytanie:

– Dlaczego spaliliście Szataników? Sekcja wykazała, że w chwili wybuchu pożaru wszyscy troje żyli, choć prawdopodobnie byli nieprzytomni z powodu poniesionych urazów.

– To był błąd w ocenie sytuacji – przyznał Kania, lecz w jego głosie nie pojawił się nawet cień skruchy. – Joanka akurat robiła zakupy, gdy Bożena Szatanik krzyknęła na cały sklep, że następnego dnia opowie, czego dowiedziała się od Wioletty. Popatrzyła przy tym na Joankę, uznaliśmy więc, że nie mamy wyboru. Musieliśmy się dowiedzieć, czy komuś nie opowiedziała o tym, co wie, a potem ją wyeliminować.

Celowo wybrali się z wizytą w środku nocy, by nikt z sąsiadów nie zobaczył, jak zmierzają w stronę posesji Szataników. Przedostali się do środka przez piwnicę, gdzie jedno z okien zawsze było uchylone, by kot mógł swobodnie się przemieszczać. Na przestrzeni lat kilkakrotnie gościli w tym domu, więc znali dobrze jego rozkład. Najpierw ogłuszyli śpiącego Jacka, by im nie przeszkodził, po czym weszli do sypialni Bożeny.

Wyrwana ze snu kobieta najpierw nie mogła pojąć, co robią w jej domu i czego od niej chcą, a gdy wreszcie dotarł do niej sens zadawanych pytań, nie dość, że odmówiła odpowiedzi, to jeszcze zaczęła wyśmiewać się z Kaniów. Joanka wpadła w złość, a wtedy zawsze wstępował w nią diabeł.

– Wybiegła z pokoju, a po jakimś czasie wróciła uśmiechnięta, z rękami we krwi. Oświadczyła Bożenie, że jest to krew Szymona i że będzie jej więcej, jeśli Szatanikowa nie odpowie na pytania. Kazała się pospieszyć, inaczej chłopak całkiem się wykrwawi.

– Czy odpowiedzi były warte wysiłku?

Siczek popatrzył z lekką kpina, jakby z góry znał odpowiedź. Andrzej Kania łypnął nań gniewnie i udzielił wyjaśnień poirytowanym tonem, świadczącym, że nadal nie może pogodzić się z zaistniałą sytuacją.

Niepotrzebnie zaryzykowali nocne odwiedziny, gdyż Bożena Szatanik nie wiedziała nic mogącego naprowadzić na trop Kaniów, a jej domysły kierowały się raczej ku sołtysowi i jego żonie. Ale po tym, co się wydarzyło, nie można było mieszkańców tego domu pozostawić przy życiu. Joanka uderzyła Bożenę lampką nocną w głowę i zamknęła ją w pokoju na klucz, po czym w ten sam sposób postąpiła z Jackiem i Szymonem.

W tym czasie Andrzej pobiegł do domu, gdzie wsiadł w samochód i pojechał do firmy po naftę. W drodze powrotnej

przyszedł mu do głowy świetny plan. Jeśli podpalą także dachę i zabudowania kurzej fermy, policja zapewne uzna to za zemstę biznesową lub zawiść z powodu odniesionego przez Szataników sukcesu. Nikt nie połączy pożarów ze śmiercią Wioletty Kamińskiej.

– Jakoś nie do końca wam ten plan wypalił – mruknął prokurator, wywołując tym grymas złości na twarzy zatrzymanego. – Policjanci od początku nie mieli żadnych wątpliwości, że sprawy się łączą.

– Teraz to wiem – burknął Kania. – Ta policjantka nam powiedziała. Dlatego zamierzaliśmy wyjechać.

– Musieliście ją zabijać?

Mężczyzna zamyślił się na moment, po czym pokręcił głową w geście przeczenia.

– Właściwie niepotrzebnie uderzyłem ją w głowę, bo okazało się, że gówno wiedziała. Ale stało się i potem nie mieliśmy już wyboru. Poza tym chcieliśmy sprawdzić, jak to jest strzelać do człowieka.

*

Marcin z ponurą miną obserwował Dionę upychającą w bagażniku tłumoczek wręczone jej przez Mirabelkę. Pojemniki z różnego autoramentu pierogami, garnek bigosu i niezliczona ilość słoików z zimowymi przetworami wypełniały niemal każdy skrawek ograniczonej przecież powierzchni.

Lipski pomógł dziewczynie przynieść to wszystko do samochodu, a teraz czekał na odpowiedź. Każda chwila zwłoki utwierdzała go w przekonaniu, że nie usłyszy nic miłego.

– Pytałeś, czy jeszcze tu wrócę – powiedziała w końcu, odgarniając z czoła zmierzwione włosy. – Dziwię ci się. – Pokiwała głową nad jego kiepską oceną sytuacji. – Przecież

muszę sprzedać mieszkanie po ojcu, a ciężko zrobić to zaocznie, chyba że zleci się pośrednikowi. Ale mówiłam wyraźnie, że szkoda mi kasy na płacenie prowizji.

Odpowiedź, choć wyczerpująca, wcale go nie usatysfakcjonowała.

– A jak już sprzedasz? Co wtedy?

– Wtedy kupię dom Leszka Hardego i przeprowadzę się do Strzygomia – odparła z szerokim uśmiechem.

Marcin również się uśmiechnął. Przyszłość nie jawiła mu się już tak ponuro.

Diona wolno jechała w stronę Bielska-Białej i rozmyślała o Ścianie Życzeń. Wiedziała, że to kompletnie irracjonalne, nielogiczne i zwyczajnie głupie, ale nie mogła pozbyć się przeświadczenia, iż właśnie wypowiedzianemu tam życzeniu zawdzięcza możliwość kupna domu Leszka. Wymieniona przez Hardego cena nie była wygórowana, w dodatku mężczyzna zgodził się, by jedną czwartą żądanej kwoty spłaciła mu w ratach.

Dziewczyna pokręciła głową, gdyż wiara w interwencję spełniającej życzenia skały kłóciła się z jej racjonalnym podejściem do życia. Zaraz jednak wspomniała Jeminę. Dorycka nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wyraźnie zabrzmiał jej dźwięczny głos, gdy włożyła głowę w skalną czeluść i wypowiedziała swoje życzenie: „Chcę się wyróżnić. Chce, żeby było o mnie głośno. Żeby wszyscy na komisariacie o mnie mówili i stawiali za wzór”. I dokładnie tak się stało. Mówiono o niej i stawiano ją za wzór, tylko że był to wzór głupoty i niekompetencji.

No cóż, sama na to zapracowała, pomyślała Diona. Nie można obarczać Ścian Życzeń odpowiedzialnością za to, że Inka nie potrafiła precyzyjnie się wyrazić.

– Uważaj na życzenia, bo mogą się spełnić – wypowiedziała na głos powszechnie znaną przestrożę i dodała gazu.

Nie mogła doczekać się chwili, gdy opowie rodzicom o planowanych zmianach. Wiedziała, że będą cieszyć się wraz z nią. W przeciwieństwie do Jeminy nie żądała od losu zbyt wiele, istniała więc szansa, że jej życie potoczy się teraz spokojnie i bez wstrząsów. *Oby tylko nie za spokojnie*, podpowiedział wewnętrzny chochlik i dziewczyna omal się nie roześmiała. Znała siebie, mogła więc przewidzieć, że nadmiar spokoju z pewnością jej nie grozi.

KONIEC

Spis treści

Prolog

Rozdział 1. Nowe śledztwo Diony

Rozdział 2. Gwiazdek naszych wina

Rozdział 3. W domu Szatana

Rozdział 4. Król Itaki i owaki

Rozdział 5. Smok i Jerzy

Rozdział 6. Jak Kania dżdżownic

Rozdział 7. Zbrodnia Ikara

Rozdział 8. Problemy są niczym myszy

Rozdział 9. Mogiła wśród brzoź

Rozdział 10. Niedobra miłość

Epilog